3 1761 04575855 4

412/355

45

BIBLIOTEKA HISTORYCZNA ALTENBERGA

LEON KSIĄŻĘ SAPIEHA

WSPOMNIENIA

(Z LAT OD 1803 DO 1865 R.)

Z PRZEDMOWĄ

STANISŁAWA hr. TARNOWSKIEGO

LWÓW, H. ALTENBERG, G. SEYFARTH, E. WENDE I SP.
WARSZAWA, E. WENDE I SP. — POZNAŃ, DEBECKI I SP.

LEON XIĄŻĘ SAPIEHA KODEŃSKI

MARSZAŁEK KRAJOWY 1861—1875

BIBLIOTEKA HISTORYCZNA ALTENBERGA

LEON XIĄŻĘ SAPIEHA

WSPOMNIENIA

(Z LAT OD 1803 DO 1863 R.)

Z PRZEDMOWĄ

STANISŁAWA HR. TARNOWSKIEGO

WYDAŁ, WSTĘPEM I WYJĄTKAMI Z KORESPONDENCYI ZAOPATRZYŁ

BRONISŁAW PAWŁOWSKI

Z 6 PORTRETAMI

LWÓW, H. ALTENBERG, G. SEYFARTH, E. WENDE I SP.
WARSZAWA, E. WENDE I SP. — POZNAŃ, RZEPECKI I SP.

DK
435
.5
S36A3

Z DRUKARNI JAKUBOWSKIEGO I SP. WE LWOWIE, PIEKARSKA 11.

WSTĘP.

Do najwybitniejszych postaci XIX. wieku, do rzędu takich przodowników narodu, jak ks. Józef Poniatowski i ks. Adam Czartoryski, należy też bezsprzecznie i pierwszy marszałek krajowy Galicyi ks. Leon Sapieha.

Choć rozmaite przypadły im role dziejowe do spełnienia — choć w różnych warunkach i okolicznościach przyszło im działać, to jednak myśl przewodnia każdemu z nich przyświecała ta sama, jedno ich ożywiało czucie i jedno dążenie prowadziło do celu: odrodzenie ojczyzny. Oto główna i naczelna zasada ich życia, to jedyny motyw ich działania. Z takiem hasłem na ustach prowadzi w ogień hufce Księstwa Warszawskiego i na ich czele bohaterską ginie śmiercią ks. Józef. Myśl o tem jest czynnikiem decydującym w dyplomatycznych staraniach i zabiegach ks. Adama, czy to gdy jako minister Aleksandra podsuwa mu w r. 1805 myśl utworzenia państwa polskiego, czy jako doradca jego bierze na kongresie wiedeńskim udział w restytucyi Królestwa Polskiego, czy jako Prezes Rządu Narodowego w r. 1831, czy wreszcie jako polityczny działacz na emigracyi.

Pamięć wkońcu o tem była wytyczną w całem życiu ks. Leona, była drogowskazem już od najmłodszych lat, ożywiała go w naukach, zawiodła na plac boju w r. 1831, była wreszcie potężną dźwignią w całej jego późniejszej działalności, mającej na celu po-

budzenie do życia czynnego i podniesienie pod względem kulturalnym i ekonomicznym Galicyi.

To też i pozostałość rękopiśmienna po tak wybitnych osobistościach ma dla następnych pokoleń niepoślednią wartość, a bliższe zapoznanie się z ich życiem i działalnością jest z wielu względów i podnoszącem na duchu i pouczającem.

Bohaterska postać ks. Józefa już od dawna pociągała swym urokiem, doczekała się też już kilku biografii, z których ostatnio wyszła wspaniały jej zbudowała pomnik.

Rozległa działalność ks. Adama, aczkolwiek dotąd jeszcze daje się odczuwać dotkliwy brak całokształtu, przecież bodaj po części, w pewnych swych fazach została wyświetloną.

O ks. Leonie, za wyjątkiem drobnych wzmianek przeważnie pamiętnikarskich, dotąd w historyografii głucho.

By więc wypełnić tę lukę i zaznajomić dzisiejsze pokolenie z osobą ks. Marszałka jako też i epoką, wśród której żył i działał, wychodzą obecnie Jego „Wspomnienia".

W chwilach wolnych po wycofaniu się z życia publicznego, w późnym wieku, bo niedługo już przed śmiercią, pisane są te „Wspomnienia". Rozpadają się one na dwie nierówne części. I to nierówne nie tylko pod względem zewnętrznym, ale też i wewnętrznym.

Pierwsza część obejmuje lata młodości, a więc pierwsze wrażenia, wychowanie w kraju i zagranicą, gospodarstwo na roli, służbę publiczną, wreszcie udział w wojnie 1831 roku. Choć jednak co do ilości lat epoka ta jest znacznie krótszą od następnej, to przecież czcigodny Autor poświęcił jej znacznie więcej miejsca, bo aż dwie trzecie zawartości „Wspomnień", z lubością odgrzebując w Swej pamięci owe czasy tak pełne nadziei i obfitujące w rozliczne, przeważnie osobistej natury, wypadki.

Część druga „Wspomnień“ to niestety bardzo krótkie tylko streszczenie Jego najpiękniejszej i najowocniejszej przytem pracy obywatelskiej, to drobne jeno wzmianki o działalności Jego jako prezesa Towarzystwa kredytowego ziemskiego i Towarzystwa gospodarskiego, a przytem założyciela szkoły dublańskiej, jako kilkunastoletniego marszałka krajowego, jako głównego inicyatora sieci kolejowej, Kasy oszczędności i szeregu innych instytucyj, oddających dzisiejszemu pokoleniu pierwszorzędne usługi.

Ten charakter „Wspomnień“ tłumaczy się tylko jedną okolicznością. Oto książę Marszałek choć je pisał z przeznaczeniem tylko dla swych wnuków, mimo to nie chciał w wielkiej skromności wysuwać tu wszędzie, jakby to z natury rzeczy należało, na plan pierwszy Swoje osobiste zasługi. Wolał raczej tylko w krótkich słowach zaznaczyć Swój w danych wypadkach udział. Tem tylko da się wytłumaczyć ta nierównomierność w opracowaniu przeżytych wydarzeń.

„Wspomnienia“ są pisane własnoręcznie, a choć już w późnym wieku, to jednak pamięć rzadko kiedy Autora ich zawiodła. Ważniejsze acz nieliczne takie różnice zaznaczone zostały pod tekstem w odsyłaczach. Dla lepszej oryentacyi daty i imiona niektórych osób dodaliśmy w tekscie zaklamrowane.

Na końcu książki mieszczą się wyjątki z niektórych listów. Książę Marszałek pozostawił korespondencyę tak z rodziną jak i z osobami postronnemi wprost olbrzymią, mogącą śmiało wypełnić co najmniej cztery oddzielne tomy. Mieści się też w niej materyał dla historyi, pierwszorzędnej wagi.

Trudność też w jej doborze była bardzo wielka, ponieważ są listy, zwłaszcza z czasów działalności księcia w Galicyi, wymagające osobnych i to znacznych objaśnień. Z konieczności więc, by nie rozszerzać zbytnio całości, trzeba było chwycić się sposobu edytorskiego, wskazanego zresztą samym charakterem „Wspomnień“. Trzeba mianowicie było użyć tej kore-

spondencyi jako tylko ilustracyi „Wspomnień“, więc fakty szerzej w nich opowiedziane obrazować ustępami odnośnej korespondencyi, a ponieważ, tak jak wspomnienia z lat młodości, ogólniejszy charakter mają i listy z tej epoki, natomiast później ich treść się rozbija na cały szereg drobnych choć ważnych szczegółów i wymaga przez to, jak to wyżej zaznaczyliśmy, coraz bardziej skomplikowanych i obszerniejszych objaśnień, przeto ograniczyliśmy się tylko do podania ważniejszych wyjątków odnośnie do epoki tej pierwszej. Całość natomiast Jego żywota z szczególnem uwzględnieniem Jego działalności w Galicyi, a więc wszystkich kwestyi tu tylko powierzchownie poruszonych, jak Jego stosunku do rządu, rozlicznych projektów na polu handlu i przemysłu, sprawy Ofenheima i szeregu innych, znajdzie przy zużytkowaniu wszystkich odnośnych źródeł rękopiśmiennych i korespondencyi odpowiednią wykładnię w osobnej biografii ks. Marszałka, którą oddzielnie przygotowujemy.

Dodać jeszcze należy, że tak oryginał „Wspomnień“ jak i podanej tu korespondencyi znajduje się w archiwum rodzinnem. Wyjątek stanowią listy od 72 do 75, wydobyte z archiwum XX. Czartoryskich w Krakowie i to nr. 72—74 mieszczą się w fascykule 272, a bardzo ciekawe sprawozdanie księcia Leona z działalności Sejmów, oznaczone tu nr. 75, znajduje się w fascykule 5326.

Bronisław Pawłowski.

PRZEDMOWA

Wspomnienia Leona Sapiehy! Jego życie obejmuje trzy czwarte części dziewiętnastego wieku, a łączy się ze wszystkimi historycznymi wypadkami. Ile przejść, ile zmian, a i ile klęsk i zwalisk od napoleońskich wojen aż do roku 1863, i do tego stanu rzeczy, jaki po nim nastał w Królestwie, na Litwie, na Rusi: w Galicyi tylko od roku 1861 zmiana na lepsze. Leon Sapieha widział i przebył te wszystkie zmiany, na ich tle roztacza się pasmo jego życia, a każda odbiła się na jego własnych losach i stosunkach. Przebywał je zaś nie jak świadek naoczny wprawdzie, ale bierny, bezczynny, nie jak świadek obojętny, czujący słabo, a patrzeć i sądzić nie zdolny: ale jak ten, co do wszystkich spraw należy czynnie, co w każdą wkłada swoją myśl, swoją duszę, swoją siłę, swoją osobę, pracę, swoje mienie — wkońcu i swoje życie także — co sercem i głową przerasta zwykłą miarę ludzi, bo czuje głęboko i gorąco, a myśli mądrze: daje początek i trzyma ster wielu spraw największej dla kraju wagi, i tak się między

współczesnymi odznacza, że obejmuje w jednej części Polski pierwsze miejsce jako Marszałek, jako głowa własnego zarządu spraw tego kraju. To co taki człowiek ze wspomnień swego życia zapisał, nie może być obojętnem, musi być ważnem. To nie koleje i losy jednego człowieka, lub domu: to jest historyczny dokument, ważny ze względu na sprawy, o których mówi, ważny ze względu na osobę tego, który mówi. Co on mówi? co on widział? jak on patrzał, rozumiał, sądził? Co i jak działał? Z jakiemi przeszkodami miał do walczenia? jakimi sposobami je zwalczał? Pamiętniki z dawnych czasów są zawsze ciekawe i pożyteczne: nawet te, co na pozór obojętne, mogą zawsze coś zaświadczyć, objaśnić, nauczyć: ale kiedy człowiek znakomity, człowiek należący do historyi swego kraju opowiada swoje wspomnienia, to wtedy za nim staje historya sama, i swoim rylcem zapisuje nie jedno jego słowo. Ci co będą kiedyś badali i spisywali dzieje Polski porozbiorowej, będą musieli znać wspomnienia Leona Sapiehy, z nich się objaśniać, do nich się odwoływać; ci co pisać nie myślą, ale wiedzieć pragną co w Polsce było i jak, żeby poznaniem przeszłości ułatwiać i pogłębiać znajomość teraźniejszości, poznaniem tego co w przeszłości było piękne utwierdzać się i wzmacniać w czci i miłości ojczyzny, poznaniem pomyłek, błędów, win, uczyć się roztropności w postępowaniu, a czystości w zamiarach, ci powinni czytać te Wspomnienia, bo mogą się z nich wiele dowiedzieć, wiele zbu-

dować, jeżeli umieją czytać, rozważać i z doświadczeń przeszłości wyciągać wnioski i przestrogi na przyszłość.

Ze szczerą radością też, z wdzięcznością, usłyszeliśmy wiadomość, że wnukowie księcia Leona Sapiehy chcą wydać jego Wspomnienia. Pisał je w ostatnich już latach swego życia, na prośbę wnuków i dla nich: uważał za rzecz czysto rodzinną, domową, do druku nie przeznaczał. Pisał z pamięci, a w ciągu lat nie jedno, jak sam mówił, mogło z tej pamięci wypaść. Możnaby myśleć, że te dwie okoliczności wpłyną niekorzystnie na wartość pamiętnika. Cóż potomnych i obcych mogą obchodzić jakieś sprawy i stosunki domowe, lub majątkowe? Cóż z tego, że wiele pamiętał, kiedy może wiele przepomniał? Taki sąd byłby błahy i mylny. Sprawy najbardziej prywatne, domowe i majątkowe, objaśniają obyczaj i stan cywilizacyjny pewnego czasu: tem bardziej, jeżeli są w nich szczegóły charakterystyczne i ciekawe. Jeżeli zaś czas zaciera w pamięci nie jedno, to zaciera to tylko co podrzędne i uboczne: główne, istotne rysy zdarzeń czy ludzi, te zatrzeć się nie dają, zostają głęboko wryte w pamięci i w sercu, i odbijają się wyraźnie, silnie w opowiadaniach piszącego. Tak jest ze wspomnieniami księcia Leona.

Urodzony w roku 1803, za czasów napoleońskich był dzieckiem. Rzecz prosta, że jako dziecko nie mógł wiedzieć o sprawach świata, a pamiętać mógł to tylko co widział. Ale te wspomnienia z lat dziecinnych, choć z natury

rzeczy mogłyby być obojętne, są zajmujące. Na przykład, kto znał księcia już starszym, z laską Marszałkowską w ręku, temu nie jest łatwo, ale jest rzewnie, wyobrazić sobie czteroletniego chłopczyka, jak rozpędza się na bilarze i z tego bilaru skacze w ramiona Kościuszki, który go chwyta w powietrzu: ta zabawka, ten po dzisiejszemu sport, powtarza się wiele razy. Kościuszko, kiedy z Fontainebleau przyjeżdżał do Paryża, stawał w mieszkaniu księżnej Aleksandrowej Sapieżyny, i bawił się z jej dziećmi. Ciekawsze, a po raz pierwszy odkryte to, że kanclerzyna Andrzejowa Zamoyska myślała wydać za Kościuszkę swoją córkę Annę (księżnę Sapieżynę), ale Naczelnik wiernie chował pamięć Ludwiki Sosnowskiej (ks. Józefowej Lubomirskiej), i z żadną inną żenić się nie chciał. Albo odwiedziny u babki, księżnej krajczyny (Jabłonowskiej z domu, wojewodzianki Nowogrodzkiej). Ten dwór w Teofilpolu, ten obyczaj nadewszystko, ta stara księżna ubrana prawie po męsku, co za dziwny świat, w naszym wieku trudny do uwierzenia. Na tym dworze jeden rezydent ciekawy, mimowolny przypadkowy świadek śmierci księżniczki Tarakanow. O mało nie był utopiony jak ona, ale darowano mu życie pod warunkiem, że przysięgnie nikomu nie powiedzieć, co widział. Przysiągł i dotrzymał. Jednej tylko księżnie krajczynie zwierzył swoją tajemnicę: przez nią dostała się do synowej i do wnuka.

Ojca stracił książę w dziesiątym roku życia. Jego wychowanie, przyszłość, majątek, zo-

stały wyłącznie na głowie matki. Księżna Aleksandrowa miała u współczesnych sławę wielkiego rozumu i dzielnego charakteru: „to ministeryalna głowa“, mówili o niej członkowie rządu i senatorowie Królestwa kongresowego. Umiała sobie dać radę we wszystkiem: i umiała syna wychować na człowieka. Oddała go na nauki do Liceum warszawskiego. W tej samej klasie był Aleksander Wielopolski iMaurycy Mochnacki. Dziwne zbliżenie. Ci trzej studenci reprezentują trzy różne kierunki opinii i polityki polskiej, i wszyscy mieli w niej odegrać role ważne.

Młody Sapieha był drugim w swojej klasie; kiedy skończył szkołę, matka wysłała go do Paryża. Zaczęły się bowiem usiłowania tajnych związków między młodzieżą: matka obawiała się ich dla syna. W Paryżu kazała mu zapisać się do szkoły prawa. Chodził, uczył się, zdawał egzamina, ale dlatego, że matka tak chciała, bez zapału. Nauki prawne, a raczej suchy formułkowy sposób uczenia z drukowanych książek nie pociągały go, ale raziły: za to z zapałem słuchał wykładów Say'a o Ekonomii politycznej, i Guizota o konstytucyi angielskiej. W tem upodobaniu objawia się jego przyszłe powołanie. Polityk, znawca głęboki natury społeczeństw i warunków wolności, uczy się na lekcyach Guizota, na angielskich przykładach i doświadczeniach. W młodości już dzielny pracownik, w dojrzałym wieku sprawca i opiekun główny ekonomicznego rozwoju polskich krajów, uczy się od Saya co to jest narodowe bogactwo, i jak się ono pomnaża.

Z Paryża do Edynburga: z pięknym i mądrym planem. Zostać w Anglii lat co najmniej parę, poznawać instytucye gminne, fabryki, gospodarstwo rolne, kopalnie; z tą nabytą znajomością wrócić do kraju i wziąć się do roboty, stosować ile się da nabytą naukę.

Plan się nie udał. Matka wezwała syna do powrotu; potrzebowała jego pomocy, sama nie mogła nastarczyć ciężkiej pracy. Majątek był bardzo wielki, ale zarząd oryginalnej księżnej krajczyny musiał być bardzo nieszczególny, bo po jej śmierci pokazało się mnóstwo długów, ciężarów, procesów, żądań wypłaty. Dwudziestoletni chłopiec miał się tem zająć i robić porządek: pod kierunkiem matki, z jej zgodą, ale układać, urządzać, zmieniać administracyę, ulepszać gospodarstwo, spłacać długi, zaciągać pożyczki na niższe procenta. Zaprzągł się do roboty; myślał, że musi się wyrzec swoich nadziei służby publicznej i własnym sprawom oddać się na długie lata wyłącznie, bez pewności czy potrafi dać im radę. Dał radę; po roku, po dwóch latach, to co najtrudniejsze i najpilniejsze było szczęśliwie usunięte: młody człowiek mógł spełnić to, o czem myślał całe życie, wstąpić do służby na to, żeby podnosić, dźwigać, rozwijać, wszystko co się ma sił i zdolności włożyć w tę służbę. Ta wola, ten duch publiczny, był, jak on mówi, wspólny całemu jego pokoleniu, przynajmniej wszystkim tym, których on znał, z którymi miał stosunki.

Z tych długich pobytów na Wołyniu dużo spostrzeżeń i szczegółów zajmujących. Na przy-

kład początki spisku Dekabrystów w Kijowie, na które młody Sapieha patrzy, ale się trzyma zdaleka; jak jenerał Witt, syn Greczynki Szczęsnowej Potockiej, który się chce wkraść w jego zaufanie, żeby go wybadać; jak różne przekupstwa, nadużycia, urzędników i wojskowych, jedne śmieszne, drugie okrutne, a wszystkie oburzające; albo usposobienie ruskiego ludu bystro dostrzeżone, od dzisiejszego bardzo różne, i lepsze.

W Warszawie służba w komisyi skarbu, pod Lubeckim. Minister musiał widzieć niezwykłe zalety w młodym podwładnym, kiedy go przeznaczył do tego, w czem oba widzieli dźwignię krajowego przemysłu, do górnictwa, a w niem do oddziału hutniczego.

„Trafny, cichy, uprzejmy, w pracy niepożyty, dziwił obojętnością na poklask i karyerę, bo nieznano jeszcze wtedy pobudek moralnych, które nim władały“ — pisze Paweł Popiel w pośmiertnem wspomnieniu o księciu Marszałku, i dodaje, że „powstały jak na rozkaz owe wielkie górnicze zakłady, a wspólna dwóch przyjaciół (Sapiehy i Piotra Michałowskiego) miłość publicznego dobra w wiecznej zostawiła nie pamięci, którego była większa zasługa“. Luzowali się w robocie; kiedy jeden był przy zakładach, drugi zostawał przy Lubeckim w Warszawie. Wśród tych zajęć ożenienie w dwudziestu dwóch latach: z nieświadomego od dzieciństwa pociągu rozkwitła w młodzieńcu miłość do ciotecznej siostry, Jadwigi Zamoyskiej. Młoda księżna przesiaduje

z mężem w Kielcach, w Białogonie: a tymczasem w Petersburgu spisek Dekabrystów, w Warszawie nakazane śledztwo, i Sąd sejmowy. We wspomnieniach — to wszystko dotknięte pobieżnie, ogólnie: a jednak jasno i wyraźnie rysują się postacie ludzi (Lubecki, wielki książę, cesarz Mikołaj, Nowosilcow) i stosunki między ludźmi, między opiniami w Polsce.

Dwukrotna podróż do Petersburga, z Lubeckim, w sprawach skarbowych Królestwa. Pierwsza w roku 1827, druga w jesieni roku 1829, do wiosny 1830. Wśród dworskich i towarzyskich parad i zabaw przesuwają się historyczne figury, cesarz, Nesselrode, Benckendorff: a formują się wrażenia i zdania młodego Polaka o różnych usposobieniach i uczuciach rosyjskiego świata względem Polaków i Polski. Anegdotyczne szczegóły zabawne, a czasem bardzo objaśniające. Za drugiego pobytu, już po koronacyi Mikołaja w Warszawie, znajomość z Mickiewiczem, jego improwizacye; tego tylko brak, co się czyta w ówczesnych listach i późniejszych książkach, jakoby Sapieha miał był zemdleć ze wzruszenia podczas jednej z tych improwizacyi. Lubecki ma z Petersburga jechać do Paryża, ściągać od rządu francuskiego należytości Księstwa Warszawskiego, przypadające teraz skarbowi Królestwa. Sapieha ma mu towarzyszyć. W tej myśli wyprawia do Paryża żonę, potrzebującą porady lekarskiej i kuracyi, z dwojgiem małych dzieci: sam złączy się z niemi później. Pojechał isto-

tnie, był w Paryżu podczas rewolucyi lipcowej, ale Lubeckiego się nie doczekał. Przyszedł 29. listopada: upadł ten projekt, i upadło wiele więcej. Sapieha był w Londynie, kiedy się dowiedział o powstaniu. Doczekał się Wielopolskiego, wysłanego przez Rząd narodowy, ułatwił mu znajomości, wrócił do Paryża. Nie przewidywał dobrego końca wojny. Myślał, że gdybyśmy nawet znieśli jedną armię, to Rosya postawi drugą i trzecią, i ostatecznie przemoże słabszego; ale kiedy wszyscy giną, to trzeba ginąć z nimi, i wybierał się do wyjazdu. Wtedy odebrał wezwanie, żeby się udał do poselstwa rosyjskiego, a tam z rąk ambasadora hr. Pozzo di Borgo odebrał własnoręczny list cesarza Mikołaja. Odwoływał się w nim cesarz do znajomości, oświadczał z przyjaznemi uczuciami, ale w zakończeniu zapowiadał, że jeżeli książę nie wróci do Petersburga, będzie uważany za zdrajcę i traktowany jako taki.

Wziął paszport urzędowy do Petersburga: za fałszywym pod przybranem nazwiskiem pojechał do Warszawy. Zaciągnął się do drugiego pułku ułanów, ale stamtąd niebawem, a z żalem był wzięty na adjutanta Skrzyneckiego. Potem przydzielony do Chrzanowskiego, kiedy ten miał iść na Wołyń wspierać Dwernickiego; a że Dwernicki tymczasem przeszedł granicę galicyjską, wyprawa Chrzanowskiego zatrzymała się w Zamościu. Kilkakrotne bitwy z nadciągającym korpusem Kreutza, dzielne zawsze, szczęśliwe czasem, dobre sposobności stracone skutkiem zazdrości jenerała Skarzyńskiego do

Chrzanowskiego, krzyż Virtuti Militari: po Ostrołęce rozkaz powrotu do Warszawy.

W Warszawie coraz gwałtowniejsze oskarżenia Skrzyneckiego i Rządu. Sapieha radzi księciu Adamowi Czartoryskiemu, żeby Sejmowi podał dymisyę. Jeżeli będzie przyjęta, książę uniknie dalszej odpowiedzialności; jeżeli Sejm dymisyi nie przyjmie, książę będzie mógł postawić warunki, złożyć Rząd z ludzi jednego sposobu myślenia, i ująć rządy naprawdę. Skrzyneckiemu radzi, żeby sam poprowadził zamierzoną wyprawę na Rüdigera: szczęśliwa bitwa będzie najlepszą odpowiedzią na oskarżenia. Ale tymczasem jenerał Prądzyński podał do Sejmu przez jednego z posłów memoryał z oskarżeniem Skrzyneckiego: ten osądził, że musi na ten memoryał odpowiedzieć, i został. Czy Sapieha nie radził mądrze obudwom?

Przeciw Rüdigerowi wysłany Jankowski, w rozpaczy, bo czujący, że zadaniu nie podoła; Sapieha jest w tej wyprawie. Wyprawa odwołana, bo Dybicz się zbliża. Warszawa zagrożona, trzeba jej bronić. On sądzi, że obronioną być mogła; a tych co sprowadzili rozprzężenie wojska i warszawskie rozruchy sądzi — jak zasługują — surowo. W Bolimowie był; w Warszawie 15-go sierpnia nie, bo był w obozie, wtedy jako adjutant Bema, który chciał go mieć przy sobie w artyleryi, i powierzał mu ważne zadania: znak, że widział w nim prawdziwe zdolności do tej służby. Przy szturmie Warszawy był, bił się: po kapitulacyi wymarsz

z wojskiem do Modlina, do Płocka, przez pruską granicę — i koniec.

Koniec wojny, koniec Królestwa; nie koniec życia, tylko początek nowych prac i zasług.

W Wrocławiu spotkał się z żoną, która bez grosza, za pożyczone pieniądze przyjechała z dziećmi z Paryża.

Co dalej? Co począć? Gdzie się podzieć? Iść na emigracyę nie chciał. Dostał pozwolenie tymczasowego pobytu w Galicyi.

Co robić? z czego żyć? Jego majątek skonfiskowany. Czytelnik nie potrzebuje, iżby mu na to zwracać uwagę, ale jakże przemilczeć sposób, w jaki on przyjął tę stratę ogromnego majątku. Wspomina o niej: ale bez jednego słowa skargi, żalu. Milczenie wymowne; moc duszy i godność w nieszczęściu wspaniała. W listach do matki pisze po tej konfiskacie, że nie żałuje, że zrobił co był powinien, że wstydziłaby się matka za niego, gdybył nie był ważył wszystkiego co miał, życia i mienia, kiedy chodziło o sprawę ojczyzny. Ale w tych wspomnieniach niema takiego zwierzenia: gdyby był zgubił kilka złotych, nie byłby o tem milczał obojętniej.

Ale co dalej? Teść wypuszcza mu w dzierżawę Piskorowice, majątek, należący do ordynacyi Zamoyskich, ale położony w Galicyi. Zamiast procentu od posagu, jaki dotąd płacił córce, zostawi jej czynsz z tej dzierżawy. „Nie będzie to wiele — pisze znowu książę Leon do matki — bo majątek zaniedbany i z do-

chodów trzeba w niego wiele wkładać, żeby zaprowadzić jakie takie gospodarstwo: ale na życie nam wystarczy".

Tak się zaczęła druga, dłuższa połowa jego życia, ta, na którą patrzała, której skutki widzi i długo widzieć będzie Galicya.

Prawo obywatelstwa dostał książę przez arcyksięcia Ferdynanda (d'Este), ówczesnego gubernatora. Majątki pod rządem rosyjskim były zabrane: ale dożywocie matki, i sumy przez nią na te majątki pożyczone, nie uległy konfiskacie, ona skompromitowaną nie była. Z tych swoich dochodów księżna Aleksandrowa tak umiała korzystać, składać, oszczędzać, że po kilku latach mogła synowi dać fundusz na kupno majątku w Galicyi: a prócz tego zaopatrywać potrzeby córki i zięcia, księstwa Czartoryskich.

Galicya była od pierwszego rozbioru bierna, bezczynna. W niektórych chwilach, za Kościuszki, za Napoleona, wreszcie w roku 1831, budziła się i szła się bić: ale w spokojnych czasach zasypiała we względnie dobrym bycie, i w istotnej niemożności działania pod żelazną ręką wszechmocnej, a nienawidzącej biurokracyi. Wyjątki usiłowały, próbowały, czasem zdołały coś zrobić: Ossoliński stworzył swój zakład, ale kraj jako taki nie myślał o sobie, a nawet, kiedy pomyślał, to myśleć przestawał, zniechęcony niemożnością wykonania i niechęcią rządu. Na przykład Sejm Stanowy prosił dawno o pozwolenie założenia Towarzystwa kredytowego: nie dostawszy go, nie

powracał do tej sprawy przez lat kilkanaście. Ale nigdy nie jest tak źle, żeby nic zgoła robić się nie dało, a w Galicyi było wiele potrzeb, wiele do zrobienia i do skorzystania, jeżeli się rozpocznie.

Bez przesady można powiedzieć, że przybycie Leona Sapiehy wywołało zmianę w stanie Galicyi, rozpoczęło nowy okres w jej życiu. Rozumnych, zdolnych ludzi i dobrych obywateli nie brakło; ale Sapieha miał więcej od innych inicyatywy, miał praktyczną znajomość spraw, i doświadczenie wyniesione ze służby w Królestwie, i miał dar łączenia ludzi, skupiania ich, wprzęgania do wspólnej roboty. Kazimierz Krasicki, Maurycy Kraiński, Aleksander Fredro, Wacław Zaleski, Kazimierz Stadnicki, to byli ludzie tych samych co Leon Sapieha przekonań, rozumienia potrzeb krajowych, jego polityczni i osobiści przyjaciele. Do czego naprzód połączyli swoje starania? Pierwszem staraniem i pierwszem dziełem było założenie Towarzystwa kredytowego. Tu Sapiehy doświadczenie, w Królestwie nabyte, było oczywiście nieocenioną pomocą przy organizacyi, przy ustaleniu zasad i praktycznych reguł instytucyi; rzecz prosta, że jemu powierzono jej kierunek. Znajomość rzeczy, ekonomiczne wykształcenie, zmysł i dar organizacyjny, wskazywały go koniecznie na prezesa. W ślad za Towarzystwem kredytowem poszło Towarzystwo gospodarcze: drugi dział czy druga forma tej samej sprawy, drugi środek ekonomicznego dźwigania kraju.

Trzecim była kolej żelazna. W całej Europie zaledwo się drogi żelazne poczynały, kiedy Leon Sapieha zaczął o nich marzyć dla swego kraju. Od roku 1840 ciągną się jego usiłowania w tej sprawie. Rozpoznać, czy się to da zrobić, i jak przekonać i skłonić rząd, żeby się nie sprzeciwiał, żeby zezwolił; zbadać na miejscu, w krajach, gdzie koleje już były, w Niemczech, w Belgii, we Francyi, w Anglii, jak się one zakładają, i jakiemi potrzebnemi sumami: miarkować czy i jakie domy bankowe mogłyby przyjść w pomoc zamierzonemu dziełu: oto co obok miejscowych prac w Towarzystwie kredytowem i gospodarczem zajmuje Leona Sapiehę przez parę lat. A organ, przez który te potrzebne zmiany i naprawy mogłyby dojść do jakiegoś wyrazu, stan kraju i jego żądania przedstawiać rządowi urzędownie, a stale, systematycznie? Taki organ był tylko jeden, Sejm Stanowy, mało czynny, zwoływany na krótko, umyślnie lekko uważany w Wiedniu; Sejm od parady, dla formy, dla pozoru. Miewał on dobre myśli, chciał czasem i próbował coś zrobić: starał się dawno, przed rokiem 1830 jeszcze o Towarzystwo kredytowe, prosił o pozwolenie zniesienia pańszczyzny, ale nie odbierając odpowiedzi na te żądania, zniechęcał się, nie wierzył w skutek, i żądań nie powtarzał.

Teraz Sejm Stanowy zaczął się ożywiać. W roku 1844 ponowił swoje uwagi i prośby co do potrzeby reformy w stosunkach społecznych. W roku 1845 zasiadał (rzecz niewi-

dziana!) przez dwa tygodnie, i dostał pozwolenie na wybór komisyi, któraby program tych zmian wygotowała. Śladem i skutkiem prac tej komisyi był memoryał Leona Sapiehy, a w nim te główne żądania:

1. Zniesienie pańszczyzny (czy przez wykup, czy przez wieczyste czynsze, to postawione jako alternatywa, bo komisya sama do stanowczej konkluzyi w tej mierze nie doszła).
2. Zniesienie mandataryatów.
3. Budowa dróg (lepsze komunikacye).
4. Język polski w sądach.

To, obok ekonomicznej, druga społeczna i polityczna strona ówczesnych zabiegów i prób. Na tak rozpoczęte padł rok 1846, rychło po nim 1848, a po tym znowu dawny system rządzenia przez policyę i biurokracyę. Szereg nieszczęść domowych ciągnący się przez lata: kilkoro dzieci traconych po kolei, jedne małe, drugie już raczej dorastające; zostało tylko dwoje, a i z tych ostatnia córka, księżniczka Teresa, poszła później za rodzeństwem.

Ale pomimo tych nieszczęść, pomimo okoliczności i ludzi najprzeciwniejszych potrzebom i pożytkom kraju polskiego, czynność Leona Sapiehy nie ustaje, owszem rozwija się z wielką energią, obejmuje zakres szeroki. Na miejscu, w kraju zawsze Towarzystwo kredytowe i gospodarcze, założenie szkoły dublańskiej, we Lwowie zakłady miłosierne przez księżnę urządzone, ale przez księcia zaopatrzone; a w Wiedniu starania o kolej. Dawno umiłowana myśl zaczyna przybierać kształt realny, posuwa się,

dojrzewa: książę Leon przesiaduje w Wiedniu niemal więcej niż we Lwowie, wśród trudności i przeszkód, których domyślać się można, choć on ich nie opowiada. Ale doprowadza dzieło do szczęśliwego końca: w roku 1856 idzie już kolej z Krakowa do Dębicy, w 1859 do Rzeszowa: potem Przemyśl, wreszcie Lwów, a dalej rozgałęzienie kolei do Czerniowiec i do Brodów.

Po wojnie włoskiej zmiana w Austryi: System parlamentarny, Rada Państwa, Sejmy krajowe. Leon Sapieha mianowany Marszałkiem. Wskazywały, powoływały go na to miejsce zalety, jakich w podobnem połączeniu nie miał nikt drugi w kraju: roztropność, spokój, miara, doświadczenie, znajomość kraju i ludzi, zdolność pracy, ścisłość, zmysł polityczny, powaga i godność względem władz i względem swoich. I teraz począł się nowy zakres działania, rozległy bardzo, a bardzo trudny. Trzeba było stworzyć z niczego cały autonomiczny zarząd kraju, zorganizować Wydział krajowy i urządzić w nim rozdział prac: stworzyć stosunek do Rad powiatowych i gminnych: przygotować dla Sejmu wnioski do ustaw: kierować uchwałami Wydziału krajowego i obradami Sejmu, a ciągle mieć baczne oko zwrócone na wszystko, na wszystkie potrzeby i sprawy, na wszystkie w kraju czy w Sejmie różnice zdań, opinii, stronnictw, na Rusinów, na Wiedeń. Marszałek miał w Wydziale pomocników dzielnych, w pierwszym rzędzie Maurycego Kraińskiego, ale sam był zawsze głową

i ręką kierującą: a kto miał sposobność widzieć go i pamięta, czy z laską w ręku na posiedzeniach sejmowych, czy w codziennych sprawach Wydziału, ten jak wtedy podziwiał, tak do śmierci podziwiać i wspominać musi jego rozum, takt, gorliwość, duch publiczny. Tak: był w nim duch wielki i był patryotyzm godny służyć na wzór.

Przyszedł rok 1863. Sejm, zwołany, był niebawem odroczony z powodu wypadków w Królestwie. Książę Sapieha przebywał wiele w Wiedniu, dla spraw sejmowych i kolejowych, ale także dlatego, żeby wiedzieć, co się dzieje, patrzeć, miarkować. Sfery rządowe zapewne ostrożnie wystrzegały się Polaka, ale jednak nie mogły zamykać się przed nim zupełnie. Dobrego końca nie przewidywał; wybuch powstania uważał za straszny błąd. Jednak kiedy się zaniosło na interwencyę trzech mocarstw, kiedy książę Metternich przyjeżdżał z Paryża do Wiednia, przypuszczał, że jakieś wyjście lepsze otworzyć się może. Jego ówczesne zapatrywanie na politykę austryacką — zapisujemy to z pamięci, ale wiernie — schodzi się co do słowa prawie z tem, co w trzy lata później napisał Klaczko w Studyach dyplomatycznych: Austrya nie byłaby może zupełnie niechętną, ale się lęka, a wpływy angielskie pracują z całej siły nad tem, żeby ją od porozumienia z Francyą odciągnąć.

Wspomnienia urywają się w roku 1863, na uwięzieniu syna, księcia Adama. Zapewne wiek i choroba nie pozwoliły ciągnąć ich dalej.

Jest tylko mały dodatek, ze szczegółami z roku 1831. Jeżeli czego słusznie można żałować, to że książę Sapieha pisał w ostatnich latach życia, i że nie więcej rozwodził się nad sprawami, o których pisał. I przebieg tych spraw, i jego osobistość, jego własne przejścia, prace, uczucia, zyskałyby na opowiadaniu szerszem, bardziej szczegółowem. Na tę szkodę mogłoby zaradzić, powetować ją, a nam pożytek przynieść, wydanie choć częściowe listów, w których Leon Sapieha otwarcie i obszernie opowiada o swoich czynnościach matce, żonie, synowi, o sprawach krajowych Maurycemu Kraińskiemu.

Oto w krótkich słowach przebieg życia: taka treść Wspomnień. Ich wartość? To naprzód wielka liczba szczegółów ciekawych, charakterystycznych, często historycznie ważnych; to zdania i sądy mądre o ludziach, o wypadkach, o sprawie polskiej od roku 1830 do 1863; to polityczny rozum, i uczucie polskie, bijące z każdego słowa a przemawiające do każdego rozumu zdolnego myśleć, do każdego serca zdolnego czuć. To wszystko uderza na pierwszy rzut oka, narzuca się czytelnikowi samo, odrazu. Ale im więcej on zastanawia się nad tem, co czyta, tem więcej odkrywa we Wspomnieniach stron godnych uwagi, nauczających, pociągających: pod opowiadaną rzeczą zaczyna widzieć coraz wyraźniej osobę opowiadającego. Jaki on był? Był znakomity człowiek, to wiadome: ale w tej jego znakomitości są różne rysy i cechy charakteru, któ-

rych się z jego urzędowego zawodu nie zna, a z tych Wspomnień poznaje. Nawet kto księcia znał i te strony jego usposobienia widział, ten odbiera ich nowe i silne wrażenie z czytania.

Pierwsze, to wrażenie dziwnej prostoty, czy wrodzonej jakiejś skromności czy chrześcijańskiej pokory, czy szlachetnej wstydliwości duszy i godności. On pisze swój pamiętnik, więc pisze o sobie, sam jest osią swoich opowiadań: ale nie podobna, mówiąc o sobie, mówić o sobie mniej jak on. On zapisuje co robił, albo co chciał: ale nie rozwodzi się nad swojemi uczuciami czy zamiarami, nad swojemi pracami, zasługami, czy zawodami i goryczami. Nie zwraca uwagi swoich czytelników na to, że w tym lub owym razie on miał rację, że szkoda, iż go nie słuchano. Ten wniosek niech sobie czytelnik robi sam: on go nie naprowadza. Tej racyi zaś, tej słuszności, tej szkody z nieposłuchania jego rady, zatem sposobności do chluby własnej, do skargi na drugich, było w jego życiu wiele. On sądzi surowo złą, szkodliwą politykę; ale o ludziach mówi jak bezstronny sprawozdawca, kreśli wizerunek lub wydaje sąd, na rzeczywistości oparty, ale bez namiętności, bez oburzeń; co najwyżej czasem z ironią więcej dowcipną, niż złośliwą.

Idąc za tym rysem prostoty, dochodzi się do wniosku, że on musiał chyba jak mało kto być wolnym od miłości własnej. O swoich pracach i czynach mówi tak, jakżeby się nie domyślał, że w nich była zasługa, jakżeby o tej

zasłudze i o swojej wartości nie wiedział. Miło mu zapisać, że dostał Virtuti Militari: ale co robił w ogniu, w jakiem był niebezpieczeństwie — czem się odznaczał, tego nie opowiada. W obojętności zaś, z jaką wspomina o konfiskacie swego ogromnego majątku, jest już nie prostota tylko, nie sama wrodzona godność co nie lubi się skarżyć, ale jest obok świadomości poświęcenia szlachetnego dla dobrej sprawy, jakaś dumna, wspaniała pogarda dóbr materyalnych, potrzebnych, cennych, ale małych w porównaniu z moralnem dobrem honoru i spełnionego obowiązku.

Z pewnością nie brak w jego naturze pierwiastków i popędów heroicznych: odwaga w boju, ta obojętność na własne straty i klęski, należą do takich. Ale są różne gatunki i kształty bohaterstwa; Leona Sapiehy bohaterstwo właściwe, to odwaga i wytrwałość w działaniu, przedsiębranie i wykonanie zadań mnogich, ważnych, w okolicznościach przeciwnych i zawsze trudnych. On o tych sprawach, i o swoich trudnościach mówi, ale znowu tak, jak żeby wytrwałość w zabiegach i walkach była rzeczą najprostszą, łatwą. Czytelnik musi sam, własnem zastanowieniem, dochodzić do podziwiania w nim tej cnoty, a dalej do wniosku, że w nim łączyła się dziwnie i rzadko śmiałość przedsięwzięcia z rozwagą i ostrożnością w wykonaniu.

Odnosi się jeszcze z tego czytania wrażenie, że on był bardzo dobry, łagodny, wyrozumiały, a pod tymi przymiotami dostrzega się

ich najgłębszą przyczynę, pobożność i wiarę. On o nich nie mówi, kazań nie prawi, ale ze wszystkiego, co mówi i robi, widać jak on czuje się sługą bożym, jak tę służbę przyjmuje jako pierwsze przykazanie swego życia, jak w niej chce żyć i umierać. Jako przykład przytaczamy sposób, w jaki mówi o śmierci swoich dzieci. Przy tych — przy nich jednych popobno — odzywa się w jego słowach głęboki ból, ale poddanie się woli bożej, uległość tej woli, cnota pokory i spokoju w nieszczęściu, nie mniejsza od boleści, owszem większa, panuje nad boleścią i pomaga ją znosić.

Kto czyta uważnie i zechce, ten znajdzie w tych Wspomnieniach wiele dobrych, budujących nauk moralnych, dobrych dla człowieka i dla Polaka. Ale prócz tych znajdzie także mądre, doskonałe nauki polityczne. W szlachetnem pojęciu służby i patryotycznego obowiązku naprzód, ale nie mniej w znajomości i w przedstawieniu spraw polskich. Była w nim, a odbija się w jego Wspomnieniach głęboka, bystra znajomość natury polskiej z jej różnemi skłonnościami, znajomość różnych naszych stronnictw i ich polityki, i znajomość tych państw i rządów, od których zależymy. On mówi o rzeczach dawno przeszłych, o Rosyi Mikołaja pierwszego, o Austryi Metternicha, Bacha, i w początkach konstytucyjnego systemu. Ale usposobienia narodów i rządów zostają przez wieki takie same w gruncie, choć się zmieniają w pozorach i formach. To co Leon Sapieha mówi o stosunku austryackich

rządów, sfer dworskich lub wojskowych, stronnictw mniej lub więcej liberalnych czy konserwatywnych, do Galicyi czy do Polaków i sprawy polskiej w ogólności, to tak przypada do spraw i ludzi dzisiejszych, jakżeby o nich było pisane. Ludzie się zmieniają, zmieniają się hasła i formy, grunt uczuć zostaje ten sam. I z tego powodu dla polityki polskiej w ogólności, na teraz czy na odległą przyszłość, te Wspomnienia są zbiorem doświadczeń, wskazówek, uwag o nas Polakach i o państwach rozbiorowych, zawsze dobrych do rozważania i zapamiętania, są mądrą lekcyą polityczną. Takim wydaje nam się książę Leon Sapieha w tych swoich Wspomnieniach, takim znaliśmy go za jego życia, takim został w naszej pamięci i w naszem szczerem, głębokiem uszanowaniu. Na uzupełnienie zaś tej pobieżnej charakterystyki, pozwalamy sobie powtórzyć tu słowa pisane przed laty pod świeżem wrażeniem jego śmierci.

„Należał on do tej generacyi „ludźmi błyszczącej", która już „urodzona w niewoli, okuta w powiciu", wyciągała „niemowlęce dłonie" do „jasnych kit i chorągiewek" armii napoleońskiej, później ręce te wyrabiała do siły w dobrej szkole Królestwa Kongresowego, później jeszcze chwyciła niemi za broń, a gdy tę wytrącono, częścią ręce te opuściła w rozpaczy, częścią pokutniczo biła się w piersi, częścią rozsuwała niemi zasłony przyszłości, częścią machała niemi w powietrzu, myśląc, że przyszłość tę ściąga z nieba na ziemię. Książę

Leon Sapieha wzrosły pod tymi samymi historycznymi wpływami, oddychający temi co oni wszyscy uczuciami, połączony z nimi wspólnością dążeń i losów, jak oni wszyscy żołnierz i wygnaniec, podobny był do nich znakomitością swoich zdolności, ale rodzajem ich i charakterem był od wszystkich znaczących ludzi współczesnych, czy dawniejszych, tak różny, że go prawie za wyjątek w naturze polskiej uważać można.

Natur tak zdrowych, umysłów tak jasnych i trzeźwych, charakterów wynikłych z tak doskonałej równowagi uczucia i rozumu, jak był książę Leon Sapieha, mało się znajdzie między jego pokoleniem, mało między Polakami w ogólności. Miał on cały patryotyzm gorący roku 1830 i przechował go do śmierci w tej samej sile, w tym samym stopniu zapału, jakim tchnie porewolucyjna poezya, albo emigracyjne prace Zamoyskiego, albo kazania Kajsiewicza; tylko w tej duszy rozważnej i beznamiętnej zapał przybrał inny kształt, objawiał, wyrażał się inaczej. Zmysłem rzeczywistości opatrzony lepiej niż którykolwiek z współczesnych, wiedział, że jak człowiek nie jest duchem tylko ale ciałem, tak ojczyzna nie jest ideą samą, abstrakcyą, uczuciem, miłością, ale musi mieć i swoją część materyalną i materyalne życie, i życia tego warunki. Stąd poszło, że nie spuszczając nigdy z oka i z myśli tego co być ma, przedewszystkiem miał na oku i myśli to, co jest. Coby powiedziano o wojskowym, który za punkt wyjścia, za podstawę operacyi brałby

tę stolicę nieprzyjacielską, która jest ostatecznym celem jego wyprawy? My wszyscy z nader małymi wyjątkami błądziliśmy tem, że cel wyprawy braliśmy za jedno z jej punktem wyjścia, i stąd poszło, że nie liczyliśmy odległości, która od tego celu dzieliła, że szukaliśmy i żądali ideału od biegu wypadków i od ludzi, a gdy tego nie było, niecierpliwiliśmy się na wypadki, a ludzi ogłaszali za głupich lub złych, dlatego, że doskonałymi nie byli: ledwo się zawiązek na kwiat i owoc pokazał na naszem drzewie, chcieliśmy sztucznie zmusić go do rozkwitu i dojrzałości, na to nie patrząc, czy korzeń głęboko i szeroko rozrośnięty, dość mu soków żywotnych dostarczy; na tem się też zawsze kończyło, że owoc spalony sztucznem gorącem a niedojrzały, zielony jeszcze i twardy a już zeschły i zwarzony, oderwał się z gałęzi i spadał na pożytek i uciechę os i szerszeni.

Leon Sapieha wiedział, że ojczyzna musi koniecznie być materyalną także i że chcąc dojść do tego co być powinno, trzeba wyjść z tego co jest: oto w dwóch słowach tajemnica jego polityki. A jej środki, to praca nieustająca około korzeni drzewa: ruszać ziemię, dodawać żywiołu, czyścić z niepotrzebnych odrośli. Kwiat i owoc da Bóg w swoim czasie, jeżeli człowiek zrobi, co powinien.

Nieznacznie i cicho, bez żadnej w ręku władzy i żadnego urzędowego stanowiska, między swoimi nigdy nie wysuwający się naprzód, wobec rządu przestrzegający równie

ściśle jego praw, jak swojej godności, zajęty zawsze najbliższym obowiązkiem dnia dzisiejszego, a przygotowujący na jutro szerszy zakres prac i obowiązków, wyciągający z rzeczywistości zgrzebne nici na to, żeby je dobrze w pasmo powiązać, zanim się jedwabiami i złotem haftować zacznie, robiący co mógł, żeby kraj ten podnieść materyalnie, a przechowujący w czystości, krzepiący i podnoszący jego ducha, książę Leon Sapieha przez wiele lat „stwarzał świat nasz z niczego powoli“ w tej części Polski, gdzie go szczęśliwe zrządzenie i wolny a pełen zasługi wybór postawiły, i gdzie istotnie z niczego prawie tworzyć było trzeba, a można było tworzyć tylko bardzo powoli.

Jako przewodniczący obradom Izby miał tę jedyną wadę, że był do zbytku może dobry i względny. Pobłażał wiele, i mowca musiał bardzo już rażąco przekroczyć regulamin lub od materyi odstąpić, żeby go stuknięcie laską naprowadziło na tor, z którego był zboczył. Ale ta jedna wada nagradzała się wieloma zaletami tak jej blizkiemi, że bez niej może nie byłyby zdobiły Marszałka i człowieka. Sprawiedliwość i bezstronność księcia dochodziła do najsubtelniejszej delikatności: uwaga jego ustawicznie wytężona, nigdy na chwilę nie odstępowała obrad; organizm fizyczny musiał być tak samo normalny i zdrowy, jak organizm moralny, bo nigdy nie widać było ani śladu najmniejszego nerwowego poruszenia, nigdy zniecierpliwienia, nigdy rozdrażnienia.

Kiedy się zdarzyło (a zdarzało się często podówczas, czy to w dyskusyi z partyą śto-jurską, czy między polską większością w sprawach takich, jak na przykład rezolucyjna w roku 1868), że Izba była wzburzona i rozgrzana do namiętności, książę zawsze spokojny i pan siebie samego, był panem Izby, i swoim spokojem górował nad nią i trzymał ją w ręku. Cierpliwość miał prawdziwie anielską, a wyrozumiałość mędrca; tego nie zaprzeczy nikt, kto go widział jak wytrzymywał niedorzeczne nieraz rozprawy ludzi ciemnych, lub przewrotne naciągania zawistnych. Ze zdaniem zawsze w każdej kwestyi wyrobionem do niewzruszoności, i zawsze w głębi serca zwycięstwa jednej strony pragnący, nigdy jako prezydent nie był stronnikom swoim życzliwszy niż przeciwnikom, nigdy tego zdania i pragnienia nie dał poznać: a kiedy uległo większości to co miał za dobre, żałował w głębi serca, ale żalu do nikogo ani chował, ani pokazywał. To wszystko sprawiało, że choć mówiono często: „książę Marszałek nie dość krótko Izbę trzyma“, miał on u niej taką powagę, a ona dla niego taką powolność, że najbardziej wzburzona uspokajała się na każde jego słowo, w poufnych zebraniach i naradach wskazówki jego przyjmowała chętnie i sama ich szukała, dawała zawsze troskliwą baczność na to, żeby mu zadania nie utrudniać; słowem żaden Marszałek wybrany nie mógłby poszczycić się większą u posłów powagą, ufnością i wpływem, jak ten mianowany; a długoletni, nigdy

na chwilę nie zamącony stosunek wzajemny Marszałka i Izby we wszystkich jej stronnictwach i odcieniach, był wzorowo-budujący, piękny i miły, w najwyższym stopniu dla obu stron chlubny.

A jak wyglądał! Może to rzecz błaha o tem mówić, ale jakże się wstrzymać od wspomnienia, że kto z jakiem takiem uczuciem patrzeć na niego umiał, jak siedział na swojem krześle, ten widział i najpiękniejszy obraz głowy starca poważnej siwizną, szlachetnej rysami, pociągającej wyrazem dobroci, imponującej wyrazem rozumu, doświadczenia, głębokiej myśli, ciężkiej pracy ducha, a czasem ciężkiego smutku, a prócz tego widział taką prawdziwą, wrodzoną, nie wiedzącą o sobie „senatorską wspaniałość“, że żaden z dawnych Marszałków w złocie i szkarłacie nie mógł robić większego wrażenia, jak on w swojej czarnej zawsze jednakiej czamarce, z tą gładką czarną laską, z której sam żartował, że kosztowała trzy złote. „Kto Polskę taką, jak była, zobaczy?“ pyta ze smutkiem poeta, i ma słuszność. Rzeczypospolitej, jaką była, nie zobaczy nikt: ale Marszałka takiego, że i żaden z tych dawnych bardziej Marszałkiem być nie mógł, tośmy widzieli.

Jego zdolność polityczna i temperament były przedewszystkiem, jeżeli się nie mylimy, dyplomatyczne. Widzieć jasno, przewidywać z daleka i trafnie, znać ludzi i umieć ich użyć, pytać mądrze, mówić mało i zawsze tylko to, co się chce, to były te dary wrodzone, na które

*

patrząc, żałowało się, że on nie jest ministrem spraw zagranicznych lub ambasadorem. Przecież, choć może na dyplomatę stworzony, miał wielkie i rzadkie przymioty administratora i organizatora: czynność, wytrwałość, przytomność i pamięć o wszystkiem, ład i rozkład w głowie i czasie, a nadewszystko tę odwagę, która się niczem nie zraża, to uczucie obowiązku, które nigdy nie staje na miejscu, ale codzień bądź co bądź robi swoje i idzie dalej.

A jego wdzięk osobisty, ten wdzięk, którym młodzieniec niegdyś zachwycał, a starzec tak do siebie przywiązywał, że godziny przy nim spędzone liczyło się do najmilszych, a z daleka tęskniło się za niemi. A ta w rozmowie głęboka mądrość, doświadczenie świata, znajomość ludzi i życia, powaga dostojeństwa, wieku, cierpień przebytych, zasług położonych, poniesionych trudów, a w niej pogoda, często wesołość, uśmiech, który był zarazem i smutny i serdeczny i dowcipny, ogłada i jakaś dostojna a męska gracya w obejściu, w ruchach, w mowie, dziś już prawie niewidziana na świecie. Nadewszystko dobroć, ta dobroć, która jest skutkiem nie biernej łagodności, ale umyślnej wyrozumiałości, dobrej woli, wielu doświadczeń, wielu wyrzeczeń się może i smutków, wielu walk z ludźmi i sobą samym, ta dobroć wyższego rzędu, filozoficzna i cnotliwa, która jaśniała w jego oczach i dźwięczała w każdem jego słowie; a przy tej dobroci, kto sobie przypomniał ile kryło się pod nią energii, woli, mocy nad sobą, wytrwałości, wierności swoim

uczuciom i przekonaniom, słowem najbardziej męskich i najpiękniejszych męskich cnót i przymiotów, ten musiał przyznać, że w rodzaju natur ludzkich, cichych i spokojnych, nic chyba nigdy tak zupełnego, tak skończonego, tak pięknego nie widział.

...Wad polskich w nim nie było, nie było ani ducha niezgody, ani zazdrości, ani miłości własnej, ani uporu, ani pychy, ani lekkomyślności: a jak Czarniecki mówił o sobie: jam nie z soli ani z roli, tak i on miał prawo powiedzieć, że jest z tego, co go boli. Bo choć był z soli i roli, ale od młodości sam przez się być zaczął, i tę sól i rolę, tę bogatą ojcowską spuściznę porzucił raz, a drugi raz odrzucił, kiedy mu ją za jeden ukłon oddać chciano: bo koleje jego losu wysnuły się z tego, co bolało wszystkich, a jeżyły się cierniami i kamieniami, które jego na każdym prawie kroku raniły: bo własnym i wielkim trudem wyrósł, a każdym dniem swego żywota, każdem uderzeniem swego serca uczył i pokazywał, jakto „trud każdy, choć boli, nie boli“; bo go żaden zawód nie zniechęcił, żadna klęska nie złamała, ale żołnierz dobry po każdej przegranej znajdował się zawsze pierwszy na posterunku, i drugich rozprószonych, rozbitych, do kupy zbierał i do marszu krzepił i prowadził: bo mało było w Polsce żywotów, któreby do nas tak wyraźnie i tak głośno przemawiały tą nauką: „zmartwychwstaniesz z pracy wieków“. A praca wieków czy pokoleń, to praca

ludzi, tylko ciągnąca się długo i z jednych na drugich przechodząca spuścizną.

Taka jest nauka, taki dla nas, dzisiejszych i przyszłych, przykład, wypisany na karcie jego żywota. A dla historyi polskiej znowu, która kartę tę za swoją wziąć musi, stoi tam napisane, że była jedna część Polski, która po latach sześćdziesiąt austryackich rządów od życia publicznego odwykła, a w prywatnem ospała i gnuśna, wpadła w bezczynność, w bierność, w odrętwienie, które gdyby były potrwały, mogły ją były o materyalny i moralny upadek przyprawić. Że do przebudzenia jej z tej ospałości i otrząśnienia z tej odrętwiałości przyczynił się wielce wpływ i dzieła księcia Leona Sapiehy, że instytucye rolnicze, kredytowe, miłosierne, powstały licznie, a kwitły pomyślnie niektóre za jego wyłącznym powodem, wszystkie za jego staraniem i pomocą, że między Polakami jeden z najmędrszych, a bezwzględnie najzdrowszy może i najtrzeźwiejszy, ani się nigdy na to co za wiele nie zrywał, ani nigdy na tem co za mało nie poprzestał, że do zagojenia ran roku 1846, a odbudowania zwalisk 1848 przykładał się, jak mógł, najdzielniej i skutecznie, że bogactwu i cywilizacyi kraju otworzył drogę nową, a trwałą i pewną, żelazną, że powołany do wskrzeszenia życia publicznego w tej części Polski i kierowania wskrzeszonem, stworzył w krótkim czasie praktykę sejmową i administracyę krajową. A jeżeli ani wpływu okoliczności, ani zasługi szczegółowej wielu ludzi, czy powszechnej kraju

całego, ani Bożej pomocy i łaski prześlepiać i przeczyć się nie godzi, to tak samo niesprawiedliwością i grzechem byłoby nie widzieć i nie przyznać, że stało się to w wielkiej mierze także za wpływem, pracą i zasługą księcia marszałka Leona Sapiehy.

St. Tarnowski.

TREŚĆ

Str.

Wstęp V

Przedmowa IX

1803—1830. Wspomnienia z lat dziecinnych. W Paryżu. Rok 1812 w Polsce. Bal w Krakowie. Podróż do Teofilpola i pobyt tamże. Hetmanowa Rzewuska i jej syn Wacław. Pojedynek ks. Adama Czartoryskiego z jenerałem Pacem. Liceum warszawskie. Wojciech Potocki. Aleksander Wielopolski. Maurycy Mochnacki. Heltman. Nauki w Paryżu i Edynburgu. Gospodarstwo. Podróż do Odessy. Krym. Posielenia wojskowe. Jenerał Witt. Tajne towarzystwa. Kwestya ruska. Aleksander w Wołosowcach. Ks. Adam Czartoryski. Związkowi w Kijowie. Służba publiczna. Ks. Lubecki. Wydział górniczy. Śmierć cesarza Aleksandra. Ślub. Dekabryści. Denuncyacya. Wielki książę Konstanty. Sąd sejmowy. Pierwsza podróż do Petersburga. Naprężenie austryacko-rosyjskie. Benckendorff. Wojna rosyjsko-turecka. Przygotowania wojenne. Koronacya w Warszawie. Spisek koronacyjny. Druga podróż do Petersburga. Ostatni sejm. Nowosilcow. Paryż. Rewolucya lipcowa. Podróż do Anglii. Kolej żelazna. Wellington. Powrót do Paryża 3

1830—1831. Powstanie listopadowe. Pierwsza wiadomość w Paryżu. Sebastiani. Podróż do Londynu. Grey. Talleyrand. Przybycie Wielopolskiego. Wolicki. Składki w Paryżu. Jenerał Lallemand. Wezwanie do powrotu. Lafayette. Agencya Rządu Narodowego. Powrót do Polski. Przytrzymanie w Pradze. Dalsza podróż. W Krakowie. Jenerał Chłopicki. Na placu boju. Przydzielenie do sztabu. Wyprawa jenerała Chrzanowskiego. Jenerał Skarzyński. Pod Kockiem. Jenerał Dwer-

Str.

nicki w Galicyi. Lubartów. Pierwszy chrzest bojowy. Kontuzya. W Zamościu. Krzyż „Virtuti militari“. Towarzystwo demokratyczne. Rząd a jenerał Skrzynecki. Wyprawa na Rüdigera. Pod Łysobykami. Wzburzenie umysłów w Warszawie. Projekt konstytucyi Nowosilcowa. Rożniecki. Marsz Paskiewicza na Warszawę. Sejmik bolimowski. Jenerał Dembiński. Jenerał Umiński. Jenerał Bem. Awans na kapitana artyleryi. Rzeź sierpniowa. Jenerał Krukowiecki. Pierwszy dzień ataku na Warszawę. Wzięcie Woli. Śmierć Sowińskiego. Kapitulacya Warszawy. Wyjazd bez powrotu. Pochód do Modlina. Ekielski. Szynglarski. Przejście do Prus. Kwarantanna. W Wrocławiu. 110

1832—1846. W Galicyi. Niebezpieczeństwo porwania. W Piskurowicach. Alfredowie Potoccy. Księżna jenerałowa ziem podolskich. Książę Wirtemberski. Gubernator Lobkowitz. Reitzenheim. Nowy gubernator Ferdynand d'Este. Pułkownik Szumlański. Kriegowie. Emisaryusze. Fałszywy pułkownik. Otrzymanie obywatelstwa austryackiego. Kupno Krasiczyna. Wejście do Stanów. Sejmy stanowe. Reprezentanci miast. Towarzystwo kredytowe ziemskie. Kasa oszczędności. Towarzystwo gospodarskie. Szkoła dublańska. Zniesienie pańszczyzny. Starania o kolej żelazną. Podróż za granicę. Koleje w Niemczech, Belgii. Rothschild. Wzrost znaczenia sejmów. Gerylasówka. Świrski. 180

1846—1848. Wrzenie w Galicyi. Akcya biurokracyi. Jej chęć aresztowania ks. Leona. Szela. Projekt Milbachera. Rewizya i aresztowania. Strata dzieci. Narady u Fredry. Deputacya wiedeńska i jej adres. Przyjęcie u cesarza. Deputacya u Stadiona. Zawiązanie gwardyi narodowej. Dobrzański. Delegacya stanowa do Wiednia. Nieporozumienia. Dzierzkowski. Zjazd Słowiański w Pradze. Stan gorączkowy we Lwowie. Utworzenie „Beiratu“. W Pradze. Rozruchy. Wyjazd do Schandau. Blizkość starcia we Lwowie. Dzień Wszystkich Świętych. Hammerstein. Ruckstuhl. Barykady. Heltman. Bombardacya. Dwojakie postępowanie władz. . . 210

1849—1863. Działalność obywatelska. Dalsze starania o kolej. Bach. Lasser. Gołuchowski. Bruck. Trudności ministra skarbu. Porozumienie z bankierami. Otrzymanie koncesyi. Prezesura towarzystwa akcyjnego kolei żelaznej. Prezesura Banku anglo-austryackiego. Choroba żony. Śmierć ks. Teresy. Dyplom październikowy. Pa-

Str.

tent lutowy. Wiktor Ofenheim. Projekt kolei czerniowieckiej. Pertraktacye z Anglikami. Doprowadzenie do skutku budowy kolei czerniowieckiej. Nominacya na marszałka krajowego. Włościanie w Sejmie. Rusini. Posłuchanie u cesarza. System federalistyczny. Gołuchowski namiestnikiem Galicyi. Possinger. Usunięcie biurokracyi niemieckiej. Organizacya Wydziału krajowego i nowej administracyi. Okropny stan szpitali. Wprowadzenie Sióstr Miłosierdzia. Szpital dla obłąkanych. Drogi krajowe. Zarząd gminny. Działalność Wydziałów powiatowych. Wybuch powstania 1863 roku. Aresztowanie ks. Adama 238

Dodatki. Podróż do Krakowa w r. 1831. Andrzej Zamoyski u Paskiewicza. Adam Czartoryski ukrywany przez władze austryackie w Krakowie i Podgórzu . . 271

Wyjątki z korespondencyi 275

Przypiski 341

SPIS RYCIN

Leon książę Sapieha Kodeński, marszałek krajowy w r. 1861—1875 III

Teofila z Jabłonowskich księżna Sapieżyna z synem księciem Aleksandrem 32

Aleksander książę Sapieha Kodeński 80

Anna z hr. Zamoyskich księżna Aleksandrowa Sapieżyna. 128

Leon książę Sapieha jako oficer w r. 1831 176

Jadwiga z hr. Zamoyjskich księżna Sapieżyna . . . 256

MOJE WSPOMNIENIA DLA WNUKÓW

dziły ich osoby, ale na spacerze cieszyłem się widokiem ich ekwipaży i bogatemi liberyami.

Najważniejszym wypadkiem było spotkanie samego Napoleona. Jeździł on poczwórną karetą, ośmiu końmi zaprzężoną, z przodu i z tyłu oddział Mameluków, w strojach tureckich i szwadron kawaleryi gwardyi; koło karety koniuszowie i masztalarze. Rozpędzano prywatne pojazdy, aby ta cała czereda przelecieć mogła. Razu jednego konie nasze, tym hałasem nastraszone, uniosły nas i wpadły między konie Napoleona, tak, że pojazd jego stanąć musiał. Wyjrzał on oknem twarzą dość zaniepokojoną. Gdy jednak widział, że w naszym pojeździe siedziało dwoje dzieci i niańka, uspokoił się i podobno jemuśmy winni, że nas do kozy nie wzięto.

Między innemi uroczystościami przypominam sobie pogrzeb xięcia Montebello, marszałka Lannes [1810 r.]. Byliśmy w oknie na ulicy, którą konwój przechodził. Gwardya była uszykowana wzdłuż po obu stronach ulicy; w chwili, gdy ciało przejeżdżało, prezentowała broń. W tej chwili osiołek, z głównej drogi zepchnięty do bocznej ulicy, zaryczał. Wtem śmiech ogólny, krzyk *„il est ressuscité“*. Żołnierze, śmiejąc się, opuścili szeregi. Trzeba było pewnego czasu, aby porządek przywrócić. Francuz nawet przy pogrzebie nie opuści sposobności żartowania.

Każde zwycięstwo było powodem do oświetlenia miasta, do ogni sztucznych i zabaw ludowych, a tych zwycięstw było niemało. Największe jednak uroczystości były na ślub Napoleona z Maryą Ludwiką, arcyxiężniczką austryacką. Wtenczas to xiążę Metternich, poseł austryacki, dał ów sławny bal, który był powodem tylu nieszczęść[1]. Gdy nie było sal dość obszernych dla pomieszczenia wszystkich, których zaprosić wypadało, postawiono w ogrodzie kilka sal prowizorycznych z desek, ozdobiono je draperyami muślinowemi i z innych lekkich materyi. Nie wiadomo, jakim sposobem te draperye się zajęły i w mgnieniu oka

ogień ogarnął wszystkie sale. Zaczęto się pchać do schodów wychodowych. Te się załamały. Uciekano, wywracając się wzajemnie i po sobie depcząc. Kilkaset osób, mianowicie kobiet, padło ofiarą. Niektóre popalone, podeptane, zdołano wyciągnąć z płomieni, na to, aby w kilka dni potem skończyły w najokropniejszych boleściach.

Niepojęta rzecz, że się zaraz znalazły bandy złodziei, przystrojonych w balowe mundury, którzy wdarli się do sal, niby ratowali kobiety, a rzeczywiście obdzierali z kosztowności; nawet uszy obrywali, aby kolczyki dostać. Nie było bogatszej rodziny w Paryżu, którąby nie poniosła strat bolesnych. Zrobiło to ogromne na publiczności wrażenie. Widziano w tem przepowiednię, że Napoleona szczęście opuszcza i rzeczywiście od tego czasu nic mu się nie wiodło. Moja Matka miała być na tym balu; ubranie było przygotowane. Ja i moja siostra bardzośmy ją namawiali, aby poszła, w nadziei, że nam cukierki przyniesie. Bóg łaskaw, że ją natchnął lenistwem i że się zdecydowała w domu pozostać. Byłaby zapewne padła ofiarą, jak tyle innych.

Lecz wróćmy do stosunków domowych. Moja Matka choć bywała w domach francuskich, a nawet z niektóremi paniami dość była przyjaźnią związana, jednak głównie widywała Polaków. Z tych najwięcej poważany był Kościuszko. Ile sobie przypominam, w czasie pobytu naszego w Paryżu wrócił on z Ameryki. Później osiadł przy rodzinie szwajcarskiej Zeltnerów i z nią mieszkał w okolicy Fontainebleau [w Berville]. Ile razy do Paryża przyjeżdżał, mieszkał u nas w domu. Wielka była wtenczas dla nas radość. Brał nas często ze sobą na spacer. W domu także z nami się bawił. Przypominam sobie, że nas na stole stawiał, sam się o parę kroków od stołu oddalał i kazał w swoje objęcie skakać. Była to dla nas nietylko zabawa, ale i zaszczyt. Było nam wpajane poważanie

dla tego męża, więc bawić się z nim bardzo nam pochlebiało.

Tu przypomnę, że kiedyś babka moja, Konstancya z Czartoryskich Zamoyska (żona kanclerza), bardzo sobie życzyła, aby Kościuszko się ożenił z jej córką (moją Matką), gdy ta jeszcze panną była, lecz Kościuszko pomny zawsze swej pierwszej miłości ku hetmanównej [Ludwice] Sosnowskiej, o innym związku myśleć nie chciał. Ta Sosnowska, później xiężna [Józefowa] Lubomirska, była matką xięcia Henryka, xięcia Fryderyka i pani [Heleny] Mniszkowej.

Drugim, choć mniej częstym u nas gościem był Julian Ursyn Niemcewicz. Ten także zwykle u nas mieszkał, gdy był w Paryżu, co wszakże rzadko się trafiało.

Był od dawna w Paryżu osiadły stary oficer Gwardyi narodowej Gołkowski. Ten także był bywalcem u nas. Na lato moja Matka najmowała wiejskie mieszkanie w Saint Germain en Laye. Tam Gołkowski zwykle przyjeżdżał na kilkutygodniowy pobyt. Miał on zwyczaj w lecie wstawać przed świtem. Przed studnią rozbierał się do naga i wodą oblewał. Raz właściciel naszego domu, który z powodu dziennych zajęć nie mógł zwiedzać swej realności, tylko bardzo rano, chodząc po wszystkich kątach wpadł na Gołkowskiego. Widząc ogromnego chłopa w stroju adamowym, wziął go za złodzieja i począł uciekać. Również Gołkowski, widząc właściciela uciekającego, a sądząc, że złodziej, puścił się za nim, bez względu na swój strój. Byłby go pewnie złapał i dobrze poturbował, gdyby ludzie domowi, wołaniem z obu stron przebudzeni, nie byli nadbiegli i obu uspokoili. Od tego czasu właściciel zaprzestał swoich nocnych odwiedzin.

Do częstych u nas gości należał pan Maliszewski, Polak, ale już sfrancuziały. Miał za Dyrektoryatu urzędowe stanowisko, które go było zaprzyjaźniło z jenerałem Moreau i z wieloma wyższymi oficerami fran-

cuskimi. Ożenił się także był z Francuzką, z której miał trzy córki. Z tych najmłodsza, Olimpia, poszła później za Leonarda Chodźkę i była autorką kilku dzieł. Panny te, rówieśniczki mojej siostry, często przychodziły w niedziele z nami się bawić.

Moja Matka żyła w ścisłej przyjaźni z panią [Wincentową] Krasińską, Radziwiłłówną z domu. Jej mąż był wtenczas pułkownikiem, komendantem pułku ułanów polskich gwardyi Napoleona; komendantami szwadronów byli w tym pułku [Jan] Kozietulski, Tomasz Łubieński, [Ignacy Henryk] Kamieński i [Ludwik] Pac. Omijając porządek chronologiczny, o każdym z nich parę słów powiem.

Pierwszy Kozietulski był z nami spowinowacony przez to, że siostra jego pani Walicka, później Wichlińska, była matką pani Zdzisławowej Zamoyskiej. Był to jeden z najdzielniejszych oficerów nietylko naszego wojska, ale i całej armii Napoleona. Najświetniejszym jego czynem wojskowym była owa sławna szarża w Hiszpanii pod Sommo-Sierra. Kozietulski pierwszy prowadził tę szarżę. Z jego szwadronu dwóch ludzi tylko na koniach zostało. Za nim poszła reszta szwadronów i już doszła do samej góry. Napoleon rozkazując tę szarżę, nie wierzył, aby się udać mogła, chciał tylko nią odwrócić uwagę Hiszpanów i wolał na pewną zgubę wystawić Polaków jak Francuzów.

W początkach Królestwa Kongresowego był Kozietulski dowódcą 4-go pułku ułanów. Wielki xiążę Konstanty nie lubił w ogólności oficerów napoleońskich, a szczególnie tych, którzy się byli odznaczyli, prześladował więc ciągle Kozietulskiego w każdej drobnostce służbowej. Na nieszczęście miał on adjutantem pułkowym [płatnikiem] wielkiego łotra (nazwisko jego zapomniałem, wiem tylko, że później pojedynkował się z Władysławem Zamoyskim i był przez niego z umysłu postrzelony w nieszlachetną część ciała). Wykazały się nieporządki w kasie pułkowej, Kozie-

tulski z rozpaczy dostał pomięszania zmysłów i w stanie obłąkania umarł.

Tomasz Łubieński po wojnach wystąpił ze służby wojskowej. Wszedł napowrót w r. 1831 jako jenerał i dowodził korpusem. Po wojnie wrócił za amnestyą do Polski i tam umarł. — Kamieński również po wojnach napoleońskich żył jako prywatny do r. 1831. W tym roku dowodził dywizyą i pod Ostrołęką zginął. — Pac także pod wielkim xięciem Konstantym służyć nie chciał, w r. 1831 dowodził korpusem. Potem emigrował i na emigracyi umarł.

Kiedy mowa o Sommo-Sierze, muszę wspomnieć o dwóch faktach. Gdy ta szarża nabyła rozgłosu i wspominaną była w dziełach wojskowych jako jedyna w swym rodzaju, — Krasiński, który w tej chwili nie był przy swym pułku i żadnego nie miał w tej sprawie udziału, obstalował u Verneta obraz, na którym on prowadzi swój pułk i na jego czele wąwóz przebywa. Dało to powód do wielu protestacyi ze strony oficerów. — Obraz sławnego malarza zostanie jako znakomite dzieło sztuki i z czasem jemu uwierzą.

Między rannymi w tej szarży leżał pod zabitym koniem [Andrzej] Niegolewski, znakomity później poseł z Poznańskiego na Sejm berliński. W okropnych bolach wołał: „Czyż się nikt nademną nie zlituje i nie dobije mnie, bo tych boleści już wytrzymać nie mogę“. Wtem poczciwy wiarus zbliża się do niego z karabinkiem, odwodzi kurek i przykłada mu lufkę do głowy. Wtenczas on krzyknął: „a cóżem ci sz.... zawinił, że chcesz mnie zabić!“ Nieraz mu to koledzy w 1831 roku przypominali. Był to przedmiot do częstych z nim żartów.

Pułk ułanów polskich miał swoją kwaterę w Chantilly. Pani Krasińska tam lato przebywała. Odwiedziliśmy ją i kilka dni tam bawili. Wziął mnie w opiekę szef szwadronu Kamieński. Oprowadzał po stajniach, koszarach, na mustry. Widok tylu koni, żoł-

nierzy i to Polaków, zrobił na mnie wrażenie, które dziś jeszcze pamiętam.

Przy pierwszem wystąpieniu naszego pułku przed Napoleonem była awantura, która wielu oficerów spowodowała do opuszczenia tego pułku i przejścia do pułków Legii Nadwiślańskiej. Było to na placu Caroussel przed licznie zebraną publicznością. Gdy pułk miał wystąpić, komendant brygady, jenerał Mouton, zakomenderował. Pułkownik miał stosowną dać komendę, ale Krasiński, czy to napity (co mu się dość często trafiało), czy nie zadał sobie pracy nauczenia się dokładnie regulaminu, dał fałszywą i niejasną komendę; stąd powstało zamieszanie, co widząc Napoleon kiwnął ręką i kazał pułkowi odejść na bok. Po paradzie kazał zawołać do siebie Krasińskiego i nie przebierając w wyrazach, powiedział mu: *„Vous êtes un polisson qui meritez du pied au..... Allez vous en!“* Mimo to Napoleon lubił Krasińskiego, bo wierzył w jego przywiązanie i uległość [2].

Wtenczas w Paryżu widziałem mego Ojca. Wracał on z podróży odbytej po południowej Słowiańszczyźnie. Opis tej podróży był później drukiem ogłoszony. Przywiózł on z tej podróży wiele broni i strojów wschodnich, które były dla nas wielką ciekawością. — Napoleon lubił mego Ojca, mianował go swoim szambelanem i często żądał jego zdania w sprawach, tyczących się Polski. Żył on też w zażyłości z otoczeniem cesarza, a mianowicie z panem Maret, duc de Bassano, sekretarzem przybocznym cesarza, a później ministrem spraw zagranicznych. Po krótkim pobycie w Paryżu musiał mój Ojciec odjechać do Warszawy z poleceniami od Napoleona.

Przybył do Paryża wuj mój, hrabia Stanisław ordynat Zamoyski. Nie było wtenczas środków naukowych w nowo powstałem Xięstwie Warszawskiem. Myślano więcej o organizacyi wojska, niż o szkołach. Przywiózł też wuj czterech synów starszych, Konstantego, Andrzeja, Jana i Władysława i oddał ich w Pa-

ryżu na pensyę do pana Muraine. Mieli prócz tego dwóch nauczycieli, księdza Ottenain, Francuza i Polaka Markiewicza, który potem był profesorem w uniwersytecie krakowskim. Wolno im było u nas bywać każdej pierwszej niedzieli miesiąca. Łatwo pojąć, jaka to była radość i dla nich i dla nas.

W r. 1811 wróciliśmy do Polski. Z Paryża pojechaliśmy w okolice Fontainebleau do jenerała Kościuszki, gdzie, ile mi się zdaje, bawiliśmy kilka dni. — Rozstanie się było z obu stron bolesne. Przewidywaliśmy to, co się rzeczywiście stało, że się więcej nie zobaczymy. — Podróże były wtenczas trudniejsze jak dzisiaj. Podróż nasza z Paryża do Krakowa trwała 15 dni i tyleż nocy, po potrąceniu kilku dni pobytu w głównych miastach. Jechaliśmy poczwórną karetą, w której siedziała moja Matka, nas dwoje, guwernantka mojej siostry, panna Cardeur, służąca panna Ożarowska i pies mojej Matki, wielki nasz faworyt, ale w podróży bardzo niedogodny. Upały były nieznośne, posucha, więc kurz ogromny. Na koźle jechał stary służący Michał, który więcej nas łajał niż usługiwał i kucharz Francuz. — Gdzie teraz są koleje żelazne, nie było wtenczas nawet robionych gościńców. Przypominam sobie strach mojej Matki, gdy w nocy w Niemczech jechaliśmy noga za nogą w piasku i spotkaliśmy podróżnego, mającego eskortę dwóch żandarmów konnych. Moja Matka zapytała, coby ta eskorta znaczyła, odpowiedzieli, że to Czarny las, gdzie często rozbijają i że nikt tu bez eskorty nie jeździ, mianowicie w nocy. Jednak przejechaliśmy bez wypadku. Skończyło się na strachu. Wspomniałem o tem, aby okazać, jaka jest różnica między Europą w początku tego wieku a teraźniejszą.

Przybyliśmy nakoniec szczęśliwie do Krakowa. Byłem po raz pierwszy na ziemi polskiej, wśród ludności polskiej. Łatwo pojąć jakiego doznałem uczucia. Karmiony od kolebki wspomnieniami z naszych dziejów, widokiem Kościuszki, Niemcewicza, naszych

legionistów, zdawało mi się, że u nas wszystko wyższe, wspanialsze, szlachetniejsze jak wszędzie indziej. Wszystko mnie cieszyło i zachwycało. — Wyjechaliśmy zaraz do Warszawy, a wkrótce potem do Podzamcza, do brata mojej Matki, hrabiego ordynata Zamoyskiego. Jego pamiętałem z Paryża, gdzie był wysłany w deputacyi do Napoleona, od rządu Xięstwa Warszawskiego. Jego żonę [Zofię], córkę xięcia Czartoryskiego, jenerała ziem podolskich, po raz pierwszy widziałem. Jej piękność, uprzejmość i dobroć dla mnie tak mnie były ujęły, że zdawało mi się, iż nic jej równego nie było pod słońcem i długo, gdy co pochwalić chciałem, nic więcej powiedzieć nie mogłem, jak porównać do ciotki. Ta cześć i przywiązanie do niej nigdy się nie zmieniła. Owszem wzrastała w miarę, jak byłem bardziej w możności ocenienia jej wysokich cnót.

W tym roku 1811 odbył się sejm Xięstwa Warszawskiego pod laską Sołtyka. Jego żona [Karolina] była Sapieżanką z domu. Stąd między nami rodzaj pokrewieństwa, choć bardzo dalekiego. Mieli oni dwoje dzieci: syna Romana, który po 1831 umarł na emigracyi i córkę Konstancyę (później Łempicką). — Ta żyła w ścisłej przyjaźni z moją siostrą. Mieszkali oni zwykle w Chlewiskach, blizko Szydłowca. Stąd większa między nami zażyłość. W tym roku przed zimą odłączony zostałem od kobiet i oddany nauczycielowi. Tym był Okraszewski. Jego ojciec wychowywał Potulickich, Kaspra i Kazimierza. Wtenczas też zaczęły się dla mnie nauki.

Nastąpił rok 1812, sławny w dziejach kampanią rosyjską, która była początkiem upadku Napoleona. W tym roku zwołany był sejm, zwany konfederacyjnym, pod laską xięcia Czartoryskiego, jenerała ziem podolskich. Byłem na owem sławnem posiedzeniu, na którem minister Matuszewicz wyrzekł: „Będzie Polska! Co mówię, jest Polska!“ Słowa te, wyrzeczone z polecenia Napoleona, zwycięzcy całej Europy, prze-

szły po sali jak iskra elektryczna. Rzucano się w objęcia jedni drugich, płakano z radości, powtarzano słowa: „Jest Polska!“ Takiego uniesienia, posuniętego prawie do szaleństwa, więcej już w długiem mem życiu nie widziałem i podobno niejedno pokolenie przejdzie, zanim coś podobnego się okaże. Ten, który wszystkim monarchom prawa dyktował w ich stolicach, ogłasza, że będzie, że już jest Polska niepodległa; któż byłby śmiał wątpić? Dzień był pogodny. Cała ludność Warszawy wysypała się na ulice. Ogród Saski był przepełniony. Wszyscy mieli kokardy trójbarwne. Wszyscy się serdecznie witali, z płaczem ściskali. Kto tego nie widział, trudno, aby sobie wyobraził. Niestety, dość było kilku mrozów, aby te nadzieje rozwiać. Wtenczas to po raz ostatni widziałem mego Ojca. Wyjechał on za Napoleonem na Litwę. Tam zachorował i umarł.

Przy tak świetnych dla przyszłości nadziejach panowała w kraju najokropniejsza nędza. Rok 1811 z powodu posuchy był bardzo nieurodzajny. Rozpoczęły się przechody wojsk z całej Europy. Ile u kogo znajdowano produktów, zabierano na prowiant, równie jak konie i bydło. W dniu ogłoszenia istnienia Polski była w Warszawie iluminacya, ale tej utrzymać nie można było. Chłopi i biedni gasili lampy, aby z nich łój wyjadać. Osoby nawet bogate ledwie raz lub dwa razy na tydzień pozwalały sobie na zbytek kawałka mięsa; kasza i kartofle były ich zwykłem pożywieniem. Pamiętam zadziwienie xiężnej Pelagii Sapieżyny, żony xięcia Franciszka, jednego z najbogatszych panów na Litwie, gdy widziała u nas na stole kurę pieczoną. Mówiła, że od kilku miesięcy kury nie jadła.

Domy prywatne przepełnione były zakwaterowanymi wojskowymi. Oficerów trzeba było żywić i to samo im dawać, co się samemu jadło. Raz, gdyśmy byli przy śniadaniu, a na stole stał półmisek z grubą kaszą, wpadł do pokoju oficer u nas zakwaterowany,

z talerzem w ręku, w okropnej złości, przeklinając. Wtem spojrzał na stół, cofnął się i począł jak najmocniej przepraszać. Pytamy o powód jego gniewu, odpowiedział: „Już kilka razy dano mi tej oto potrawy (wskazując na kaszę). Sądziłem, że sobie ze mnie żarty stroją. — Gdy jednak widzę, że to samo i państwo jadacie, nie mam prawa się skarżyć. Jednak dziwić się muszę, że to ludzie jedzą".

W przechodach najmniej uciążliwi byli Francuzi. Z początku Francuz nakrzyczał, czasem uderzył, ale potem się udobruchał i gospodarzom pomagał w rąbaniu drzewa na kuchnię, lub kołysaniu dziecka. Najgorsi byli Niemcy, a mianowicie Westfalczycy. Prawda, że u nich szedł przykład z góry. Król ich Hieronim Bonaparte, gdy był w Warszawie, rozkazał, aby mu miasto dostarczało codziennie kąpieli z wina szampańskiego. Po kąpieli kazał w swojej obecności wylać, aby mu na drugi dzień nie dali tego samego wina do wanny.

Niestety niedługo cieszono się nadzieją lepszej przyszłości. Nadeszła zima, a z nią wiadomości o klęskach, jakich mało równych historya wspomina. Przejechał Napoleon incognito przez Warszawę, gdzie tylko kilka godzin się zatrzymał. Nakazał nowe zaciągi wojskowe. Gdy mu przedstawiano, że skarb publiczny zupełnie pusty, a bez pieniędzy nic zrobić nie można, kazał zaliczyć kilka milionów. Okazało się, że te miliony były fałszywą pruską monetą, której użyć nie było można.

Gdy Rosyanie, pędząc przed sobą rozbitki wojska napoleońskiego, weszli do Xięstwa Warszawskiego, poczęto z Warszawy uciekać. Pan Zamoyski, nie mogąc miejsca swego opuszczać, powierzył swoje dzieci: Celinę, Jadwigę i Augusta mojej Matce. Wyruszyliśmy więc taborem kilku pojazdów na Szydłowiec do Krakowa, po najgorszych drogach i złymi końmi, bo lepsze zabrano dla wojska. Po długiej i męczącej podróży przybyliśmy do Krakowa.

Tam mieszkaliśmy w domu xięcia Kazimierza Czartoryskiego, brata Konstancyi Zamoyskiej, a tem samem wuja p. Zamoyskiego i mojej Matki. Cierpiał on od dawna pomięszanie zmysłów i kuratorem jego był pan Zamoyski. Dla wyjaśnienia wam naszych stosunków rodzinnych dodam, że Konstancya z Czartoryskich, żona Andrzeja Zamoyskiego, miała dwóch braci. Starszy, xiążę [Józef Klemens] stolnik, miał pięć córek: panią Janowę Potockę, xiężnę Eustachowę Sanguszkowę, xiężnę Henrykowę Lubomirskę, panią Alfredowę Potockę i panią [Stanisławowę] Rzyszczewskę.

Wkrótce przybyła do Krakowa pani Zamoyska. Uciekła ona była przed Rosyanami z Puław, z matką xiężną jenerałową Czartoryską i siostrą xiężną Wirtemberską, do Sieniawy, położonej w Galicyi. Nie mogąc zebrać potrzebnej ilości koni do pojazdów, musiano je wołami zastąpić i tak wołowym krokiem uciekały te panie przed Kozakami. Rosyanie po Wisłę dopuszczali się rabunków i okropnych gwałtów. Dopiero przy przejściu Wisły otrzymali najsurowsze rozkazy i wojsko ich było karnie utrzymane.

Niedługo po nas przybył do Krakowa cały Rząd Centralny Xięstwa Warszawskiego, poseł francuski przy tym Rządzie pan Bignon, także pan Zamoyski; xiążę Józef Poniatowski założył tam swoją główną kwaterę, zbierał szczątki wojska polskiego, reorganizował je i uformował parę nowych pułków Krakusów. Rekrutów mieć można było tylko od lewego brzegu Wisły, bo Xięstwo po Wisłę zajęte było przez wojsko rosyjskie. Przybywały także pojedynczo rozbitki naszego wojska. — Razu jednego przyszedł do nas człowiek, ubrany w sobolową obdartą szubę kobiecą. Na głowie miał barankową czapkę chłopską, nogi zawinięte były w różne szmaty. Ludzie nie chcieli go puścić, aż wyrzekł swoje nazwisko. — Był to xiążę Konstanty Czartoryski, przybywający z pod Moskwy i Berezyny. Dowodził on w tej kampanii pułkiem piechoty, przez siebie wystawionym. Dostał był kontuzyę

w głowę, która była początkiem zniszczenia jego zdrowia do reszty życia.

Zima ta w Krakowie była może najświetniejszą, jaką to miasto zapamięta. Pan Bignon nastawał na to, aby dawano bale i fety, aby okazać, że nie upadano na duchu i że miano wiarę w szczęście Napoleona. Z drugiej strony młodzi a liczni oficerowie pragnęli wesoło przepędzić ostatnie może chwile życia. Pamiętam świetny bal, który miasto dało w Sukiennicach. Przechód środkowy zamieniony był w salę balową, a boczne składy były salonikami dla nietańcujących. Chociaż ja i moja siostra byliśmy dziećmi, pozwolono nam przyjść na chwilę. Sukiennice, chociaż obszerne, były przepełnione. Wtenczas po raz pierwszy widziałem xięcia Poniatowskiego.

W ciągu zimy przyjechał skrycie xiążę Antoni Radziwiłł, który miał za żonę xiężniczkę pruską (siostrzenicę ówczesnego króla). Przyjechał on z polecenia króla i cesarza Alexandra do xięcia Poniatowskiego. Proponowali mu, aby nie łączył się z Napoleonem. Za to obiecywali, że wojska obce opuszczą Xięstwo Warszawskie. Zostanie w niem tylko wojsko polskie. Rząd Xięstwa zostanie niezależny, jak był. To wszystko do chwili zawarcia ostatecznego pokoju. Xiążę Józef zażądał 24 godzin do namysłu, po których dał odmowną odpowiedź i postanowił nie odstępować Napoleona i króla saskiego, który był zarazem xięciem warszawskim i był Napoleonowi wiernym. Chociaż się to wszystko działo w największej tajemnicy, jednak Bignon dowiedział się o przybyciu xięcia Radziwiłła i kazał go przez policyę ścigać. Wpadł on raptem do nas. Ukryto go na strychu i w nocy wyprawiono z powrotem.

W późniejszych latach, gdy ta negocyacya była wiadomą, słyszałem wiele osób ganiących xięcia Poniatowskiego za nieprzyjęcie tej propozycyi. Trzeba jednak zważyć, że legalnie decyzya należała nie do naczelnika wojska, ale do króla saskiego, jako prawo-

witego monarchy, że Austrya nie była jeszcze odstąpiła Napoleona, że nakoniec wierzono w jego niezwyciężoność i w możność jego powrotu nad Wisłę. Wreszcie kto wie, czy przy ostatecznem zawarciu pokoju nie byliby się gorzej obeszli z odstępcami, jak z wiernymi nawet nieszczęśliwej sprawie. Xiążę Józef mówił komuś (któremu się zwierzył, podobno Matuszewiczowi), że nie miał w życiu tak ciężkiej chwili, jak ta, w której miał się decydować i że w niej kilkakrotnie chwytał za pistolety, aby sobie życie odebrać.

Nadszedł dzień wyruszenia dla naszego wojska. Było to w sam wielki tydzień. Iść mieli przez Austryę do Saksonii. W Austryi mieli broń złożyć na wozy. Tylko mały oddział w każdym pułku miał broń zachować. Wyszedłem na ulicę z moim nauczycielem. Padał mocny deszcz. Zdawało się, że natura cała dzieliła smutne uczucia obecnych. Rodziny towarzyszyły odchodzącym, ile mogły. Było to pożegnanie, może ostatnie. Na czele wojska szedł xiążę Poniatowski, zamyślony i smutny, jakby przewidywał, że już kraju nie zobaczy. Publiczność milcząc, wzrokiem tylko żegnała braci. Nie pamiętam w życiu dnia smutniejszego; gdzieniegdzie żony i krewne odchodzących zalewały się łzami. Wojsko także miało to przeczucie, że idzie nie na zwycięstwo, ale na zgubę bez pożytku dla Ojczyzny, jedynie dla spełnienia obowiązku żołnierza.

Tu cofnąć się muszę o parę tygodni dla wspomnienia o wypadku, który mocno zasmucił wszystkich przyjaciół xięcia Eustachego Sanguszki. Przy formowaniu nowych pułków ruchawki, której chciano nadać ile możności kształt dawnego pospolitego ruszenia, postanowiono mianować regimentarza i wiceregimentarza. Pierwszym został sam xiążę Józef, o drugą posadę starał się xiążę Eustachy, który miał w wojsku naszem stopień jenerała. Naprożno xiążę Józef, który mu był szczerym przyjacielem, starał się go od tego odwieść, przedstawiając mu, że to tylko czczy tytuł, któ-

rego otrzymaniem nic krajowi nie pomoże, a narazi się na konfiskatę majątku, chociaż ten był jeszcze w posiadaniu jego ojca (wojewody wołyńskiego). Xiążę Eustachy się uparł tak, że mu ustąpiono i mianowano go wiceregimentarzem. Wtem przyszła podobno wiadomość o śmierci xięcia wojewody wołyńskiego i zagrożenie konfiskatą. Xiążę bez dymisyi odjechał do Galicyi do Tarnowa i stamtąd dopiero podał o dymisyę. Bardzo mu to za złe miano, uważano to jako prostą dezercyę. I xięciu Józefowi było to bolesnem. Podobno namówił go do tego nierozważnego kroku szwagier jego pułkownik Rzyszczewski, który razem z nim powrócił na Wołyń. Xiążę Eustachy, mimo zacności charakteru i naturalnego rozumu, często w ważnych rzeczach dawał się unieść chwilowym wpływom i brał decyzye, nieraz dla niego i rodziny szkodliwe.

Życie nasze domowe było w Krakowie bardzo spokojne. Jako dzieci nie bywaliśmy nigdzie i także rodzice nasi mało przyjmowali [3].

Po wyjściu z Krakowa wojska i Rządu Centralnego Xięstwa Warszawskiego, gdy było już wiadomem, że wojsko rosyjskie nie dopuszcza się żadnych gwałtów ani rabunków, nie czekając jego wejścia do Krakowa, wyjechaliśmy, aby na Dobiesławice, Szydłowiec i Radzyń udać się do Teofilpola i przedstawić się tam mojej babce, xiężnie Teofili z Jabłonowskich Sapieżynie [4]. O parę mil od Krakowa trafiliśmy na forpoczty rosyjskie. Zatrzymali nas Kozacy i przez okna od karety zagrozili nam ostrzami swoich lanc. Wyraz „Kozaki“ już był dla nas strasznym, a cóż dopiero, gdyśmy końce lanc w karecie widzieli. Na samym jednak strachu się skończyło. Przybiegł zaraz oficer, zadał nam kilka pytań, a widząc same tylko kobiety i dzieci, puścił nas w dalszą drogę.

Po kilkudniowej męczącej podróży przybyliśmy do Teofilpola. Przez drogę moja Matka ostrzegła nas, że xiężna Teofila była dla własnych dzieci bardzo su-

rową. Przyjechaliśmy więc bardzo przestraszeni. Przybyliśmy wieczorem. Oświadczono nam, że xiężna z łóżka wstaje i wprowadzono nas do salonu, gdzie było dużo osób, domowników i gości. Przyzwyczajonym do cichego życia u mojej Matki, bardzo nam ta masa ludzi zaimponowała. Wprowadzono naprzód moją Matkę, a wkrótce potem i nas. W pokoju dużym, dwiema tylko świecami oświeconym, siedziała moja babka, w zwykłym swym stroju. Włosy krótko jak u mężczyzny obcięte, frak, kamizelka i spodnica z czarnego sukna, na szyi chustka biała po męsku zawiązana, koszula męska. Przyjęła ten strój, jak mi mówiono, od czasów konfederacyi Barskiej, w której bardzo czynny udział brała. Byłby on mnie i moją siostrę bardzo rozśmieszył, gdyby nie strach, który nas ogarniał. Ten jeszcze się wzmógł, gdy moja babka rzekła do mojej matki: *„Permettez vous a vos enfants de s'assoir devant vous? Permettez leur aujourd'hui, car ils sont fatigués du voyage“* Spojrzeliśmy po sobie, jedną myślą przerażeni, że wypadnie nam przez kilka miesięcy stać!

Tymczasem w dalszej rozmowie zapytała się nas moja babka, czy lubimy konno jeździć i tańcować. Gdyśmy zatwierdzająco odpowiedzieli, na drugi dzień przyprowadzono dla mojej siostry ładnego konia pod siodłem damskiem, przykrytem aksamitnym czaprakiem ponsowym, suto złotem haftowanym, a dla mnie kuca, ubranego w staropolskie siodło i rząd pozłacany, kamieniami wysadzany. Były to prezenta od babki. Dla mojej Matki zajechał pojazd sześciu tarantami zaprzężony. Za nim dwóch masztalerzy także na tarantowatych koniach. Z nami koniuszy i dwóch kozaków. Pojechaliśmy do pięknego lasku dębowego, gdzie muzyka, z 15 muzykantów złożona, grała. Dużo sąsiadów tam się zjechało. Po podwieczorku wszyscy wróciliśmy do pałacu i rozpoczął się bal.

Tak było z początku codziennie, póki moja Matka przez wzgląd na zdrowie mojej siostry nie zreduko-

wała tańce na trzy razy na tydzień i te trwały tylko do 11-tej. — Pokój sypialny mojej babki był obok salonu, gdy więc cierpiała na głowę, co się dość często powtarzało, staraliśmy się nie hałasować; zaraz moja babka przysyłała: „czemu tak cicho?“, prosi aby tak bawiono się, jak zwykle. Posłańcy się powtarzali, póki się hałas nie dał słyszeć. Musieliśmy się strzedz, aby jakiego życzenia nie wyrazić, bo zaraz cały dom był w ruchu, aby naszemu życzeniu zadość uczynić. Nadzwyczaj moją babkę cieszyło, kiedy pracowała, lub się ubierała i nikogo do niej nie puszczano, a ja, czy drzwiami, czy oknem do niej się dostałem. Wtenczas otwierała się szafka z konfiturami i cukierkami i wolno mi było brać, co mi się podobało.

Dwór teofilpolski był podobno ostatni staropolski, jak je w powieściach opisują. Służących, licząc w to kapelę i stajnię, było 150, kapeli było 15 i dziwnie dobrze grywała. W jednym tylko wypadku fałszowała, kiedy jej dano kaszę bez dostatecznej omasty. Prócz kilku Niemców, byli to sami poddani, równie jak reszta służby. Na czele tej zgrai, dość brudnej, źle odzianej i karmionej, stał marszałek i koniuszy, obydwa z szlachty i siadający do pańskiego stołu. Ze stałych domowników najbardziej poważany był pan obożny Domański, staruszek o wiele starszy od mojej babki. Był on za młodu we Włoszech przy jakiejś xiężnie rosyjskiej, która miała pewne prawa do korony i uciekać musiała przy wstąpieniu na tron Katarzyny. Ta chcąc się niebezpiecznej rywalki pozbyć, wysłała do Włoch Orłowa na pięknym statku rządowym. Orłow zbliżył się do xiężnej, oświadczył się jej gorącym stronnikiem, omówił z nią środki, jakimi mogłaby wrócić na tron rosyjski. Gdy jej zaufanie pozyskał, a nawet jej się oświadczył, zaprosił ją na swój statek, dla odbycia spaceru. Wyjechawszy daleko na morze, wyrzucił ją ze statku i utopił. Ten sam los czekał Domańskiego. Zlitowano się jednak nad młodym człowiekiem i poprzestano na otrzymaniu od

niego przysięgi, że nigdy o tym wypadku nie wspomni; zachowywał on święcie milczenie. Moja babka była jedyną osobą, która o nim wiedziała i pod najściślejszym sekretem opowiedziała go mojej Matce, która mi później o tem mówiła. Xiężna ta nazywała się podobno Elżbietą. Czytając historyę rosyjską o tych czasach, znalazłem o niej wspomnienie, chociaż o sposobie, jakim zginęła, nie było mowy[5]. — Staruszek miał do swojej usługi sześciokonną karetę, w której codziennie spacer odbywał. Resztę dnia przepędzał w salonie na modlitwie. Koło jego krzesła stała klatka z papugą. A że biedak ciągle kaszlał i nos ucierał, papuga nauczyła się jego naśladować, tak, że trudno było rozpoznać, kto kaszle i nos uciera, czy Domański, czy papuga.

Po nim w powadze następował pan kapitan gwardyi królewskiej Rykaczewski i jego żona, niegdyś panna na respekcie u mojej babki. O nich opowiadano, że stara panna, aby nakłonić dużo od niej młodszego kapitana, żeby się z nią ożenił i czując, że chyba powaby jej szkatuły mogą go ująć, napełniła ją kamieniami i gdy kapitan był u niej z wizytą, prosiła go, aby ją przeniósł w inne miejsce. Ledwie ją mógł udźwignąć, a sądząc, że to samo złoto, oświadczył się i ożenił. Rzeczywiście dało mu to wygodne, spokojne i bez pracy życie.

Pani kapitanowa, jakkolwiek na niczem jej w domu nie zbywało, miała nieprzezwyciężony popęd do kradzieży. Tej namiętności tym sposobem dogadzała, że gdy goście mieli wyjeżdżać, ona szła do nich z wizytą pożegnalną, a po ich odejściu zabierała pod ogromny szal garnuszki od kawy, a nawet sięgała i pod łóżko. Byłem w Teofilpolu, gdy umarła. Wyniesiono wtenczas z jej strychu niezliczoną ilość garnuszków od kawy, śmietanki i wazonów nocnych. Nosiła zawsze w ręku ogromny worek, który niegdyś był żółtym. W czasie obiadu i kolacyi pchała do niego chleb, ciasteczka, nawet kotlety i skrzydełka od kur-

cząt. Był to ulubiony nasz figiel, aby dobrać się pokryjomu do worka, nawpół go otworzyć, a potem niby przypadkiem zrzucić go na ziemię. Wtenczas wszystkie te zapasy padały rozsypane po podłodze. My usłużnie pomagaliśmy jej do ich zbierania, każdą sztukę wznosząc w górę na widok wszystkich obecnych.

Do dworu należała panna sędzianka Zakrzewska, staruszka, która już nigdy z pokoju swego nie wychodziła. Z sąsiadów najpoufalsi byli: pułkownik Kadłubiski, były artylerzysta polski. Był przez niejaki czas adjutantem hetmana Branickiego, dobry Polak, ale zachował wdzięczność hetmanowi i zawsze starał się go uniewinnić. Sędzia Żukowski, przyjaciel i doradca mojej babki, widział, jak się ona źle rządziła, ubolewał nad tem i starał się używać wpływu mojej Matki, dla zaprowadzenia zmian w zarządzie. Miał dwie córki, które jakkolwiek starsze od mojej siostry, należały do wszystkich naszych zabaw.

Po paru tygodniach pobytu w Teofilpolu pojechaliśmy w odwiedziny do członków rodziny, bliżej mieszkających. Byliśmy u xięcia Jana Sapiehy, który po śmierci mego Ojca był sądownie oznaczony naszym opiekunem. Jego żona [Honorata], Mołodecka z domu, była rodzoną siostrą ojca Mołodeckich teraz żyjących, Kazimierza i Józefa. Miał on syna xięcia Marcina, wówczas młodego chłopca, który później ożenił się z [Maryą] Brzostowską i bezpotomnie umarł. Miał także kilka córek. O jednej tylko wiem, że jest przy życiu, Annie Sapieżance. Mieszkali oni w Zazulińcach, o kilka mil od Teofilpola. Darował mi xiążę Jan kuca, na którym długo jeździłem i który był tak dobry, że i później rzadko miałem konia, któryby mu dorównał.

Z Zazuliniec pojechaliśmy do Krasiłowa, do xięcia Mikołaja Sapiehy, brata Jana. Jego żona [Idalia], Potocka (Szczęsnówna) z domu, była nadzwyczaj zacna. Mieli kilka córek, z których jedna [Teresa] poszła za Przemysława Potockiego, druga [Idalia] za [Kon-

stantego] Czorbę, najstarsza [Pelagia] za [Wiktora] Czackiego. W Krasiłowie był ładny pałac i ogród. Stamtąd byliśmy w Sławucie u xiążąt Sanguszków. Tam zastaliśmy dawnych znajomych i przyjaciół. Z młodymi Sanguszkami, Romanem i Władysławem, bawiliśmy się często w Warszawie, a moja siostra zaprzyjaźniła się z ich siostrą, Dorotą.

Później odwiedziliśmy w Zasławiu xiężnę strażnikowę Sanguszkowę, Ledóchowskę z domu, matkę xięcia Karola, który później ożenił się z Dorotą. Była to zacna ale dość ordynarna kobieta. Oprócz syna, miała córkę, która poszła za Ostrowskiego, a później rozwiódłszy się z nim poszła za Małachowskiego. W Zasławiu mieszkała także siostra xiężnej strażnikowej, jeszcze od niej ordynarniejsza. Gdy Feliński w licznem towarzystwie czytał swoją tragedyę „Barbarę Radziwiłłównę“, jedna z dam obecnych ciągle się nad pięknością wierszów unosiła, nakoniec rzekła: „Te wiersze są tak czułe, że aż czuję ból w boku“. Siostra xiężnej prozaicznie jej odpowiedziała: „Moja Malciu dobrodziejko, to nie wiersze, to wiatry. Ja to często miewam, zaraz każę rumianku zgotować“. Łatwo pojąć, jak poetyczny zapał owej pani był zimną wodą zlany.

Odwiedziliśmy także w starym Konstantynowie panią hetmanowę Rzewuskę, wdowę po sławnym Targowiczaninie, córkę xiężnej marszałkowej Lubomirskiej, a matkę Wacława Rzewuskiego, znanego ze swych podróży i dłuższego pobytu w Arabii. Pani hetmanowa była typem dawnej wielkiej pani francuskiej. Rezydowało u niej wielu emigrantów francuskich. Rozmowa toczyła się zwykle o dworze Ludwika XV. i XVI. Pojąć można, że nie mogła się zgadzać z synem, który naśladował Beduinów, mieszkał w stajni z kozakami, podróżował konno i nosił się po arabsku. Bywali oboje często w Teofilpolu; moja babka starała się zgodę między nimi przywrócić. Czasem jej się udało, ale to nie na długo. Pani hetma-

nowa częścią przez nierząd, częścią przez hojność dla emigrantów francuskich, strwoniła ogromny majątek i stała się powodem ruiny bardzo wielu rodzin, które jej pieniądze pożyczyły; kryda majątku Rzewuskich ciągnęła się przez wiele lat i była głośną na Wołyniu i w Galicyi.

Imieniny mojej babki odprawiały się zawsze bardzo świetnie. Zjeżdżało się mnóstwo znajomych i nieznajomych. Przypominam sobie jednego pana, który na te imieniny przyjechał, trzy dni bawił, tańcował, a od nikogo nie mogliśmy się o jego nazwisku dowiedzieć.

Jednym z poważnych sąsiadów Teofilpola był p. kasztelan Brzostowski. Miał on syna Michała, ojca pani Edmundowej Krasickiej i córkę, panią Raciborowskę. Mieszkał w Białozórce, o parę mil od Teofilpola. Moja babka, która nigdzie nie bywała, a nawet rzadko na spacer wyjeżdżała, przyjęła przecież raz zaprosiny pana kasztelana na obiad. Był to niezwykły wypadek. Wyjechaliśmy w kilka pojazdów. Przyjechawszy do Białozórki, widzieliśmy wszystkich twarze okropnie zmięszane. Czekaliśmy parę godzin na obiad. Nareszcie dano znać, że obiad gotowy. Był on taki, jak zwykle bywa na wsi, gdy się goście niespodzianie zjadą. Później dopiero dowiedzieliśmy się o powodzie konsternacyi i takiego obiadu. Pani kasztelanowa, która cierpiała na pomięszanie zmysłów i chodziła zawsze w stosowanym kapeluszu i przy pałaszu, przed samym naszym przyjazdem wpadła do kuchni i cały przygotowany obiad pałaszem porąbała i poprzewracała.

Syn kasztelana, pan Michał Brzostowski, był dla nas upragnionym gościem, bo wesoły i zapalony tancerz, wszystkim dodawał ochoty. Za młodu oddany do wojska rosyjskiego, odbył w niem kampanię turecką, jako adjutant jenerała Benningsena. Gdy w Xięstwie Warszawskiem formowano wojsko polskie, opuścił wojsko rosyjskie i wszedł do polskiego, jako ad-

jutant xięcia Poniatowskiego. Po wojnach wrócił do domu. Zawsze elegant i hulaszczy, chociaż już nie pierwszej młodości. Gdy się czasem w Teofilpolu tańce przedłużyły i muzykanci słabli, on tańcując rzucał im na pulpit sakiewkę z kilku dukatami dla dodania im ognia. Wtenczas było to elegancyą mieć przy sobie tylko dukaty i nimi szafować.

Poważniejszym a również bardzo miłym gościem był Józef Drzewiecki, autor niedawno wyszłych „Pamiętników“, były szef batalionu w legionach polskich, a wówczas marszałek powiatu krzemienieckiego. Pomagał on Czackiemu przy zakładaniu szkół krzemienieckich, zachęcając obywateli do składek pieniężnych i oddawania swych prywatnych zbiorów i bibliotek na zbogacenie zakładów krzemienieckich. Miał własny dom w Krzemieńcu. U niegośmy mieszkali, gdyśmy tam kilka dni przepędzili. Bardzo się on do tego przyczynił, że wielu obywateli w Krzemieńcu osiadło, lub przynajmniej tam zimowało. Tem Krzemieniec stał się rodzajem stolicy dla naszych prowincyi południowych. Towarzystwo było liczne i bardzo przyjemne. Młodzież krzemieniecka grzeszyła może trochę zarozumiałością, ale szczerze pracowała.

Wracam do Wacława Rzewuskiego, bo był to typ, jakiego w naszych czasach już więcej nie zobaczy. Odebrał on staranne wychowanie. Mówił wielu językami, miał talent niepospolity do muzyki, ładnie bardzo rysował. Za młodu oddany był do wojska austryackiego, gdzie się dosłużył stopnia rotmistrza. Wróciwszy do kraju, zajął się z zamiłowaniem chowem koni i to było powodem jego podróży do Arabii. Wrócił stamtąd zakochany w obyczajach Arabów, nosił ich strój, brodę zapuścił. Dziwnie było widzieć tego Araba, zasiadającego do fortepianu i śpiewającego z wielkim gustem romanse francuskie. Później rząd rosyjski kazał mu zarzucić strój arabski i brodę ogolić. Z bolem serca musiał rozkaz wykonać, ale zwyczajów nie opuścił. Nadzwyczaj dowcipnie i przy-

jemnie opowiadał swoje przygody w Arabii. Nie wierzono wszystkiemu, ale się słuchało z największą przyjemnością. Podróżował zwykle konno w towarzystwie swych kozaków. Często opuszczał drogi i stepem wprost dążył, jakby pustynią, kierując się podług słońca. Nieraz błądził i zakładał na noc obóz na polu. Głównym bodźcem do tych oryginalności była miłość własna i chęć, aby o nim mówiono.

W roku 1828 czy 1829 spotkałem się z nim w Konstantynowie. Spaliśmy w jednym pokoju i przegawędziliśmy znaczną część nocy. Powiedział mi wtenczas: „*Mon cher, la guerre entre la Porte et la Russie est positive, on me ménage. On désire, que j'accepte le commandement de l'armée russe, vu ma connaissance de l'Orient, mais je doutę, que je l'accepte*“. Tak dalece może miłość własna zaślepić! W roku 1831 należał on do powstania podolskiego, pod dowództwem kościuszkowskiego generała, Kołyski. Po rozbiciu powstania pod Daszowem on zniknął. Niepodobna było dojść, jak zginął. Była pogłoska, że po bitwie schronił się na noc u chłopa, daleko od wsi. Chłop spostrzegł, że miał duże pieniądze przy sobie, miał go zamordować.

Do ówczesnych oryginałów należał pewien Marchocki, obywatel z Podola; ten corocznie odprawiał święto Cerery (obżyn). Ubrany w białej długiej szacie jako kapłan Cerery, siadał na wóz drabiniasty, zaprzężony ośmiu wołami, z pozłacanymi rogami i ubranymi w kwiaty; objeżdżał tak swoją wieś w towarzystwie całej gromady.

Tu wspomnieć muszę o dwóch osobach, których nie znałem, ale, że do rodziny należą i wiele o nich słyszałem, więc opowiem, co o nich wiem.

Pierwszym jest xiążę [Józef Aleksander] Jabłonowski, wojewoda nowogrodzki, ojciec xiężnej krajczyny. Był to jeden z najmożniejszych panów owego czasu, a przytem uczony i bardzo ze swej uczoności dumny. Mieszkał on dość długo w Lipsku. Dał on

tamtejszemu „Towarzystwu uczonych“[6] dość znaczny fundusz, którego procent służy jako premium za najlepsze rozprawy w przedmiotach przez to towarzystwo oznaczonych. Fundacya ta dotąd istnieje i zdarzyło mi się czytać w dziennikach rozpisanie konkursów. Napisał on także kilka dzieł, które się dziś stały ciekawością bibliograficzną. — Mając kilka innych zamków, zachciało mu się postawić sobie zamek wśród stawu w Lachowcach. Kilka lat trwało wysypanie tam wyspy, na której miał stanąć zamek. Przez ten czas robocizna kilku wsi miała być jedynie użyta do tego sypania, a grunta folwarczne miały leżeć odłogiem. Dowiedział się, że jeden ekonom pozwolił sobie coś zasiać; zaraz kazał to zboże końmi i bydłem stratować, a ekonom, który myślał, że tem się dobrze zasłużył, został oddalony.

Zamek tak wielkim kosztem zbudowany, już za córki wojewody nowogrodzkiego był tylko ruiną. W starych murach postawiono browar piwny. W tym zamku była sala tronowa, w której wojewoda w dniach uroczystych przyjmował gości, siedząc na tronie. Był dzień naznaczony, w którym dzierżawcy wszystkich majątków mieli się zjechać i przywieźć należące się tenuty. W tym dniu wojewoda siedział na tronie. Dierżawcy po kolei w głębokim ukłonie składali u stóp tronu worki z pieniądzmi. Jeśli który zasłużył sobie na szczególną łaskę wojewody, nogą worek odpychał. Uradowany dzierżawca worek odbierał i głęboko się pokłoniwszy, wracał do domu, wolny od płacenia tenuty. — Za moich czasów były szczątki baldachimu, wiszącego nad tronem. Pod nimi stał już nie tron, ale kilsztok. — W papierach teofilpolskich czytałem instrukcyę wojewody do panów oficyalistów: § 1. brzmiał: „Nigdy umysłu Pańskiego złą wiadomością nie zasmucać, bo dobremu oficyaliście przedewszystkiem miłe być winno Pańskie zdrowie. A wreszcie i cóż pomoże?“

Gdy wojewoda w drogę się wybierał, musiała jego córka (xiężna krajczyna) kufry pakować i wynosić je z służącymi na wozy. Od tego do śmierci miała ręce chropawe jak prosty robotnik. Co wieczór, gdy się ojciec położył, czytała mu, aż zasnął, co czasem kilka godzin trwało, a że dziecku przed rodzicami siedzieć nie było wolno, więc tych kilka godzin koło łóżka ojca klęczała. Razu jednego, gdy przyszła do czytania, rzekł jej ojciec: „Czy wiesz Waćpanna, że pójdziesz za mąż? Za kogo — to się później dowiesz".

Wojewoda nowogrodzki miał za żonę [Karolinę] Radziwiłłównę, matkę xiężnej krajczyny. Po jej śmierci ożenił się z xiężniczką Teofilą Woroniecką, z której miał syna, xięcia Augusta Jabłonowskiego. Była ona wychowanicą i panną na respekcie u Branickich z Białegostoku. Ona to nadała miasteczku Teofilpolowi jego nazwisko. Nazywało się ono dawniej Czołhan od zamożnej niegdyś rodziny Czołhańskich, której było siedzibą. Aby ludność przyzwyczaić do tego nowego nazwiska, stawiano przy wjazdach do miasta w dnie targowe kozaków. Ci pytali się przejeżdżających, jak się to miasto nazywa. Kto odpowiedział „Czołhan", rozciągnięto go na ziemię i bito, powtarzając za każdą plagą: „Teofilpol nie Czołhan". Tym sposobem wrażono każdemu w pamięć nową nazwę.

Po śmierci wojewody nowogrodzkiego objął większą część majątku po nim syn jego. Miał to być człowiek wykształcony i niepospolitych zdolności. Przy panującem wówczas rozprzężeniu w Polsce wystawił on sobie, że potrafi zyskać sobie Kozaków Zaporożskich i zrobić sobie z nich xięstwo udzielne i rzeczywiście zjednał sobie między nimi silne stronnictwo. Lecz dla uzyskania u nich popularności pił z nimi i wkońcu się tak rozpił, że z tego umarł młodo.

Po nim xiężna krajczyna objęła ogromny majątek. Składał się on, jak się w archiwum przekonałem, z 22 kluczów, a w każdym kluczu było po kilkanaście

i kilkadziesiąt folwarków. Początkiem upadku tego majątku był pełnomocnik Suchodolski, poseł, udany gorący patryota, biorący pod ręką pensyę od Rosyi. Ten bez upoważnienia zaciągnął na majątek znaczne długi i pieniądze ulokował w banku Teppera i Prota Potockiego. Resztę zrobiły wypadki polityczne i także nieład w administracyi, tak, że po śmierci mojej babki z 22 kluczów, prawie niezadłużonych, zostały się dwa znacznie okrzesane i 5 milionów złp. długu. Moja babka uchodziła za bardzo rządną, póki gospodarowała na szczupłym majątku, ale na większym nie mogła dać rady. Jej sposób życia niemałą był także przeszkodą. Wstawała dopiero wieczór. Całą noc siedziała i z oficyalistami pracowała. Zwykle oni drzemali i nie byli w stanie na jej pytania odpowiadać. Koło 10. rano, w niedziele i święta po mszy św., kładła się spać. Zawsze za jej stołkiem stał kozaczek do posyłek. Biedak nieraz stojący zasnął i rymnął o ziemię. Było ich dwóch, którzy się zmieniali.

W owych czasach nie było na Wołyniu możniejszego domu, u któregoby nie był znalazł przytułek jeden lub więcej emigrantów francuskich. Za moich czasów było ich w Teofilpolu dwóch: le marquis de Monpesas i pan Mathé, niby lekarz, a podobno konował z wojska Kondeusza. Przed nami długo przebywał hrabia de la Ferronays. Moja babka poznała go była, gdy sama musiała emigrować po konfederacyi Barskiej i mieszkała w Strasburgu. Gdy się dowiedziała o jego przybyciu na Wołyń, zaprosiła go do siebie, wystawiła mu domek, w którym przebywał do śmierci. Syn jego [Piotr Ludwik], który się wychowywał kosztem mojej babki, był później za Ludwika XVIII. posłem francuskim w Petersburgu. Smutnie on się wywdzięczył za przytułek dany jego ojcu. Zaraz po śmierci mojej babki wystąpił z pismem jej, którem mu darowała dwa tysiące dukatów i zagroził procesem, jeśli mu te pieniądze nie będą zaraz wypłacone. Wtenczas moja Matka była w wielkich kłopotach pie-

nieżnych, a pan de la Ferronays jako ambasador francuski był dobrze płatny.

Nadto może się rozpisałem nad owymi czasami, ale były one tak różne od naszych, że chciałem choć trochę dać je poznać.

Już moja siostra zaczynała wyrastać na pannę, a że była niepospolicie ładną i wiedziano, że posażna, więc na konkurentach nie zbywało. Jednym z pierwszych był Karol Mniszech z Wiszniowca, urodzony z Zamoyskiej. Bardzo on był ujął moją babkę przez swoje zamiłowanie w genealogii, mianowicie starych rodzin francuskich. To niekoniecznie trafiało do serca mojej siostry. Ona była żywa, lubiła biegać i skakać, a biedny Mniszech był kulawy. Nieraześmy się śmiali, widząc goniących za moją siostrą konkurenta kulawego, guwernantkę kulawę i jej suczkę, także kulawę.

Gdy zacząłem mówić o konkurentach mojej siostry, muszę tu wspomnieć o wypadku, który w swoim czasie miał rozgłos w całym kraju. Między innymi starali się o rękę mojej siostry jenerał Pac i xiążę Adam Czartoryski. Pierwszy, jako jenerał polski z napoleońskich czasów, miał za sobą wszystkich oficerów, swoich kolegów, którzy byli przeciwni xięciu Czartoryskiemu, jako przyjacielowi cesarza Alexandra, który nie brał udziału w wojnach o niepodległość kraju. Wyrobiła się stąd kwestya zupełnie polityczna, w której znowu poważniejsi ludzie, uznając, żeśmy xięciu Adamowi winni istnienie Królestwa Polskiego, za nim obstawali. Wojskowi, mianowicie jenerał Wincenty Krasiński, chcieli widzieć obrazę całego wojska, gdyby Pac był odmówiony i namówili go, aby xięcia Adama wyzwał na pojedynek. Sprawa ta toczyła się kilka lat. Pięć razy obydwa występowali na plac boju. Sekundantem xięcia Adama był Mokronowski, jenerał kościuszkowski, znany powszechnie z zacności i patryotyzmu; kilka razy policya nie dopuściła do pojedynku. Ostatnie spotkanie miało miejsce już po ślubie xięcia Adama z moją siostrą i po ślubie Paca z panną

Małachowską. Xiążę był ranny i przez kilkanaście dni leżał w łóżku. Wtenczas cesarz Alexander, który był w Warszawie, codziennie xięcia odwiedzał i godzinami u niego przesiadywał. — Później Pac, który w tej sprawie szedł tylko przez innych pchany i bynajmniej z namiętności, był szczerym xięcia przyjacielem.

W mojem także położeniu zaszła zmiana. Począłem uczęszczać do szkół publicznych [1819 r.] w liceum warszawskiem.

Wtenczas liceum spadło było nieco ze swej dawnej świetności. Otworzono wtenczas uniwersytet, więc wielu zdolniejszych ludzi opuściło liceum, aby wykładać na uniwersytecie. Zawsze jednak zostało kilka znakomitości naukowych. Głównymi byli: rektor Linde, autor sławnego słownika, — Alexander Maciejowski, znany ze swych dzieł, wykładał język łaciński i grecki, oraz starożytności rzymskie i historyę prawa rzymskiego w krótkości, — X. Skolimowski, matematykę i zasady ogólne astronomii. Inni profesorowie mniej się odznaczali.

Z kolegów miałem kilku zdolnych i którzy w życiu bardzo różne przeszli koleje. Pierwszym w naszej klasie był Jaślikowski, człowiek miernych zdolności, ale pilny, myślał się kształcić na nauczyciela gimnazyalnego. Nigdyśmy się od szkół nie spotykali. — Drugim ja byłem. — Trzecim był Wojciech Potocki. Niepospolite miał zdolności, ale lekkomyślny. Gdy nam wykładano konstytucyę Królestwa Polskiego, on na marginesach swego egzemplarza tej konstytucyi napisał gwałtowne wiersze przeciw dawcy tej konstytucyi, cesarzowi Alexandrowi I. Nie wiem jakim sposobem ten egzemplarz dostał się w ręce policyi. Zamknięto go. Sprawa toczyła się przez kilka miesięcy. Przyszło potem od cesarza ułaskawienie, ale rola, którą on odegrał, tem bardziej zagrzała jego wyobraźnię. Raptem znikł z Warszawy, pozostawiając pismo, że przeznaczeniem jego jest walczyć za wolność i że jedzie do Ameryki południowej, aby zaciągnąć się do wojska

Bolivara, wówczas naczelnika jednej z rzeczpospolitych, o którego czynach wojskowych często była mowa w dziennikach.

W kilka miesięcy później, gdy po zdaniu matury chodziłem na prawa w Paryżu [1820], mój szwagier xiążę Adam Czartoryski odebrał z Londynu list od znajomego, donoszący mu, że jest tam młody człowiek, mieniący się Potockim i że jest w największej nędzy. Domyśliłem się, że to mój kolega, Wojciech. Posłałem mu więc trochę pieniędzy, namawiając, aby przyjechał do Paryża. Rzeczywiście był to on. Wyjechał z Anglii na statku, wiozącym broń dla Bolivara. Że wtenczas Anglia nie uznawała niepodległości Ameryki południowej, okręt ten został schwytany, ładunek jego skonfiskowany, a Potocki napowrót do Anglii przewieziony. Zarabiał sobie na życie, pracując w porcie, a nie mając czem płacić pomieszkania, sypiał na cmentarzu. Z Paryża pisał do ojca, który mieszkał na Ukrainie. Ten kazał mu powrócić do siebie. Gdy tam przybył, zabrano go z domu i posłano jako prostego żołnierza na Kaukaz. Jenerał Jermołów, komenderujący wówczas na Kaukazie, poznał w nim wyższe zdolności, wziął go więc do swego sztabu. Awansował później do stopnia pułkownika i w tym stopniu umarł.

Czwartym w naszej klasie był Alexander Wielopolski. Jego karyera nadto znana, abym potrzebował ją opisać. Dam tylko kilka rysów jego charakteru. Był on więcej gruntowny niż bystry. Nie prędko pojmował, ale każdą rzecz pracowicie zgruntował. Od szkół zamierzał uczyć się gruntownie prawa, aby być w stanie przeprowadzić procesa z posiadaczami różnych części dawnej ordynacyi pińczowskiej, skasować jej nieprawny podział i wrócić do jej posiadania. Proces ten, który rzeczywiście przeprowadził, niemało przyczynił się do powiększenia i tak wrodzonej mu szorstkości charakteru. Był przez kolegów poważany, ale nie był lubiany dla swojej buty. Ze mną jednym

żył w przyjaźni. Częstośmy razem pracowali i przygotowywaliśmy się razem do egzaminów. Nieraześmy razem część nocy przy pracy przepędzili. I później, ile razy w życiu spotkaliśmy się, zawsze był dla mnie bardzo przyjacielskim.

Piątym był Maurycy Mochnacki, znany jako autor wielu dzieł i pism politycznych, a oraz z udziału, jaki wziął w przygotowaniu powstania z r. 1830. — Był on zapalonym patryotą i demokratą. Stąd unikał ze mną stosunków jako z arystokratą.

Szóstym był Anastazy Dunin. Ten należał później do wyprawy Napoleona III. Wylądował z nim pod Boulogne i tam zginął. Stąd to Napoleon opiekował się później synami jego brata.

O innych moich kolegach nie słyszałem, aby który przechodził niezwykłe koleje. Ogólnie pracowaliśmy mocno. Pobudką nam była nadzieja przysłużenia się krajowi, dla którego czuliśmy gorącą miłość. Uczucie to, nie zawsze może rozwagą hamowane, mogło nas do nieroztropnych kroków pobudzić. Było ono przecież szlachetnem i stawało się silnym bodźcem do dobrego. Właśnie w tych czasach zaczęły się zawiązywać między młodzieżą, szczególnie akademicką, tajne towarzystwa. Głównym ich promotorem był Heltman, należący do starszych akademików. On to najwięcej młodzieży wciągnął do tych związków. Godne jest zastanowienia, że gdy później związki te odkryte zostały i wielu młodych ludzi uwięziono i na Kaukaz odesłano, jako prostych żołnierzy, Heltman uwięziony, został zaraz oficerem w korpusie litewskim. Odbywał kampanię 1831 przeciw nam, został wzięty do niewoli, nie przyjął propozycyi wstąpienia do naszych szeregów, został w kraju, gdy go Rosyanie opanowali. Dopiero w parę lat później ukazał się w emigracyi i tam mocno się przyczynił do zawiązywania Towarzystwa demokratycznego i wysyłania emisaryuszów do Polski. Widziałem go później we Lwowie w r. 1848 przed samem bombardowaniem miasta. Jeśli był uczciwym

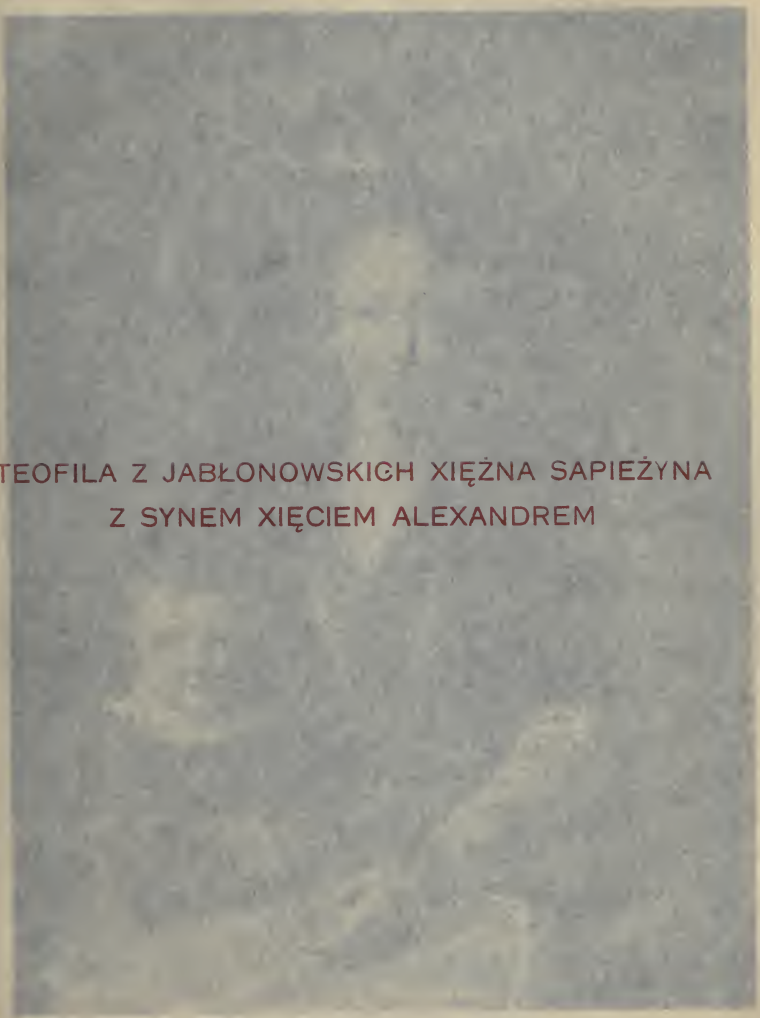

TEOFILA Z JABŁONOWSKICH XIĘŻNA SAPIEŻYNA
Z SYNEM XIĘCIEM ALEXANDREM

był w przyjaźni. Częstokroć razem pracowali i przygotowywaliśmy się razem do egzaminów. Nierazem razem część nocy przy pracy przepędzili. I później, ile razy w życiu spotkaliśmy się, zawsze był dla mnie bardzo przyjacielskim.

Pięćset tal Maurycy Mochnacki, znany jako autor [illegible] i [illegible] pokrzywiony, a mianowicie z oddziału, jaki [illegible] w przygotowaniu powstania z r. 1830. — Był [illegible] i demokratą. Stąd [illegible] jako z arystokrata.

[illegible] Amadeusz Dunin. Ten [illegible] [illegible] [illegible] Napoleona III. Wyjątkowo [illegible] [illegible] [illegible]

człowiekiem, a nie agentem policyi moskiewskiej, to się przynajmniej urodził pod nieszczęsną gwiazdą[7].

Gdy zdałem maturę w Warszawie [1820 r.], moja Matka nastraszona wieściami o zawiązujących się spiskach, a wiedząc, że byłem dość gorący i nierozważny, aby się dać wciągnąć, zdecydowała się wysłać mnie do Paryża na dalsze nauki. Zapisany tam byłem jako uczeń szkoły prawa i z tego przedmiotu zdawałem egzamina. Dodatkowo chodziłem na wykłady chemii, ekonomii politycznej i historyi. Po skończeniu tam nauk pojechałem do Edynburga [1823], gdzie miałem jeszcze rok pracować. Mieszkałem tam na pensyi razem z Adamem Czartoryskim i lordem Wriothesley Russel, synem xięcia Bedford.

Niedługi był mój pobyt w Szkocyi. Interesa mojej Matki tak się chwilowo zachwiały, że nie mogła mi dalej funduszów dostarczyć. Gdy miałem odjechać, lord Wriothesley Russel zaproponował mi, aby z nim pojechać do jego rodziców na kilka dni. Korzystałem z tego, aby poznać życie możnych panów na wsi. Xiążę Bedford był jednym z najmożniejszych panów w Anglii. Posiadał bardzo piękny zamek w Ubain. Chociaż był cierpiący, zawsze dużo gości u niego bywało i rozmowy w sprawach krajowych były bardzo nauczające. Xiężna znała była moją ciotkę, panią ordynatowę Zamoyskę, przed kilkunastu latami w czasie jej pobytu w Anglii. Przyjęła mnie też jak własnego syna. Bawiłem tam parę tygodni jak najprzyjemniej. Gdy wyjeżdżałem do Londynu, xiążę chciał mi dać mieszkanie w własnym domu, lecz że był zajęty przez kogoś z rodziny, więc kazał mi wyszukać mieszkanie i gdym odjeżdżał, dał mi swego służącego, aby mi pomógł do urządzenia. Xiężna darowała mi bardzo ładny podróżny sztuciec srebrny z wszystkiemi potrzebami do jedzenia. Anglik niechętnie robi nowe znajomości, lecz gdy kogo pozna, zostaje mu przyjacielem na całe życie.

Lord Wriothesley Russel wracając z Moskwy, z koronacyi cesarza Mikołaja, odwiedził mnie w War-

szawie, gdzie dość długo bawił. Wróciwszy do Anglii, ożenił się i został pastorem protestanckim. Byłem później u niego na probostwie. Prowadził życie ciche, skromne ale pracowite, cały oddany obowiązkom swego zawodu. Sam był nauczycielem dzieci. Jego żona uczyła dziewczęta i wprawiała je do robót kobiecych. Tem bardziej mnie to dziwiło, że znałem ją panną wesołą i celującą w Londynie pięknością.

Z Londynu jechałem na Paryż do Drezna, gdzie zastałem Matkę i siostrę. Po krótkim tam pobycie, wziąwszy od Matki instrukcye, wróciłem do kraju, aby tam zająć się Jej interesami. W przejeździe na Wołyń wstąpiłem do Klemensowa (w ordynacyi zamoyskiej), gdzie była znaczna część rodziny Zamoyskich zebrana. Miło było wśród rodziny przebywać. Od dzieciństwa przyzwyczajony byłem Zamoyskich jak braci uważać. Nigdy też między nami nie zaszła najmniejsza niezgoda. We wszystkich ważniejszych kwestyach przed wzięciem decyzyi porozumiewaliśmy się. Jeśli czasem dla różności zdań była między nami dyskusya, nigdy ona po sobie kwasu i niechęci nie zostawiła.

Przybywszy do Teofilpola, jakże różne prowadzić musiałem życie od dawniejszego. Po naukach i zabawach w Paryżu, Edynburgu i Londynie, trzeba było ślęczeć nad rachunkami, kłócić się z oficyalistami i dzierżawcami. Dziwne są nasze wychowania, w których wszystkiego się uczymy, wyjąwszy tego, co mamy całe życie robić. Wtenczas to przekonałem się, jak przykre i upokarzające jest położenie człowieka zadłużonego. Nieraz przychodził wierzyciel, upominał się o oddanie mu pożyczonego kapitału. Miałem przekonanie o słuszności jego żądania, a jednak trzeba było wybiegami się wykręcać, nie mogąc słusznym żądaniom zadość uczynić. Dzięki Bogu niedługo byłem w tem położeniu. Sprzedaż kilku majątków postawiła mnie w możności zadośćuczynienia zobowiązaniom.

Jednym z najprzykrzejszych wierzycieli była pani Kozietulska, babka po matce pani Zdzisławowej Za-

moyskiej. Miała ona już dekret fantowania i sprzedania przez licytacyę wszystkich mebli mojej Matki, będących w pałacu warszawskim. Byłem kilka razy u niej z prośbą o wstrzymanie wykonania dekretu. Nigdy innej odpowiedzi otrzymać nie mogłem, tylko, że potrzebuje swego kapitału i czekać nie może i że mowa o interesach szkodzi jej zdrowiu i tak mnie za drzwi wypraszała. Dopiero, gdy przez sprzedaż kilku folwarków na Wołyniu, a później przez sprzedaż Szydłowca rządowi, byłem w możności wypłacenia wszystkich długów, mieliśmy spokój i można było śmiało ludziom w oczy patrzeć. — Kto chce żyć spokojnie i być uczciwym, musi być rządnym.

Do czego nierząd doprowadzić może, tego mieliśmy na Wołyniu smutny przykład na pani hetmanowej Rzewuskiej, córce xiężnej marszałkowej Lubomirskiej. Sama bogata, mając dożywocie na bardzo znacznym męża majątku, pobożna, nigdy biednemu jałmużny nieodmawiająca, doszła do tego, że nie była w możności płacenia należących się procentów, a tem mniej kapitałów. Przez to doprowadziła bardzo wiele rodzin do najokropniejszej nędzy, a nawet stała się powodem kilku samobójstw. Żebraka przyjmowała uprzejmie i obdarowywała, ale upominającego się o swój procent, aby mógł rodzinę wyżywić, traktowała jako natrętnika i z niczem odprawiała. Miała u siebie kilku emigrantów Francuzów, którym na niczem nie zbywało, a jej wierzyciele z głodu marli. Ogłoszono wtenczas na jej majątku rozbiór. Że massa była wielka i sprawy zawiłe, oznaczono do przeprowadzenia rozbioru komisyę. Że ona i komisarze znaczne pobierali pensye, więc się nie spieszyli i komisya ta wiele lat urzędowała.

Rozbiory w prowincyach polsko-rosyjskich były dość częste i dawały powód do wielkich nadużyć. Przed wierzycielami miała prawo żona ze swoim posagiem. Dawano swoim wierzycielom, szczególnie mniejszym, takie rzeczy, które, odłączone od całości,

*

nie miały prawie żadnej wartości; musieli więc odprzedawać je żonie, lub większym wierzycielom za cobądź. Przypominam sobie, że raz takiemu biedakowi dano za jego sumę pół stodoły i podzielono ją w jej długości; kolokowany wierzyciel na drugiej połowie zagroził, że swoją połowę zburzy. Musiał więc tamten swoją połowę za co bądź sprzedać, aby nie został właścicielem budynku o trzech ścianach i bez dachu. Niejeden po rozbiorze był bogatszym, niż przed rozbiorem.

W czasie wolnym od interesów odwiedzałem licznie na Wołyniu zamieszkałych członków rodziny. O kilka mil od Teofilpola mieszkali xiążęta Jan i Mikołaj Sapiehowie, bracia stryjeczni mego ojca. Pierwszy Jan uchodził za gospodarnego, jednak majątek stracił wskutek pożyczki, zrobionej pani Rzewuskiej. To też śmierć jego przyspieszyło. Najczęściej bywałem u xiążąt Sanguszków, w Sławucie lub Antoninach. Synowie byli wtenczas w podróży za granicą, córka już nie żyła. Mieszkały przy xiężnej dwie ich siostrzenice, Potockie, córki Jana Potockiego, Pelagia, później żona xięcia Karola Jabłonowskiego z Ostroga i Dorota, później pani Mołodecka. Dwie te panny wychowane były w Petersburgu, w zakładzie naukowym, zostającym pod opieką cesarzowej. Xiężnie pilno było panny te wydać za mąż, zanim jej synowie wrócą z podróży. Dlatego nie wybierano w konkurentach i musiały przyjąć pierwszych, którzy się trafili, mimo ich ku nim odrazy. Nie pamiętam smutniejszego dnia, jak w Antoninach dzień ślubu Pelagii z Karolem Jabłonowskim. Nie był to może zły człowiek, ale ogromnie ograniczony i w Lipsku wychowany, wyglądał na niemieckiego panicza.

W tych to czasach [lipiec 1824] przyjechał do Teofilpola Jan Zamoyski i zaproponował mi, aby mu towarzyszyć w podróży do Odessy. Chętnie zgodziłem się na to i w kilka godzin wybraliśmy się w podróż na Międzybórz i Winnicę.

Były to początki świetnych czasów Odessy. Handel zbożem nabierał coraz więcej znaczenia. Dużo rodzin z Podola i Ukrainy zaczęło tam osiadać, jedni dla handlu, drudzy dla wychowania dzieci, bo gimnazyum odeskie używało dobrej reputacyi. Początek swego rozwoju zawdzięcza Odessa xięciu Richelieu, późniejszemu ministrowi we Francyi za Ludwika XVIII. — Był wtenczas gubernatorem w Odessie, poznał jej ważność jako punktu handlowego. Uporządkował port, popierał marynarkę handlową, dopomógł do założenia kilku znacznych domów handlowych. W ich liczbie był dom Sobańskich, który znaczne robił interesa zbożowe. Po xięciu Richelieu nastąpił również zacny i gorliwy xiążę Woroncow, mający Branickę za żonę.

Z Odessy wybraliśmy się w podróż do Krymu; przyłączył się do nas Gruszecki, oficer artyleryi polskiej, którego znałem z Warszawy. Popłynęliśmy morzem do Achmeczetu, portu, w którym, kilkadziesiąt lat później, wylądowało wojsko francuskie w czasie wojny krymskiej. Już niedaleko tego portu przebyliśmy gwałtowną burzę, tem niebezpieczniejszą, że okręt, na którym płynęliśmy, uchodził za bardzo stary i zły i że kapitan i oficerowie się popili. Już w Odessie była się wieść rozeszła, żeśmy zginęli i za naszym powrotem z wielkiem zadziwieniem nas przyjęto. Gdy się burza uspokoiła i dała nam do portu wpłynąć, raptem słońce zaświeciło i widzieliśmy na skałach siedzących Tatarów, pasących wielbłądy. Widok ten oryentalny utkwił mi w pamięci. Wylądowawszy z wielką trudnością, dostaliśmy tatarskie wozy i tymi pojechaliśmy do Bachczyseraju, dawnej stolicy chanów krymskich. Budynki nie przedstawiają nic uwagi godnego. Jedynie wspomnienia historyczne nadają im wartość. Pokazują tam pokoje, w których mieszkała niegdyś Potocka, uwieziona w jassyr, a później żona chana. Przydany nam żołnierz oprowadzał nas po pomieszkaniu cesarzowej Katarzyny. Bardzo go dziwiło,

że nas one nie obchodziły i nie wzbudzały w nas zainteresowania. Miasto Bachczyseraj miało jeszcze wtenczas postać oryentalną.

Obok tego miasta znajduje się drugie, Czufutkale, zamieszkałe jedynie przez Karaimów, sekty żydowskiej, różniącej się od naszych zwykłych żydów moralnością. Różnica w dogmatach jest podobno ta, iż Karaimy nie przyjmują talmudu i trzymają się ściśle starego testamentu i praw mojżeszowych. Przejęli oni niektóre zwyczaje wschodnie i tak, kobiety u nich mało wychodzą i twarze zasłaniają. Czufutkale odznacza się jedynie bardzo pięknem położeniem.

Pojechaliśmy potem do Sebastopola. Ktoby się był wtenczas spodziewał, że to miasto nabędzie tyle rozgłosu w historyi Europy i że cały zachód zrobi koalicyę dla jego zdobycia i że ta koalicya po długiem oblężeniu potrafi zaledwie połowę jego zdobyć. Obliczywszy krocie ludzi, które tam zginęły i miliony, które wydano, a otrzymane rezultaty — wyprawa krymska zostanie nierozwiązaną zagadką.

W owych czasach Sebastopol był nędzną mieściną, mieszczącą zaledwie niezbędne budynki dla konsystującej tam floty wojennej. Główne zakłady dla moskiewskiej floty czarnomorskiej były w Mikołajowie, leżącym przy połączeniu Dniepru z Bohem, niedaleko ich ujścia do morza. Tam były główne zapasy dla floty wojennej i warstaty dla budowania okrętów. Tam się koncentrowała cała siła Rosyi na Czarnem morzu. Punkt ten tem ważniejszy, że jako leżącemu dość daleko od morza żadna flota szkodzić nie może.

Z Sebastopola, zaopatrzywszy się w suchary i mając danego nam z urzędu żołnierza za przewodnika, puściliśmy się konno, dla zwiedzenia brzegu południowego Krymu. Okolica ta znana jest z piękności i łagodnego klimatu. Wzdłuż morza ciągnie się pasmo gór stromych i skalistych. Że góry te zasłaniają od północy, więc klimat tam jest bardzo umiarkowany.

Nie było wtenczas innej komunikacyi, jak tylko ścieżka ciągnąca się nad morzem, po której zaledwie można było konno przejechać. Dodany nam żołnierz był Greczynem. Za czasów Katarzyny rozpędzono Tatarów i na ich gruntach osadzono kolonię wojskową z samych Greków złożoną. Tych w czasie pokoju dawano podróżnym jako przewodników. Bez nich byłaby podróż niemożebną. Wtenczas na brzegu południowym ludność była przeważnie tatarską. Od wsi do wsi brało się świeże konie, które żołnierz kazał mieszkańcom dawać. Płaciło się za nie co łaska. Nahajka żołnierza zastępowała ugodę. To samo było z noclegami i pożywieniem. Nocowało się po chatach tatarskich. Pożywienie składało się z mleka koziego z sucharami, z orzechów włoskich, a głównie z winogron, które są doskonałe. W ciągu kilku dni raz tylko udało mi się dostać kawałek koziego mięsa, które nam się doskonałem wydawało.

Widząc tę garstkę Tatarów, rozsypaną po Krymie, trudno pojąć, jak kraik ten mógł krociowemi wojskami zalewać Polskę całą i południową Europę. Musiał on być gęsto zaludnionym. Gdy ja go zwiedzałem, prócz brzegu południowego, nieco zaludnionego, były tylko nieuprawne stepy, na których gdzieniegdzie pasły się stada koni i owiec. Budynków żadnych nie było widać. Nawet stacye pocztowe były to jamy w ziemi wykopane, w których się ludzie przed deszczem i zimnem tulili, konie zaś latem i zimą na stepie się pasły. Dopiero, gdy usłyszą dzwonek pocztowy, łapią konie arkanami; każdego konia musiał jeden człowiek trzymać. Dopiero, gdy wszystko było do odjazdu gotowe, ludzie w bok odskakiwali i konie z miejsca unosiły. Po ujechaniu pół stacyi pocztylion mógł niemi zawładnąć. Po zajęciu Krymu Katarzyna część ludności rozpędziła; część przeniosła do innych, azyatyckich prowincyi. Zabrane grunta rozdarowała swoim jenerałom. Lecz ci, więcej zajęci swoją karyerą w Petersburgu, jak gospodarstwem w Krymie, —

zostawili grunta odłogiem i żadnej nie mieli z nich korzyści.

Zwiedziwszy brzeg południowy, wróciliśmy do Odessy na Perekop i Mikołajów. Tam jenerał Witt, komenderujący południowemi posieleniami wojskowemi, zaproponował mi, abym mu towarzyszył w podróży inspekcyjnej, którą miał w posieleniach odbyć. Ciekawy poznać nowy kraj i nieznane mi stosunki, chętnie przyjąłem tę propozycyę.

Posielenia południowe składały się z trzech dywizyj kawaleryi, po 4 pułki. Dwie dywizye były ułańskie, a jedna kirasyerów; kraj przez nie zamieszkały — było to po większej części nasze Zaporoże. Cesarzowa Katarzyna, objąwszy ten kraj i nie ufając wierności Zaporożców, których wspomnienia wiązały z Polską, całą ludność przesiedliła do Uralu i nad Kuban i zrobiła z niej Kozaków Uralskich i Kubańskich, a na ziemi opustoszałej pozwoliła się osiedlić starowiercom (sekcie religijnej), wypędzonym z Moskwy i jej okolic. Na pozostałej jeszcze ziemi osadziła Wołochów i Mołdawian.

Każdy szwadron formował oddzielną wieś; wszystkie te wsie musiały być zbudowane podług jednego planu, z Petersburga przysłanego. Niektóre wsie nie miały kropli wody i musiały po nią chodzić więcej jak pół mili. W każdej wsi oznaczone było miejsce na młyn wodny. Ten stał, chociaż tam i kropli wody nie było; każda osada miała swego gospodarza. Ci razem formowali szwadron gospodarzy, każdy z nich utrzymywał jednego żołnierza czynnego. Reszta ludności męskiej należała do rezerwy, która później kompletować miała szwadrony czynne. Z początku wprowadzono do posieleń istniejące już pułki; rozłożono żołnierzy po gospodarzach z obowiązkiem nie tylko utrzymania ich, ale i wydania za nich córki lub siostry, podług okoliczności. Od tego obowiązku nie wolno było się uwolnić. Młodzież niżej 16 lat składała szwadrony kantonistów; chodziła do szkoły i wpra-

wiała się do służby wojskowej. Każdy gospodarz, prócz utrzymania żołnierza, miał jeszcze obowiązek dawania pewnej ilości owsa, siana i słomy dla koni wojskowych i przyczynienia się do uprawy gruntu szwadronowego, na którym utrzymywano stadninę, mającą dostarczyć remont. Oznaczona była ilość inwentarza, jaką każdy gospodarz winien był utrzymywać. Nie wolno mu było żadnej sztuki bydła, a nawet i zboża sprzedać bez pozwolenia naczelnika szwadronu. Nie wolno też było nikomu ze wsi się oddalić bez pozwolenia komendanta. Był to jednem słowem wzór najsurowszego despotyzmu. Byłby on może dobrym, gdyby naczelnicy byli aniołami.

Przy zaprowadzeniu tego stanu rzeczy w osadach starowierców natrafiono zaraz na trudność, gdy całą ludność ubierano w mundury i kazano brody golić. U starowierców golenie brody uważane jest za wielki grzech. Komenderujący temi posieleniami jenerał Witt, który sam mi to opowiadał, zrobił raport do Petersburga, proponując, aby pozwolono starowiercom zachować brody. Przyszła odpowiedź przeciwna i nakazująca przeprowadzić golenie bród, bez względu na środki do tego użyte. W jednej wsi cała ludność: mężczyźni, kobiety i dzieci, zebrała się za wsią, chcąc opór stawić. Zatoczono działa i poczęto do hurmy strzelać kartaczami. Gdy ją tem rozprószono, łapano pojedynczych i bito, póki nie zezwolili na ogolenie brody. Zabito tym sposobem pod kijami piętnastu. Żony i siostry stały przy nich, dodając im odwagi do zniesienia męczeństwa. Szesnasty dopiero nie wytrzymał i dał sobie brodę ogolić; za nim poszła i reszta.

Byłem w tej wsi cztery lata po tej okropnej egzekucyi. Na twarzach tych biedaków malowała się, przy strachu przed oficerami, nienawiść i chęć zemsty. Rozkaz ten z Petersburga wydany był za Alexandra I., wsławionego ze swej łagodności. Miał on wielkie zaufanie w jenerale Arakczejewie, który naczelnie do-

wodził wszystkiemi posieleniami wojskowemi, a sławny był ze swego okrucieństwa. Mówią o nim, że razu jednego, gdy się ubierał, przyszedł do niego jego koniuszy i doniósł mu, że jego klacz ulubiona zachorowała. On, nie dosłyszawszy i o czem innem myśląc, odpowiedział krótko „tysiąc pałek i w Sybir“. Biedna klacz tysiąc pałek dostała, lecz zanim ją w Sybir wyprawiono, rzecz się wyjaśniła. Wieluż to ludzi stało się ofiarą chwili roztargnienia samowładnego pana.

Jenerał Witt ze zgrozą rozpowiadał mi ową okropną egzekucyę na starowiercach. Nie był on złym człowiekiem, a przecież bez wyrzutów sumienia wykonał otrzymany rozkaz. Owszem, byłby sobie wyrzucał, gdyby rozkazu wyższej władzy nie był ściśle wykonał. Jego ojciec był Holendrem, w służbie Rzeczpospolitej Polskiej i komendantem Kamieńca Podolskiego, który Rosyanom oddał. Jego matka była Greczynką. Była później żoną Szczęsnego Potockiego. Słynęła ze swej piękności. Znałem ją, ale już starą i brzydką. Bardzo młody Witt wszedł do wojska moskiewskiego. Służył w pułku gwardyi kawalergardów. Bywając często w Tulczynie, u matki, mówił jak Polak po polsku i między Polakami chciał za Polaka uchodzić.

Podróżując z nim przez parę tygodni w jednym pojeździe i sypiając zwykle w jednym pokoju, zawiązała się między nami pewna zażyłość. Mówił mi raz o istniejących w Polsce i Rosyi tajnych towarzystwach, o pewnej w Rosyi rewolucyi, która mogłaby Polakom służyć do odzyskania niepodległości. Mówił dalej: „Za wiele winien jestem wdzięczności cesarzowi Alexandrowi, aby nie być mu wiernym, ale zdecydowany jestem, za odebraniem wiadomości o jego śmierci, ruszyć z moim korpusem na Kijów i opanować tamtejszy arsenał“. Nie wiedziałem wówczas, co to znaczyć miało. Dowiedziawszy się później, że to on odkrył wszystkie spiski i ich członków, domyślam się,

że mi to powiedziane było, aby się czegoś ode mnie dowiedzieć i przekonać się, czy i ja do tego nie należę.

Oficerowie, szczególnie niżsi, byli po większej części Polacy, albo Małorusini, z gubernii naddnieprskich. Wtenczas to po raz pierwszy słyszałem o kwestyi ruskiej. Rusini ci uważali za urazę, żeby nazwać ich Rosyanami. Mówili zawsze między sobą po polsku, albo po rusku. Żyli między sobą, albo z Polakami, — a od rodowitych Rosyan stronili. Jeśli kiedy przy zaburzeniach wyjdzie na wierzch kwestya ruska, to nie będzie u nas, ale nad Dnieprem.

Po manewrach koło Miłgorodu byliśmy proszeni na obiad do paną Złotnickiego w Złotopolu, jednego z głównych przywódców Targowicy. On to miał głównie wciągnąć Szczęsnego Potockiego. Był to człowiek już bardzo wiekowy, rozumny, ale malowała się na jego twarzy chytrość. Słyszałem później, że dwaj jego synowie, którzy od młodu służyli w wojsku moskiewskiem, chcieli w r. 1831 uciec do nas. Tak to się poczucie miłości ojczyzny odzywa nawet w dalszych pokoleniach.

W posieleniach jak w całej Rosyi wszystko wymierzone było na okaz dla zwodzenia przełożonych i odurzenia cudzoziemców. Opowiadano mi, że przybył raz jenerał, posłany dla inspekcyi z Petersburga. Obchodził mieszkania kolonistów. Dla okazania mu ich zamożności był w każdej chałupie zastawiony stół z obiadem i wszędzie stało na stole prosię pieczone. Adjutant tego jenerała, posądzając, że wszędzie to samo prosię figuruje, niepostrzeżenie urwał mu ogon. Rzeczywiście w następnych chałupach było prosię, ale bez ogona.

Po każdych manewrach szedł o nich szczegółowy raport do Petersburga. W tych raportach, które sam czytałem, było zaznaczone, że plutony wystąpiły w 22 rot. Obliczałem roty na polu i nigdy ich więcej nie naliczyłem, jak 15. A więc każdy szwadron był na papierze silniejszy, jak w naturze, o 56 ludzi.

Jaka jest potęga kija, o tem nieraz miałem sposobność przekonać się w Rosyi. Jak mówiłem, część posieleń osadzona była na dawnych osadach mołdawskich. Tam ludność nie umiała i słowa po moskiewsku. Po sześciu latach młodzież już tylko po moskiewsku umiała, tak, że dziadek z wnukiem prawie rozmówić się nie mógł. Tego kij dokonał.

W Złotopolu pożegnałem jenerała Witta i na Humań i Granów wróciłem do Teofilpola. Po drodze zatrzymałem się kilka dni w Granowie, majątku mego szwagra, xięcia Adama Czartoryskiego. Tam było jego stado, które używało wielkiej reputacyi. Sam miewałem konie z tego stada, które były znakomite. Granowszczyzna dostarczała kozaków do dworu Czartoryskich. Lud był bogaty i bardzo do rodziny Czartoryskich przywiązany. Xiążę jenerał ziem podolskich z powodu długów zamierzał Granowszczyznę sprzedać. Gdy się o tem włościanie dowiedzieli, posłali do xięcia deputacyę, ofiarując, że złożą mu sumę, jaką kupcy ofiarują, byle ich nie sprzedał.

Ogólnie włościanie na Podolu i na Ukrainie byli bardzo do swych panów przywiązani w dobrach dziedzicznych, które od kilku pokoleń w tej samej rodzinie zostawały. Za to nowych nabywców nienawidzili. Na jarmarkach często bywały bójki między włościanami granowskimi a humańskimi o kwestyę kto lepszy: czy Potocki, czy Czartoryski, a stąd, czyi poddani są wyżsi. W roku 1831 klucz granowski dał powstaniu paręset Kozaków ochotników, którzy na koń siedli, gdy im powiedziano, że Czartoryski został królem polskim. Jakaż dziś zmiana w wyobrażeniach! Przemawiać tam do chłopa w imieniu Polski, było zawsze daremne. Za dawnymi panami byłby może poszedł. Dziś konfiskaty i nierząd zmieniły warstwę właścicieli; dzisiejszych ogólnie chłop nienawidzi. Zresztą są nimi po większej części Rosyanie. Nienawiść i chęć rabunku może pobudzić rzezie, ale poczucia narodowego nie obudzi.

Tajne stowarzyszenia patryotyczne zaczęły się szerzyć między młodzieżą, mianowicie na uniwersytecie wileńskim. Rosyanie, nienawistni zakładom naukowym w prowincyach polsko-rosyjskich, przedstawiali rzecz jako o wiele niebezpieczniejszą dla państwa, niż było rzeczywiście. Mianowicie Nowosilcow starał się tem szkodzić xięciu Adamowi Czartoryskiemu. Aresztowano w Wilnie wiele młodzieży i to najzdolniejszej, za stowarzyszenie, które miało jedynie na celu kształcenie się, ale także pracowanie nad historyą i literaturą polską — i to wystawiano jako zbrodnię stanu. Wtenczas to Malewski, Mickiewicz i wielu innych po długiem więzieniu skazani byli wejść do służby rosyjskiej i mieszkać musieli w Petersburgu i w głębi Rosyi.

Cesarz Alexander, wracając z kongresu podobno w Lublanie, miał głowę nabitą spiskami studenckimi po uniwersytetach niemieckich; to samo chciał odkryć u nas, a uczynni policyanci i szpiegi chcieli tej jego manii dogodzić. Słyszałem, że w czasie tego kongresu xiążę Metternich mówił cesarzowi Alexandrowi o tych spiskach i o niebezpieczeństwie, jakiem to grozi wszystkim tronom w Europie. Na to cesarz odpowiedział: „Ja jeden jestem bezpieczny“. — „Mylisz się Wasza Cesarska Mość i w tej chwili masz rewolucyę w Petersburgu“. — W tej też chwili nadszedł kuryer z Petersburga z doniesieniem, że gwardyjski pułk (podobno preobrażeński[8]) zbuntowany. Bunt prędko przytłumiono, ale wrażenie na cesarzu pozostało i odtąd wszędzie widział spiski.

Cesarz przedsięwziął odbyć podróż przez Wołyń i Podole do Krymu. Oświadczył, że po drodze odwiedzi xięcia Czartoryskiego, bawiącego w Wołosowcach pod Międzyborzem. Oznaczył na mapie drogę, którą chce jechać. Na nieszczęście droga ta na mapie istniała, ale w naturze jej nie było. Nie można było do tego cesarzowi się przyznać. Wytknięto więc drogę, spędzono kilkanaście tysięcy ludzi z wsi okolicznych. Ci

dzień i noc robili, przez lasy drogę wykarczowali, wyrównali, rowami okopali, drzewami choć bez korzeni obsadzili i za tydzień wszystko gotowe było. Biedni ludzie wyniszczyli siebie i swój dobytek, musząc przez tydzień pracować o kilka mil odległości od domu, bez dachu i przytułku przed słotą, ale oszukaństwo przed cesarzem się ukryło.

Byłem w Wołosowcach, gdy nadjechał feldjeger z wiadomością, że cesarz chce w Wołosowcach nocować. Że tam był tylko niewielki dom folwarczny, wybudowano dużą oficynę z tarcic dla służby cesarskiej. Ta w kilka dni stanęła. Pościągano od sąsiadów meble. Dość, że wszystko na czas gotowe było. Ja na kilka dni wyjechałem i po odjeździe cesarza wróciłem. Xiążę rozpowiadał mi rozmowę z cesarzem, która toczyła się głównie o sprawie studentów wileńskich. Xiążę przedstawił, że stowarzyszenia, o których tyle robią hałasu, nie miały żadnych dążności politycznych; głównem ich celem było kształcenie naukowe i wzajemne pomaganie sobie. Ci, którzy rzecz pod innem światłem Najjaśniejszemu Panu przedstawiają, mają na celu głównie jemu (xięciu) szkodzić przed monarchą i zająć po nim posadę kuratora. Cesarz nastawał na to, że to stoi w związku ze spiskami politycznymi, istniejącymi między studentami w całych Niemczech. „A co do twej posady kuratorskiej wiem, o kim myślisz, o Nowosilcowie. Mogę ci dać słowo, że on po tobie nie nastąpi“. Rzeczywiście wkrótce potem xięciu dano dymisyę i zamianowano kuratorem szkół litewsko-ruskich pana Laval. Po kilku miesiącach dano mu dymisyę i oddano kuratoryę Nowosilcowowi. Tym sposobem i słowa dotrzymano i swoje zrobiono.

Czytam w pamiętnikach Karola Kaczkowskiego, że wtenczas w czasie odwiedzin cesarza w Wołosowcach xiążę podał o dymisyę. O tem mi on nie mówił. Czy więc prosił o dymisyę, czy dana mu była „*proprio motu*“, zupełnie mi nie wiadomo. — Nowosil-

cow odbierając kuratoryę, najpiękniejsze dał xięciu Adamowi świadectwo, mówiąc, że „xiążę Adam przynajmniej o wiek cały opóźnił amalgowanie tych prowincyi z Rosyą“ [9].

Gdy xiążę złożył kuratoryę, wszyscy urzędnicy kuratoryi nie chcieli go opuścić i podali się do dymisyi. Jeden tylko, Bobiatyński, pozostał w służbie przy Lavalu, a później przy Nowosilcowie. Ten sam Bobiatyński po r. 1831, gdy z powodu emisaryuszów, przybyłych z emigracyi, odbywały się śledztwa jednocześnie w Królestwie i Galicyi, — posłany był do Lwowa dla porównania zeznań więźniów lwowskich i warszawskich. Dostał on raptownie pomięszania zmysłów. Wystawił sobie, że jest we Lwowie rewolucya, i że lud chce go zamordować. Każdemu wchodzącemu do pokoju rzucał się do nóg, wołając: „Zabijcie, ale się nademną nie pastwcie!“ i wtenczas przyznawał się do wielu okropnych sprawek, jak kazał więźniów męczyć, aby z nich wymódz zeznania i inne podobne. Dowiedział się o tem pan Krieg, prezes gubernium pod arcyxięciem Ferdynandem, wpadł z ludźmi do jego pomieszkania, jego i rzeczy zabrał i wywiózł. Czy wyzdrowiał, czy umarł, nie jest mi wiadomo, bo go największą tajemnicą otoczono. Słyszałem o tem od Mezenseffyego, u którego Bobiatyński mieszkał. Nie chciał on nigdy podać szczegółów o tem, co Bobiatyński mówił. Tłómaczył się tem, że mu kazano obiecać milczenie pod surową odpowiedzialnością i że zgubiłby siebie i rodzinę, gdyby się dowiedziano, że cokolwiek z tego, co słyszał, wyjawił. Zagrożenie musiało być silne, kiedy przedemną się taił, z którym był dość poufale, trudniąc się moimi interesami we Lwowie.

Przybyły do Wołosowiec moja siostra i Matka. Moja siostra była młoda i wesoła, co często dziwnie odbijało z powagą jej stanowiska. Razu jednego, gdy się poważni goście rozeszli, moja siostra zaproponowała mi, aby pójść na spacer do ogrodu. Darmo przedstawiałem, że deszcz ulewny pada. Wyszliśmy do ogrodu.

Wkrótce za mało było ogrodu. „Pójdźmy na pole, ale żeby nas nie widziano“. Trzeba było przebić się przez płot. Zaczęła przy mojej pomocy drapać się na wysoki, ociemniony płot. Udało mi się wyciągnąć ją aż na szczyt płota, ale stamtąd ani sposobu ją sprowadzić. Nie było innego środka, poszedłem na gumno w nadziei, że tam znajdę jaką drabinę. Udało mi się znaleźć drabinę od woza. Wziąłem ją i cichaczem niosę do ogrodu. Wtem spotyka mnie ekonom; na żaden sposób nie pozwala, abym sam niósł drabinę. Woła dwóch chłopów, każe im drabinę wziąć i z nimi za mną idzie do ogrodu. Jakież było jego zadziwienie, gdy tam zobaczył xiężnę wojewodzinę przemokłą i siedzącą na szczycie płota. Strasznie się też i moja siostra zmięszała; ale cóż było robić, trzeba było z pomocy korzystać, aby wrócić do domu.

Xiążę Adam był bardzo wesoły i lubił dokazywać, gdyśmy byli sami. Raz po obiedzie we trójkę z moją siostrą skakaliśmy i tańcowali gawota. Wtem służący anonsuje wizytę osoby bardzo poważnej. Ustały naturalnie tańce. Gość po pierwszych przywitaniach począł xięciu mówić o bardzo poważnej sprawie. Xiążę stojąc przed kominkiem, niby słucha poważnie. Że był ogromny dystrakt, zapomina o sprawie i gościu, zaczyna śpiewać gawota i tańcować. Łatwo pojąć osłupienie gościa. Xiążę się spostrzegł i począł go najmocniej przepraszać i prosić, aby dalej o sprawie mówił. Ale mu już nie szło. Skończył więc wizytę prędzej, niż zamierzał i uciekł, niebardzo pojmując, co się stało.

Kiedy mówię o dystrakcyach xięcia Adama, wspomnieć muszę o jednej, która dłuższy czas była powodem żartów w Puławach. Xiężna jenerałowa wieczorem kazała xięciu, aby jej przyniósł obraz z drugiego pokoju. Xiążę pobiegł, i przynosząc obraz nie uważał na blizko stojącego p. Matuszewicza, ramą mocno go w głowę uderzył i nic na to nie mówił. Xiężna przepraszała Matuszewicza i mówi do syna: „Jakże,

panie Adamie, nie przepraszasz pana Matuszewicza?“ Xiążę długo patrzy na Matuszewicza, nareszcie mówi: „Tak, będzie guz!“

Miałem w Lachowcach dzierżawcę pana Męcińskiego. Zajeżdżałem do niego, ile razy mi wypadało w Lachowcach nocować. Był to bardzo stary człowiek, prawdziwy szlachcic sejmikowy. Lubił on rozprawiać o dawnych czasach i ja też lubiłem rozmowę na ten przedmiot zwrócić. Mówił mi raz: „Zawsze trzymałem partyę Czartoryskich. Na sejmik w Kamieńcu przyjechał pan Skowroński (sekretarz xięcia jenerała). Przeciw nam była partya Branickich, ale jak pan Skowroński — jak było umówione — dobył białej chustki, my do karabel i rozpędziliśmy Branickich“. — Pytałem się go, o co szło. On na to: „O co szło, wiedział pan Skowroński, ale myśmy ich na kwaśne jabłko porąbali“.

Zdawało mi się to dawniej dowodem okropnego głupstwa. Później jednak nabyłem przekonania, że ująwszy karabele, na tem stoją rządy konstytucyjne w krajach, gdzie one dobrze funkcyonują. Każdy według swego przekonania wybiera sobie stronnictwo, do którego chce należeć. Każde stronnictwo ma swoich przewódców. Ci decydują, jak postępować wypada. Inni idą za nimi, nie pytając się dlaczego tak, a nie inaczej. Naczelnicy nie zawsze mogą wyjawić powody swego postępowania. Inni idą za nimi, nie z przekonania, ale przez ufność ku nim. Gdzie tego niema, gdzie każdy chce o wszystkiem wiedzieć, o wszystkiem wyrobić sobie osobiste zdanie, tam nie mogą być stronnictwa i wszystko zależy od chwilowych większości. — Męciński pokazywał mi swoją sejmikową karabelę. W końcu była dziura, przez którą drut przewlekano. Gdy szablą machano, drut po twarzach ciął, tak, że się nikt zbliżyć nie mógł. — Później dowiedziałem się, że na tym sejmiku w Kamieńcu szło o wybór xięcia Adama syna, jeszcze młodego, na posła do sejmu czteroletniego.

Zanim z Rusi przeniosę się myślą do Warszawy, wspomnieć muszę o dwóch wypadkach, dających poznać ducha duchowieństwa, tak zwanego „prawosławnem“.

Bywałem często u xiążąt Sanguszków, czy to w Antoninach, gdzie latem przebywali, czy w Sławucie, gdzie zimowali. Gdy raz byłem w Sławucie, przyjechał z Ostroga archimandryta, czyli biskup prawosławny. Proszono go na obiad. Po obiedzie nieco rozweselony, począł nam historyę swoją rozpowiadać. Był on za cesarza Pawła kapitanem w gwardyi. Pułkownik jego, żonaty, z żoną nie żył. Chcąc uwieść pannę, udawał się za kawalera, prosił o jej rękę i przyjętym został. Bojąc się jednak, aby jeźli się uda do popa o błogosławieństwo, nie wykryło się, iż jest żonatym, sądził, że lepiej kapitana swego przebrać za popa, żeby ten dał mu ślub. Tak też się stało. Później rzecz cała się wykryła. Dekretem cesarza pułkownik skazany był na degradacyę w sołdaty, a kapitan w popy. Ów kapitan pop przez protekcyę awansował na archimandrytę i — jak sam mówił — dobrze na tem wyszedł, bo jego koledzy w wojsku dosłużyli się dopiero stopni jenerał-majorów, kiedy jego czyn, jako archimandryty, jest o jeden stopień wyższy. Nie wiadomo, co gorsze, czy taką zbrodnię popełnić, czy się do niej tak bezczelnie przyznawać.

W dobrach teofilpolskich chłop przy spowiedzi przyznał się popowi, że przed kilkunastu latami uciekł z wojska i osiadł u gospodarza. Pop o ten zeznaniu doniósł natychmiast sprawnikowi. Zjechała komisya. Podług prawa, miałbym był zapłacić po rubli 300 za każdą noc, którą dezerter w mych dobrach przepędził. Wynosiło to sumę o wiele wyższą, niż wartość całego majątku. Gospodarz, który dał dezerterowi przytułek, miał być z całą rodziną posłany na Sybir, a sam dezerter odesłany do pułku i karany pałkami. — Trzeba było koniecznie sprawę tę umorzyć. Ugodziłem sprawnika za 300 rubli. Pop, nastraszony przez spra-

wnika, za 25 fur drzewa przysiągł, że o tej denuncyacyi nic nie wie i że chłop nie mówił mu, iż był dezerterem.

Dyrektorem komory w Wołoczyskach był pewien Korsak. Znałem go, bo się był ożenił z wdową, która dzierżawiła folwark Czołhuzów z Teofilpolszczyzny. Ten odebrał raz list od hrabiego Guriewa, ministra finansów, w którym ten, zważywszy, że towary są tańsze w Wołoczyskach nad granicą, niż w Petersburgu, prosił go o kupno przedmiotów, potrzebnych na wyprawę dla jego córki. Przy spisie żądanych przedmiotów było dołączonych na ich kupno rubli 100. Kupno ich byłoby wyniosło do rubli 10.000. — Korsak musiał dokładnie wykonać polecenie p. ministra pod utratą służby. Tak sobie poradził, że pojechał do Krzemieńca, Dubna i innych głównych miast nadgranicznych. Pod pozorem denuncyacyi, że główni kupcy mają kontrabandę, zapieczętował im sklepy, mając zrobić rewizyę. Do niej jednak nie przystępował. Kupcy, mając sklepy zapieczętowane i nie mogąc się rewizyi doczekać, udali się do Korsaka, aby się dowiedzieć, o co rzeczywiście idzie. On im oddał spis przez ministra przysłany i oświadczył, że sklepów nie otworzy, póki żądanych przez niego przedmiotów nie dostanie. Złożyli kupcy towary, a przysłane przez ministra 100 rubli jemu się zostały.

Ten sam Korsak został uwiadomiony, że z polecenia wielkiego xięcia Konstantego przyjedzie jenerał Bajkow dla rewizyi komor. — Wiedział on, co taka rewizya znaczy, więc co tylko miał kosztowniejszego, nawet lepsze suknie żony, rozesłał po sąsiadach. Bajkow przyjechał. Prócz dość znacznej sumy pieniężnej, zabrał z domu wszystko, co jakąkolwiek wartość miało, nawet z garderoby pani. Wielki xiążę lubił Bajkowa, bo miał w nim na wszystko gotowego sługę. Dał mu tę misyę jedynie dlatego, aby mógł zapełnić zawsze próżną kieszeń.

*

Nie lepiej się działo koło samego wielkiego xięcia. Miał on przy sobie jenerała Gendre'a. Ten miał nadzór nad jego stajnią. Dyrektor poczt w Warszawie [Sumiński] miał cztery konie zaprzężne, bardzo ładne. Podobały się wielkiemu xięciu. Polecił Gendre'owi, aby starał się je kupić. Wykonał on polecenie, ale w rachunku położył za nie wielkiemu xięciu szaloną cenę. Wielki xiążę, spotkawszy Sumińskiego, mówił o kupionych od niego koniach, chwalił je, ale zauważył, że cena była przesadzoną. Na to Sumiński odpowiedział, że taka i taka cena nie zdaje mu się przesadzoną. Cena ta nie wynosiła i połowy ceny, podanej przez Gendre'a. Wielki xiążę, wróciwszy do domu zagniewany, kazał Gendre'a zawołać i okropnie go złajał. Ten widząc, że jego kradzież wykryta, aby ubłagać wielkiego xięcia, rzucił mu się do nóg. Wtenczas wielki xiążę tak mocno kopnął go nogą w twarz, że mu kilka zębów wybił. Po tej scenie nastąpiła zgoda i Gendre na swojej posadzie pozostał. — Pani Gendre grywała w karty i to bardzo wysokie partye. Wyuczyła synka, aby biegając koło stołu, zaglądał w karty graczom i jej na migi pokazywał, jakie kto ma karty. Tym sposobem zawsze wygrywała. Wiedziano o tem, ale z nią grywano, aby otrzymać choć słówko za sobą u wielkiego xięcia.

Taka była wówczas Rosya. Czy dziś inaczej? Nie wiem, ale mi się nie zdaje.

Za przykładem rządu niemoralność i przekupstwo wkradły się do obywatelstwa. Wielka część urzędów była wybieralna przez szlachtę. I do tych nawet urzędników czasem przemawiać trzeba było datkami pieniężnymi. — Pamiętam, jak przykrego doznałem wrażenia, gdy raz pojechałem do sąsiada, wówczas chorążego powiatowego, z aktami pewnej sprawy. W aktach było kilka banknotów po 100 rubli. Począł on dość niekorzystnie wyrażać się o sprawie. Gdy natrafił na banknoty, bałem się, aby mnie za drzwi nie wyrzucił. Przeciwnie, banknoty rozjaśniły jego czoło i przeko-

nały, iż sprawa była słuszną. — Przed wyborami odwiedziło mnie kilku obywateli z prośbą, abym popierał wybór na sędziego pewnego sąsiada. Jako powód poparcia tego wyboru podawano, że podupadł w interesach. Aby więc mógł się poratować, trzeba mu było bezpłatnego urzędu sędziowskiego.

Interesa wymagały, abym pojechał w zimie na kontrakty do Kijowa. Rad byłem poznać to miasto, stolicę dawnej Rusi. — Po drodze wstąpiłem do Tadeusza Walewskiego, do Hamerni. Tam spotkałem xięcia Antoniego Jabłonowskiego, dawnego znajomego i krewnego. Jechał także do Kijowa. Więc wybraliśmy się razem i tam razem mieszkaliśmy. Przez niego poznałem jenerał-gubernatora Rajewskiego, dwóch jego synów i dwóch zięciów, Michała Orłowa i xięcia Wołkońskiego. Jenerał Rajewski często wieczorami przyjmował; towarzystwo bywało prawie całkowicie polskie. Do xięcia Jabłonowskiego często przychodzili młodzi Rajewscy, ich szwagrowie, tudzież przybyły z Warszawy Krzyżanowski. Pomiarkowałem, że idzie o jakieś tajne polityczne działanie. Że zawsze nienawidziłem spisków i w ich skuteczność nie wierzyłem, że zresztą mieszkanie Jabłonowskiego na Peczerskiem za dalekie było od środka interesów na Padole, więc się z nim rozłączyłem i mieszkałem z Puchalskim, plenipotentem mego szwagra, xięcia Czartoryskiego.

Na tych to schadzkach u Jabłonowskiego, jak się później dowiedziałem, zawiązały się bliższe stosunki między towarzystwami: polskiem i rosyjskiem. Wszyscy członkowie tych schadzek skazani byli na Sybir. Michał Orłow i Wołkoński podobno nigdy nie wrócili. O Orłowie nieraz mi mówił w Petersburgu brat jego, Alexy. Utrzymywał, że wszystkie starania jego o uwolnienie brata były bezskuteczne. Sądzę, znając jego wpływy, że robione kroki nie bardzo były usilne.

Kijów składa się rzeczywiście z dwóch miast, jedną tylko drogą połączonych: Peczerskie, na górze położone, jest częścią elegancką miasta. Tam są pałace

możniejszych panów, władz rządowych i sławny klasztor czerńców, do którego odbywają się pielgrzymki prawosławnych. — Padoł składał się wtenczas prawie wyłącznie z domów piętrowych, ale drewnianych. Tam mieszkał świat kupiecki, tam robiły się wszystkie interesa. Peczerskie wyglądało jak inne miasta europejskie; Padoł miał zupełnie cechę moskiewską. Ogromna ilość cerkwi z zielono malowanemi kopułami, ciągłe w nich dzwonienie, masa uwijających się po ulicach mieszkańców w moskiewskich kaftanach i czapkach, mnóstwo sanek o jednym koniu, także po moskiewsku zaprzężonym — oto były cechy tego miasta.

Wracając z Kijowa, zatrzymałem się w Żytomierzu, stolicy gubernii Wołyńskiej. Mieszkałem u Piotra Moszyńskiego, ówczesnego marszałka guberskiego. Był to bardzo zacny, młody człowiek, ale nadto był młody, aby mieć powagę i takt potrzebny na tę posadę. Gdy cesarz Alexander odbywał rewie na Wołyniu, przyjechał na nie Moszyński; wystąpił na pięknym koniu arabskim, w bogaty staropolski rząd ubranym, sam w sutym polskim stroju. Gdy go cesarz z daleka zobaczył, kazał mu przez adjutanta powiedzieć, aby odjechał. To naturalnie odebrało mu w oczach urzędników wszelką powagę. Dotąd marszałkowie guberscy mieli ważny bardzo przywilej. Mogli wstrzymać wykonanie rozporządzenia gubernatora i odwołać się wprost do cesarza. Prawo to miało znaczenie, o ile marszałka osobistość miała u cesarza poważanie. Trudno było, aby je miał dziewiętnastoletni młodzieniec.

W czasie mego pobytu w Żytomierzu przyjechał tam, a raczej przywieziony został przez feldjegra, xiążę Eustachy Sanguszko. — Rzecz się tak miała. Przed kilku laty, gdy jeszcze żyła xięcia córka, Dorota, podróżując z matką, nocował w jakiejś karczmie. Nocował tam także oficer moskiewski. Ten, upiwszy się wieczorem, wyrabiał brewerye i nawet z pistoletu strzelał do drzwi pokoju, w którym nocowała Dorota.

Ona wyjechawszy wkrótce do Włoch, tam umarła. Przypisywano jej chorobę, podobno niesłusznie, strachowi, którego ją nabawiła owa scena w karczmie. Takie było przynajmniej przekonanie xięcia.

Ten sam oficer, posłany przez wielkiego xięcia Konstantego za kupnem koni, przyjechał do Sławuty, kazał sobie dać pokój i oświadczyć xięciu, że pragnie się z nim widzieć. Xiążę posłał do niego z oświadczeniem, że po awanturze, jaka miała miejsce w owej karczmie, nie może się z nim widzieć i prosił go, aby odjechał. Oficer oświadczył, iż się nie oddali, póki xięcia nie zobaczy. Xiążę zniecierpliwiony, poszedł do niego; zekpawszy go porządnie, kazał kozakom jego i rzeczy jego z domu wyrzucić. Na drugi dzień, uspokoiwszy się, poczuł, iż takie obejście się z oficerem może niemiłe dla niego skutki pociągnąć; posłał do niego, przepraszając i ofiarował mu honorową satysfakcyę, zostawiając mu wybór miejsca spotkania i broni. Oficer odmówił, lecz zaraz o tym wypadku złożył raport wielkiemu xięciu Konstantemu, który dogadzając swej nienawiści do xięcia, wyprawił w ten moment feldjegra do Sławuty z rozkazem porwania xięcia, wywiezienia go, nie mówiąc nikomu dokąd i zawiezienia go do Żytomierza, gdzie opieczętowany rozkaz ma być otwartym. Podług tego miał być xiążę w turmie, przeznaczonej dla zbrodniarzy, razem z nimi zamkniętym. W Żytomierzu ograniczono się na ośmiodniowym domowym areszcie.

Dowiedziawszy się o przybyciu xięcia, pobiegłem zaraz do niego. Opowiedziawszy mi rzecz całą, prosił, abym pojechał do Sławuty; nie wiedziano tam bowiem, dokąd xiążę wywiezionym został i obawiano się, czy nie na Sybir. Natychmiast polecenie to wykonałem. Zastałem xiężnę w okropnym stanie. Gdym jej powiedział, że mąż tylko w Żytomierzu, że za tydzień wolnym będzie i że go zastałem zupełnie zdrowym, dopiero się uspokoiła, choć długo wierzyć nie chciała.

Wielki xiążę nie cierpiał xięcia Eustachego, nie tylko za dawne grzechy, że służył pod Kościuszką, był jenerałem rosyjskim, później odbywał kampanię 1812 roku w wojsku polskiem, ale i tego mu darować nie mógł, że syna Romana dał do gwardyi w Petersburgu, a nie pod jego komendę do wojska polskiego, albo do korpusu litewskiego. Zdaje mi się, że oficer, o którym była mowa, nie z własnego natchnienia zajechał do Sławuty, ale z polecenia wielkiego xięcia. — Przewidywał, że z tego wypadnie burda, która da mu sposobność dokuczenia xięciu. Jeśli takie rzeczy spotykać mogły najznakomitszych w kraju obywateli, cóż dopiero było z mniej znanymi!

Przez sprzedaż kilku wsi na Wołyniu interesa mojej Matki o tyle uporządkowane zostały, iż nie było już wierzycieli, natarczywie żądających zwrotu ich kapitałów. Mając mniej kłopotów z interesami, a idąc za namową i przykładem rodziny, postanowiłem wejść do służby publicznej. Potrzeba pracy dla kraju tak ogólnie była odczutą, że w Warszawie nie było młodego człowieka, któryby choć dla pozoru nie zapisał się do jakiego biura. Nie wszyscy może rzeczywiście pracowali, ale aby być w towarzystwie dobrze widzianym, trzeba było choć pozornie oddać się jakiejś pracy. Miało to wielką korzyść. Skutkiem tego wielu się wykształciło na bardzo użytecznych obywateli.

Wybrałem sobie ministeryum finansów [marzec 1825]. Na jego czele stał xiążę Lubecki, człowiek niepospolitych zdolności. Młodym chłopcem oddany był przez rodziców do szkoły kadetów w Petersburgu. Jako podporucznik w wojsku rosyjskiem odbył pod Suwarowem kampanię przeciw Francyi. Później wyszedł ze służby i na wsi mieszkał. Wojna 1812 roku zastała go marszałkiem guberskim w Grodnie. Dał się wtenczas poznać cesarzowi Alexandrowi dobrą organizacyą oprowiantowania cofającego się wojska rosyjskiego. Po okropnych klęskach 1812 i 1813 roku cesarz Alexander, objąwszy Xięstwo Warszawskie, po-

stanowił do jego zarządu Radę administracyjną i do jej grona zawezwał xięcia Lubeckiego. Po ustanowieniu Królestwa Polskiego xiążę pozostał członkiem tej Rady, choć bez specyalnej teki. Ministrem finansów był wówczas Węgleński. Królestwo było wycieńczone po wojnach. Przy niesprężystej administracyi podatki nie wpływały — tak, że dochody nie wystarczały nawet na opłacenie wojska. Rada administracyjna zdała cesarzowi raport, przedstawiający smutny stan finansów i jako jedyny środek zaradczy wnosiła na zmniejszenie wojska, a przez to i wydatków na nie. Na ten raport odpowiedział cesarz bardzo ostro. Utrzymanie wojska na tej samej stopie było warunkiem istnienia Królestwa Polskiego. Gdyby ono tego nie mogło wykonać, byłoby to dowodem niemożności jego istnienia. Nie pozostawałoby wtenczas, jak zamienić je w prowincyę rosyjską. Odpowiedź ta przeraziła członków Rady.

Wtenczas xiążę Lubecki napisał długi i wyczerpujący memoryał; dowodził, że Królestwo może swoim wydatkom zadość uczynić, lecz potrzebna jest gruntowna zmiana w administracyi finansów. Wskutek tego został on mianowany ministrem finansów. — Aby poznać działalność i zasługi xięcia Lubeckiego, porównajmy stan finansów Królestwa w chwili, gdy ich administracyę odebrał, — ze stanem, w którym je zostawił przed powstaniem 1830 roku. Gdy xiążę objął ministerstwo, całkowity dochód Królestwa wynosił 55 milionów złotych polskich — właśnie tyle, ile wynosiły wydatki na wojsko. Rząd był zabrał wszystkie depozyta sądowe. Zalegały płace wojskowe miesięczne, urzędników cywilnych kwartalne. Dla braku funduszów nie budowano żadnych gościńców, ani wykonywano żadnych robót publicznych. Podatki z największą trudnością wpływały. Wielka część majątków prywatnych była pod sekwestrem dla zaległych podatków. Majątki ziemskie tak były zadłużone, że suma długów zahypotekowanych przewyższała ówczesną

wartość ziemi. Musiano więc utrzymać moratoryum, czyli prawo, że właściciel ziemi nie mógł być sądownie przymuszonym do zapłacenia długu przez sprzedaż majątku nieruchomego. O kredycie więc mowy być nie mogło.

Przy końcu administracyi xięcia Lubeckiego dochód państwa podniósł się z 55 na 88 milionów złotych polskich. Wszystkie depozyta sądowe, przez rząd zabrane, były zwrócone; płace wojskowe i cywilne, zaległe i bieżące, regularnie wypłacane. W skarbie publicznym była rezerwa około 80 milionów. Budowano gościńce, kopano kanały i inne roboty publiczne wykonywano. Podatki wpływały bez trudności. Przez zaprowadzenie Towarzystwa Kredytowego majątki były z długów oczyszczone. Moratoryum zniesiono. Zaprowadzony bank ułatwił obywatelom nabycie potrzebnych dla rolnictwa machin, narzędzi gospodarskich i inwentarzy. Otwierane przez niego kredyta fabrykantom dźwignęły przemysł. Jednem słowem, kraj zupełnie inną przybrał postać. Z położenia swego, jako minister finansów, musiał na siebie ściągnąć niechęć wielu osób. Nie mógł być pobłażliwym w ściąganiu podatków. Musiał być oszczędnym w wydawaniu publicznego grosza. Jedno i drugie się nie podobało.

Głównym jego nieprzyjacielem był wielki xiążę Konstanty, który ciągle chciał powiększać wydatki na wojsko i lubił swym pochlebcom przyczyniać dochodów. Xiążę Lubecki niewzruszenie mu się opierał. Stąd częste bywały starcia. Razu jednego wielki xiążę kazał xięciu Lubeckiemu przyjść do siebie, chcąc od niego otrzymać zezwolenie na znaczny wydatek. Po długiej rozmowie, w której xiążę Lubecki na krok nie ustąpił, wielki xiążę zgniewany przypadł do niego i rzekł: „*Mon Prince vous parléz le néz bien haut*“. Na to xiążę Lubecki z największą spokojnością odpowiada: „*Monseigneur, vous êtes si grand et moi si petit, que pour vous parler, je ne puis pas faire autrement*“ i spojrzał wielkiemu xięciu w oczy. Xiążę Lu-

becki był rzeczywiście bardzo mały i zawsze, mówiąc, patrzał w oczy temu, z którym mówił. Wielki xiążę widząc, że i postrachem nic nie osiągnie, musiał od swego żądania odstąpić.

Z kolegami także darł się często xiążę Lubecki. Każdy naturalnie chciał dla swego ministeryum jak największe otrzymać fundusze. Xiążę, dla utrzymania równowagi w budżecie, odcinał im wydatki, których konieczności lub użyteczności nie widział. Było to czasem samowładne, ale było i konieczne [10].

W początkach xiążę Lubecki przydzielał mi tylko bardzo łatwe, obojętne, a tem samem bardzo nudne kawałki do wyrobienia. Przez parę tygodni zupełnie nic mi nie przydzielał. Mimo to chodziłem, acz zniechęcony, do biura. Tam książkę lub dzienniki przez godziny urzędowe czytywałem. Później, gdyśmy się bliżej poznali, przyznał mi się, że to czynił dla doświadczenia mojej wytrwałości. Gdym zwycięsko wyszedł z tej próby, kazał mi być przy rozprawach, które się u niego odbywały dla wypracowania projektów rozmaitych praw. Tym sposobem byłem przy ułożeniu prawa, zaprowadzającego Towarzystwo Kredytowe ziemskie, Bank narodowy i kilka innych. Bywałem obecnym przy rozprawach budżetowych i miewałem niektóre uchwały do wypracowania. Wszystko to było dla młodego człowieka bardzo nauczającem. W biurze przybocznem xięcia pracował wtenczas [hr. Ludwik] Jelski, który został później naczelnikiem Banku, — [Adam] Łęski, który po r. 1831 został naczelnikiem finansów Królestwa, — Piotr Michałowski, późniejszy administrator Rzeczypospolitej Krakowskiej po r. 1848. Był to człowiek niepospolitych zdolności i energii.

Niedługo po mojem wstąpieniu do urzędu xiążę Lubecki przejął od ministerstwa spraw wewnętrznych administracyę górnictwa krajowego. Przywiązywał on do niej wielką wagę, mianowicie do hut żelaznych. Zwykł był mawiać, że czem jest chleb dla człowieka, tem jest żelazo dla przemysłu i że jedynie tanią i dobrą

produkcyą żelaza można podnieść przemysł krajowy. Dlatego nie chciał tej administracyi z rąk wypuścić i przyłączył ją do swego biura przybocznego.

Był Wydział górniczy pod prezydencyą [Ludwika] Haukego, brata [Maurycego] jenerała tegoż nazwiska i ministra wojny. Był to dobry człowiek, rutynowany w urzędzie; pilnował tylko porządku biurowego, zresztą nie miał żadnego znaczenia. Wydział dzielił się na trzy oddziały: oddział górniczy, pod [Jerzym] Puschem, znanym z dzieł swych geologicznych. Oddział budowniczy pod [Fryderykiem] Lempem. Ten był projekcistą i był powodem ogromnych wydatków niepraktycznych. Oddział hutniczy, który xiążę oddał Piotrowi Michałowskiemu. Ten kończył nauki w Getyndze, gdzie się specyalnie oddawał nauce języków starożytnych. Naturalnym rozumem i pracowitością prędko się w nowe czynności wdrożył; energią położył koniec kradzieżom i innym nadużyciom, jakie się działy pod ministeryum spraw wewnętrznych.

Razu jednego kazał mnie xiążę zawołać do siebie. Oświadczył, że mnie przenosi do Wydziału górniczego, na zastępcę Michałowskiego, w departamencie hutniczym. Zdziwiony, przedstawiłem xięciu, że nigdy nie przykładałem się do nauk w tym przedmiocie potrzebnych. „To nic nie szkodzi“ — odpowiedział. — „I ja finansów się nie uczyłem. Cesarz kazał mi być ministrem finansów i jestem ministrem finansów. Czego nie umiesz, to się naucz! Chcąc rozwinąć tę gałęź, potrzebuję w niej ludzi, na których gorliwość i uczciwość liczyć mogę. Prócz czynności w Wydziale górniczym będziesz i przy mnie w ważniejszych sprawach pracował“.

Widząc dobre dla mnie chęci xięcia, musiałem się woli jego poddać. Wziąłem się do czytania dzieł o nowem mojem zajęciu; z Michałowskim odbyłem podróż po naszych zakładach, szukałem rozmowy z ludźmi biegłymi w moim nowym zawodzie. Do kilku miesięcy byłem w stanie zdrowe mieć zdanie

w tych przedmiotach i o wartości podwładnych mi urzędników. Do robót biurowych miałem rutynowanego byłego urzędnika austryackiego, którego zrobiłem naczelnikiem mojej kancelaryi. Był mi on bardzo dogodny, bo chociaż fachowo niewykształcony, umiał porządek w papierach utrzymać i gdy mu myśl moją wyłożyłem, umiał ją dokładnie na papier położyć i w formy urzędowe ubrać.

Chociaż moja Matka miała dom w Warszawie, gdy jednak najczęściej przebywała za granicą z moją siostrą, xiężną Czartoryską, mieszkałem zawsze w domu wuja pana Zamoyskiego, razem z kuzynami, Janem i Władysławem. Andrzej mieszkał także w tym samym domu, ale, że żonaty, miał swój oddzielny apartament. Mając tak miłe towarzystwo w domu, począłem coraz mniej bywać po salonach. Odezwało się we mnie dawne, z dzieciństwa, przywiązanie do Jadwigi Zamoyskiej.

Gdy raz wszyscy się byli rozjechali, zostałem sam jeden z panną d'Arnaud, guwernantką dwóch kuzynek. Przepędzałem u niej wieczory; rozmowa toczyła się zwykle o Jadwisi. Widząc ona moją skłonność, dodała mi odwagi do małżeństwa i do oświadczenia się, dodając otuchy, że odrzuconym nie będę. Gdy pani Zamoyska do Warszawy wróciła z córkami, odbywałem z niemi spacery konne. Czasem ja, czasem Adam Czartoryski, towarzyszyliśmy im. Gdy raz Jadwisia miała jechać sama, bez siostry, napieraliśmy się obydwa, aby jej towarzyszyć. Przemogłem za staraniem pani Zamoyskiej, która mi sprzyjała i domyśliła się, o co idzie. W końcu spaceru oświadczyłem jej, że chciałbym rodziców o jej rękę prosić i żądałem jej na to zezwolenia. Okropnie się biedna zmięszała; rozpłakała się i poczęła czem prędzej do domu uciekać. Jednak półgębkiem upoważniła mnie do proszenia o jej rękę. Wróciwszy uszczęśliwiony, pobiegłem zaraz do pani Zamoyskiej z oświadczeniem. Ta przyjęła mnie jak najserdeczniej, zapewniła, że z jej

strony nie będę miał żadnej trudności, ale kazała, abym mówił z jej mężem. Uczyniłem to natychmiast, ale z pewnym strachem. Kochałem go serdecznie i on był zawsze na mnie bardzo łaskaw, ale formy jego zimne mnie straszyły. Rzeczywiście przyjął mnie dość zimno. Oświadczył, że nie może mi dać żadnej odpowiedzi, nie wiedząc, jak się moja Matka na to zapatruje. Odpowiedź ta zdała mi się okropnie surową, chociaż dziś uznaję jej słuszność. Nie chciał, aby się zdawało, że korzystał z tego, że u niego mieszkałem, aby mnie przyciągnąć. Napisałem do Matki, bawiącej wtenczas z siostrą w Szwajcaryi. Nie miałem powodu wątpić o jej zezwoleniu, jednak tych parę tygodni niepewności zdawały mi się wiekiem. Nakoniec przyszła odpowiedź zezwalająca i wolniej odetchnąłem.

Odbyły się nasze zaręczyny 22. kwietnia 1825, a na ślub oznaczono dzień 19. listopada, dzień imienin xiężnej jenerałowej Czartoryskiej. Tymczasem o Celinę, starszą siostrę, oświadczył się Tytus Działyński i był przyjęty. Ślub obu sióstr miał się razem odbyć w Puławach. Ale ja w parę tygodni przed 19. listopada zachorowałem na odrę i musiano mój ślub odłożyć do 19. grudnia.

Wtem nadeszła wiadomość o śmierci cesarza Alexandra. Rozpoczęły się rozprawy o następstwo na tron między wielkimi xiążętami Konstantym i Mikołajem. Przez ten czas nie wolno było przyznać się do tego, że się wie o śmierci cesarza Alexandra. P. Zamoyski, jako jeden z pierwszych dygnitarzy Królestwa, nie byłby mógł po ogłoszeniu śmierci wyprawiać u siebie wesela. Korzystano więc z chwili i ślub nasz odprawił się czem prędzej, w domu, bez świadków innych, prócz domowników. W kilka dni dopiero po ślubie wiedziano o nim w mieście.

Dziś 50 lat minęło, jakeśmy się pobrali. Przez ten długi przeciąg czasu nie miałem i chwili, w którejbym był żałował, iżem to uczynił. Owszem, nieraz dziękowałem i teraz dziękuję Opatrzności, że mi dała

taką towarzyszkę. Niejednośmy razem przecierpieli; dzieliliśmy dobre i złe chwile. Dobre, podzielone, tem były milszemi, — złe łatwiej było znosić. Raz jeszcze niech mi wolno będzie dziękować Opatrzności i towarzyszce życia. Oby nam Bóg dał jeszcze to szczęście, żeby, jakeśmy razem żyli, razem spoczęli w grobie.

Tu mi się przypomina wypadek, który się stał w Warszawie. Pewien oficer polski zachorował. Odwieziono go do szpitała wojskowego. Wtem i żona jego zachorowała w domu. Oboje jednego dnia umarli. Spotkały się ich dwa karawany. Oboje razem odwieziono na cmentarz; oboje w jednym grobie pochowano.

Wracam do śmierci cesarza Alexandra. Feldjeger, który tę wiadomość z Taganrogu do Warszawy przywiózł, z takim pospiechem jechał, że gorliwość swoją życiem przepłacił. Prawdziwa to moskiewska gorliwość w pełnieniu rozkazów pana. W Senacie petersburskim złożony był akt, którym wielki xiążę Konstanty zrzekał się korony. Podpisał on go, aby otrzymać od cesarza Alexandra pozwolenie żenienia się z panną Joanną Grudzińską, później xiężną Łowicką. Alexander czuł, że brat niemożliwym był na cesarza z powodu swego szusowatego charakteru, korzystał więc ze sposobności, aby na nim wymódz zrzeczenie się praw do tronu.

Mikołaj nie chciał z początku korzystać z tego zrzeczenia się i ofiarował Konstantemu koronę. Ten jej przyjąć nie chciał, tem bardziej, że go nastraszył ruch rewolucyjny, który w Petersburgu wybuchł. Konstanty bowiem, o ile był gwałtownym, gdy się czuł na siłach, o tyle był łatwym do nastraszenia, gdy widział dla swej osoby niebezpieczeństwo. Na tych targach i wzajemnych grzecznościach minęło parę tygodni. Nie chciano, aby przez ten czas tron był opróżnionym, a więc nie wolno było wiedzieć o śmierci Alexandra.

Żona jenerała Gendre'a, aby okazać swoje przywiązanie do rodziny cesarskiej, przywdziała żałobę, zanim ta nakazaną była. Dowiedział się o tem wielki xiążę Konstanty; kazał jej oświadczyć, że nie ma z domu wychodzić. Nakoniec rzecz się w rodzinie załatwiła. Ogłoszono zarazem śmierć Alexandra i wstąpienie na tron Mikołaja. Nakazano ogólną żałobę; przepisano w największych szczegółach, jak ma być noszoną. Podzielono ludność na klasy. Oznaczono dla każdej klasy, jak szerokie mają być białe obszewki. Wyższe klasy musiały mieć karety czarno obite i jeden salon całkiem kirem okryty; ktoby się nie był do tych przepisów zastosował, czy mężczyzna, czy kobieta, byłby się na największe nieprzyjemności naraził.

Gdy mowa o śmierci cesarza Alexandra, winienem tu wspomnieć o szczególe, o którym dowiedziałem się w kilkadziesiąt lat później. Przy jenerale Witcie był adjutantem pewien Witowski, o którym mówiono, że jest synem naturalnym jenerała. Ten towarzyszył swemu jenerałowi w podróży do Taganrogu, którą ten odbył dla odwiedzenia tam cesarza. W dzień swego wyjazdu był na obiedzie u cesarza, gdzie we dwójkę tylko obiadowali. Zaraz po obiedzie wyjechał. Gdy dojeżdżał do Elizabetgradu, gdzie była jego główna kwatera, porwały go gwałtowne boleści żołądka. Lekarz jego, zaraz zawołany, mówił, że są wszelkie oznaki otrucia. Ledwie Witt był przybył do Elizabetgradu, gdy za nim przyjechał feldjeger, wyprawiony przez Wylie'go, Anglika, przybocznego lekarza cesarza Alexandra, z zapytaniem o zdrowie jenerała Witta i doniesieniem, że cesarz bardzo chory. Musiał Wylie dostrzedz i u cesarza symptomata otrucia, bo skądby mu przyszła myśl dowiadywania się o zdrowie Witta, którego przed kilku dniami widział zupełnie zdrowego. Równocześnie zachorował i umarł przyboczny sługa cesarza, który im dwom usługiwał przy obiedzie. Witt przechorował się, ale wyzdrowiał,

zapewne dlatego, że zwykł był nadzwyczaj mało jadać, jak sobie przypominam z czasów, gdy z nim podróżowałem.

Witowski po wielu latach opuścił służbę wojskową, ożenił się i osiadł na gospodarstwie na Podolu. Jadąc do wód przez Galicyę, wstąpił w Złoczowskiem do pana Viviena, dawnego swego przyjaciela i kolegi w posieleniach wojskowych i to mu opowiadał. Ja to słyszałem z ust pana Viviena. O śmierci Alexandra mówiono urzędownie, że umarł wskutek febry panującej nad brzegami morza Azowskiego; potajemnie mówiono o otruciu. Ja temu wierzyć nie chciałem. Te jednak szczegóły, o których wiarygodności nie mam powodu wątpić, zmieniły moje przekonanie.

Wkrótce potem nadeszły do Warszawy wiadomości o powstaniu w Petersburgu i zaraz potem o jego przytłumieniu. Przywódcy tego ruchu marzyli o zmianie formy rządu, o zaprowadzeniu konstytucyi, lecz wiedzieli, że wystawiając tę chorągiew, nie mogą mieć żadnego wpływu na masy ludu. Wyszli więc z tem, że prawym monarchą jest Konstanty, że Mikołaj przywłaszcza sobie nieprawnie koronę, że Konstanty ciągnie z wojskiem polskiem i korpusem litewskim i że byłoby grzechem przysięgać na wierność Mikołajowi. Jednego człowieka z ludu, krzyczącego gwałtownie „konstytucya“ — zapytał się przechodzący, czy on wie, co to konstytucya? Odpowiedział: „Wiem, to jest żona Konstantego!“

Mikołaj, widząc ogromny plac przed zamkiem przepełniony ludem i wojskiem krzyczącem „precz z Mikołajem“, już się był zachwiał i myślał o ucieczce tylnemi drzwiami. Przemógł jednak jenerał Stefan Grabowski i skłonił go, że z całym sztabem wyszedł na plac. Na jego widok nieco ucichło. Wtenczas krzyknął: „Czapki z głowy!“ i wszyscy, jak jeden, zdjęli czapki. Z wojskiem było trudniej, bo na jego czele stali oficerowie, a przynajmniej wielu z nich. Chciano puścić na nie szarżę kawaleryi, ale była wielka gołoledź, ko-

nie nie były ostro kute i lękano się, aby zbliżywszy się do swoich, nie porozumieli się z nimi i nie połączyli się z powstańcami. Postanowiono czekać na artyleryę, która strzelając z daleka, niełatwo mogła się z powstańcami porozumieć. Rzeczywiście, gdy ta nadeszła, po kilku strzałach kartaczowych poszło wszystko w rozsypkę. Szczegóły te rozpowiadano mi w Petersburgu w parę lat po tych wypadkach.

Rozpoczęto zaraz aresztowania spiskowych w Petersburgu i w całej Rosyi, a wkrótce potem i w Warszawie. Aresztowania odbywały się zwykle w nocy. Co rana dowiadywaliśmy się, iż zamknięto kilka, a czasem kilkanaście osób. Prawie wszystkie należały do naszego towarzystwa, co tem większy rzuciło postrach między nami. Do tego dodać należy wszystkie fałszywe pogłoski, co chwila puszczane. Wpadł raz do mego biura znajomy z wieścią, że Andrzeja Zamoyskiego zamknięto. Lecę zaraz do domu, aby się dowiedzieć, czy prawda. Na podwórzu domu spotykam Andrzeja, biegnącego do mego biura, aby się dowiedzieć, czy prawda, co mu mówiono, że ja aresztowany.

W tych dniach ogólnego postrachu odbieram bilecik od jenerała Wincentego Krasińskiego, w którym mówi, że ma od wielkiego xięcia polecenie rozmówienia się ze mną w sprawie wielkiej dla mnie wagi i prosi, abym go zaraz odwiedził. Polecenie od wielkiego xięcia w ważnej dla mnie sprawie, w teraźniejszej chwili! Przyznaję, że mnie niemały strach ogarnął. Przypomniałem sobie moją podróż do Kijowa z Antonim Jabłonowskim i majorem Krzyżanowskim, moje tam bliższe stosunki z młodymi Rajewskimi, z Michałem Orłowem i z Murawiewami. Wiedziałem, że ci wszyscy są aresztowani, zapewne więc i mnie to samo czeka! Jadę zaraz do jenerała Krasińskiego. Ten daje mi do czytania długie pismo, oskarżające mnie, że do spisku należę i jak w nim działałem.

Muszę tu rzecz od początku wyjaśnić. Był u mnie, w Lachowcach, pisarzem browarnianym pewien Kotyjewski. Po kilku miesiącach służby okazał się dość znaczny deces w kasie, więc go oddalono. Dostał on później pomięszania zmysłów i jako waryat włóczył się po Teofilpolu. Wyszedł jednak z tego i zawerbował się do nowo formującego się pułku huzarów gwardyi litewskiej. Tam postąpił na oficera w końcu r. 1825. Przyszedł wtenczas do mnie, abym mu dał pieniądze na kupno konia i całkowite ekwipowanie się. Naturalnie odmówiłem, nie poczuwając się do żadnych względem niego obowiązków. Z początku prosił, lecz wkońcu począł odgrażać się, że jeśli mu nic nie dam, to tego pożałuję. Tem bardziej stanowczo odmówiłem. Gdy to wszystko opisałem Krasińskiemu, prosił, abym mu to dał na piśmie. Żądał tego wielki xiążę, dodając, że: „Mam Sapiehę za uczciwego człowieka i wiem, że co napisze, to będzie prawdą". Zaraz więc wypisałem te wszystkie szczegóły o Kotyjewskim i zbijałem przez niego wymienione fakta. Nie było mi trudno, bo najważniejszym był ten, że w czasie wielkich manewrów, które się odbywały pod Brześciem Litewskim, ja go posłałem z Teofilpola do Brześcia z tajnymi papierami do xięcia Adama Czartoryskiego. Tymczasem i xiążę Adam nie był wtenczas w Brześciu i ja w czasie tych manewrów byłem jeszcze za granicą. Wielki xiążę, przeczytawszy moje sprawozdanie, powiedział: „Znać, że Kotyjewski jeszcze jest waryatem. Odesłać go do szpitala i wstrzymać nominacyę na oficera, póki nie wyzdrowieje". Jak długo był w szpitalu, nie wiem. Wiem tylko, że w rok po tej denuncyacyi przebywał tam jeszcze.

Już byłem o Kotyjewskim i o całej tej sprawie zapomniał, gdy w czasie wojny 1831 zbliżył się do mnie oficer z 2. pułku ułanów, przypominając mi się. Poznałem w nim Kotyjewskiego. On się także przyznał, że nim jest. Poczytałem sobie za obowiązek przestrzedz o nim dowodzącego 2-gim pułkiem uła-

*

nów, pułkownika Mycielskiego. Bałem się, żeby nie służył Rosyanom za szpiega.

Sprawa ta nie miała żadnych dla mnie skutków. Gdyby jednak to było spotkało mniej odemnie znanego, byłby był niezawodnie z pół roku przesiedział w więzieniu, a może i gorzej.

Po dokonanych aresztowaniach przyszedł z Petersburga rozkaz złożenia w Warszawie komisyi śledczej. Do niej wezwano mego teścia, ordynata Zamoyskiego. Nie chciał on przyjąć tego obowiązku. Rodziny jednak aresztowanych i wszyscy jego przyjaciele tak na niego nalegali, że wkońcu zdecydował się przyjąć. Jego bytność w tej komisyi była jaką taką gwarancyą dla będących pod śledztwem, że protokoły nie będą fałszowane i że nie będą się dziać zbyt krzyczące nadużycia. Mniemano, że ta sprawa oddaną będzie sądowi wojennemu, złożonemu z ludzi, wybranych przez wielkiego xięcia. Gdy później oddaną została Senatowi do rozsądzenia, wielu z tych, którzy najmocniej zaklinali pana Zamoyskiego, aby należał do komisyi śledczej, poczęli najgwałtowniej przeciw niemu powstawać za należenie do niej, jako do czynności nieprawnej. Najgwałtowniejsze ataki na pana Zamoyskiego wychodziły z domu xiężnej Jabłonowskiej, matki Antoniego, tej właśnie, która najwięcej nastawała na niego, aby się nie odsuwał od komisyi śledczej.

Był to smutny czas w całej Warszawie, a mianowicie u nas w domu. Pan Zamoyski wracał późno z posiedzeń komisyi, zmęczony i smutny. W kilka miesięcy po zamknięciu czynności komisyi nad wszelkie spodziewanie przyszedł rozkaz cesarski [z 18. i 19. kwietnia 1827], poddający całą tę sprawę pod sąd Senatu. Było to prawne, ale nikt nie wierzył, aby się w tej sprawie trzymano przepisów prawa. Pan Zamoyski, choć prezes Senatu, był w tej sprawie wykluczony przez to, że należał do komisyi śledczej. Prezydował najstarszy wiekiem, wojewoda [Piotr] Bieliński.

Xiążę Adam Czartoryski, bawiący wówczas za granicą z moją siostrą, przyjechał do Warszawy, aby zająć swe miejsce w senacie. Jak etykieta wymagała, oddał wizytę wielkiemu xięciu Konstantemu. Ten przyjął go z swą zwykłą twarzą surową. Zaczął mu wyrzuty robić, że siał zawsze niezgodę w rodzinie, że go oczerniał przed cesarzem Alexandrem. Gdy xiążę zaprzeczał, wielki xiążę odpowiedział: „Jak śmiesz temu przeczyć!“ — i dobywając z szuflady plik papierów — „oto są listy twoje do cesarza“. — Rzeczywiście xiążę kilkakrotnie pisał do cesarza Alexandra, zbijając jego myśl oddania wielkiemu xięciu dowództwa nad wojskiem polskiem i przedstawiając, że jego charakter gwałtowny musi wojsko i cały naród oburzyć przeciw niemu i nowemu stanowi rzeczy. Listy te pisane były wkrótce po kongresie wiedeńskim. Wtenczas xiążę już zaprzeczać nie mógł. Powiedział: „Prawda, że to pisałem do cesarza, nie w myśli pobudzenia niesnasek w rodzinie, ale, że to w mojem przekonaniu było w interesie cesarza i że pragnąłem, aby dzieło jego pomyślnie się rozwijało“. Wtenczas wielki xiążę raptownie zmienił ton i twarz, uściskał xięcia, mówiąc: „Wiem, żeś to zrobił z przekonania i w chęci dobra mego brata. Nie mam żalu do ciebie“. Ofiarował xięciu cygara i rozmowa była jak najbardziej przyjacielska. Była to zwykła jego metoda, gdy chciał kogoś sobie zjednać. Zaczynał rozmowę w tonie najbardziej groźnym, a potem raptem przechodził do układu najbardziej przyjacielskiego i poufałego. Szło mu o to, aby sobie zjednać xięcia, by mu dał się powodować w sprawie Sądu sejmowego. Wiedział, że za xięciem pójdzie wielka część senatorów[11].

Xiężna Łowicka także nadzwyczaj była uprzejma dla mojej siostry. Pierwsza była u niej z wizytą. Odwoływała się do dawnej przyjaźni z czasów panieńskich; przyjaźni, której rzeczywiście nigdy nie było. Spotykały się jedynie na balach. Wielką wtenczas wagę przywiązywano do ładnego tańcowania. Najlepszemi wówczas

tancerkami były: panna Grudzińska i moja siostra, więc na każdym prawie balu proszono, aby te dwie panny tańcowały gawota. Na tem się ich przyjaźń ograniczała.

Gdy mowa o wielkim xięciu Konstantym, podam tu kilka szczegółów z jego życia.

Gdy raz wielki xiążę objeżdżał Wołyń dla przeglądu wojska, zapowiedział swoją wizytę u mojej babki, xiężnej krajczyny Sapieżyny w Teofilpolu. Ta, aby go uczcić, sprosiła całe sąsiedztwo na bal. Wielkiemu xięciu towarzyszył liczny orszak oficerów. Umówił on się z nimi, aby po kolacyi porwać wszystkie panny i młode mężatki. Podsłuchał ich jeden obywatel i zaraz ostrzegł moją babkę. Ta kazała wszystkim młodym paniom wynosić się cichaczem i do domów odjechać, tak, że zostały tylko poważne matrony. Opowiadała nam to moja babka. Później i wielki xiążę mówił mi, że moja babka dała mu bal, na którym były same stare baby. Nie mówił jednak, dlaczego tak było, ale wiedziałem od mojej babki.

Nienawidził wielki xiążę oficerów napoleońskich. Jego prześladowania zmusiły jenerała Chłopickiego do opuszczenia służby. Przypominam sobie piękną odpowiedź tegoż jenerała wielkiemu xięciu. Gdy raz defilował na Saskim placu przed swoim oddziałem, wpadł na niego wielki xiążę, krzycząc swym chrapliwym głosem: „*Mon général, vous marchéz mal*“. Na to Chłopicki najspokojniej: „*C'est cependant de ce pas, Monseigneur, que j'ai été de Madrit à Moscau*“. Odpowiedź ta uspokoiła wielkiego xięcia, ale mu jej nie zapomniał i coraz bardziej mu dokuczał.

Drugim przedmiotem jego prześladowań był pułkownik Kozietulski, który się był wsławił, jako szef szwadronu w pułku ułanów gwardyi Napoleona, wiekopomną szarżą pod Sommo-Sierra, gdzie był kilkakrotnie ranny. Tyle mu wielki xiążę dokuczał, że dostał pomięszania zmysłów. Raz posłał go na odwach do aresztu na 24 godzin za to, że jeden żołnierz z jego

pułku, przy defilu na Saskim placu miał słomkę na plecach na mundurze.

Pewien Wilczek, także były oficer ułanów gwardyi Napoleona, znany w całem wojsku z wielkiej odwagi, wskutek prześladowań wielkiego xięcia sam sobie życie odebrał. Przed śmiercią napisał list do wielkiego xięcia, w którym mówił, że przed zabiciem siebie długo się namyślał, czy nie ma zacząć od niego. Zważywszy jednak, że dotąd żaden Polak nie splamił się morderstwem panującego, nie chciał być pierwszym i poprzestaje na odebraniu sobie tylko życia. Niech wszakże rozważy, że może nie każdy jak on myśleć będzie. Odebrawszy ten list, posłał wielki xiążę do Wilczka, lecz znaleziono go już nieżywym. Ta przestroga wpłynęła na niejaki czas na wielkiego xięcia, który miał wstręt do wszelkiego niebezpieczeństwa, ale nie było to na długo; dzika natura przemogła.

Dziwną jest rzeczą, że człowiek tak gwałtowny, tak dziki w stosunkach na zewnątrz, był łagodnym dla domowników. Był też od nich kochanym. Nadzwyczaj był przywiązany do swojej żony, xiężnej Łowickiej. Gdy chorowała, był nieodstępnym przy jej łóżku. Noce przepędzał przy niej, pilnując ognia na kominku, aby nie wygasł i pokój się nie oziębił. Raz w Petersburgu mówiła mi jedna pani, Moskiewka: *„Il faut que votre princesse de Łowicz soit bien sotte. On dit, que le Grand Duc l'aime, et elle ne sait pas l'empêcher de faire toutes ses extravagances“*. Może miała racyę.

Lecz wróćmy do dalszego ciągu wypadków. Gdy rozpoczęła się w Senacie sprawa spiskowców, przysłano z Petersburga dwóch senatorów, aby się przypatrzyli sposobowi, jakim ta sprawa traktowaną będzie. Wolno im było być przytomnymi na wszystkich posiedzeniach sądu, lecz byli jedynie niemymi świadkami. Tymi senatorami byli xiążę Trubeckoj i pan Wasilczykow, brat jenerała, który później otrzymał tytuł

xięcia[12]. Bywali dość często u pana Zamoyskiego. Razu jednego po obiedzie podziwiali oni sposób postępowania naszego Senatu w toczącej się sprawie i ścisłość, z jaką dochodzono każdego szczegółu. Gdy pan Zamoyski wyraził swoje zadziwienie, że Senat petersburski mógł w tak krótkim czasie rozpoznać i osądzić podobną sprawę, pan Wasilczykow odpowiedział: „Nie mieliśmy czasu tak ściśle rzeczy dochodzić. Czas na koronacyę był oznaczony, a mieliśmy rozkaz sprawę przed koronacyą zakończyć; nawet pojazdy cesarskie już były upakowane do wyjazdu do Moskwy. Skazaliśmy siedmiu, którzy nam się winniejszymi zdawali, na powieszenie, innych na Sybir, tak, że wszystko w oznaczonym czasie skończone było". — Ci dwaj senatorowie byli bardzo porządni i zacni ludzie (zacni po moskiewsku). — Bez dokładnego rozpoznania sprawy kazali siedmiu ludzi powiesić, kilkudziesięciu na Sybir wywieźć.

Nadszedł dzień, w którym Sąd miał ostatecznie wyrok wydać. Tłum ogromny otaczał pałac Krasińskich, w którym Sąd zasiadał, chcąc się dowiedzieć o jego orzeczeniu. Radość była ogólna, gdy się dowiedziano, że jednogłośnie, z wyjątkiem jednego, uznano oskarżonych niewinnymi. Tym jednym był jenerał Wincenty Krasiński[13]. Przyznać potrzeba, że w sędziach przemogło uczucie polskie nad ścisłą legalnością. Spiskowanie dla obalenia istniejącego stanu rzeczy legalnie było przestępstwem, choć jeszcze do czynu nie przystąpiono.

Dekret Senatu wzbudził ogólną radość w ludności polskiej. Przeciwnie u wielkiego xięcia i w Petersburgu ogromne było na niego oburzenie. Mimo dekretu uniewinniającego, kilku oskarżonych wysłano na Sybir, pod pozorem, że nie byli obywatelami Królestwa, lecz tak zwanego Zabranego Kraju. Innych przetrzymano jeszcze kilka tygodni w więzieniu. Senatorom zabroniono wyjechać z Warszawy. Ten rodzaj aresztu trwał rok cały. Wielki xiążę, spotkawszy raz

jednego z senatorów w towarzystwie, powiedział mu: „*Vous, vous croyéz des pairs conscrits et vous n'êtes que des pervers*".

Mnie czas schodził w urzędowaniu, częścią w Warszawie, częścią w fabrykach rządowych w Suchedniowie, Samsonowie i Białogonie. Z Michałowskim dzieliliśmy sobie czynności tak, że kiedy on był w fabrykach, ja przebywałem w Warszawie; — kiedy on był w Warszawie, ja jechałem do fabryk. Przy dłuższych tam pobytach towarzyszyła mi moja żona. Mieszkaliśmy razem w Białogonie i Kielcach. Miałem w tych zakładach kilku robotników, sprowadzonych z Anglii. Byli to doskonali rzemieślnicy. Chociaż dawało im się zwykle najtrudniejsze roboty do wykonania i byli dziennie płatni trzy razy tyle, ile pobierali nasi krajowi, robota przez nich wykonana zawsze taniej wypadała, jak naszych. Przy nich się nasi wprawiali, jednak rzadko dochodzili do tej akuratności i szybkości w robocie. Niemało jednak miałem z nimi, a szczególnie z ich żonami, kłopotu. Będąc jedynym, który mógł się z nimi rozmówić, wszystko się o mnie opierało. Codziennie wpadały do mnie pijane baby. Musiałem je godzić między sobą lub z naszemi. Wiele miałem także kłopotu z robotami dla naszej artyleryi, które wszystkie w tych fabrykach się wyrabiały.

Wielki xiążę, który nie cierpiał xięcia Lubeckiego i szukał, skądby mógł go przed cesarzem oskarżyć, słysząc o wielkich projektach xięcia rozszerzenia zakładów górniczych i powiększenia produkcyi żelaza, wysłał dla zwiedzenia fabryk i pod pozorem przekonania się o postępie robót dla arsenału jenerała Bontemps i pułkownika Mintera. Objeżdżałem z nimi zakłady i pokazałem im wszystko w najmniejszych szczegółach. Musieli oni przychylny raport zdać wielkiemu xięciu, bo on dawał słyszeć się z tem, że xiążęby tam wiele niedorzeczności robił, gdyby nie ja i że mnie tylko przypisać należy, że tam wszystko po-

rządnie idzie. To mi zrobiło pewną między wojskowymi reputacyę.

Xiążę Lubecki został przez cesarza wezwany do Petersburga. Żądał, abym mu towarzyszył. Oprócz mnie pojechali z nim Jelski, Łęski i dla korespondencyi francuskiej pan [Feliks] Boucquet. Odbyliśmy tę podróż, jak na owe czasy, bardzo prędko. Piątego dnia stanęliśmy w Petersburgu [listopad 1827]. Mieliśmy najęte obszerne mieszkanie, w którem wszyscy znaleźliśmy pomieszczenie.

Wypocząwszy z podróży, xiążę był u cesarza, który go bardzo uprzejmie przyjął. Wróciwszy, kazał nam, abyśmy podali także o audyencyę, która nam też daną była. W dzień i godzinę oznaczoną wprowadzono nas do obszernej sali. Zastaliśmy już tam wiele wielkich figur zebranych. Szambelan służbowy, Bibikow, brat tego, który później był jenerał-gubernatorem w Kijowie, uszykował nas w jeden rząd, stosownie do godności. Nas, jako niedekorowanych i niemających „czynu“, postawił na samym końcu. Po chwili wszedł cesarz. Rzuciwszy okiem na cały szereg, przyszedł wprost do nas i rzekł głośno, tak, aby wszyscy słyszeli: „*Messieurs, je ne puis que Vous remercier pour la manière, dont Vous avéz servi jusqu'à présent. Je souhaite pour Votre pays et pour moi, que Vous continuez toujours de même. Ce n'est qu'appuyé par Vous, que je pourrai faire le bien, que je souhaite*“. Po tych kilku słowach wrócił do głowy naszego szeregu. Krótko pogadawszy z każdym, przyszedł z kolei do nas i z każdym dość długo rozmawiał, wracając często do tego, że, mimo najlepszych chęci, nie potrafi nic zrobić, jeśli między krajowcami nie znajdzie ludzi, którzyby go wspierać chcieli w jego dobrych chęciach. Gdy cesarz odszedł, Bibikow, który nas był dość lekko traktował, nie wiedział, co zrobić, aby się poprawić. Przybiegł zaraz do nas. W przedpokoju wziął płaszcze od służącego, zarzucił je na nas. Towarzyszył nam aż na dół schodów, kazał żandarmowi

odgonić inne pojazdy, tak, aby nasz mógł zajechać. Podał nam rękę do wsiadania. Wróciwszy do domu, po chwili odurzenia, poczęliśmy z Łęskim śmiać się serdecznie. Wiedzieliśmy dobrze, że nie nasze zasługi zjednały nam te honory. Miały one na celu podnieść xięcia Lubeckiego w oczach Rosyan, a także okazać w Warszawie dobre chęci cesarza dla Polaków. Szczególnie nas bawiło zakłopotanie Bibikowa i wszystkie koperczaki, które koło nas robił.

Było w Petersburgu kilka domów polskich, w których byliśmy bardzo uprzejmie przyjęci. Przedewszystkiem jenerała Stefana Grabowskiego, ministra sekretarza stanu dla spraw Królestwa Polskiego. Na jego ręce szły wszystkie sprawy, mające być cesarzowi przedstawione i nawzajem cesarza rozkazy do namiestnika. Miał przy sobie [Ignacego hr.] Turkułła, znakomitego zdolnościami, chociaż mniej czystego, jak on, charakteru. Turkułł miał ogromną pamięć, archiwum ministra sekretarza stanu było bardzo znaczne, bo prócz papierów tyczących się Królestwa Polskiego — było i archiwum króla saskiego, jako xięcia warszawskiego, gdy więc czasem żądał jakiego dawnego pisma, a archiwista znaleźć go nie mógł, on zaraz mu wskazał, na jakiej półce i w którym fascykule go znajdzie. Przychodził on często wieczorami do nas i czytaliśmy razem. Czasem w kilka tygodni cytował on prawie dosłownie, cośmy czytali, a gdyśmy wątpili, czy tak było, zaraz wskazał stronicę, na której to było i zawsze jego twierdzenie okazało się prawdziwe. Turkułł nie lubił lepszego towarzystwa, jego największą uciechą było — pójść do jakiej ordynarnej traktyerni lub ogródka w niedzielę i tam rozmawiać z czeladnikami szewskimi, krawieckimi, lub kobietami najgorszemi. Dlatego też prawie nigdy nie bywał u dworu ani w wyższych salonach, jeśli zaś poszedł, to jedynie, aby grać. — Do kart miał niepohamowaną namiętność. Raz po czytaniu koniecznie chciał, abyśmy próbowali kwindecza, który był wtenczas w modzie

w Petersburgu. Łęski i ja nigdyśmy nie grywali. Długośmy się bronili. Nakoniec daliśmy się namówić, aby grać punkt po kopiejce. Wkrótceśmy się wycofali, a on do Jelskiego przegrał 6.000 rubli. Daremne były nasze prośby, aby się zawczasu zatrzymał. Bardzo nam przykro było, że się to u nas stało. Mimo znacznych gratyfikacyj, które od cesarza otrzymywał, zawsze był goły i zadłużony.

Był wtenczas w Petersburgu Stanisław Potocki, syn Szczęsnego. Bardzo był dla mnie uprzejmy. Miał w Petersburgu własny dom, urządzony z największą elegancyą. Bywałem dość często u niego na obiedzie. Czasem u niego bywały wyższe osoby dworskie, rządowe i posłowie zagraniczni. Przez to rozmowa bywała ciekawa i nauczająca.

Poznałem u jenerała Grabowskiego xięcia Konstantego Lubomirskiego. Nie trzymał otwartego domu, bo mu tego majątek nie pozwalał. — Rzucony przez okoliczności od młodu w służbę wojskową moskiewską, ożeniony z Moskiewką, panną Tołstoj, nie stracił przecie uczucia polskiego. Najwięcej żył z Polakami. W czasie wojny z Napoleonem w r. 1812 nie chciał służyć przeciwko Polakom i sprawie — jak mniemano polskiej. Podał się do dymisyi. Cesarz Alexander uznał słuszność jego żądania. Nie chciał dać mu odrazu dymisyi, ale dał mu urlop na cały czas wojny, łącząc do tego bardzo pochlebne wyrazy. Później w wojnie z Turcyą w r. 1828—1829 dowodził dywizyą piechoty. Dybicz, który był wówczas głównodowodzącym, opisując mi tę kampanię, przyznał się, że przy przejściu Bałkanu, gdyby nie ogromna odwaga i wytrwałość xięcia Lubomirskiego, byłoby było całe wojsko rosyjskie zniszczone i zamiast zwycięstwa byłby poniósł najokropniejszą klęskę. Xiążę pierwszy przebył wąwozy Bałkanu, przez kilka godzin wstrzymał napady całej armii tureckiej i dał reszcie wojska czas przebycia gór i rozwinięcia się na drugiej ich stronie. W czasie naszego powstania w r. 1831 prosił xiążę

o tę samą łaskę, której był doznał od cesarza Alexandra, t. j. o urlop nieograniczony. Odpowiedział mu na to Mikołaj posłaniem dymisyi i to w sposób dość przykry. Jego żona, równie jak i cała rodzina, była bardzo zacną osobą.

W kilka dni po mojej prezentacyi u dworu były imieniny cesarza Mikołaja. Otrzymałem nominacyę na szambelana dworu polskiego [6. grudnia 1827]. Pierwsza nasza prezentacya była tylko kontrabandą wskutek łaski cesarza dla xięcia Lubeckiego. Podług przepisów etykiety dworskiej przypuszczonymi do dworu są tylko mający urząd dworski, czyn odpowiadający stopniowi jenerała i oficerowie gwardyi. Prócz tych kategoryi nikt nie ma przystępu do dworu. Uważano w Petersburgu za nadzwyczajną łaskę, że zostałem odrazu szambelanem, nie bywszy wprzód kamerjunkrem.

W dzień imienin cesarza, prócz długiej ceremonii z rana, wieczorem był wielki bal, na który byłem proszony. Na tym balu spotkałem hr. Nesselrodego, kanclerza państwa i ministra spraw zagranicznych. Znałem go trochę z Warszawy; przypomniałem się jego pamięci, przywitał się grzecznie, ale tak, jak kanclerz państwa z nieznaczącą osobistością. Po kolacyi cesarz, przechodząc po sali, spotkał się ze mną, pociągnął ku oknu i tam dość długo ze mną rozmawiał, z początku o mojej rodzinie, potem o kraju, powtarzając, że mimo najlepszych chęci nie potrafi nic dobrego zrobić, jeśli nie znajdzie zdolnych i do kraju przywiązanych wykonawców. Ubolewał, że w Rosyi tak mało znaleźć może ludzi uzdolnionych. Przeciwnie w Królestwie dużo ich więcej. W ciągu tej rozmowy kilkakrotnie uścisnął mi rękę. Przypatrywał nam się hr. Nesselrode. Gdy cesarz odstąpił, przyszedł on zaraz do mnie: „Kochany xiążę“ — rzekł — „jesteś tu obcy. Zechciej dom mój uważać jako swój własny. Codzień będzie zachowane twoje miejsce przy obiedzie. Może jutro zechcesz przyjść?“ — Prezentowało

mi się zaraz czterech dygnitarzy i prosili na obiad. Ta jedna rozmowa dała mi pięć wykwintnych obiadów. Niemało byłem tem zdziwiony. Pytałem sam siebie, czego się ci ludzie spodziewać mogą, doszedłszy już do najwyższych stopni w hierarchii rządowej. Dobrze mówiła podobno cesarzowa Katarzyna: „*L'homme est grand parceque je lui parle, et tant que je lui parle*".

Mając już prawnie przystęp do dworu, bywałem proszony na wszystkie wieczory większe i mniejsze, szczególnie w zapusty. Cesarzowa lubiła namiętnie tańcować, ja też uchodziłem za zapalonego tancerza. Na jednym z pierwszych balów, na których byłem, cesarzowa kazała mnie zawołać do walca. Dość byłem ambarasowany, a tem bardziej, że wśród tańca cesarzowa poczęła rozmowę. Nieuważnie wpadłem w tłum tańczących i cesarzową tak gwałtownie uderzyłem w drugą parę, że małośmy się wszyscy czworo nie przewrócili. Tancerz drugiej pary, poznawszy cesarzowę, począł się prędko cofać. Tymczasem sprzączką pod kolanem od sukni mundurowych zaczepił o garnitur sukni cesarzowej i wyciągnął z niej kilka łokci sznurka. Im prędzej chciano sznurek od spodni odczepić, tem więcej go z garnituru wyciągano. Cesarzowa musiała wyjść dla poprawienia toalety, a ja, zdudziały okropnie, głupią minę robiłem. Jednak cesarzowa wróciwszy, kazała mnie znowu do tańca wołać, aby okazać, że się nie gniewa.

Gdy cesarz chciał użyć więcej spokoju i swobody, przenosił się do pałacu, w którym mieszkał jako wielki xiążę. Tam etykieta dworska ustawała. Dawał tam małe wieczorki tańcujące. Na tych wieczorkach bywało zaledwie 30 do 40 osób; tańcowano przy fortepianie. Mężczyźni niewojskowi przychodzili we frakach. Przychodziły na nie i dzieci cesarskie i do 10-tej tańcowały. Sam cesarz często tańcował Przypominam sobie, jak raz tańcując kontredansa na-

przeciw mnie, wyzwał, kto z nas wyżej skakać będzie. Przy kolacyi siadano, jak się trafiło.

Raz wielka xiężna Michałowa urządziła maskaradę, do której i ja należałem. Przedstawialiśmy cały Olimp. Stanisław Potocki był Dyaną, — ja, Łęski i Matuszewicz byliśmy przy nim nimfami. Stary pan Laval był Wenerą i miał przy sobie trzech starych jako gracye. Pani Apraxin, mała i szczupła osoba, była Herkulesem. Poprzebierani najdziwaczniej przez krawca z baletu, wpadliśmy razem do salonu. Cesarzowa z początku tak się nastraszyła, że porwała dzieci i uciekła. Widać, że jej nie była obcą myśl możności napadu na rodzinę cesarską. Później powróciła i śmieliśmy się wszyscy z naszych min dziwacznych.

Było to najwyższem życzeniem w towarzystwie, być zaproszonym na te małe wieczorki. Niejeden i niejedna w dzień takiego wieczorku zamykał się na klucz u siebie, aby nie widząc go nigdzie, można było przypuszczać, że był u dworu.

Po zapustach bywały u dworu wieczorami karuzele. Bywało około 20 par dam i panów. Odbywały się one w oświeconej ujeżdżalni. Potem następowała kolacya. Ja jeździłem na koniach dworskich. Miałem dwa konie dla mnie przeznaczone. Zwykle obydwa w jednym wieczorze dobrze zmęczyłem. — Prócz zabaw u dworu bywały bale u bogatych Rosyan i u posłów zagranicznych. Na tych czasem bywał cały dwór.

Mieszkała wtenczas w Petersburgu pani Szymanowska, sławna wówczas fortepianistka. U niej poznałem Mickiewicza. Zapoznaliśmy się bliżej i częstośmy się widywali. Było także wielu Polaków, byłych uczniów uniwersytetu wileńskiego, skazanych do służby publicznej w rozmaitych zawodach. — Wszędzie oni zrobili sobie najlepszą reputacyę i byli ulubieńcami swoich przełożonych, którzy im przyznawali przy uczciwości niepospolite zdolności. Sam Mickiewicz za karę skazany był do kancelaryi xięcia Golicyna, jenerał-gubernatora w Moskwie. Ten go tak po-

lubił, że go miał za domownika, zostawiał mu czas wolny do pracowania dla siebie i dawał mu urlopy, ile razy tego zażądał.

Kilka razy ułożyliśmy sobie obiady składkowe. Były one nadzwyczaj przyjemne. Prócz młodych Litwinów bywali na nich: stary już malarz Orłowski, oryentalista Senkowski i Bułharyn, który z oficera polskiego został dziennikarzem w Petersburgu i napisał po rosyjsku kilka powieści, bardzo czytanych w całej Rosyi. Zgromadzenia te bywały nadzwyczaj przyjemne. Przeciągały się aż późno w noc. Dla Orłowskiego przygotowane były papier i ołówki. Rysował nam ze zwykłym sobie talentem. Miałem kilka rysunków jego, zrobionych na tych wieczorach dla mnie; Mickiewicz mówił nam swoje wiersze, a najczęściej improwizował na dane mu przedmioty. Na takim to wieczorze improwizował kilka scen tragedyi. Jego improwizacye ogromne robiły wrażenie.

Z posłów zagranicznych było kilku, u których dość często bywałem i których towarzystwo było bardzo przyjemne. Posłem francuskim był xiążę Mortemart. Miał przy sobie bardzo rozumnego człowieka, pana Bourgoing. Posłem neapolitańskim był hr. Ludolf, którego żoną była córka xiężnej stolnikowej Czartoryskiej, Jabłonowskiej z domu. Wielce była ona podobną do pani Alfredowej Potockiej, której była siostrą. Bardzo oni byli dla mnie uprzejmi. Najwięcej miałem zażyłości z posłem holenderskim, baronem Heeckeren. Był to człowiek niepospolitych zdolności. Znał Rosyę i jej mężów stanu doskonale. Cesarz miał w nim wiele zaufania i często jego rady zasięgał, mianowicie w sprawach finansowych. Miał on przy sobie sekretarzem poselstwa pana O. Sulivan de Grace. Niebardzo oni do siebie pasowali. W kilkanaście lat później widziałem obu w Wiedniu. Pierwszy był tam posłem holenderskim, drugi posłem belgijskim. I tam trwała między nimi nieprzyjaźń. Heeckeren musiał Petersburg opuścić, gdy syn jego zabił [1837 r.] w po-

ALEXANDER XIĄŻĘ SAPIEHA KODEŃSKI

jakoś, że go miał za domownika, zostawiał mu czas wolny do pracowania dla siebie i dawał mu urlopy, ile razy tego zażądał.

Kilka razy ułożyliśmy sobie obiady składkowe. Były one nadzwyczaj przyjemne. Prócz młodych Litwinów bywali na nich: stary już malarz Orłowski, orjentalista Senkowski i Bułharyn, który z oficera polskiego został dziennikarzem w Petersburgu i napisał po rosyjsku kilka powieści, bardzo czytanych w całej Rosyi. Zgromadzenia te bywały nadzwyczaj przyjemne. Przy[illegible] Orłowskiego przynosiliśmy [illegible] sposób nam ze zwykłym [illegible] rysunków jego, zrobionych na [illegible] Mickiewicz mówił nam swoje wiersze, a najczęściej improwizował na dane mu przedmioty. Na takim to wieczorze improwizował kilka scen tragedyi. Jego improwizacje [illegible]

ALEXANDER XIĄŻĘ SAPIEHA KODEŃSKI

Z posłów zagranicznych było kilku, u których dość często bywałem i których towarzystwo było bardzo przyjemne. Posłem francuskim był xiążę Mortemart. Miał przy sobie bardzo rozumnego człowieka, pana Bourgoing. Posłem neapolitańskim był hr. Ludolf, którego żoną była córka xiężnej siolnikowej Czartoryskiej, Jabłonowskiej z domu. Wielem była [illegible] do pani Adrianowej Potockiej, której była [illegible] Bardzo nas [illegible] [illegible] [illegible]

jedynku Puszkina, jednego z najznakomitszych poetów rosyjskich. Jego synowie (z nieprawego łoża, ale przez niego przyznani) przyczepili się później do dworu i fortuny Napoleona III. Jeden z nich (było ich podobno dwóch) został francuskim senatorem i konserwatorem muzeum.

Wtenczas to właśnie zanosiło się na wojnę między Rosyą a Turcyą. Przyjechał z Stambułu hr. Berg. Poznałem go jako dyplomatę, chodzącego w mundurze dyplomatycznym. Niemałe było moje zdziwienie, gdy po kilku dniach spotkałem go w mundurze jeneralskim. Gdym mu wyraził moje zdziwienie, przyznał mi się, że tylko prowizorycznie wdział mundur dyplomatyczny, aby tem łatwiej zbadać siły wojskowe Turcyi, jednem słowem, że grał rolę szpiega. W swoich raportach przedstawił on Turcyę dużo słabszą, niż się w wojnie okazała. Wszystkie trudności przedstawiał jako łatwe do przezwyciężenia. Gdy w wojnie okazało się inaczej, popadł on chwilowo w niełaskę. Nasza wojna go zrehabilitowała.

Był raz wielki bal u dworu, na który byli proszeni i członkowie ciała dyplomatycznego. Był to rzadki wypadek, bo posłowie zagraniczni w wyjątkowych tylko okazyach bywali proszeni u dworu; kolacya była w sali teatru (*a l'hermitage*). Wchód do sali był dużo wyżej, jak sama sala, tak, że wchodząc, piękny był widok na całą salę. Stałem na tem wywyższeniu, gdy cesarz wchodził. Zatrzymał się koło mnie i oglądając stoły, przy których goście siedzieli, mówi mi, pokazując jeden stół: „*Voilà la table du corps diplomatique. Il est au complet*". Ja na to: „*Il manque cependant les représentant d'une puissance*". — Na to cesarz: „*Ah oui, vous voulez dire l'Autriche. Tous ces Messieurs sont malades. C'est une maladie de convention. Ils croient m'effrayer par la. Mais qu'a cela ne tienne s'ils le veulent, c'est par Vienne que j'irai a Constantinople*". Zdaje się, że żałował potem, że się uniósł i starał się to w żart obrócić. Jednak

i wtenczas nie żałował ostrych wyrażeń o Austryi. Przez cały czas mego pierwszego popytu w Petersburgu nie trafiło mi się ani razu spotkać w towarzystwach ani posła hr. Zichy, ani nikogo z poselstwa austryackiego.

Okoliczności zrządziły, że zawiązałem bliższe stosunki z jenerałem Benckendorffem, komendantem żandarmeryi, najbliższym powiernikiem cesarza. Znałem dobrze w Londynie jego siostrę, xiężnę Lieven. Wypytywał mnie on szczgółowo o Galicyę. Nie byłem w stanie dać mu zadowalających wiadomości, sam nie bywszy nigdy w Galicyi i nie znając jej mieszkańców. Szczególnie się wypytywał, czyby można liczyć na pomoc kraju w razie wojny z Austryą, czyby Galicyanie chętnie widzieli kraj swój przyłączony do Królestwa Polskiego. Miał on zresztą dokładniejsze o tem wiadomości, niż te, które ja mu dać mogłem, przez dwóch Polaków, wysłanych wtenczas do Galicyi. Nimi byli: Leon Potocki, wówczas właściciel Krakowca, syn Seweryna Potockiego, a brat dobrze znanej i ogólnie poważanej hrabiny Caboga. Służył on w dyplomacyi rosyjskiej. — Drugim był Maxymilian Fredro, brat sławnego komedyopisarza, jenerał-adjutant cesarza Mikołaja. Obaj wtenczas za urlopami, niby dla spraw rodzinnych, bawili w Galicyi dla zbadania usposobienia kraju i przedstawienia korzyści, jakieby dla Galicyi wyniknąć mogły z przyłączenia do Królestwa Kongresowego.

Możebność wojny z Austryą była powodem, że do wojny tureckiej nie wzięto wojska polskiego. Chciano niem jednem wkroczyć do Galicyi, aby tem bardziej zjednać sobie Galicyan. Zresztą jasno to wypowiedział cesarz Mikołaj przy otwarciu sejmu w Warszawie, już po wojnie tureckiej.

Benckendorff był nadzwyczaj nieprzyjaźnie usposobiony ku wielkiemu xięciu Konstantemu. Mówił mi raz: „*Il n'y a pas d'ours, qu'on ne puisse apprivoiser. Il n'y a que le votre dont on ne viendra jamais*

à bout". Udało mi się raz przez pośrednictwo Benckendorffa otrzymać wypuszczenie na wolność wielu osób, zamkniętych dowolnie, bez żadnego sądu, przez wielkiego xięcia. Otrzymałem był przez pośrednictwo xięcia Adama Czartoryskiego spis osób tak bezprawnie uwięzionych. Udałem się zaraz z nim do Benckendorffa. Po naradzie, jak z tego użytek zrobić, postanowił, aby cesarz zażądał imiennego spisu wszystkich aresztowanych z wymienieniem powodów ich aresztowania. Wielki xiążę, odebrawszy takie polecenie, przed sporządzeniem żądanego spisu kazał na wolność puścić 73 osób, na moim spisie umieszczonych. Bardzo mi miło było, gdy z Warszawy odebrałem wiadomość o ich uwolnieniu.

Nieraz z Benckendorffem mówiliśmy o stosunkach między cesarzem a wielkim xięciem. Dziwiłem się, że cesarz pozwala mu na tyle nadużyć.

Na to mi tłómaczył, że położenie cesarza było bardzo trudne. Wielki xiążę był jego bratem o wiele starszym. On miał rzeczywiście prawa do korony. Całe stronnictwo rewolucyjne w Rosyi, które już wtenczas było dość liczne, wiedząc, że do ludu napróżnoby się przemawiało w imię zasad wolności, na tem głównie się opierało, że Konstanty jest prawowitym monarchą, że Mikołaj nieprawnie sobie tron przywłaszczył, że jakkolwiek Konstanty pozornie zrzekł się praw swoich, uczynił to jednak oszukany i dziś tego żałuje, że zatem jest obowiązkiem religijnym zrzucić z tronu Mikołaja i przywrócić prawego monarchę. To zmusza Mikołaja do pewnej uległości względem Konstantego i do starania się, aby publicznie okazywać jak największą zgodę między nimi.

Przedstawiałem Benckendorffowi, że na wielkiego xięcia głównie strachem działać można. Gdyby się więcej bał cesarza, byłby dla niego uprzejmiejszym. Przeciwnie, im cesarz więcej mu ulegać będzie, tem bardziej on mu hardo stawiać się będzie. Te rozmowy nasze powtarzał Benckendorff cesarzowi i kilka razy

trafiło mi się, że rozmowę poufną, mianą rano z Benckendorffem, musiałem wieczorem dalej prowadzić z cesarzem, co mnie nieraz w kłopot wprowadzało, musiałem bowiem bratu przeciw bratu mówić.

Razu jednego, gdy byłem u Benckendorffa, wywołano go do pierwszego pokoju. Prosił, abym poczekał w jego gabinecie. Słyszałem przez drzwi otwarte, że dawał polecenia, aby się w podróży jak najłagodniej z podróżnym obchodzić, natychmiast zatrzymywać się w drodze, ile razyby tego żądał i t. p. Wróciwszy do gabinetu swego, mówił mi, że rozmawiał z oficerem od żandarmów, mającym odwieźć Piotra Moszyńskiego na Sybir. Nadzwyczaj ubolewał nad jego losem i mówił o nim z największemi pochwałami. Wspomniałem wtenczas o Antonim Jabłonowskim. Na to on: „*Ah, ne m'en parléz pas c'est un miserable*“. Jabłonowski przez miłość własną i chęć odegrania jakiejś roli wszedł we wszystkie tajne towarzystwa i dosyć był w nich czynnym. Gdy go aresztowano, strach go porwał, wygadał wszystko i masę ludzi pokompromitował. Zastanowiło mnie to, że nawet największy przeciwnik musiał poważać godne postępowanie Moszyńskiego, a z obrzydzeniem mówił o tym, którego słabość jemu posłużyła.

Xiążę Lubecki, któremu zawsze zdawałem sprawę z moich rozmów z Benckendorffem, bardzo mi pomagał i poddawał przedmioty, które poruszać wypadało. Roboty dla xięcia miewaliśmy czasem dość dużo. Musieliśmy przygotowywać raporta i akta w przedmiotach, które xiążę miał cesarzowi przedstawić. Przed godziną przeznaczoną xięciu do konferencyi z cesarzem przynosiliśmy xięciu wszystkie papiery. Przejrzawszy je chodził po pokoju, paląc fajkę i powtarzał sobie głośno rozmowę, jaką mieć będzie z cesarzem. Zabawne były, a często nauczające te rozmowy, w której xiążę występował w dwóch osobach, jako on i jako cesarz, zbijający jego argumenta.

Z początku naszego pobytu w Petersburgu mieliśmy w robocie tylko sprawy tyczące się Królestwa Polskiego. Później cesarz dawał xięciu do opinii i sprawy cesarstwa, mianowicie tyczące się finansów. Często miewaliśmy i w nich dużo do czynienia. Bardzo to niemiłe było ministrowi finansów rosyjskiemu, Cancrinowi, tem bardziej, że go xiążę w swych sprawozdaniach o jego projektach wcale nie oszczędzał. Mówiono nawet o jego dymisyi i że go xiążę Lubecki zastąpi. Aby sobie zrobić stronnictwo w otoczeniu cesarza, zawiązał wtenczas Cancrin towarzystwo asekuracyjne pod warunkami widocznie bardzo korzystnymi dla akcyonaryuszów i te akcye rozdał jedynie tym, których chciał mieć poparcie. Ofiarowano xięciu i nam akcye; rozumie się, żeśmy nie przyjęli.

Coraz bardziej zanosiło się na wojnę z Turcyą. Robiono do niej wielkie przygotowania. Były po arsenałach ogromne zapasy kul armatnich, bomb i granatów z dawnych czasów. Dopiero przed samą wojną przypomniano sobie, że zmieniono kaliber dział i że te kule do nich nie pasowały. Trzeba więc było na gwałt odlewać nowe kule. Polecono więc ich odlew wszystkim fabrykom żelaza. Najlepiej do tego urządzona była fabryka pod samym Petersburgiem. Tam więc najpierwej wzięto się do roboty, a odlane kule posyłano pocztą z Petersburga do Odessy. To też każdy strzał armatni w wojnie tureckiej szalone pieniądze kosztował.

Gdyśmy mieli już Petersburg opuścić, zaproponował mi Benckendorff i bardzo namawiał, abym cesarzowi towarzyszył w wojnie tureckiej. Młodemu dość się to uśmiechało. Że cesarz miał na Warszawę jechać do Odessy, więc Benckendorff radził, abym w Warszawie czekał przybycia cesarza, a stamtąd miałem z nim dalej jechać. Gdy później cesarz pojechał wprost do Odessy, więc i cały projekt upadł.

Ogólne wrażenie, jakie mi z kilkumiesięcznego pobytu w Petersburgu i ocierania się o wszystkich

władzę dzierżących pozostało, świadczyło, że sam cesarz dobrze był dla nas usposobiony. Sam strach przed ruchami rewolucyjnymi w Rosyi wzbudzał w nim chęć zapewnienia sobie punktu oparcia w Polsce. Z drugiej strony stosunki z bratem Konstantym, który mu był koronę odstąpił i którego imienia rewolucyoniści moskiewscy za hasło używali, zmuszały go do ustępstw dla jego kaprysów i może niejedno złe dla nas zrobił mimo swej woli, nie śmiejąc się bratu oprzeć. Partya niemiecka chętnieby była z nami się połączyła, aby się przy pomocy naszej przy władzy utrzymać. Byłaby chciała znaleźć między nami takich, którzyby chcieli dojść w Rosyi do wyższych stopni i razem z nimi utrzymać władzę i rządzić Rosyą. Jedynie rodowici Rosyanie byli nam niechętni i z tem się nie kryli. Nieraz od nich słyszałem: „Im więcej cesarz dla was zrobi, tem prędzej wy zrobicie powstanie“. I ziściły się ich przewidywania. Dziś oni, jak Niemcy, mają to mocne przekonanie, że jedyny środek utrzymania się przy nabytych krajach — a nikt chętnie nie ustępuje już zrobionego nabytku — jest zupełne wytępienie polskości. Rzecz nie jest im trudna, bo chodzi tylko o pozbycie się klas wyższych. Lud nie ma jeszcze poczucia swej narodowości, a zresztą oni mają siłę do tego. To samo myślą i wykonywują Niemcy. We trzech potrafią się pozbyć tej garstki Polaków.

Nieraz rozbieraliśmy tę kwestyę z xięciem Lubeckim. Nie wierzył on ani w naszą własną siłę wybicia się na wolność, ani w niczyją obcą pomoc. Chciałby był, abyśmy korzystając z naszej wyższości intellektualnej (która jeszcze wtenczas istniała), pchali się nie tylko w Królestwie ale i w Rosyi do wszystkich urzędów i do tego doszli, aby nie Rosya nami, ale my Rosyą rządzili. Cytował jako przykład Chińczyków, którzy przez Tatarów pobici, potrafili jednak tak władzę zagarnąć, że zostali swoich panów władcami. Nie zastanawiał się xiążę, że u nas była to rzecz

zupełnie niemożliwa. Kto byłby chciał tą drogą się puścić i starał się o zrobienie karyery w Rosyi, byłby był przez swoich tak okrzyczany, że byłby musiał albo od swej myśli odstąpić, albo mając swoich nieprzyjaciółmi, oprzeć się na Rosyanach i sam się zruszczyć. Jaskrawem tego dowodem jest życie xięcia Adama Czartoryskiego. Jako minister rosyjski i powiernik cesarza Alexandra ogromne oddał krajowi usługi. Jemuśmy winni Uniwersytet wileński i szkoły polskie we wszystkich prowincyach polskich, do Rosyi przyłączonych, któremi, zdaniem samego Nowosilcowa, o wiek cały opóźnił zmoskwiczenie tych prowincyj. Za jego wpływem otrzymaliśmy Królestwo i wojsko polskie i odrębność zupełną od Rosyi, wyjąwszy wspólność monarchy. W tych czasach, prócz kilkudziesięciu przyjaciół, kraj cały mianował go zdrajcą i nieprzyjacielem Ojczyzny. W drugiej połowie swego życia, gdy nie mógł już nic dla kraju zrobić, prócz wywierania użytecznego wpływu, jaki mu dawał jego zacny charakter i wielki majątek, noszono go na rękach i dawano mu dowody największego zaufania.

Wyjechałem z Petersburga 3. maja [1830]. Właśnie tego dnia puściły lody na Newie. Do Rygi jeszcze ogromne śniegi miałem. Już za Niemnem nie było śladu śniegu. Przyjechałem do Warszawy 8. maja. Tam już drzewa były zupełnie rozwinięte, kasztany kwiatami pokryte, po ulicach sprzedawano bukiety z bzu. Przejście w pięciu dniach z zupełnej zimy do wiosny, z śniegów do zieloności i kwiatów dziwne robi wrażenie. Cóż to dziś musi być, kiedy w pięciu dniach można być z Petersburga we Włoszech i ze śniegów dostać się w upały [14].

W Warszawie wróciłem do moich zwykłych codziennych zajęć w górnictwie. Gdy byłem na objeździe zakładów fabrycznych koło Kielc, odebrałem niespodzianie sztafetą depeszę od xięcia Lubeckiego z poleceniem jak najprędszego odlania 200 tysięcy centnarów kul i gra-

natów dla naszej artyleryi. Nie miałem uważać na koszta, na których pokrycie dostarczane będą pieniądze. Tymczasem miałem do rozrządzenia złotych polskich 200.000 w kasie wojewódzkiej kieleckiej. Gdy te będą blizkie wyczerpania, mam o tem donieść, aby mi dalsze fundusze przysłane były. Miałem tylko dołożyć starania, aby ten obstalunek w jak najkrótszym czasie był wykonany. Okazało się, że u nas, jak w Rosyi, większa część kul zapasowych była innego kalibru, jak armaty. Przewidywano możność wojny z Austryą i chciano być na nią gotowym. Dlatego to nie użyto wojska polskiego do wojny tureckiej. Wybrano tylko kilkudziesięciu oficerów najzdolniejszych i tych dodano jenerałom do ich sztabów. Do nich należał jenerał Chrzanowski, wówczas pułkownik w kwatermistrzostwie.

Polecenie xięcia Lubeckiego bardzo mnie ucieszyło. Cóż dla młodego mogło być milszego, jak czynność wymagająca pośpiechu, mając szczególnie dostateczne fundusze. Jeździłem dzień i noc po zakładach, urządzałem nowe odlewarnie, tem bardziej, że jedna z dawniejszych [w Parszowie], na którą najwięcej liczyłem, spłonęła. Powiększyłem ile można było liczbę robotników. Przysłał także minister wojny kilku oficerów od artyleryi dla dopilnowania prędkiego wykonania i odbioru gotowej amunicyi. Nie przewidywałem, że te zapasy służyć będą wkrótce nie przeciw Austryakom, lecz przeciw Moskalom i że sam temi kulami strzelać będę.

Pierwsza kampania przeciw Turkom pod bezpośrednią komendą cesarza Mikołaja była dla Rosyi prawdziwą klęską. Straciła w niej przeszło 200.000 ludzi i prawie wszystkie konie kawaleryi. Druga pod komendą Dybicza lepiej się powiodła. Najwięcej jednak przyczyniło się do pomyślnego skutku to, że się jej udało przekupić komendantów Warny i kilku innych twierdz, które się poddały, nie stawiwszy żadnego oporu. Świadkowie tej wojny opowiadali mi,

że w pierwszym roku, ile razy kazano kawaleryi szarżować, konie przyzwyczajone na manewrach, że przed samym frontem piechoty na komendę: „Stój, równaj się!“ bywały przez jeźdźców gwałtownie zatrzymywane, to samo czyniły i w wojnie i o kilka kroków przed frontem piechoty tureckiej na miejscu się osadzały, tak, że piechota spokojnie jeźdźców wystrzeliwała. Przytem konie rosłe, wypieszczone, nie wytrzymywały marszów i biwaków. Dopiero na drugi rok, gdy dano kawaleryi inne konie, po większej części tatarskie i kałmuckie, nawpół dzikie, te unosiły swych jeźdźców przez wszystkie linie nieprzyjacielskie i wszystko przed sobą rozbijały.

Cesarz Mikołaj zwykle ustawiał swoją artyleryę i kazał rozpoczynać gwałtowny ogień z miejsc, z których kule do nieprzyjaciela nie dochodziły, tak, że było dużo huku bez skutku. Przedstawień ludzi doświadczonych słuchać nie chciał, przekonany, że jako cesarz lepiej to rozumie. Dopiero w końcu kampanii, gdy widział, że stracił wojsko i wypukał amunicyę napróżno, zdecydował się oddać dowództwo Dybiczowi, sam zaś z swoją świtą siadł na okręt i tam dowiadywał się o czynnościach wojska lądowego.

Później w Warszawie sam Dybicz rozpowiadał mi szczegóły tej drugiej kampanii i przyznawał się, że przejście Bałkanu było krokiem awanturniczym, który się udał jedynie przez odwagę i wytrwałość xięcia Konstantego Lubomirskiego, który z swoją dywizyą piechoty pierwszy przeszedł góry i przez kilka godzin, nie wspierany, wytrzymał atak całego wojska tureckiego i dał czas reszcie wojska do przeprawienia się przez góry po wąwozach i złych drogach. Przyznawał z otwartością, która mnie zadziwiła, że gdyby xiążę był okazał mniej wytrwałości i poświęcenia, byłoby całe wojsko zgniecione i całkowicie zniszczone. Za tak wielką zasługę został xiążę smutnie wynagrodzony. W roku 1831 xiążę Lubomirski prosił o urlop. W od-

powiedzi otrzymał dymisyę, więcej w formie wypędzenia z wojska.

Po skończeniu wojny tureckiej oznaczono termin do koronacyi cesarza Mikołaja królem polskim. Do tej ceremonii chciano wynaleźć koronę, którą się koronowali królowie polscy. Daremne były wszystkie poszukiwania. Ani w Warszawie, ani w Krakowie nie było po niej śladu. Zdecydowano się więc z Moskwy sprowadzić koronę carską. To było powodem szemrania wielu osób, widzących w tem chęć okazania, że Polska jest tylko adtynencyą Rosyi. Po tę koronę posłano do Moskwy mistrza ceremonii Żaboklickiego. Był to staruszek znany w całej Warszawie, jako rodzaj meblu inwentarskiego zamku warszawskiego. Z dependenta u adwokata we Lwowie dostał się do Warszawy przez łaskę jednej z pań. Ta mu wyrobiła szambelaństwo u króla Stanisława Augusta. Szambelanował wszystkim monarchom, którzy w Warszawie panowali: królowi pruskiemu, królowi saskiemu jako xięciu warszawskiemu, nakoniec cesarzowi Alexandrowi i Mikołajowi. Niezmiernie był dumny z tak ważnej w jego oczach misyi, że jechał dworską karetą i że na każdej stacyi pocztowej oddawano jemu, a raczej koronie honory wojskowe. Jego zwykłem zajęciem było pisać wiersze na cześć dam, w dzień ich imienin. Biedak swego służalstwa ledwie życiem nie przepłacił. W nocy 15. sierpnia 1831 szukano go w zamku, aby go powiesić.

Wjazd cesarza i cesarzowej do Warszawy odbył się z wielką pompą. Wystąpiło całe wojsko na Pragę, skąd miało cesarstwo wjechać. Nam też szambelanom kazano konno wystąpić. Młodym i z jazdą konną oswojonym było to łatwo, ale między szambelanami byli starsi i urzędnicy, którzy od czasów swych studenckich na konia nie wsiedli. Między tymi był szambelan Tymowski. Będąc w przyjaźni z nami, a mianowicie z Władysławem Zamoyskim, prosił go, aby mu wyszukał spokojnego konia i dał mu kilka lekcyi

konnej jazdy. Władysław wyszukał najstarszego i najspokojniejszego konia pojazdowego ze stajni ojca. W dzień oznaczony na przyjazd cesarza kazano nam wyjechać na Pragę, za rogatkę od Modlina. Tam uszykowano nas rzędem na gościńcu dość wąskim nad samym rowem. Przed nami siadł cesarz z całą swą świtą na konia, cesarzowa do ośmiokonnego dworskiego pojazdu. Gdy cesarz przed nami galopem przejeżdżał, zagrała muzyka wojskowa, a za nami baterya artyleryi dała salwę z ośmiu dział. Gdyby byli kartaczami strzelili, nie byliby między nami więcej biedy narobili. Jedni wpadli z końmi na cesarza i jego świtę, drudzy konie cofnęli i w rów się przewrócili. Biednego Tymowskiego koń poniósł zwykłym pojazdowym kłusem. Jechał tak kilkaset kroków przed samym cesarzem, spadł mu kapelusz, potem zesunął mu się grzebień, ściągający trochę włosów, z nad karku aż na czoło. Włosy poszły w tył kaskadą. Nakoniec nie mogąc równowagi utrzymać, upadł na ziemię przed samym cesarzem; koń zaś dobrym kłusem powrócił do domu. Tymowski musiał w paradnym mundurze, z gołą łysiną, piechotą iść w tłoku do domu. Turkułła, sekretarza przy ministrze sekretarzu stanu, koń poniósł przez całą Pragę aż do przeciwległej rogatki, od Miłosnej. Tam go zatrzymano i dopiero późno w noc wrócił do siebie.

Musiała cała parada stanąć i czekać, żebyśmy się jako tako zebrali, aby jechać koło cesarzowej. Przyjechawszy do zamku, zsiedliśmy z koni i weszli do salonów z cesarzem i cesarzową. Tam widziałem, że wielki xiążę Konstanty przystąpił do cesarzowej, wziął ją za rękę i poprowadził do drugiego salonu, w którym wisiał obraz dawny, przedstawiający xiążąt pruskich klęczących przed królem polskim i składających mu hołd jako lennicy. Tam wskazując palcem na xiążąt pruskich rzekł jej: „*Regardéz, voila comme etaient vos ancêtres devant les Rois de Pologne*“.

Wielki xiążę nie cierpiał cesarza, a bardziej jeszcze cesarzowę i gdzie mógł, to im robił przykrości.

Cesarz odbył rewię całego wojska, które było w Warszawie i okolicy zebrane. Po rewii, będąc zupełnie zadowolony, kazał zwołać wszystkich jenerałów, dziękował im, wychwalając porządek i cały stan wojska. Skoro się cesarz oddalił, wielki xiążę ich złajał i wszystkich skazał na 24-godzinny areszt. — Był po koronacyi bal w Łazienkach. Czas był śliczny, cały ogród był oświetlony i w salonach wszystkie okna pootwierane. Wiele osób z towarzystwa, które nie mogły być na ten bal proszone z powodu szczupłości salonów, chodziło po ogrodzie i przez okna przypatrywało się tańcom. Cesarzowa, poznawszy kilka dam znajomych, zbliżyła się do okna i z niemi rozmawiała. Wielki xiążę, widząc to, zaraz posłał żołnierzy i kazał kolbami rozpędzić stojących pod oknami, a więc i te panie, z któremi cesarzowa rozmawiała. Wracając na swoje miejsce, ze łzami w oczach rzekła mi, bo z nią tańcowałem: „Trzeba w życiu wiele cierpliwości i znosić nawet obelgi“.

Już w czasie koronacyi znać było, że się chmury zbierają na naszym horyzoncie politycznym. Okoliczności się składały na to, aby zniechęcić naród do cesarza. Nawet to, co on sądził, że się podobać będzie, zupełnie inny skutek wywierało, jak się później zobaczy.

W dzień oznaczony na koronacyę zeszliśmy się wcześnie w zamku. Był ułożony pomost, suknem przykryty, którym mieli cesarstwo iść z zamku do kościoła św. Jana. Wielki xiążę chciał wzdłuż tego pomostu po obu stronach ustawić wojsko, tak, aby publiczność tylko za wojskiem stała. Cesarz przeciwnie nie chciał wojska i chciał, aby publiczności zostawić wolny przystęp. Tak też wszystko rozporządzonem zostało. W chwili, gdyśmy już z zamku wyjść mieli, wszystko wstrzymanem zostało; kazano wystąpić gwardyi litewskiej, przebić się przez natłoczony

lud, co dało powód do niejednego szturchańca i bicia kolbami i uformować szpaler po obu stronach pomostu. To opóźniło nasz pochód o dobrą godzinę. Widząc tę zmianę w rozporządzeniach i gwardyę niepolską, pytałem się osób wtajemniczonych, jaki mógł być powód tej raptownej zmiany. Odpowiedziano mi półgębkiem, że zaszły okoliczności, które do tego przymusiły. W kilka lat później, już w Galicyi opowiadał mi ktoś, któremu wierzyć mogę, że w kilkudziesięciu byli się umówili, aby w czasie tego pochodu wpaść i odrazu wyrznąć całą rodzinę cesarską. Punkt ich zboru miał być koło zamku, gdzie była restauracya Sparborego, ale, że tylko kilku przyszło, więc odstąpili od swego zamiaru. Sądzę, że w ostatniej chwili musiała się o tem policya dowiedzieć i że to było powodem ustawienia wojskowego szpaleru. Tymczasem rozbijanie tłumu wojskiem najgorsze na publiczności zrobiło wrażenie.

Szambelanów przeznaczono po sześciu czy ośmiu do noszenia płaszczów cesarza i cesarzowej. Ja byłem oznaczony do płaszcza cesarzowej i to najbliżej jej osoby, tak, że przez cały czas koronacyi stałem prawie między nimi i mogłem każde ich słowo usłyszeć i wyraz twarzy uważać.

Gdyśmy szli z zamku do katedry i nazad, wśród ogromnego tłumu żaden głos, żaden wiwat się nie odezwał. Zdaje mi się, że do tego i wielki xiążę się przyczynił. Zwykle w takich razach policya rozstawia ludzi, którzy krzyczą; za jednymi idą i drudzy. Wtenczas nikt nie próbował zrobić początek.

Po nabożeństwie w katedrze wrócił orszak do zamku, do sali tronowej. Zebrały się tam wszystkie władze, Senat i Izba poselska. Wtenczas prymas ukoronował cesarza, on zaś włożył koronę na głowę cesarzowej. Poczem prymas miał mowę, którą zakończył słowami: „Teraz wykrzyknijmy jednogłośnie: Niech żyje król nasz!“ — i trzykrotnie zawołał „*Vivat!*“ — Za nim ani jeden głos się nie odezwał. Ce-

sarstwo spojrzeli po sobie; znać było konsternacyę w ich twarzach.

Po ceremonii koronacyi był wielki obiad w zamku. Nakryte było w dwóch salach. W jednej była rodzina cesarska, ministrowie i Senat, — w drugiej Rada stanu i wszyscy posłowie. Przed obiadem mówił mi Benckendorff, że wiedząc, iż Polacy lubią wino węgierskie, kazano to wino na stole postawić (prócz win, które roznoszono). Po obiedzie, gdy się rozjeżdżano, spotkałem się w sieni z posłami. Znalazłem wielu zaperzonych. „Dano nam jeść — mówili — w drugim pokoju, jak lokajom w kredensie. Na stole było wino węgierskie, jakbyśmy niewarci byli francuskiego“. — Napróżno im przedstawiałem, że w jednej sali niepodobna było wszystkich pomieścić, że na stole było wino węgierskie po staropolsku, ale inne wina roznoszono. Nie można było ich uspokoić.

Wieczorem był wielki bal u dworu. Po raz pierwszy i ostatni pełniłem na nim służbę szambelańską przy cesarzowej. Na takich balach tańcują tylko polonezy. Dano mi spis osób, mających z cesarzową tańcować, w porządku, jak mają po sobie następować. Moim obowiązkiem było z kolei przyprowadzać je cesarzowej. Na tym spisie pierwszym był ordynat Zamoyski, jako prezes Senatu, — drugim jenerał Rożniecki, jako najstarszy jenerał wojska polskiego. Pan Zamoyski wtenczas cierpiał na podagrę i nie był na tym balu, a więc otworzył bal z cesarzową jenerał Rożniecki. Używał on i słusznie, reputacyi wielkiego łajdaka. On był naczelnikiem tajnej policyi. Nie było może w Warszawie drugiej tak wzgardzonej i znienawidzonej osobistości. Nowy więc powód do skarg i zniechęcenia. Gdy jeszcze parę osób przetańcowało, przypadł do mnie wielki xiążę Konstanty z zapytaniem, czy na moim spisie jest hr. Nowosilcow. Odpowiedziałem jak rzeczywiście było, że go na moim spisie niema. Pobiegł on zaraz do cesarzowej. Widziałem, że między nimi gorąca to-

czyła się rozmowa. Poszedł potem do cesarza, z którym także gorąco rozprawiał. Wrócił potem do cesarzowej. Nareszcie ta zawołała mnie i z twarzą zgniewaną i zbolałą kazała sobie przyprowadzić Nowosilcowa. Nowy i słuszny powód niezadowolenia.

Po odbyciu koronacyi cesarstwo odjechali do Petersburga. W kilka dni po nich wyjechał tamże xiążę Lubecki. Jego tam pobyt miał być krótkim. Stamtąd miał wprost jechać do Paryża, dla zrobienia likwidacyi między Francyą a byłem Xięstwem Warszawskiem. Z uregulowania tych rachunków miała wypaść dość znaczna suma Królestwu. Xiążę kazał, abym mu w tej podróży towarzyszył. Że matka mojej żony, pani ordynatowa Zamoyska, miała do Paryża także jechać, ułożyliśmy więc, aby moja żona z nią pojechała, a ja miałem je tam wkrótce spotkać. Xiążę Lubecki zamierzał jeszcze przed Nowym Rokiem być w Paryżu. Tymczasem pobyt nasz w Petersburgu przeciągnął się aż do wiosny.

Po drodze do Petersburga niemało mnie zadziwiły w Suwałkach wysokie parkany, na których malowane były piętrowe kamienice. Cesarz przejeżdżał przez Suwałki w nocy, o parę dni przed nami. Aby mu dać iluzyę pięknie zabudowanego miasta, postawiono te malowane parkany zaraz przed oknami biednych mieszkańców, tak, że u nich zupełnie ciemno w izbach było. Co gorsza, że nie mając czasu wywieźć błota z gościńca za miasto, a było go w jesieni niemało, rzucano je im na podwórza, a nawet w sienie.

Pobyt mój drugi w Petersburgu był mniej więcej podobny do pierwszego. Mieliśmy wtenczas więcej niż za pierwszym razem czynności w sprawach czysto rosyjskich.

Przybyło wtenczas do Petersburga, pierwsze po wojnie, poselstwo tureckie. Przyjmowano je z wielką okazałością. Przywieziono je do zamku w pojazdach dworskich. Na ulicach, któremi przejeżdżało, stały z obu stron szpalery z różnych pułków gwardyi. Dla

większej okazałości wożono je nie wprost do zamku, ale po różnych ulicach. W zamku oprowadzano je po wszystkich salach, napełnionych urzędnikami. Ktokolwiek miał mundur haftowany, musiał wystąpić. Były niektóre sale przepełnione damami, okrytemi brylantami. Nakoniec, gdy doszli do sali tronowej, miał poseł odczytać mowę po turecku. Tymczasem czy to z emocyi, czy ze zmęczenia nie mógł ani słowa przemówić. Wtenczas urzędnik z ministerstwa spraw zagranicznych (Fontan) odczytał po francusku mowę, którą miał poseł po turecku powiedzieć. Z tą samą pompą odwieziono poselstwo do domu.

Już wtenczas przewidywano, że król Karol X. tyle głupstw narobi, że go z Francyi wypędzą. Miał on pierwszym ministrem i powiernikiem xięcia Polignac. Widywałem go dawniej często w Paryżu, w domu Angielki, pani Fitzherbert, która była opiekunką panny Seymour. Była to młoda, bogata i znakomicie piękna osoba. Xiążę Polignac chciał się o jej rękę starać. Ona nielitościwie z niego drwiła, więc i my wszyscy płataliśmy mu figle. Był, jak mówią Francuzi, „*le plastron de la société*“. Nie pojmowałem, jak taki człowiek mógł kierować sprawami takiego państwa, jak Francya. Gdzie też je zaprowadził, widzieliśmy. Ambasadorem francuskim w Petersburgu był wtenczas xiążę Mortemart, dawny mój znajomy z Paryża. Bardzo przykre było jego położenie, każda gazeta przynosiła wiadomość o nowem głupstwie rządu. Obowiązkiem jego było bronić swego rządu, a nie mógł. Raz Mikołaj, mówiąc o Karolu X., powiedział: „*Qu'il se fasse chasser, si cela lui plait, mais qu'il ne compte pas sur moi pour le ramener sur le trone*“.

Położenie Austryi w Petersburgu było wtenczas zupełnie inne, jak za mego pierwszego pobytu w Petersburgu. Pokój z Turcyą zawarty, nie było więc żadnego powodu niechęci między dwoma państwami. Posłem austryackim był hr. Ficquelmont, człowiek

rozumny, bardzo gładki i w towarzystwie przyjemny. Żona jego, Tyzenhaus z domu, była rodem Moskiewką; także bardzo miła i rozumna kobieta. Jej siostra była panną honorową przy cesarzowej i bardzo od niej lubiana. Przy poselstwie było kilku młodych ludzi z wyższego wiedeńskiego towarzystwa, między nimi xiążę Fritz Liechtenstein i xiążę [Franciszek] Lobkowitz. To wszystko przyczyniało się do świetności ambasady, tak, że podobno żadna dotąd ambasada nie była w takiej styczności z dworem, jak ówczesna austryacka. Państwo Ficquelmont bardzo byli na mnie łaskawi, więc ile razy mogłem, bywałem u nich na herbacie, gdzie spotykałem wiele osób z ciała dyplomatycznego. Rozmowa bywała bardzo przyjemna i zarazem nauczająca.

Był raz wielki bal maskowy, nawpół publiczny, na którym był cały dwór. Ja podawałem rękę pani Ficquelmont. Zbliżyliśmy się do cesarza i ona poczęła z nim rozmawiać. Bardzo był zaintrygowany, ale bał się, aby się publicznie nie skompromitować. Kilka razy mnie się pytał: „*Connaisséz vous cette damme? Est-ce quelqu'un a qui je puis parler?*“ Zapewniałem go, że śmiało może z nią rozmawiać. Długo bardzo go męczyła, a nie mógł jej poznać.

Kiedy mówię o balach maskowych, muszę wspomnieć o dziwnym bardzo zwyczaju w Petersburgu. Na Nowy Rok bywa u dworu tak zwany bal maskowy, na który rozdają 25 do 30 tysięcy biletów. Wszystkie salony są tłumem przepełnione, od wielkich dygnitarzów do furmanów i stróżów kamienicznych. Dwór cały występuje z cesarzem i cesarzową na czele, w wielkich mundurach, z kapeluszami na głowach. Panowie mają maski przywiązane na kapeluszach, damy na ramieniu. Tańcuje się poloneza i chodzi się po wszystkich salonach. Cesarz się czasami zatrzymuje i rozmawia z ludźmi z ludu; kończy się feta kolacyą, dla honoracyorów w teatrze hermitażu, na której grywa muzyka rogowa, w której każdy

ma tylko parę trąbek i dmucha w tę, której ton wypada; każdego muzykanta sztuką jest — ogromnie pilnować taktu i w właściwej chwili dmuchnąć. — Tak zwany w Rosyi „czarny naród“ ma po salach rozstawione bufety z jedzeniem i napitkiem. Zwykle wracają do domu pod dobrą datą, a przecież nigdy nie słychać o żadnej burdzie, tak wielkie jest w pospólstwie poszanowanie dla cesarza i zamku. Ciekawy byłbym, czy i dziś, przy upowszechnionych myślach rewolucyjnych, takie bale mają miejsce i czy może jeszcze cesarz z cesarzową chodzić na spacer piechotą z jednym tylko adjutantem?

Był wtenczas w Petersburgu gościem xiążę pruski Wilhelm, dzisiejszy cesarz niemiecki. Jako brat cesarzowej mieszkał u dworu i tam go bardzo często widywałem. Nie przywidywałem wtenczas wysokiej godności, która go czekała. Nie celował on wysokim rozumem. Jeden tylko talent w nim podziwiano, to jest naśladowanie cesarza Mikołaja we wszystkich ruchach. Chociaż dużo mniejszy i wtenczas szczuplejszy od Mikołaja, jednak ciągleśmy się mylili i brali go za Mikołaja, tem bardziej, że zawsze chodził w mundurze moskiewskim. Chociaż z winnem uszanowaniem bratu cesarzowej, jednak go wszyscy u dworu dość lekko traktowali.

Xiążę Wirtemberski, brat cesarzowej matki, żony Pawła, był naczelnikiem korpusu wodnych i lądowych komunikacyi; zaprosił xięcia Wilhelma, aby zwiedził zakład, któremu przewodniczył; zaprosił i mnie. Pokazywał nam wszystkie projekta dróg, mostów, kanałów, śluz i plany komunikacyi dla całej Rosyi. Xięcia Wilhelma to okropnie znudziło, mnie to przeciwnie bardzo zajęło. On się usunął na bok, aby gawędzić z adjutantami, wszystko więc jedynie mnie pokazywano i tłumaczono. Zdawałoby się, że w tej wizycie byłem główną osobą, a on tylko podrzędną figurą.

Rzeczywistą głową kierującą robotami publicznemi w całej Rosyi był Francuz, jenerał Bazaine

(podobno ojciec tego Bazaina, który komenderował wyprawą francuską w Mexyku i który za postępowanie w czasie wojny francusko-pruskiej w r. 1870 był pod sąd oddany i ucieczką z więzienia się wyratował). Po zawarciu pokoju tylżyckiego, między Napoleonem I. a Alexandrem I., ten ostatni prosił Napoleona, aby przysłał mu usposobionych inżynierów cywilnych. Ten przysłał mu sześciu czy ośmiu młodych ludzi, ukończonych uczniów szkoły politechnicznej. Między nimi był i jenerał Bazaine. Znałem kilku z tych Francuzów. Jeden z nich tak okropnie nauczył się kraść, że i Rosyanom było nadto i chociaż został przy stopniu, jednak żadnych mu już robót nie powierzano. Inny wrócił do Francyi i został naczelnym inżynierem przy jednej z kolei głównych, wychodzących z Paryża, nie pomnę której. Gdyśmy się przy tej kolei spotkali, bardzośmy się serdecznie przywitali. Nagadał mi wtenczas dużo szczegółów o służbie w Rosyi. Będąc w Paryżu, śmiało mógł mówić.

Bywałem dość często w arsenale petersburskim dla przypatrzenia się robotom. Komendantem jego był jenerał Bode, Anglik. Wtenczas w Rosyi, gdzie tylko potrzeba było ludzi specyalnie wykształconych, musiano brać cudzoziemców. Jenerał Bode zapraszał mnie, ile razy miano coś ważniejszego robić. Byłem raz zaproszony na odlew kilkunastu dział spiżowych z pieców niby poprawnych. Oficer, komenderujący tym oddziałem, nie przygotował dosyć drzewa suszonego w piecach. Użyto drzewa mokrego. Metal nie doszedł do płynności. Zrobiła się z niego jedna masa, której potem nie można było z pieców wydobyć. Musiano je rozburzyć. Anglik nie żałował temu oficerowi angielskich grubiaństw. Tymczasem zrobiło się na kilkanaście tysięcy rubli szkody.

Byłem raz na próbie rac kongrewskich. Były to race ogromnego wagomiaru; miały na końcu duże granaty, którymi chciano pewien przedmiot zapalić. Niektóre nieźle poszły; ale jedna, nie wiem jakim spo-

*

sobem, w pół drogi wstecz się nawróciła i z granatem szła wprost na nas. Zabawnie było patrzeć, jakeśmy na wszystkie strony zmykali w śniegu nad kolana, przewracając kozły. Leżeliśmy wszyscy po dziurach, gdy granat między nami pękł. Łaska Boga, że żadnego z nas nawet nie drasnęło. Już byliśmy z powrotem w mieście, a jeszcze niektórzy z grubszych jenerałów byli zasapani i nastraszeni.

Tymczasem pobyt nasz w Petersburgu się przedłużał. Chciałem prosić xięcia Lubeckiego, aby mnie naprzód puścił do Paryża, gdy cesarz uchwalił, aby się sejm na wiosnę w Warszawie zebrał. Oświadczył mi xiążę, że sam do Warszawy na otwarcie sejmu przyjedzie i że pragnie, abym tam był. Trzeba było słuchać i podróż do Paryża odłożyć. Czułem zresztą, że mogłem być użytecznym przez moje stosunki z Benckendorffem. Już dawniej xiążę Lubecki i xiążę Adam Czartoryski używali mnie jako pośrednika, a wiedzieli, że co powiem Benckendorffowi, to zaraz cesarz będzie o tem wiedział. Nieraz z Benckendorffem dyskutowaliśmy, jaką formą on ma to cesarzowi powiedzieć, aby rzecz dobrze przyjął i nie był nią obrażonym.

Wróciłem więc [w maju 1830 r.] do Warszawy z xięciem Lubeckim. Wkrótce po nas przybył cesarz i było otwarcie sejmu. O jego szczegółach mówić nie będę, bo mi wyszły z pamięci i nie mam do tego materyałów. Uważałem tylko, że ogólnie duch opozycyi się wzmagał. Wiele projektów rządowych upadało, co cesarza, przyzwyczajonego do władzy absolutnej w Rosyi, niecierpliwiło. Zapomniano o tem, co mówił stary minister Badeni przy pierwszem zaprowadzeniu konstytucyi, gdy widział ludzi nią rozradowanych: „To bardzo dobrze, ale nie zapominajmy, że dziś na stole konstytucya, ale pod stołem nahaj. Bądźmy ostrożni, aby konstytucya nie poszła pod stół, a nahaj nie wyszedł na stół“. Zręcznie z tego korzystał Nowosilcow. Z jednej strony pobudzał do opozycyi, z drugiej

przedstawiał ją wielkiemu xięciu, a przez niego cesarzowi, jako pochodzącą z nienawiści do jego osoby i jako zaród buntu.

Zaraz po sejmie i odjeździe cesarza pojechałem do Paryża, gdzie miałem czekać na przybycie xięcia Lubeckiego. O kilka stacyi przed Paryżem złamał się mój pojazd. Zostawiłem z nim mego służącego, a sam konno *„en carrier“* pospieszyłem do Paryża.

Dziś jeszcze pamiętam, jak byłem szczęśliwy z powodu oglądania żony i dwoje dzieci, po tylu miesiącach rozłączenia. Nie było wtenczas telegrafów i poczta wolniej szła, niż ja podróżowałem. Wiedziała więc żona, że przyjadę, ale nie wiedziała dokładnie kiedy. Gdym wszedł do jej pokoju, rzuciła mi się w objęcia i zemdlała. Po paru dniach pobytu w Paryżu popłynęliśmy Sekwaną do Saint-Assisse, do xięstwa Beauveau, którzy byli moją żonę zaprosili do siebie na wieś. Xiężna Beauveau była z domu xiężniczka de Praslin. Znałem ją z lat dziecinnych. Moja Matka była w przyjaźni z jej matką; co niedzieli przychodziła się z nami bawić. Była co do wieku rówieśniczką mej siostry. Ów sławny xiążę de Praslin, który żonę zamordował r. 1847, był synem jej brata. Po kilku dniach pobytu u nich wróciliśmy do Paryża.

Kazałem był naszej karecie przybyć na miejsce, gdzie stawał statek parowy, które jednak było dość odległe od naszego pomieszkania. Jadąc zauważyłem niezwykły ruch na ulicach. Masy ludu biegały krzycząc; sklepy były pozamykane. Pytałem się kilka razy furmana, co to znaczy. Odpowiadał zawsze, że to nic. Nakoniec powiedział: „To nic, to rewolucya“. Był to rzeczywiście pierwszy dzień trzech dni lipcowych, w których wypędzono Karola X., a mianowano Ludwika Filipa naprzód regentem państwa, a potem królem.

Na drugi dzień rano wyszliśmy oboje na ulicę, aby dowiadywać się, co się dzieje. Chodzić można było, uważając jednak, aby nie wpaść w jaką ulicę,

gdzie się bili i gdzie kule latały. Wojsko wszędzie przed masą ludu ustępować musiało. Szczególnie on był zawzięty na gwardyę szwajcarską. Gdy chodziłem po Tuilleriach, lud zdobył jeden posterunek Szwajcarami obsadzony. Kilku tych biedaków uciekało przez ogród tuilleryjski. Strzelano zewsząd do nich, jak do zwierzyny; nakoniec złapano ich i prowadzono na most na Sekwanie, aby ich z mostu zrzucić do wody. Żal mi było tych biedaków, począłem powtarzać to, co było wszędzie afiszowane, że kto już broni nie ma, ten jest już bratem, że walczymy za wolność nawet dla tych, którzy są dziś naszymi przeciwnikami. Wyznać jednak muszę, że niebardzo głośno z początku się z tem odzywałem, nie mając ochoty zrobić także skoku do Sekwany. Znalazło się jednak koło mnie kilku, którym to do przekonania trafiło, między innymi jakiś mularz, dość brudny i obdarty. Będąc w kilku, a szczególnie mając za sobą obdartusa, poczęliśmy coraz głośniej wołać. Trafiło to do przekonania ogółu; stanęli i Szwajcarów puścili. Nawet, aby nie poznano, że to Szwajcarzy, kazali im mundury zrzucić, i dali im własne bluzy. Charakteryzuje to lud francuski. Łatwy do zapalenia, w szale gotów zbrodnię popełnić; gdy się upamięta, ofiarny — gotów z własną szkodą i niebezpieczeństwem ratować tego, którego przed chwilą chciał zamordować.

Idąc ostrożnie, można było bocznemi ulicami zbliżyć się nieco do miejsc, w których się walka toczyła. Mimo wszelkiej jednak ostrożności, gdy szedłem ulicą, słyszę za sobą tętent koni. Była to szarża kawaleryi. Przyparłem się do zamkniętej bramy. Żołnierz, przebiegając koło mnie, machnął nademną pałaszem. Szczęściem, że koń go już dalej poniósł; pałasz gwizdnął mi koło samej twarzy, ale mnie nie tknął.

Byliśmy proszeni na obiad do państwa Arturów Potockich, właśnie na drugi dzień walki. Państwo Potoccy mieszkali w domu, którego okna wychodziły na „Champs Elysées“. Jeszcze w tej części miasta komu-

nikacye nie były przerwane, więc pojechaliśmy na ten obiad. Był na nim i hr. Pozzo di Borgo, poseł rosyjski. Po obiedzie już niepodobna było z domu się ruszyć. Całą noc musieliśmy tam zostać; przesiedzieliśmy ją w ogródku. Noc była śliczna, xiężyc jasno świecił. Słyszeliśmy ciągłe bicie na gwałt we wszystkie dzwony, strzały armatnie i od czasu do czasu strzały karabinowe. Niedaleko od nas były stajnie xięcia d'Angoulême, do których kilku ludzi z wyższych pięter kamienicy, naprzeciw leżącej, dawało ognia.

Pozzo di Borgo mówił nam, że w wilię rozpoczęcia walki widział się z ministrami, przepowiadał im, że przyjdzie do rewolucyi w Paryżu, namawiał ich do cofnięcia ordonansów, które rewolucyę sprowadziły. Oni go żartami zbywali i o cofnięciu ordonansów słyszeć nie chcieli; jednak do walki zupełnie się nie przygotowali. Nie ściągnęli do Paryża części gwardyi, rozłożonej w okolicy, tak, że kiedy pułki liniowe, stojące w Paryżu, połączyły się z ludem, zostało rządowi tylko pięć tysięcy ludzi. I ci nie mieli dostatecznej amunicyi i przez dwa dni zupełnie nic nie jedli, ani ludzie, ani konie. Nawet komendanta gwardyi, marszałka Marmont, nie ostrzegli, że walka uliczna jest możebna.

Najdłuższa walka była trzeciego dnia w „Champs Elysées". Wszystkie oddziały gwardyi miały rozkaz tam się ściągać, aby zasłonić drogę do St. Cloud, gdzie się król z całą rodziną znajdował. Postawiła gwardya kilka dział przy rogatce; piechota stała po bokach nieco niżej, aby dać czas zebrania się wszystkim posterunkom. Lud posuwał się z ogromną odwagą naprzód, strzelając z poza drzew. Wtenczas dopiero nadeszło kilka świeżych pułków gwardyi, które stały w okolicach Paryża, ale już było za późno. Ściągnąwszy swe posterunki, cofnęło się całe wojsko przed St. Cloud.

W czasie tej bójki pod naszemi oknami większa część naszego towarzystwa schroniła się do piwnic. Ja wyszedłem na najwyższe piętro, chcąc stamtąd widzieć, co się dzieje, lecz skoro ruszyłem okiennicą, wojsko poczęło do niej strzelać, sądząc, że i my chcemy z góry do nich strzelać. Gdy ogień ucichł, wyszedłem z Arturem Potockim na ulicę. Leżało dużo trupów i rannych, mianowicie z gwardyi. Lud podnosił rannych, odnosił ich do szpitala, lub do pobliższych domów. Artur, aby powiększyć ich gorliwość, ofiarował biedniejszym, najbardziej obdartym, kilka pięciofrankówek. Żaden nie chciał dla siebie przyjąć; dali je rannym żołnierzom. Podziwienia godną była staranność, z jaką lud chodził koło tych, których przed chwilą miał za swoich nieprzyjaciół.

Chcąc się przekonać, co się w naszem pomieszkaniu dzieje, kazałem zaprządz i pojechałem. Ledwie wyjechałem na „Place de la Concorde", zatrzymała mnie banda ludzi, krzycząc: „To pewnie agent Karola X., który jedzie z St. Cloud; powiesić go!" — Ja powiedziałem, że jestem Polakiem. To ich nieco uspokoiło, jednak zaczęli niektórzy mruczeć: „To może nieprawda". Na moje szczęście wystąpił jeden z pomiędzy nich, mówiąc: „Poczekajcie, ja się zaraz przekonam!" i począł mi mówić kilka słów dość źle po rosyjsku; ja mu odpowiedziałem po polsku. Czy mnie zrozumiał, wątpię, ale krzyknął: „Tak, to jest Polak, ja za niego ręczę!" Wtenczas wepchnęli mnie nazad do karety, krzycząc: „*Vive les Polonais! Vive la Pologne!*" Miałem dosyć tej jazdy. Prosiłem mego interlokutora, aby mi ułatwił wyjście z pojazdu. Uczynił to i odprowadził mnie do domu. Byłem we fraku, w trzewikach i białej chustce na szyi. Zgniotłem mój kapelusz, pomiąłem chustkę na szyi, aby wyglądać trochę po łajdacku; podałem mu rękę i szczęśliwieśmy zaszli. Ofiarowałem mu pieniądze, ale on nic przyjąć nie chciał, choć widać było, że biedak.

Przechodząc przez ulice, widziałem wszędzie drukowane plakaty. Mówiły one, że teraz pewne jest zwycięstwo ludu, skoro dowództwo objął sławny jenerał Dubaury, i rozwodzono się nad jego zaletami. Spotkałem nawet tego jenerała, w jeneralskim mundurze na fornalskiej szkapie, a za nim tłum ludu, wykrzykującego mu wiwaty. Był on zupełnym dyktatorem Paryża przez 24 godzin. Jednak dawni wojskowi dziwili się, że tego imienia nigdy nie słyszeli. Zaczęto dochodzić, kto jest ów sławny jenerał. Okazało się, że był to zbrodniarz skazany na galery, który potrafił uciec z Tulonu. Gdy pomiarkował, że badają jego przeszłość, raptem zniknął, zapewne obłowiwszy się dobrze. Daje to miarę, jak prawdziwe jest przysłowie: „*Vox populi, vox Dei*“ i jak łatwo biedne masy w pole wyprowadzić.

Gdy to się działo w Paryżu, Karol X. najspokojniej w St. Cloud polował, otoczony swymi dworakami. Nakoniec trzeciego dnia walki, gdy wrócił z polowania, doniesiono mu, że gwardya Paryż opuściła. Mówiono wieczorem o atakowaniu na drugi dzień Paryża i zdobyciu go, gdy przyszła wiadomość, że lud idzie ku St. Cloud. Więc czem prędzej kazano pojazdy zaprządz i wszyscy: król i dworacy, uciekli, gdzie kto mógł. Pospiech był tak wielki, że niektórzy bez kapeluszów wsiedli do pojazdów i odjechali. Widziałem w „Champs Elysées“ tę wyprawę, idącą na St. Cloud. Trudno sobie wystawić coś obrzydliwszego. Hurma ludzi, po większej części pijanych, między nimi dużo kobiet obdartych. Jedna siedziała na armacie po męsku, trzymając butelkę wina i szklankę. Popijała wino i krzyczała, wyspiewując najohydniejsze piosnki. Gdy nadeszła wiadomość, że król już uciekł, rozeszła się ta zgraja.

Była wtenczas w Paryżu pani Kisielew, córka Szczęsnego Potockiego. Nie żyła ona z mężem. On był jenerałem rosyjskim, później posłem w Paryżu; ona gorącą Polką i dość lekkomyślną. Zgoda między

nimi była niemożebna. Częstośmy razem po Paryżu jeździli dla oglądania ówczesnych ciekawości, szczególnie zaś, gdzie były zbiegowiska. Razu jednego pojechaliśmy razem do pani Jarosławowej Potockiej (Rzewuskiej z domu). Pani Kisielew wiedząc, że ona była bardzo przeciwną ówczesnym wypadkom, przez żart kupiła na ulicy trzy małe papierowe chorągiewki trójkolorowe. Wszedłszy do pani Jarosławowej, poczęliśmy temi chorągiewkami wywijać. To się rozeszło i do Petersburga doniesiono, że jeździliśmy po ulicach z trójkolorowemi chorągwiami, zachęcając lud do bitwy. Nieraz w życiu doświadczałem, jak ludzie potrafią z najniewinniejszego dzieciństwa zrobić wielkie rzeczy, które mogą mieć wpływ na całą przyszłość człowieka.

Wszystko w bardzo krótkim czasie wróciło do zwykłego porządku. Ludwik Filip mianowany został regentem państwa, a następnie królem. Moja żona, która dobrze znała nową królowę, była u niej z wizytą. Biedna ze łzami w oczach mówiła o zaszłych zmianach. Żałowała przeszłe spokojne życie domowe i bardzo smutno spoglądała w przyszłość.

Nie wiedząc, czy po zaszłych zmianach xiążę Lubecki przyjedzie do Paryża i kiedy to nastąpi, postanowiłem korzystać z wolnego czasu i zwiedzić Anglię pod względem fabrycznym, mianowicie fabryki żelaza, machin i warsztaty arsenałowe. Zabawiwszy kilka dni w Londynie dla wystarania się o listy rekomendacyjne, pojechałem do Birmingham, Liverpool i Manchester. Przyjechałem do Liverpool, nazajutrz po otwarciu między temi dwoma ostatniemi miastami pierwszej kolei żelaznej, na lokomotywie. Dotąd bywały koleje żelazne tylko po fabrykach i kopalniach i to ciągnione przez konie. Przy tem otwarciu zabity został minister Huskinsson. Wysiadł on był z wagonu, gdy drugim torem nadszedł inny pociąg. Tory były tak blizko siebie, że on między dwoma pociągami został zgnieciony i na miejscu zginął.

Wszędzie mowa była tylko o kolei, o lokomotywach i o ich wynalazcy Stephensonie. Jednak miano o tym wynalazku jeszcze bardzo małą opinię. Sądzono, że się da zastosować tylko między dwoma wielkiemi miastami dla przewozu ludzi. O możebności wożenia koleją towarów nikt nawet przypuszczać nie śmiał.

Pojechałem i ja koleją z Liverpool do Manchester. W całej tej podróży doznałem niezwykłej uprzejmości ze strony kupców i fabrykantów. Całe ranki przepędzałem w fabrykach. Na obiady i wieczory bywałem do nich proszony. Spotykałem tam towarzystwo ludzi światłych i bywalców, którzy w swych interesach niemało świata zwiedzili. Miałem też do tych panów bardzo dobre listy rekomendacyjne. Bez tego w Anglii nigdzie przystępu mieć nie można. Rozpowiadano mi, że cesarz Alexander po wzięciu Paryża pojechał do Anglii i także odbył podróż po miastach fabrycznych. Gdziekolwiek chciał fabrykę zwiedzić, pytano się go o listy zalecające od znajomych. Gdy takich nie miał, nigdzie go nie puszczono.

Z Londynu zwiedzałem przez kilka dni arsenał i warsztaty konstrukcyjne w Woolich i starałem się poznać systemat artyleryi angielskiej, który wtenczas uchodził za najlepszy.

Było w czasie mego pobytu w Londynie otwarcie parlamentu, a przy niem ruch ludowy przeciw xięciu Wellingtonowi, który zmusił cały gabinet, w którym on prezydował, do odstąpienia. W miejsce jego przyszedł gabinet Whigów pod prezydencyą lorda Grey, w którym ministrem spraw zagranicznych był lord Palmerston. Lud wtenczas był tak rozjuszony, iż zdawało się, że walka uliczna, jak w Paryżu, jest nieunikniona. Tłum napadł pałac xięcia Wellingtona, wszystkie szyby potłukł, kraty żelazne, zamykające podwórze, połamano; policyantów wszędzie bito, kilka sklepów z bronią zrabowano. Zawziętość ludu zdawała się większą jak w Paryżu, chociaż nie strzelano, tylko pięściami dokazywano i krzyczano. Plakaty, ogła-

szające zmianę ministrów odrazu, jakby różdżką czarodziejską, wszystko uspokoiły. Tłumy ludu zniknęły i wszystko wróciło do zwykłego porządku.

W kilka dni potem była wielka rewia. Wystąpił na niej xiążę Wellington w mundurze jeneralskim, jako głównodowodzący. Masy ludu zebrane krzyczały mu wiwaty z największym zapałem, chcąc przez to okazać, że jeśli go nie chcą ministrem, to niemniej dlatego poważają w nim jenerała. Xiążę Wellington przez długi czas nie chciał nowych szyb w swoim domu osadzić. Rada miejska Londynu posłała mu kilka deputacyi z prośbą, aby zatarł ślady postępowania z nim ludu. On się długo opierał, mówiąc: „Niech wiedzą, jak mi się lud londyński odwdzięczył za Waterloo".

Po tej podróży wrócić chciałem do Paryża. Wtenczas trzeba było bardzo uważać na formalności paszportowe, szczególnie między Francyą i Anglią. Karol X. z całą rodziną osiadł był w Anglii. Jego adherenci ciągle jeździli z Francyi do niego, więc policya francuska była bardzo czujna. Udałem się do poselstwa rosyjskiego, aby mi wizowano paszport napowrót do Francyi. Odmówiono mi, bo był przyszedł surowy zakaz wizowania paszportów do Francyi dla poddanych rosyjskich. Nie było innego środka, jak jechać za fałszywym paszportem. Znajomy mój pan Wite wziął dla siebie paszport i dał mi go. Przybywszy do Calais dość późno, musiałem tam nocować. Nazajutrz kazano mi się stawić w policyi. Dyrektor policyi, widząc paszport angielski, mówił do mnie po angielsku; musiałem mu tymże językiem odpowiadać. Łatwo mu było poznać, żem nie Anglik, jednak mi paszport podpisał. Kontent, że mi się udało, wróciwszy do oberży, czem prędzej się wybrałem i siadłem do woza pocztowego, choć jeszcze koni nie zaprzęgano i daleko było do odjazdu. Skoro pokój mój opuściłem, przybył inny podróżny i ten sam pokój zajął. Wtem widzę dwóch żandarmów, wchodzą-

cych do hotelu; wkrótce wracają, prowadząc jakiegoś pana. Pytam się, ktoby to był. Odpowiadają, że to pan z pod numeru (tego samego, gdzie ja mieszkałem), który ma fałszywy paszport i zdaje się być agentem Karola X. Czy rzeczywiście jego chciano wziąć, czy mnie — nie wiem. Pomyślałem sobie, że jeśli nie winien, to się wytłómaczy. Tymczasem nadeszła godzina wyjazdu i mnie nie wstrzymano. Nie wiem, co się stało z tym, który prawdopodobnie za mnie poszedł do kozy.

1830—1831.

W Paryżu dowiedziałem się, że z powodu zmian politycznych xiążę Lubecki nie przyjedzie dla przeprowadzenia likwidacyi z rządem francuskim. Począłem więc wybierać się z powrotem do kraju, gdy przez Rothschilda, który tę wiadomość odebrał 24 godzin przed rządem, dowiedziałem się o powstaniu w Warszawie. Jak grom padła na mnie ta wiadomość. Jakiż przewidzieć można było koniec walki czteru milionów przeciw 60 milionom? Od Litwy i Rusi niewielkiej się można było spodziewać pomocy, pókiby się te prowincye nie oczyściły z wojsk rosyjskich. Najlepsze chęci ze strony mieszkańców niewiele pomódz mogły. Gdyby nawet nieprzewidzianym cudem było się udało rozbić potęgę rosyjską, można było przewidzieć, że byłyby Prusy na nas wpadły. Gdyby się było udało jedną armię rosyjską zniszczyć, Rosya mogła bez trudności wystawić drugą i trzecią. U nas każda strata była nieodwetowana. Ludzi można było mieć, ale skąd wziąć broń i inne zasoby wojenne? Przy niepowodzeniu traciliśmy to Królestwo, które acz małe, mogło jednak być zarodem większej Polski. Traciliśmy nasze wojsko, naszą administracyę, nasze szkoły,— jednem słowem, przewidzieć można było, że się stanie to, co rzeczywiście nastąpiło. Byłbym chętnie dał odciąć sobie obie ręce, nawet głowę, aby te nieszczęścia od kraju odwrócić. Ale stało się i już niepodobna było tego odrobić. Trzeba więc ginąć ze swoimi.

Na drugi dzień poszedłem do jenerała Sebastianiego, który był ministrem spraw zagranicznych. Dopiero co był odebrał wiadomość urzędową o powstaniu warszawskiem, przez posła w Berlinie. Trudno było coś stanowczego powiedzieć o wypadkach, o których były tylko ogólne wiadomości. Powiedział mi jednak Sebastiani: „Jeśli to tylko burda uliczna, to wybrnijcie z niej jak możecie, jeśli to ruch narodowy, to możecie na naszą pomoc liczyć". Na to zapytałem, czy mnie upoważnia dać o tem, co powiedział, wiedzieć xięciu Adamowi Czartoryskiemu. Odpowiedział mi wyraźnie: „Upoważniam".

Wróciwszy do domu, szukałem między Polakami człowieka, któryby się podjął dostać się do Warszawy. Z niemałą trudnością wynalazłem takiego, którego polecono, jako zupełnie pewnego. List mój kazałem oprawić w bucie między dwiema podeszwami, dałem mu pieniądze na drogę i wyprawiłem go. Na moje szczęście posłaniec ten, a z nim i list mój, nie doszedł do Warszawy. Czy to on mimo porządnych paszportów nie umiał sobie dać rady, czy z butem tajemniczym poszedł do poselstwa rosyjskiego, — nie wiem. To drugie zdaje mi się bardziej do prawdy podobnem, jak dalej powiem. Później okropnie tego listu żałowałem. Bałem się, aby w Warszawie wszystkich w błąd nie wprowadził.

Przekonałem się, że Sebastiani życzył sobie, aby powstanie warszawskie zamieniło się w narodowe i aby to jak najdłużej trzymało się, nie, aby mu przyjść w pomoc, lecz aby to uniemożliwiło koalicyę, o której mówiono, Rosyi z Prusami przeciw Francyi. Zresztą Francya przy najlepszej chęci nie mogła nam przyjść w pomoc. Wojsko jej było zupełnie rozprzęgnięte. Miała mały korpus w Algeryi i drugi równie mały w Grecyi. Tych dwóch ściągnąć nie mogła. We Francyi głównem wojskiem i najlepiej zorganizowanem była gwardya. Tę po dniach lipcowych rozpuszczono. Zostawało wszystkiego po fortecach 24.000

wojska, dość słabo zorganizowanego. Arsenały były zupełnie puste. Po wybuchu naszego powstania zamówił rząd francuski pół miliona karabinów w Anglii. Te wiadomości miałem z pewnego źródła przez jenerała, naczelnika w ministeryum wojny, który nam był szczerze przychylny i nie chciał, abyśmy się próżnemi nadziejami durzyli. Sebastiani, jako dawny jenerał i minister, musiał również o tem wiedzieć, gdy więc mówił, że możemy na pomoc Francyi liczyć, wiedział dobrze, że kłamie. Szło mu tylko o to, abyśmy Francyę do czasu zakrywali i dali jej czas do organizowania wojska.

Wiadomości z Polski coraz bardziej okazywały, że ruch nie ograniczał się na samej Warszawie, ale, że cały naród gotuje się do silnego oporu i powstaje. Sebastiani, którego dość często widywałem czy to u niego, czy u naszych znajomych, oświadczył mi, że Francya sama w tej sprawie nic zrobić nie może, że potrzebaby otrzymać obietnice współdziałania Anglii. Bez tego Francya nie może nawet dyplomatycznie za nami wystąpić. Namawiał mnie bardzo, abym pojechał do Londynu. Zdecydowałem się do tej podróży, opatrzony listami zalecającymi do xięcia Talleyranda, który był tam posłem francuskim.

Wiedząc jednak, jak wielki w Londynie ma wpływ ambasada rosyjska przez xiężnę Lieven, która była ścisłą przyjaźnią złączona z lordem Grey, prezesem Rady ministrów i idąc za radą Sebastianiego, chciałem jechać jako wierny poddany cesarza Mikołaja, za paszportem rosyjskim; udałem się więc o paszport do pana Pozzo di Borgo. Przyjął on moją prośbę o paszport z miną bardzo podejrzliwą i zapytał, po co ja chcę jechać do Anglii. Odpowiedziałem, że w Paryżu jest masa Polaków, którym się w głowie pali, że ci często do mnie się schodzą. Nie mogąc do kraju wrócić, wolałbym ten czas przepędzić w Anglii, gdzie będę spokojny. Niebardzo on się zdawał temu wierzyć. Gdy jednak za mną się wstawiał Leon Po-

tocki (syn Seweryna, a brat dobrze u nas znanej Wandy Cabogowej), uległ nakoniec i kazał mi paszport wydać. To jego powątpiewanie o tem, co mówiłem, wzbudziło później we mnie posądzenie, że już miał w ręku list mój pisany do xięcia Adama Czartoryskiego z polecenia Sebastianiego.

Przybywszy do Londynu, przedewszystkiem odwiedziłem dawnego przyjaciela i kolegę z dzieciństwa, Józefa Sobolewskiego. Był on synem exministra sekretarza stanu przy cesarzu Alexandrze dla spraw Królestwa Polskiego, Ignacego Sobolewskiego. Wonczas Józef był radcą poselstwa rosyjskiego w Londynie, na któryto urząd nastąpił zaraz po xięciu Gorczakowie, teraźniejszym kanclerzu.

Przyszedłszy do Sobolewskiego, oświadczono mi, że go w domu niema, ale że wkrótce powinienby nadejść. Po długiem czekaniu nakoniec on nadszedł, mocno wzruszony. Opowiedział mi, co było powodem jego wzruszenia. Xiężna Lieven kazała go z biura do siebie zawołać; powiedziała mu, że widzi, iż od niejakiego czasu zesmutniał i jest mocno zamyślony. Domyśla się, że tego powodem są wypadki, zaszłe w Polsce. Bardzo pojmuje, że jego położenie przy poselstwie rosyjskiem, jako Polakowi, jest przykre. Jeśli chce, to mu wyrobi urlop nieograniczony. Na to on odpowiedział, że jakkolwiek nie łudzi się nadzieją, aby to powstanie utrzymać się długo mogło, jednak czyni ono i nadal położenie Polaka w służbie rosyjskiej niemożebnem. Prosi więc nie o urlop, ale o zupełną dymisyę. Długo bardzo xiężna starała się go namówić, aby tego ostatecznego kroku nie robił, jednak on od swego przedsięwzięcia nie odstąpił.

Był wtenczas w Anglii Adam Matuszewicz, syn byłego ministra finansów za Xięstwa Warszawskiego i w początkach Królestwa Polskiego, a dawniej jeszcze posła na Sejmie czteroletnim. Adam służył w dyplomacyi rosyjskiej i tam słynął ze swych zdolności. W owym czasie posłany był do Londynu, gdzie się

toczyły konferencye w sprawie belgijskiej, na pomocnika xięcia Lieven. Dowiedziawszy się o tym zamiarze Sobolewskiego żądania dymisyi, przybył zaraz do Londynu ze wsi, gdzie polował i wszystkich możebnych środków używał, aby go od tego odwieść. Nakoniec widząc, że nic wskórać nie może, prosił go przynajmniej, aby o tem nikomu nie mówił, przyznając, że Sobolewskiego postępowanie jest najokropniejszą jego naganą i może mu w oczach Anglików bardzo zaszkodzić, bo on karyery opuścić nie chciał. Sobolewski mu to obiecał, ale ja nie byłem obietnicą związany i z tego korzystałem.

Matuszewicz posuwał bezczelność do wysokiego stopnia. Raz w towarzystwie począł sobie żartować z powstania i z tych, którzy się byli do niego przyłączyli i ogólnie z Polaków. Mnie się już gorąco zrobiło. Widząc to xiężna Lieven, przerwała mu mowę, a że go nie cierpiała jako guwernera, przydanego jej mężowi, rzekła: „Hrabio Matuszewicz, już dość tych żartów. Tobie mniej, jak każdemu innemu, przystoją. Można Polaków żałować, nad ich losem ubolewać, ale żartować z nich nie można“. Tak ścięty w przytomności kilku poważnych Anglików, musiał milczeć. Zapytany raz, czy zna xięcia Adama Czartoryskiego, odpowiedział, że go podobno gdzieś widział, ale go bliżej nie zna. Tymczasem on i jego siostra chowali się w Puławach, które opuścił dopiero dla dokończenia nauk w Paryżu; nawet nazywał się Adam od swego ojca chrzestnego, xięcia jenerała ziem podolskich. W mojej przytomności Anglik zapytał się go: „Czy jest wysłany przez rząd polski, bo wątpi, żeby jako Polak był przy poselstwie rosyjskiem?“

Dowiedziawszy się od Sobolewskiego o położeniu politycznem, poszedłem z wizytą do xięstwa Lieven. Przyjęli mnie uprzejmie. Rozmawialiśmy o wielu rzeczach, ale o sprawach polskich nie było mowy, co mnie bardzo ucieszyło. Prosili mnie do siebie na obiad. Na tym obiedzie był lord Grey, prezes Rady

ministrów; przypomniałem się jego pamięci. Po obiedzie poczęliśmy mówić o sprawie polskiej. Mogłem mu powiedzieć o celu mojej podróży i zamówiłem sobie u niego audyencyę na dzień następny. Widząc mnie u posła rosyjskiego, mógł mnie przyjąć bez narażenia się temuż.

Na drugi dzień miałem długą z nim konferencyę. Przypomniałem mu, że w czasie kongresu wiedeńskiego on był wydał broszurę o konieczności dla pokoju europejskiego odbudowania Polski niepodległej. Przedstawiałem, że dziś może po raz ostatni trafia się możność wykonania tego, że Francya byłaby skłonną pójść w tej kwestyi razem z Anglią, że nawet Austrya nie byłaby może temu przeciwną. Presya moralna tych trzech mocarstw zmusiłaby Prusy do neutralności, a Rosyę do ustępstw, w razie pomyślnie toczonej przez nas wojny. Przeciwnie, jeśli ulegniemy, Rosya potrafi kraj nasz tak zniszczyć, że się odrodzenie stanie na przyszłość niemożliwe. Jeśli się Anglia przyczyni do odbudowania Polski, może to dać jej w tym kraju wpływ moralny, który może stać się dla niej na przyszłość bardzo użytecznym. Na to mi on odpowiedział, że co do zasady nie zmienił zdania, wypowiedzianego w swojej broszurze z r. 1815. Lecz tu chodzi o czas, w którym przeprowadzenie tej zasady jest możliwem. „W dzisiejszej chwili — mówił on — nie wiemy, czy teraźniejszy rząd francuski się utrzyma, — czy, party z dołu, nie będzie musiał przypodobać się narodowi podbojami. Toczy się teraz kwestya belgijska, czy Francya nie zechce przyłączyć Belgii do siebie. My na to zezwolić nie możemy. Musimy mieć potęgę, którąbyśmy mogli w razie potrzeby przeciwstawić Francyi. Tą być może tylko Rosya. W dzisiejszych więc okolicznościach musimy sobie życzyć, aby ona jak najprędzej miała wolne ręce i żeby wasze powstanie jak najprędzej było przytłumione“.

Mniej przykro, ale równie kategorycznie wyrażał się lord Palmerston, minister spraw zagranicznych.

*

Niepewność przyszłości Francyi było to, co ich najwięcej straszyło. Również niepewną była przyszłość Belgii. Było w tej ostatniej wiele stronnictw. Jedni pragnęli wrócić do dawnego stanu pod Holandyą; drudzy byli za anexyą do Francyi; trzeci myśleli o zbudowaniu nowego państwa, zupełnie niepodległego. We Francyi całe stronnictwo ruchu było za anexyą Belgii. Stronnictwo rozważniejsze, a mianowicie ówczesne ministeryum, było temu przeciwne. Przewidywało i słusznie, że tem ściągnie na Francyę koalicyę europejską pod przewodnictwem Anglii i to wtenczas, kiedy Francya była do wojny zupełnie nieprzygotowaną. Opanowanie Belgii, niemającej wojska, byłoby tylko przemarszem wojskowym. Tego Anglia nie chciała, ale się lękała upadku ówczesnego ministeryum i przyjścia do władzy stronnictw ruchu. Do tej niechęci ministeryum francuskiego względem anexyi Belgii przyczyniały się i powody prywatne. Pan Kazimierz Périer, prezes Rady ministrów, jako bankier mocno popierał był produkcyę żelaza we Francyi. Miał w tym przemyśle znaczne kapitały. Przy anexyi Belgii, fabryki żelazne francuskie nie byłyby mogły wytrzymać konkurencyi z belgijskiemi, które były więcej rozwinięte i stały w korzystniejszych warunkach. Byłyby one upadły, a z niemi i ich opiekun pan Périer.

Xiążę Talleyrand, ówczesny poseł francuski przy dworze angielskim, bardzo był dla mnie uprzejmym. Zdaje mi się, że szczerze naszej sprawie sprzyjał, lecz dobre jego chęci rozbijały się o oziębłość ministrów angielskich; kilka razy próbował mówić o nas, proponując choć dyplomatyczną interwencyę. Ministrowie angielscy o tem słyszeć nawet nie chcieli. Owszem uważali w tem na nowo rozbudzające się zachcenia Francyi, mięszania się w sprawy całej Europy.

Bywałem bardzo często, prawie codziennie u niego. Ile razy był u niego na obiedzie jaki minister angielski, to i mnie zapraszał, co mi dawało możność mó-

wienia z nimi o naszej sprawie. Raz po obiedzie, na którym był poseł szwedzki [hr. Biörnstierna], ten wziąwszy mnie na bok, długo rozprawiał o nas z największym zapałem. Wróciłem do siebie uradowany, widziałem już blizką wojnę między Szwecyą a Rosyą. Aż tu na drugi dzień meldują mi posła szwedzkiego. Byłem pełen nadziei; ale on błagającym tonem zaczął mnie prosić, abym żadnego użytku nie robił z tego, co mi wczoraj mówił; że to było tylko zupełnie prywatnym wyrazem jego uczuć, ale wcale nie myślą jego rządu, który owszem życzy sobie zachować najlepsze stosunki z Rosyą. Gdyby się nasza wczorajsza rozmowa rozgłosiła, mógłbym go wystawić na największe nieprzyjemności, bez żadnej dla nas korzyści. Znikły więc moje iluzye.

Najprzyjemniejsze bywały codzienne obiady u Talleyranda, na których bywali sami domownicy, t. j. sam xiążę, jego siostrzenica xiężna Dino i dwóch urzędników z poselstwa. Rozmowa bywała nadzwyczaj interesująca i nauczająca. Toczyła się zwykle o sprawach publicznych, teraźniejszych lub przeszłych. Xiężna Dino była nieodstępną towarzyszką xięcia Talleyranda od czasów kongresu wiedeńskiego. Była jego sekretarzem we wszystkich sprawach, których on nie chciał swojej kancelaryi powierzyć. Xiążę często po obiedzie w krześle drzemał, jednak słyszał wszystko, cośmy przy nim mówili. Od czasu do czasu nawpół otworzył jedno oko i rzucił do naszej rozmowy kilka słów tak trafnych, że chciałoby się było zapisać je sobie do pugilaresu. Jego uwagi o ludziach, którzy w ciągu jego długiej karyery odegrali rolę polityczną, były nadzwyczaj trafne.

Bardzo on wysoko cenił xięcia Adama Czartoryskiego. Nadszedł do Londynu pierwszy manifest rządu naszego Narodowego. Po jego odczytaniu powiedział mi xiążę Talleyrand: „Napisz do swego szwagra, że byłbym dumny, gdybym był taki akt napisał“. W jednej mojej rozmowie z lordem Palmerstonem on

utrzymywał, że Europa nie ma prawa mięszania się w sprawy między Rosyą a Królestwem Polskiem. W odpowiedzi na to napisałem krótki memoryał, dowodzący na zasadzie kongresu wiedeńskiego, że owszem państwa europejskie mają nie tylko prawo, ale i obowiązek pośredniczenia w naszej sprawie. Dałem ten memoryał do czytania xięciu Talleyrandowi z prośbą, aby mi dał swoje uwagi. Przeczytawszy go, rzekł mi: „To dobre, ale lepiej okaż im, jakie mieć będą korzyści, wchodząc w waszą sprawę, a co do praw, to jest rzecz kancelaryi, aby je wynaleźć. Trzebaby, ażeby ona była bardzo niezgrabną, aby ich nie wynaleźć, kiedy ich potrzeba".

U xięcia Talleyranda spotkałem się z xięciem Oranii, późniejszym królem holenderskim. Znałem go z dawniejszych czasów, gdy w Warszawie odwiedzał swego szwagra, cesarza Mikołaja. Bardzo serdecznie się ze mną witał i prosił, abym go odwiedził. Byłem więc u niego. Dużo mówił o sprawie belgijskiej, która go najbliżej obchodziła; przeszedł potem na naszą. Pojmował, co się stało, ale niemniej nad tem ubolewał. Wkońcu zapytał mnie, co w tak trudnych okolicznościach myślę robić. Odpowiedziałem, że byłbym chętnie dał życie, aby od kraju mego oddalić nieszczęście, które przewidzieć można; ale gdy wszyscy giną i ja z nimi ginąć myślę. Zapytał, czy nie zostanę neutralnym na boku. Odpowiedziałem, że nie, i że będę tak czynnym, jak będę mógł. Na to odpowiedział: „Pojmuję to. Niech Cię Bóg strzeże!" Mimo mego oświadczenia, rozstaliśmy się bardzo serdecznie.

Nakoniec doczekałem się Aleksandra Wielopolskiego, który od dawna był zapowiedziany jako wysłannik Rządu Narodowego. Był to mój dawny kolega szkolny. Przedstawiłem go xięciu Talleyrandowi. Po przedstawieniu oddaliłem się, aby im zostawić możność rozmówienia się. Później mówił mi xiążę: „Pan Wielopolski jest rozumny i światły, ale z niego dyplomata nie będzie".

Z przedstawieniem Wielopolskiego lordowi Palmerstonowi miałem więcej trudności. Nie znając położenia rzeczy, kazał on we wszystkich dziennikach wydrukować, że przybył jako poseł Rządu Narodowego. Lord Palmerston oświadczył mi wyraźnie, że go przyjąć nie może. Ledwie po kilkunastu dniach próśb otrzymałem, że zezwolił, aby się zeszli u jednej pani. Zaprowadziłem więc tam Wielopolskiego o oznaczonej godzinie. Nie wiem z pewnością, bo wkrótce potem wyjechałem, ale mi się zdaje, że to był jedyny raz, w którym Wielopolski widział lorda Palmerstona. Jego czynność ograniczała się podobno na podawaniu artykułów do dzienników. Zresztą nie było i co robić[1].

Nie będąc już Wielopolskiemu potrzebny, wróciłem do Paryża. Zastałem tam dużo Polaków nowoprzybyłych. Każdy z nich mianował się wysłanym przez Rząd Narodowy, a rzeczywiście drapnął przed kulami. Jeden z nich, Gurowski, sławny demokrata i krzykun uliczny, uciekł z Warszawy w dzień bitwy Grochowskiej. Przybył do Paryża jeszcze przestraszony i rozgadał, że nasze wojsko rozbite, Warszawa wzięta i że on z największem narażeniem się z niej uciekł. Drugi, Czapski z Poznańskiego, gdy był u mojej żony, a zameldowano wizytę jenerała Sebastianiego, krzyknął: „Tu może być jakaś zdrada arystokratyczna! Muszę słyszeć, co się powie“ i wlazł do szafy, w pokoju stojącej. Sebastiani, wszedłszy do pokoju, powiedział, że pragnie żonie coś zakomunikować pod warunkiem, aby to dla siebie zachowała. Moja żona musiała go zaprosić do swego sypialnego pokoju, a tymczasem biedny Czapski przesiedział się w szafie i nic nie słyszał. Wszyscy, nie mogąc od osób wpływowych nic się dowiedzieć, rzucali się w opozycyę. Tam sprawiano im meetingi i bankiety, na których mogli siarczyste mowy miewać i dogodzić swej miłości własnej. Na nieszczęście u nas nieraz się to widziało, że niby gorąca miłość ojczyzny jest tylko niespokojną miłością własną.

Sebastiani, którego zaraz odwiedziłem, wiedział o położeniu rzeczy z raportów poselstwa. Jednak zważywszy, że zajść w niem mogą zmiany, prosił, abym Paryża nie opuszczał, bo z żadnym z Polaków, którzy do Paryża przybyli, nie chce mieć do czynienia. Miałem sobie za obowiązek zadość uczynić jego żądaniu, choć to czyniło moje położenie bardzo przykrem. Nie miałem od Rządu Narodowego oficyalnego wezwania, abym w Paryżu pozostał. Odbierałem tylko od xięcia Adama Czartoryskiego prywatne listy, do tego mnie zachęcające. Zdawać się mogło, że siedzę w Paryżu, aby bezpiecznie czas przepędzić wtenczas, gdy wszyscy moi i kraj cały biegł do walki. Jednak pomyślałem sobie, że nie idzie o to, co ludzie powiedzą, ale aby stać się użytecznym, ile siły pozwolą.

Między przybyłymi z Warszawy był Konstanty Wolicki, dawny znajomy. Xiążę Lubecki używał go nieraz do podniesienia dochodów skarbowych, mianowicie do robienia konkurencyi na licytacyach. Za uczciwość jego nie byłbym ręczył, ale wiedziałem, że rozumny i zręczny. Miał on rzeczywiście jakieś upoważnienie od Rządu Narodowego do działania w jego imieniu. Jakie było moje zadziwienie, gdy on raz przyszedł do mnie z oświadczeniem, iż się przekonał, że od teraźniejszego rządu francuskiego niczego się spodziewać nie można. Postanowił więc wyjechać i z granicy francuskiej puścić proklamacyę do narodu francuskiego, wzywając go do dania Polsce pomocy i obalenia rządu, który nic dla Polski nie robi. Miał przekonanie, że na jego proklamacyę cała Francya się ruszy, rząd obali i nam w pomoc przyjdzie. Jakim sposobem? Którą drogą? Nie pojmowałem. Rzeczywiście wyjechał, ale proklamacyi dał pokój [2].

Zawiązał się komitet z Francuzów dla popierania naszej sprawy. Ten rozpisał składkę w całej Francyi, aby nam przyjść funduszami w pomoc. Zebrał on wszystkiego niespełna 100.000 franków, które wydał

na przychylne nam artykuły dziennikarskie. Na tem się pomoc Francyi ograniczyła.

Miałem polecenie z Warszawy starać się namówić kilku zdolniejszych jenerałów i wyższych oficerów, aby do nas przyjechali. Zgłaszało się do mnie dużo osób, oświadczając się z chęcią jechania do Polski, ale byli to tylko po większej części awanturnicy, albo chcący do nas jechać, aby pewien rozgłos zyskać, albo znani odważni rębacze, spodziewający się otrzymać tem prędszy awans, powróciwszy do domu. Jednych i drugich mieliśmy dość u siebie i nie potrzebowaliśmy cudzoziemców. Ja szukałem człowieka, wyżej wojskowo wykształconego, któregoby rady mogły nam być użytecznemi.

Do porady w wyborze człowieka użyłem Komierowskiego. Był to syn obywatela z Poznańskiego. W piętnastym roku życia był on w szkołach w Berlinie, gdy tam Francuzi weszli po bitwie pod Jeną. Wszedł on do wojska francuskiego jako prosty żołnierz i dosłużył się był stopnia pułkownika. W czasie dni lipcowych w Paryżu pełnił służbę adjutanta przy marszałku Marmont, komendancie gwardyi. To mu Polacy w Paryżu mieszkający bardzo za złe mieli i wiele mu nieprzyjemności czynili. On jednak nie przestawał szczerze się naszą sprawą zajmować. Później przyjechał do Polski i służył wojskowo do końca naszego powstania. Znał on prawie wszystkich wyższych oficerów napoleońskich i wiedział, jakiej każdy reputacyi używał. Przez niego o nich wiedziałem. Jego opinię sprawdzałem, dowiadując się u innych dawnych wojskowych. Wielu widziałem i z każdym była ta sama historya. W rozmowie głośno wyrażał chęć jechania do Polski. Gdy mu ofiarowano środki do wykonania zamiaru, znalazły się zawsze powody, dla których musiał odstąpić od swego projektu.

Najdłużej traktowałem z jenerałem Lallemand. W czasie Restauracyi musiał on uciec do Ameryki,

będąc wplątany w jakiś spisek bonapartystowski. Żonę zostawił był w Paryżu, gdzie żyła z pracy rąk własnych. Jednak kilkanaście lat biedy nie było jej duszy złamało i gorąco męża namawiała, aby jechał do Polski. Nakoniec zdecydował się i on, pod jednym jednak warunkiem, aby w razie śmierci jego w Polsce i upadku naszej sprawy zabezpieczyć żonie kapitał 100.000 franków. Ona była temu warunkowi bardzo przeciwna, ale on przy nim obstawał, nie chcąc jej po raz drugi w nędzy zostawić. I temu się zadość uczyniło. Moja żona i inne damy polskie miały swoje brylanty i inne kosztowności złożyć u bankiera, który ręczył za wypłatę tych 100.000 franków.

Mieliśmy razem jechać. Pojazd mój był o jedną stacyę od Paryża. Tam mieliśmy fiakrami osobno pojechać, a stamtąd puścić się w dalszą drogę. Jenerał termina wyjazdu odkładał. Nakoniec oświadczył, że jechać nie może. Minister wojny dowiedziawszy się o jego zamiarze, kazał go do siebie zawołać. Przedstawił mu, że i Francya jest wojną zagrożona. W razie wojny chciałby go mieć głównym szefem sztabu. Pierwszym jego obowiązkiem jest służyć własnemu krajowi — i tak wszystkie moje starania spełzły na niczem. Tę choć miałem pociechę, że wybór mój nie musiał być złym, kiedy minister wojny tak dbał o jego zatrzymanie.

Lecz wróćmy nieco wtył. W kilka dni po moim powrocie z Londynu odebrałem od posła rosyjskiego Pozzo di Borgo bilecik, którym mnie prosi, abym do niego wstąpił, bo ma polecenie coś mi zakomunikować. Poszedłem nadzwyczaj ciekawy, coby to być mogło. Gdym przyszedł, oświadczył, że ma list do mnie, który ma mi dać przeczytać, a potem u siebie zachować. Był to list kanclerza, hrabiego Nesselrodego, do mnie pisany z rozkazu cesarza Mikołaja. Zaczynał się bardzo czule, że cesarz był moim prawdziwym przyjacielem, uważał mnie za członka swej rodziny, za syna, kończył się mniej uprzejmie, rozkazem udania

się natychmiast do Petersburga, z dodatkiem: „*Tout retard vous fera envisager comme traître et traiter comme tel*“.

Gdy list odczytałem, rzekł mi Pozzo di Borgo: „Pojmuję, że położenie twoje jest trudne, jeśli jednak pozwolisz mi dać ci radę, mnie dawnemu przyjacielowi twojego szwagra, któremu wszystko winien jestem, bo bez niego byłbym z głodu umarł, radzę ci wziąć paszport do Petersburga. Zrobisz potem z nim, co za dobre uznasz“. Poszedłem za jego radą, wydał mi więc już przygotowany paszport. — Pozzo di Borgo był rodem z Korsyki. W początku rewolucyi francuskiej był członkiem jednego ze Zgromadzeń Narodowych i zapalonym republikaninem. Gdy Napoleon przyszedł do władzy, był jego najgwałtowniejszym przeciwnikiem. Między jego rodziną a Bonapartami panowała odwieczna korsykańska nienawiść. Musiał później z Francyi uciekać. Udał się do Rosyi. Wtenczas to xiążę Czartoryski, jako minister spraw zagranicznych, pomógł mu do wejścia w służbę rosyjską, a zanim dochrapał się urzędu, xiążę go swym kosztem utrzymywał.

Mając paszport do Petersburga, myślałem, czyby go nie użyć, aby nim dojechać w Poznańskie, a stamtąd rzucić się w bok do Warszawy. Później zmieniłem projekt i dobrze się stało. Po naszej wojnie, będąc w Wrocławiu, meldowałem się u dyrektora policyi. Gdy mu powiedziałem moje nazwisko, spojrzał na mnie i zapytał, czy nie miałem przed kilku miesiącami jechać do Petersburga. Odpowiedziałem, że miałem wprawdzie paszport, alem z niego użytku nie robił. Wtenczas rzekł: „Byliśmy o tem przestrzeżeni i mieliśmy rozkaz dodać mu eskortę z żandarmów, odwieźć go do granicy rosyjskiej i oddać go tamtejszym władzom“. Widać, że Pozzo di Borgo przewidywał, że użyję jego paszportu, aby jechać do Warszawy i przestrzegł o tem władze pruskie. Było to przez wielką wdzięczność dla mego szwagra!

Często w owych czasach widywałem sławnego Lafayetta. Był to już staruszek nieco zdziecinniały, ale bardzo zacny i serdeczny. Był on prawdziwym sztandarem stronnictwa republikańskiego, to jest szmatą na kiju, którą niesiono, gdzie było potrzeba menerom, a całe stronnictwo głowy schylało przed tym sztandarem. Przyjmował on gości raz w tygodniu. Bywałem z żoną na tych wieczorach. Bardzo dziwne bywało na nich towarzystwo. Składało się ono po największej części z republikanów francuskich i konspiratorów ze wszystkich krajów Europy. Mieli oni miny i czasem stroje zawadyackie. Na tych wieczorach krążył po salonie stary Lafayette, nadzwyczaj grzeczny i z ułożenia przypominający dawnych markizów francuskich. Jego córka i zięć byli także bardzo uprzejmi i nie licowali do reszty towarzystwa.

Stary Lafayette był wielki gaduła i cokolwiek jemu było powierzyć pod sekretem, rozgadywał w swym salonie, polecając wszakże największe milczenie. Sam tego na sobie doświadczyłem. Pisano do mnie z Warszawy, abym się starał przesłać znaczny zapas sprężyn do zamków karabinowych, gdyż u nas robione nie były dobre i prędko się psuły. Dostać je było łatwo, ale trudność była, jak je przesłać. Zaproponowano mi, aby przy odlewie głów cukrowych w środek je wsadzić. Mówiłem o tem Lafayettowi. Zaraz on, chodząc po swoim salonie, wszystkim to pod największym sekretem rozpowiadał. Zresztą sposób ten okazał się niepraktyczny, bo był za kosztowny.

Po rewolucyi politycznej we Francyi zaraz przyszła chętka rewolucyi religijnej. Zawiązało się towarzystwo pod przewodnictwem kilku xięży. Chciano zaprowadzić nowy kościół, pod nazwą kościoła katolickiego francuskiego. Chcieli w liturgii zastąpić język łaciński francuskim i podobno zamierzano skasować celibat xięży. Dokąd byłyby zaszły dalsze zmiany, trudno odgadnąć. Chcąc zyskać wzięcie, chcieli odprawić wielkie nabożeństwo za Polaków. Przyszli do mojej

żony, prosząc, aby w czasie nabożeństwa kwestowała, oświadczając, że i córka jenerała Lafayetta kwestować będzie. Moja żona, nie domyślając się, że tu idzie o kacerstwo i sądząc, że dodatek w ich tytule „francuski“ znaczy tylko, że to się dzieje we Francyi, przyjęła. Córka Lafayetta, gdy jej powiedziano, że moja żona kwestować będzie, nie śmiała odmówić. Dopiero przeczytawszy w dziennikach, że to nabożeństwo ma się odprawić na teatrze i że tu idzie o poparcie kacerstwa, te panie porozumiały się i oświadczyły, że kwestować nie będą.

Nakoniec przybyli do Paryża formalnie umocowani od Rządu Narodowego: jenerał Kniaziewicz i hr. Ludwik Plater, obaj ludzie poważni, ze sprawami publicznemi obeznani, moja więc bytność w Paryżu stała się niepotrzebną. Jenerał Kniaziewicz, jako dawny legionista, miał wielu znajomych i kolegów między jenerałami francuskimi, był przez nich poważany. Hrabia Plater był radcą stanu i dyrektorem jeneralnym w ministerstwie finansów u nas. On zastępował xięcia Lubeckiego, ile razy ten musiał się z Warszawy oddalić. Pół godziny rozmowy z nim wystarczało, aby przekonać się, że się ma do czynienia z człowiekiem światłym i wytrawnym.

Gdy o Platerach mowa, przypomina mi się wypadek, który miał miejsce o kilka miesięcy później. Wiadomo, że w czasie powstania na Litwie była panna [Emilia] Plater, która się odznaczała czynnością i odwagą. Dzienniki francuskie często o niej wspominały. O tej porze był raz Plater z żoną na teatrze w loży; ktoś z ich znajomych, będący na parterze, powiedział towarzyszowi, że to pani Plater. Jeden z sąsiadów dosłyszał to i wystawił sobie, że to owa bohaterka z Litwy. Wiadomość ta obiegła w jednej chwili całą publiczność; zapomniano o teatrze. Wszystkie lornetki zwróciły się na panią Platerowę. Niemało się Francuzi dziwowali, że stara i tłusta dama mogła być taką bohaterką.

Postanowiłem jechać do Polski. Była to ciężka i bolesna decyzya. Żona moja była w ciąży i blizka połogu, podróżować nie mogła. Trzeba ją było z dziećmi zostawić w Paryżu, bez funduszów, na łasce Bożej. Komunikacye z Warszawą były bardzo utrudnione. Nie miałem żadnej nadziei pomyślnego skutku naszej walki. Powodowała mną jedynie myśl pogrążenia się w przepaść razem z rodakami i całym krajem.

Przeczuwając możliwą zdradę w paszporcie, który miałem do Petersburga, postarałem się o inny, francuski, pod nazwiskiem Louis Sauvan, aby imię odpowiadało znakom na bieliźnie i z tym wyjechałem na Monachium i Austryę w nadziei, że tam będą mniej surowi, jak w Prusiech. Zatrzymałem się kilka dni w Monachium. Posłem francuskim tam był dawny przyjaciel naszej rodziny, pan de Rumigny. Byłem u niego i przyznałem mu się, kto jestem. Nadzwyczaj był dla mnie uprzejmy, prezentował mnie całej rodzinie jako pana Sauvan, dawnego znajomego. Parę dni, które przepędziłem w Monachium, bawiłem ciągle u niego w jego rodzinie. On tymczasem wywiadywał się, którędy lepiej mi jechać, czy na Wiedeń, czy na Pragę. Zdecydowałem się na tę drugą drogę w nadziei, że tam łatwiej mnie przepuszczą.

Po przybyciu do Pragi zawołano mnie do gubernatora hrabiego Choteka. Ten wypytywał mnie się, po co ja w ówczesnych okolicznościach chcę jechać do Polski. Trzeba było na prędce wymyśleć jakiś prywatny interes. Powiedziałem, że byłem wspólnikiem pana White, Anglika, żeśmy razem prowadzili dość znaczny handel zbożowy. Doszła mnie wiadomość, że pan White złe interesa porobił, chcę więc jechać, aby choć część mego kapitału wyratować. Zapytał się mnie hr. Chotek, czy mam jakie papiery udowadniające ten interes. Odpowiedziałem, że z powodu wypadków politycznych nie chciałem sam jechać. Posłałem kupcowi krakowskiemu [Kirchmayerowi] pełnomocnictwo i wszystkie papiery, tyczące się tej sprawy; nie mam

więc żadnych z sobą. Gdy jednak widzę, że pan Kirchmayer bardzo opieszale koło tej sprawy chodzi, postanowiłem sam jechać do Krakowa.

Po indagacyi przeszło godzinnej oświadczył mi hr. Chotek, że nie mogę dalej jechać i mam natychmiast wracać do Bawaryi. Przyszedłszy nazad do domu, rozmyślałem, co dalej robić. Chciałem potajemnie uciec. Lękałem się, że, jak mnie złapią, gotowi mnie zamknąć i Bóg wie jak długo trzymać. Przypomniałem sobie, że nieraz słyszałem o tem, że w Austryi policya otwiera i czyta listy prywatne. Zasiadłem i napisałem długi list do Kirchmayera o moim interesie z Whitem. Odwoływałem się do moich dawniejszych listów, kończyłem tem, że jakkolwiek dziś puścić mnie nie chcą, jednak mam nadzieję, że otrzymam pozwolenie dojechania do Krakowa. Proszę go więc, aby nie robił ostatecznych układów z panem Whitem do mego przyjazdu, bo nie wątpię, że gdy przybędę, będę mógł otrzymać korzystniejsze warunki. List ten wywarł, jak mi się zdaje, pożądany skutek, bo jak później byłem w policyi, nie wątpiono o moim interesie i kazano mi tylko parę dni czekać.

Tu muszę opowiedzieć dalszą historyę tego listu. Kirchmayer, odebrawszy go, nie mógł się połapać. Spotkawszy na rynku moją Matkę, zapytał, czy nie zna Francuza z Paryża, pana Sauvan, który do niego pisze szeroko o interesie, o którym on nic nie wie, odwołuje się do listów, których on nigdy nie odebrał, przeklinał tych awanturników, którzy niby interesa robią, a gdy głupstw narobią, udają się do niego o ratunek. Moja Matka z początku przeczyła, jakoby znała pana Sauvan. Gdy jednak Kirchmayer pokazał jej mój list, poznała moje pismo, przyznała się do znajomości z panem Sauvan i do wiadomości o interesie. List mój zachowała i nie wiem z czyjej namowy, posłała go xięciu Czartoryskiemu.

Gdy przybyłem do Warszawy, Gustaw Małachowski, który był wtenczas ministrem spraw zagranicznych,

zapytany przeze mnie, czy mają moje listy z Londynu i Paryża pisane, odpowiedział, że mają, ale jest jeden, którego dobrze nie rozumieją i prosił mnie, abym z nim poszedł do jego biura, żeby mu go wytłumaczyć. Pokazało się, że mieli tylko ten list do Kirchmayera pisany i z niego wnieśli, że nie mają wchodzić w żadne układy z cesarzem Mikołajem, póki ja nie przybędę. Dopiero ja przywiozę rzeczy, które go do znacznych ustępstw skłonią. — Smutne położenie kraju, którego minister spraw zagranicznych nie może mieć dokładniejszych wiadomości o tem, co się za granicą dzieje!

Lecz wróćmy do Pragi. Do mojej oberży zajechał ktoś dworno. Był to hrabia Naryszkin z żoną, Czetwertyńską z domu. Znałem ich dobrze z Petersburga. Drżałem, aby w korytarzach nie spotkać się z nimi, albo nawet z ich służącymi. Szczęściem, na drugi dzień wyjechali.

Gdy dyrektor policyi dał mi nadzieję, że będę mógł dalej jechać, ale będę musiał parę dni w Pradze zabawić, zarazem pokazał mi jakiegoś pana i rzekł, że on w tem samem jest położeniu, ale dwom rodakom czas milej razem schodzić będzie. Po zamienieniu zapytania: „*Monsieur est Français?*“ znajomość była zawarta. Z początku sądziłem, że to szpieg, którego mi nadają w nadziei, że przed rodakiem się wygadam. Wychodząc jednak z policyi, powiedział mi, że jedzie prosto z Warszawy i przekonałem się, że prawdę mówił. Widziałem, że dobrze znał całe położenie rzeczy, był w blizkich stosunkach z x. A. Czartoryskim i z Zamoyskimi. Ja udawałem, że nikogo z nich nie znam, imiona ich wymawiałem z francuska, a jednak chciałem się o wszystkich szczegółach wywiedzieć, walczyłem między ostrożnością a ciekawością.

Dziwnie mi się wydawało mówić o Matce, siostrze, szwagrach, że ich nie znam, a przecież żądać o nich szczegółów, które obcego nie powinny były obchodzić. Na wszystko mi dokładnie odpowiadał,

ANNA Z HR. ZAMOYSKICH
XIĘŻNA ALEXANDROWA SAPIEŻYNA

zapytany przeze mnie, czy mają moje listy z Londynu i Paryża pisane, odpowiedział, że mają, ale jest jeden, którego dobrze nie rozumieją i prosił mnie, abym z nim poszedł do jego biura, żeby mu go wytłumaczyć. Pokazało się, że mieli tylko ten list do Kirchmayera pisany i z niego wnieśli, że nie mają wchodzić w żadne układy z cesarzem Mikołajem, póki ja nie przybędę. Dopiero ja przywiozę rzeczy, które go do [illegible] skłonią. — Smutne położenie kraju, którego minister spraw zagranicznych nie [illegible] [illegible] wiadomości o tem, co się [illegible] [illegible]!

[illegible] do Pragi. Do mojej oberży zajechał [illegible]. Był to hrabia Naryszkin z żoną, Czetwertyńską z domu. Znałem ich dobrze z Petersburga. [illegible], aby w korytarzach nie spotkać się z nimi, [illegible] z ich służącymi. Szczęściem, na drugi dzień wyjechali.

Gdy dyrektor policyi dał mi nadzieję, że będę mógł dalej jechać, ale będę musiał parę dni w Pradze zabawić, zarazem pokazał mi jakiegoś pana i rzekł, że on w tem samem jest położeniu, ale dwom rodakom czas milej razem schodzić będzie. Po zamienieniu zapytania: „*Monsieur est Français?*“ znajomość była zawarta. Z początku sądziłem, że to szpieg, którego mi nadają w nadziei, że przed rodakiem się wygadam. Wychodząc jednak z policyi, powiedział mi, że jedzie prosto z Warszawy i przekonałem się, że prawdę mówił. Widziałem, że dobrze znał całe położenie rzeczy, był w bliskich stosunkach z x. A. Czartoryskim i z Zadrzyskim, że oświadczył, że nikogo z nich nie znam, [illegible] ich wymawiałem z francuska, a jednak chciałem się o wszystkich szczegółach wywiedzieć, walczyłem między ostrożnością a ciekawością.

Dziwnie mi się wydawało mówić o [illegible], siostrze, szwagrach, że ich nie znam, a [illegible] żądać o nich szczegółów, które obcego nie [illegible] były obchodzić. Na wszystko mi dokładnie odpowiedział,

nawet o mnie mi mówił, że jestem z żoną w Paryżu, że szwagrowie spodziewają się, że wrócę, że Matka bardzo się boi i tego sobie nie życzy. Po drugim dniu razem przepędzonym od rana do nocy, gdy byłem u niego, on chciał mi coś pokazać i otworzył szufladę. Wtem ja widzę w niej flakonik z wodą, której zwykle Zamoyscy używali do płukania ust po fajce, gdy mieli iść w towarzystwo. Porywam ten flakon i patrząc mu w oczy, mówię: „*Monsieur, ce flacon n'est pas à vous, c'est à un Zamoyski, dites moi au quel?*“ i Zamoyski wymówiłem dobrze po polsku. Okropnie się on zadziwił, zmięszał i rzekł: „*Eh, bien oui, mais au nom du ciel, dites moi, qui vous êtes?*“

Wtenczas mu się przyznałem, że jestem tym Sapiehą, o którym mi rozpowiadał, a on mi się przyznał, że z Warszawy jechał do Krakowa z Andrzejem Zamoyskim, że ten z Krakowa miał się dostać do Wiednia jako wędrujący czeladnik i że przebywszy Wisłę wbród, jemu dał wszystkie swoje rzeczy, które on ma mu odwieźć do Wiednia. O nim także później się dowiedziałem, że był siostrzeńcem jenerała Pelet, zastępcy ministra wojny, którego dobrze znałem, że był posłany przez rząd francuski dla zdania mu dokładnego raportu o siłach naszego powstania i o osobach, mających w niem pewne znaczenie.

Nakoniec pozwolono mi z Pragi wyjechać do Krakowa. Kłopot miałem, jadąc przez Galicyę. Musiałem udawać, że po polsku mówiących nie rozumiem i rozmawiałem się na migi, ze strachem, abym się nie wydał. Odetchnąłem, gdym się dostał do Krakowa i tam zastałem Matkę i siostrę. Moja biedna Matka bardzo była zasmucona mojem przybyciem do kraju. Wiedziała, że mi grozi większe jak innym niebezpieczeństwo. Oprócz kul nieprzyjacielskich groziło mi dostanie się do niewoli, w takim razie szubienica, a przynajmniej ciężkie roboty na Sybirze na całe życie. Przez cały czas wojny myśl ta ją dręczyła. Chodząc szybko po pokoju zamyślona, jak miała zwyczaj,

gdy była niespokojną, mawiała głośno: „Leoś będzie wisiał!“

W Krakowie widziałem jenerała Chłopickiego, który tam leżał wskutek odniesionej pod Grochowem rany. Niewiele miał nadziei pomyślnego wyniku naszego powstania i dziwił się, żem przybył. Jednak bitwa Grochowska dodała mu nieco otuchy. Wierzył już w możność pobicia Rosyan, choć na niejaki czas. Ale czy to zdecyduje interwencyę Europy za nami, czy tylko interwencyę Prus przeciwko nam, to było trudno przewidzieć.

Zabawiwszy parę dni w Krakowie, udałem się do Warszawy, a stamtąd z dawnym znajomym, jenerałem Kamieńskim, do głównej kwatery, która stała między Miłosną a Mińskiem. Chciałem wejść do drugiego pułku ułanów, który się już był w kilku bitwach odznaczył, dostałem więc nominacyę na podporucznika do tego pułku [22. kwietnia 1831]. Jenerałowi Kamieńskiemu dano komendę dywizyi piechoty, czem bardzo się cieszył. Nie przewidywał, że go pod Ostrołęką śmierć czekała. Chciał mnie wziąć na swego adjutanta, ale jenerał Prądzyński nalegał na naczelnego wodza, Skrzyneckiego, aby mnie przyłączył do swego sztabu — i tak się stało. Skrzyneckiego i Prądzyńskiego wtenczas dopiero poznałem.

Po kilku dniach jenerał Prądzyński zawołał mnie i Romana Sanguszkę do siebie. Tam począł mówić o jenerale Dwernickim, który już był na Wołyniu. Skarżył się, że jest otoczony samymi zapalonymi demokratami, którzy z obywatelami źle się obchodzą i od sprawy narodowej odstręczają. Że my, jako tam znani, moglibyśmy zbawienny wpływ wywierać na obywateli, a z drugiej strony, jako adjutanci naczelnego wodza, mielibyśmy prawo jenerałowi Dwernickiemu wypowiedzieć nasze zdanie i wymódz na nim zręczniejsze postępowanie z obywatelami. Oświadczyliśmy, że jeśli sądzi, że tam najwłaściwiej możemy służyć, gotowiśmy wykonać rozkazy naczelnego wodza.

Prosił nas wtedy, abyśmy sami zaproponowali to Skrzyneckiemu, bo on, chociaż sobie tego życzy, nie śmie nam tego rozkazać, bo to wyprawa trochę niebezpieczna.

Poszliśmy więc do jenerała Skrzyneckiego. Wdzięcznie przyjął naszą propozycyę i obiecał, że wskaże nam czas, kiedy mamy wyruszyć. Wróciwszy do jenerała Prądzyńskiego, uwiadomiliśmy go o zgodzeniu się naczelnego wodza. Wtenczas on powiedział, że komunikacye z jenerałem Dwernickim zupełnie przecięte i że nie możemy się inaczej dobrać, jak przebrawszy się po cywilnemu, przekraść się przez wojska rosyjskie. Nie mogliśmy się już cofnąć, ale bardzo niemiło nam się zrobiło, bo była to wyprawa, w której prawdopodobnie czekała nas szubienica. Czekaliśmy rozkazu, ale jenerał Skrzynecki odwlekał, aż była zadecydowana wyprawa jenerała Chrzanowskiego, któremu nas przydano. Wyprawa ta miała na celu pójść do Zamościa, stamtąd na Wołyń, aby odwrócić wojsko rosyjskie od jenerała Dwernickiego i w razie możności z nim się połączyć.

Ogromna wtenczas panowała cholera w moskiewskiem, jak i naszem wojsku. Rosyanie się o kilka mil cofnęli, my szli za nimi. Rowy od drogi zasłane były ich trupami. My także traciliśmy po kilkaset ludzi dziennie. Nocowaliśmy we wsi, której nazwiska nie pomnę. Główna kwatera była na folwarku. My nocowaliśmy w stodole. Z rana były między nami trzy trupy zmarłych w nocy na cholerę. Woda na tym folwarku była niegodziwa. Ludzie miejscowi dziwili się, dlaczego woda z tej studni, zwykle dobra, tak okropnie śmierdziała. Po zużyciu jej dla ludzi i koni, znaleziono w niej dwa trupy, zapewne choleryków, których Rosyanie, cofając się, do studni rzucili.

Stamtąd odłączył się z głównej armii korpus Chrzanowskiego. Składał się on z brygady piechoty: 1-go i 5-go pułku liniowego pod komendą jenerała Ramoriny, jednego batalionu wolnych strzelców Grothusa,

brygady jazdy: 1-go pułku strzelców konnych i 1-go pułku Krakusów, pod dowództwem jenerała Ambrożego Skarzyńskiego, jednej bateryi artyleryi konnej pod komendantem kapitanem Narzymskim i dwóch dział pozycyjnych 12-funtowych pieszych. Z adjutantów naczelnego wodza odkomenderowani byli do jenerała Chrzanowskiego Roman Sanguszko, Zdzisław Zamoyski mój szwagier i ja. Skorośmy się oddalili od głównej kwatery, nie mieliśmy wypadku cholery, oprócz dwóch strzelców Grothusa. Gdyśmy przechodzili koło Krasnego Stawu, ponieważ tam cholera ogromnie grasowała, nie weszliśmy do miasta i nocowaliśmy na polu, aby zaś nie dopuścić, by żołnierze szli do miasta, postawiono oddział strzelców. Z tego oddziału dwóch weszło do miasta, aby sobie chleba kupić i obaj na drugi dzień na cholerę umarli.

Ledwie wyszliśmy byli z głównego obozu, spotkaliśmy jenerała Kickiego, który z swoją brygadą jazdy szedł, aby zająć miejsce opuszczone przez jenerała Skarzyńskiego. Bardzo mu żal było, że nie jego przeznaczono do naszego korpusu. Prosił jenerała Chrzanowskiego, aby podał do naczelnego wodza o danie mu Kickiego w miejsce Skarzyńskiego. Gdyby to było nastąpiło, może on nie byłby zginął i my bylibyśmy mieli dużo lepszego komendanta jazdy. Jenerał Skarzyński był o ośm dni starszym jenerałem od Chrzanowskiego, miał sobie za hańbę, że został pod komendą tego ostatniego, sadził się więc na to, aby jego rozkazów nie wypełniać. Bardzo to nam się dało czuć w tej wyprawie; kilka razy Chrzanowski chciał mu komendę odebrać, ale nie miał żadnego oficera kawaleryi, któremuby mógł zaufać.

Gdyśmy dochodzili do Kocka, ostrzeżono nas, że tam jest mały oddział rosyjski. Puściliśmy więc kawaleryę kłusem do miasta. Rosyanie zupełnie nic o nas nie wiedzieli. Połapaliśmy oficerów w szlafrokach, grających w karty. Nie była to więc bitwa, ale raczej polowanie. Łapaliśmy żołnierzy, na wszystkie strony

uciekających bez broni; kryjących się mieszczanie łapali i nam przyprowadzali. Między innymi złapaliśmy adjutanta jenerała Kreutza, Kindiakowa. Przyjechał on wózkiem pocztowym i stał przed pocztą, czekając, aż mu zaprzęgną. Ujrzawszy nas, chciał skoczyć na konia kozackiego, ale nie zdążył. Ważną dla nas rzeczą było mieć depesze, które wiózł; szukaliśmy ich wszędzie na nim, rozebraliśmy go do koszuli, ale daremnie. On utrzymywał, że widząc, iż uciec nie może, oddał je kozakowi, który nam się wymknął. Zdaje się to mało prawdopodobne, ale depesz żadnych nie mogliśmy znaleźć. Ponieważ jenerał Kreutz był bardzo dla naszych jeńców uprzejmy, staraliśmy się być dla jego adjutanta uprzejmymi.

W Kocku był główny depot dywizyi kirasyerów. Była tam masa hełmów, pancerzy, wysokich butów i ogromne zapasy herbaty. Nasi żołnierze nie wiedzieli, co z nią robić. Próbowali gotować ją na gęsto jak kaszę, z dodaniem słoniny, ale jeść nie mogli; żałowali straconej słoniny. Jenerał Skarzyński zabrał sobie kilka furgonów z końmi, naładował je suknem, płótnem, herbatą i odesłał do siebie na wieś. Taka spekulacya ze strony jenerała bardzo nas oburzyła.

Przepędziliśmy noc w Kocku. Wieczorem doszła nas smutna wiadomość, że jenerał Dwernicki, zapędziwszy się za daleko ponad granicę austryacką i do niej przyparty, musiał wejść do Austryi i tam broń złożyć. Nasza wyprawa nie miała już celu. Wielką część nocy przepędziliśmy z jenerałem Chrzanowskim nad mapami. Wrócić było trudno, bo Dybicz, dowiedziawszy się o naszym ruchu, wyprawił dość znaczny oddział, który nas od głównej armii odcinał. Jenerał Chrzanowski miał myśl, którąśmy długo studyowali, t. j. rzucić się w tył armii Dybicza, dojść do Brześcia Litewskiego, tam zniszczyć wszystkie magazyny wojska rosyjskiego, w tem mieście skoncentrowane, potem prawym brzegiem Bugu i tą rzeką zasłonięci, dążyć do Zamościa.

Niezawodnie temby się było najwięcej szkody Rosyanom zrobiło. W Brześciu były wszystkie zapasy amunicyi broni, a szczególnie żywności. Wojsko żyć nie mogło tem, co mogło znaleźć w kraju między Warszawą a Brześciem, bo tam kraj zupełnie był ogołocony ciągłymi od kilku miesięcy przechodami wojsk. Ogłodzeni Rosyanie byliby zmuszeni albo się cofnąć, albo szukać innej linii operacyjnej, ale aby to wykonać, a nie być wystawionym na pewne zniszczenie, trzeba było być w stanie robienia forsownych marszów tak do Brześcia, jak stamtąd do Zamościa. Piechota nasza miała bardzo już zużyte obuwie. Miała dostać nowe, ale te nie nadeszły przed rozpoczęciem naszej wyprawy. Odstąpił więc jenerał Chrzanowski od tej myśli i zdecydował się dalej ciągnąć do Zamościa.

Przebywszy Wieprz, zatopiliśmy wszystkie statki przewozowe, raz aby utrudnić przeprawę Rosyanom na wypadek, gdyby nas ścigać chcieli, powtóre, żeby niekonieczne bagaże, którym przeprawy nie dozwolono, nie mogły się za nami włóczyć. — Dochodziliśmy do Lubartowa, gdy nam doniesiono, że od Kamionki ciągnie do Lubartowa kolumna rosyjska. Był to 12-tysięczny korpus jenerała Kreutza. Jenerał Chrzanowski kazał przyspieszyć marsz, aby uprzedzić go w Lubartowie i aby on nie przeciął nam drogi do Zamościa. Zarazem polecił jenerałowi Skarzyńskiemu, aby z jazdą i bateryą artyleryi konnej wyjechał za Lubartów drogą do Zamościa i ażeby potem zwróciwszy się w prawo, szarżował w środek kolumny marszowej rosyjskiej, gdy tymczasem piechota nasza atakować ją będzie z frontu.

Piechota nasza atak swój rozpoczęła, ale jenerał Skarzyński stanąwszy w szyku bojowym naprzeciw flanki kolumny rosyjskiej, poprzestał na ogniu działowym i nie chciał szarżować mimo kilkakrotnych rozkazów jenerała Chrzanowskiego, co dało czas Rosyanom do skupienia długiej kolumny marszowej.

Nadeszła noc. Myśmy się cofnęli do Lubartowa, Rosyanie stanęli obozem niedaleko miasta, gotując się do bitwy na drugi dzień. Gdyby był jenerał Skarzyński wykonał dane mu rozkazy, bylibyśmy prawdopodobnie rozbili korpus Kreutza, chociaż był od nas dużo liczniejszy[3].

Wiadomo, czem jest atak flankowy na kolumnę w marszu, która się nieprzyjaciela nie spodziewa. Widzieli to jasno wszyscy oficerowie i wściekali się na swego jenerała. Ale nim powodowała nienawiść do jenerała Chrzanowskiego i złość, że zostawał pod komendą młodszego od siebie jenerała. Drugi błąd popełniliśmy, żeśmy zostali na noc w Lubartowie. Trzeba nam było choć nocnym marszem posunąć się ku Zamościowi, aby nie wystawiać się na odcięcie przez przemagającą siłę. Przyznawał się później jenerał Chrzanowski do tego błędu.

Na drugi dzień [10. maja] równo ze świtem stali Rosyanie naprzeciw nas uszykowani i rozpoczęli gwałtowny ogień działowy. Stałem koło pułkownika Chmielewskiego, który dowodził 1-szym pułkiem strzelców konnych i z nim rozmawiałem, gdy kula armatnia, urwawszy łeb jego koniowi, w brzuch go trafiła, tak, że znaleziono jego zegarek przybity do kości pacierzowej. Jakkolwiek śmierć była raptowna, jednak musiała być chwila okropnego bolu, kiedy mu się włosy na głowie najeżyły jak druty. O pogrzebaniu nie było mowy. Odjęto mu tylko szlify, aby Rosyanie nie wiedzieli, że pułkownika zabili.

W godzinę może potem i ja dostałem kontuzyę w krzyże. Na moje szczęście, ponieważ było zimno, kazałem sobie w Lubartowie zrobić surducik płócienny, bardzo grubo watowany, który wziąłem pod mundur i to, zdaje mi się, zmniejszyło skutek kontuzyi. Jednak kula musiała przejść bardzo blizko mnie. Miałem na mundurze pendent żołnierski skórzany. Na nim było liczko od skóry zupełnie zdarte, a nawet na kółku, na krzyżach, była skóra do pół przerwana.

Odurzony padłem na kark konia. Dosłyszałem jednak, że Roman Sanguszko powiedział jenerałowi Chrzanowskiemu: „Sapieha zabity!“ — Przybiegł zaraz do mnie i z rozkazu jenerała odprowadził mnie za front do zamku w Lubartowie. Tam na chwilę położyłem się.

Gdy mi się lepiej zrobiło, usłyszałem, że kule biją już w zamek. Wyszedłem, zastałem mego konia, którego dałem był trembaczowi do trzymania, samego i przywiązanego do klamki od drzwi. Prawdziwa to łaska Opatrzności, że wśród takiego hałasu i strzelania on się nie oderwał i nie uciekł. Wydrapałem się na niego, jak mogłem. Wyjechawszy z miasta, niemały strach mnie ogarnął, widząc, że nasi już znacznie się od miasta oddalili i że już między miastem a naszymi stało uszykowane wojsko moskiewskie. Mieszczanie wskazali mi drożynę, spuszczającą się w dół ku Wieprzowi. Tą drożyną niespostrzeżony wyjechałem z poza frontu moskiewskiego i dostałem się do swoich, jadąc nawet stępa, bo pospieszać nie mogłem dla bolu krzyżów.

Była to przez nas wykonana bardzo zręczna zmiana frontu. Już nas Rosyanie nie odcinali od Zamościa. Szli wprawdzie za nami i mieliśmy ciągłe utarczki w naszej aryergardzie, ale przed nami była droga otwarta. W Lubartowie na cmentarzu została się kompania piechoty. Biedacy, od nas odcięci, bronili się na tym cmentarzu dzień cały. Położenie ich było nadzwyczaj korzystne; kilka razy Rosyanie do nich szturm przypuszczali, ale zawsze ze znaczną stratą byli odparci. Nakoniec, wystrzelawszy wszystkie swoje naboje, poddać się musieli. Gdy z cmentarza wyszła jedna tylko kompania, Rosyanie myśleli, że to zdrada i nie śmieli wejść do cmentarza, aby ich reszta tam ukrytego wojska nie napadła. Nakoniec przekonali się, że tam nikogo więcej nie było i że tylko dwóch żołnierzy zabili, kiedy ze swoich wiele stracili. Dowodził tą kompanią kapitan [Józef] Le-

śniowski. Porucznikiem przy nim był brat jego [Piotr]. Dużośmy im winni, bo szturmem tym Rosyanie zajęci, dali nam czas posunięcia się naprzód. Tylko kozacy nas z tyłu niepokoili i maroderów zabierali. Jenerał Kreutz bardzo uprzejmie się obchodził z dwoma Leśniowskimi. Zaproponował jenerałowi Chrzanowskiemu, aby ich zamieniać za jego adjutanta, Kindiakowa, na co się ten zgodził. Kindiaków odchodząc, prosił jenerała Chrzanowskiego, aby mu oddano jego pałasz, który był dla niego rodzinną pamiątką. Ten chętnie na to się zgodził, ale jenerał Skarzyński, który go był wziął, żadnym sposobem nie chciał go oddać. Bardzo nam to przykro było, ale nie można go było siłą odebrać.

Leśniowscy wróciwszy do nas, rozpowiadali nam swój pobyt u jenerała Kreutza. Zaprosił on ich do siebie wieczorem na herbatę. Potem we trójkę długo rozmawiali. Ubolewał nad naszem powstaniem, mówiąc: „Wkońcu musicie uledz, a jak wtenczas kraj ten będzie nieszczęśliwym!“ Mówiąc o sobie, smutno wyrzekł: „Jak to bolesne być przymuszonym działać przeciw przekonaniu!“ Mówił po polsku jak rodowity Polak. Zdaje się, iż prawdą jest, co o nim ogólnie mówiono, że się rzeczywiście nazywał Krzyżanowski, że jako paź Stanisława Augusta z nim pojechał do Petersburga i że po jego śmierci wszedł do służby rosyjskiej.

Szliśmy forsownymi marszami ku Zamościowi. Nawet w nocy ledwieśmy kilka godzin stawali. Miewaliśmy w aryergardzie ciągłe utarczki z Rosyanami. Biedni żołnierze tak byli pomęczeni, że, mimo grożących kozaków, kładli się po bokach drogi, przekładając niewolę nad dalszy marsz. Musieliśmy ich nahajkami zmuszać do wstawania i dalszego marszu. Pod Starym Zamościem znowu ledwieśmy nie byli odcięci przez jenerała Kajsarowa[4]. Szczęściem, że w Starym Zamościu patrol kozacki, nie spodziewając się nas, zsiadł z koni; ludzie spokojnie pili w karczmie, gdyśmy

wpadli, karczmę otoczyli i wszystkich do niewoli wzięli, tak, że nie było komu dać znać o nas jenerałowi Kajsarowowi. Przeszliśmy prędko przez wieś i tam na górze ustawiliśmy działa, które ostrzeliwały drogę, którą nadchodził jenerał Kajsarow. To go wstrzymało i dało nam czas przeprowadzenia całego naszego korpusu. Mieliśmy więc znowu bitwę aryergardową, cofając się ku Zamościowi. W tej bitwie zaszedł smutny wypadek. Jakiś Szwed, zapalony do naszej sprawy, zawerbował się do naszego wojska. Służył w początku w jeździe Płockiej. Później prosił, aby go przeniesiono do starego pułku. Przydzielono go więc do strzelców konnych, ale nie miał czasu zmienić munduru. W szarży Krakusy widząc mundur sobie nieznany, wpadli na niego. On się tłumaczył po szwedzku, ale to ich nie przekonało i biedaka pokłuli i porąbali, ledwie go oficer obronił.

Gdyśmy się bili w aryergardzie, przybiegł oficer od awangardy z raportem, że przed nami ukazują się kolumny piechoty. Rozpacz nas wzięła, że znowu trzeba będzie przez te kolumny się przebijać. Leci jenerał Chrzanowski naprzód, by się przekonać, co to jest. Przez lunetę poznał nasze mundury. Rzeczywiście był to garnizon zamojski, który na odgłos kanonady przyszedł nam w pomoc. Trudno wyrazić, jaka to była radość. Puściliśmy ich do aryergardy i już spokojnie szliśmy do Zamościa.

Żadna stolica w Europie nie wydała mi się tak piękną, tak powabną, jak wtenczas Zamość. Mieliśmy pokój choć w kilku, na noc można się było rozebrać, rano umyć; rano i po obiedzie chodziliśmy na kawę do pani Hasklowej, Żydówki, która utrzymywała kawiarnię i cukiernię. Na obiad chodziliśmy do traktyerni, gdzie chociaż dość źle się jadło, ale się koło stołu na stołkach siedziało. To wszystko wydawało nam się tak miłem, jak w innych okolicznościach największe zbytki. Przytem mogłem sobie spoczywać, czego bar-

dzo potrzebowałem, z powodu bolu w krzyżach po kontuzyi.

Wkrótce po nas zaczęli do Zamościa przybywać oficerowie i żołnierze z korpusu Dwernickiego, którzy się z pod straży Austryaków wymykali. Koniecznie chcieli oni nas przekonać, że to był czyn bohaterski, że się nie Rosyanom ale Austryakom poddali. Raz w kawiarni rozpoczęła się o to gorąca dyskusya między świeżo przybyłym majorem, którego nazwiska nie pomnę, a Romanem Sanguszką, który utrzymywał, że to przejście do Austryi da się koniecznością wytłumaczyć, ale świetnym czynem wojskowym nie jest. Major się uniósł i jako wyższy rangą Romana aresztował. Roman, który był nadzwyczaj służbisty, wyszedł zaraz z kawiarni, jenerałowi Chrzanowskiemu zameldował, że jest aresztowany, a więc służby pełnić nie może i wybierał się na 24 godzin na odwach. Jenerał Chrzanowski rozgniewany, zapytał, kto go aresztował; majora kazał do siebie zawołać, dobrze zburczywszy, posłał na 24 godzin na odwach. Po tej historyi ci panowie byli trochę skromniejsi.

Była w Zamościu znaczna liczba jeńców moskiewskich. Między nimi było wielu mieszkańców z tak zwanego zabranego kraju: Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy. Jenerał Chrzanowski chciał ich odłączyć i do naszych pułków wcielić. Dał mi polecenie rozmówienia się z nimi i zachęcenia do wejścia w naszą służbę; kazałem ich z kazamat wyprowadzić, oświadczyłem im, o co idzie. Wszyscy z największą ochotą przyjęli moją propozycyę. Że jednak pod noc zaczynało być ciemno, kazałem im wrócić do kazamat, odkładając na drugi dzień odłączenie ich i przeznaczenie do pułków. Gdy nazajutrz rano przyszedłem i kazałem im wystąpić, wszyscy jednomyślnie oświadczyli, że do naszego wojska wstąpić nie mogą. Całą noc obrabiali ich rodowici Rosyanie, przedstawiając im, że przysięgli na wierność cesarzowi, że byłoby zbrodnią nie dotrzymać przysięgi (choć siłą wymuszo-

nej), że w razie dostania się do niewoli byliby jako dezerterzy pod kijami zamordowani. Tem bardziej mi to ich oświadczenie odmowne było przykre, że już jenerałowi Chrzanowskiemu raportowałem ich gotowość wejścia do naszej służby.

Chodziłem, nie wiedząc, co mam czynić, kiedy mi jenerał Ramorino podał myśl, opartą na gruntownej znajomości naszego chłopa i żołnierza. Począłem wywoływać każdego pojedynczo; pierwszego zapytałem: „Czy pójdziesz, czy nie?“ Odpowiedział przecząco. Ja na to: „Ty, aby siedzieć w kazamatach, butów nie potrzebujesz, a nasi żołnierze ich potrzebują. Dawaj buty!“ Zaczął więc buty ściągać; pierwszy jako tako ściągnął, drugi szedł mu oporem; ja nad nim stałem, krzycząc, aby się spieszył. Wkońcu odzywa się on: „To chyba, panie, już pójdę!“ Za tym drugim butem poszło przeszło 700 ludzi. Mieliśmy z nich najtęższych żołnierzy. Opowiadano mi później, że byli raz na tyralierce przeciw pułkowi, w którym dawniej służyli. Mieli nienawiść do swego dawnego pułkownika, który miał być wielkim tyranem. Przedarli się więc przez całą linię tyralierów moskiewskich i swego dawnego pułkownika trupem położyli.

W rodowitych Rosyanach jest przywiązanie do swego kraju i cesarza, któregoby się spodziewać nie można po tak mało wykształconym ludzie. W Zamościu Romana Sanguszki sługa zachorował. Wziął on do usługi przy sobie i koniach z pomiędzy jeńców dragona, który był rodem z pod Moskwy. Że to był bardzo porządny człowiek, chciał go przy sobie zachować i sprawił mu porządne ubranie. Gdyśmy mieli wyjść z Zamościa, przyszedł do Romana ten jego służący, w obdartym płaszczu żołnierskim, rosyjskim, z nową liberyą w ręku i rzekł: „Póki pan byłeś w fortecy i z naszymi się nie biłeś, mogłem panu służyć. Teraz, że wychodzisz i walczyć z naszymi będziesz, już dalej służyć nie mogę. Oddaję sprawione mi ubranie“. Roman począł go namawiać, żeby przy nim

został: „Chyba, — mówił — że ci przy mnie źle było". Biedak rzucił mu się do nóg, rozpłakany, mówiąc: „Panie, nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy, jak przez ten krótki czas, w którym panu służyłem, ale obowiązek nie pozwala mi dłużej pozostać, oddaj mnie pan do jeńców". Musiał Roman jego żądaniu zadość uczynić i ledwo go skłonił, aby w darze przyjął sprawione mu ubranie. Piękne to było poświęcenie.

W czasie naszego pobytu w Zamościu nic nie zaszło godnego wzmianki. Robiliśmy kilka pomniejszych wypraw w celu zaopatrzenia fortecy w żywność, ale w nich nie spotkaliśmy się z żadnym oddziałem rosyjskim. Małe patrole kozackie cofały się przed naszem przybyciem. W Zamościu często bywali emisaryusze z Galicyi, przywożąc przedmioty dla wojska potrzebne.

Po bitwie pod Ostrołęką przyszedł dla nas, adjutantów naczelnego wodza, rozkaz wrócenia do Warszawy. Żal mi było opuszczać jenerała Chrzanowskiego, dla którego miałem dużo poważania. Zanim go osobiście poznałem, dużo o nim słyszałem od Dybicza przed naszem powstaniem. Chrzanowski należał do kilkunastu oficerów, odkomenderowanych na wojnę turecką. Dybicz wysoko trzymał o jego zdolnościach i sprawiedliwie. Służąc ciągle jako oficer sztabowy, nie miał on wprawy do poruszania wojska na polu bitwy, ale do ruchów strategicznych nie miał on u nas sobie równego. Mojem zdaniem, był on pod tym względem wyższym od jenerała Prądzyńskiego, który często w swoich planach poetyzował, nie wciągając w rachubę długość marszu, jaką żołnierz w pewnym czasie odbyć może, ani siłę pociągów do dostarczania żywności i amunicyi. Chrzanowski miał charakter przykry, zwykle złego humoru. Często najgorzej przyjął człowieka, a gdy on wyszedł, mówił o nim z największemi pochwałami. To mu też wielu nieprzyjaciół zrobiło. Szczególnie nie lubił go jenerał Prądzyński, czując wyższość jego zdolności i dlatego starał się,

o ile mógł, odsuwać od głównej kwatery. Jeszcze za jenerała Chłopickiego odesłany był do Modlina, bo się nie zgadzał z myślą czekania wojsk rosyjskich pod Warszawą. Radził, aby zaraz po powstaniu, nie czekając na nowo formujące się pułki, zebrać dawne wojsko, z niem posunąć się naprzód na Litwę i rozbroić stojący tam korpus litewski, który nieprzygotowany do wojny i złożony do większej części z Polaków, byłby zapewne słaby opór stawiał, a jeńcami byłoby się nasze wojsko wzmocniło. Odkrywszy znaczną przestrzeń kraju, byłoby się miało większy zasób do dalszego prowadzenia wojny. Nasza wyprawa do Zamościa miała także po części na celu oddalenie Chrzanowskiego.

Aby zmniejszyć ilość niepotrzebnych konsumentów w fortecy, postanowił jenerał Chrzanowski razem z nami wyprawić za Wisłę wszystkich jeńców rosyjskich. Dodano nam do nich mały oddział wojska, który mógł nas i jeńców obronić przed małymi oddziałami kozaków, dochodzącymi często aż do granicy austryackiej. Szliśmy nad samą granicą, przebijając się gęstymi lasami, a na noc wybieraliśmy miejsca dalekie od wsi i wszelkich dróg — gęstym lasem zarośnięte. Doszliśmy szczęśliwie do Zawichostu i tam przeprawiliśmy się przez Wisłę. Zostawiwszy tam jeńców i ich eskortę, ruszyliśmy już bezpieczni do Warszawy, we trzech: Roman Sanguszko, Zdzisław Zamoyski i ja, z naszymi końmi i służącymi.

Po drodze do Warszawy spotkaliśmy oficera, wiozącego rozkazy do Zamościa. Miał on dla nas trzech ordery wojskowe „*Virtuti militari*“. Niemała to była dla nas radość i zdziwienie, bośmy nie wiedzieli, że nas do tej odznaki był przedstawił jenerał Chrzanowski. Z wielkiem zadowoleniem przypięliśmy sobie te ordery na mundurze. Od tegoż oficera dowiedzieliśmy się o wielu szczegółach bitwy pod Ostrołęką i jej skutkach. Bolesne to było i o wiele zmniejszyło naszą radość z orderów.

Na jednym popasie spotkaliśmy się z furami, wiozącemi zboże do magazynów wojskowych. Wdałem się z chłopami, prowadzącymi te fury, w rozmowę. Wiedzieli oni, że wojna, bo wybierają wielkiego rekruta i prowiant, ale nie wiedzieli o co wojna, ani kto z kim się bije. Wielki to był błąd Rządu, że tak mało dbał o oświecenie ludu w tej sprawie i o rozbudzenie ducha narodowego w ludzie. Dopiero rekrut, gdy się do pułku dostał, był w tem oświecony i zaraz się w nim uczucie patryotyczne rozwijało. Kilka dni czasu na to wystarczało, tak to uczucie jest w naturze człowieka.

W Warszawie były umysły bardzo wzburzone niepowodzeniem bitwy pod Ostrołęką. Duch intryg wszędzie panował. Gdy meldowałem się jenerałowi Prądzyńskiemu, rozpowiadał mi wszystkie szczegóły tej nieszczęsnej wyprawy. Wytykał mi wszystkie błędy przez jenerała Skrzyneckiego popełnione i po każdym dodawał: „Powiedz to twemu szwagrowi xięciu Czartoryskiemu". Nakoniec mnie to zniecierpliwiło, bo widziałem, że chce mnie użyć za narzędzie do swoich widoków. Gdy mi jeszcze to samo powiedział, odrzekłem mu: „Panie jenerale, jako adjutant naczelnego wodza moim obowiązkiem jest wypełniać jego rozkazy, a nie roznosić przeciw niemu zaskarżenia i to w rzeczach, których nie byłem świadkiem i o których pewnego sądu mieć nie mogę". — Od tego czasu stosunki moje z jenerałem Prądzyńskim były bardzo oziębłe.

Towarzystwo demokratyczne coraz bardziej głowę podnosiło i zaczynało być groźną powagą. Ciekawość mnie wzięła i poszedłem na jedno zgromadzenie. Zdjąwszy oznaki adjutanta naczelnego wodza, wszedłem do kawiarni, w której Towarzystwo się zbierało. Tłok był ogromny, złożony po największej części z czeladników rzemieślniczych, stróżów kamienicznych i wyrobników. Kierownicy byli nieco porządniej ubrani i widać było, że należeli do tak zwanej inteligencyi. Pod oknami sali, w której zasiadało zgromadzenie,

stróż kamieniczny rąbał drzewo i hałasem utrudniał słuchanie mowców. Ktoś postawił wniosek zwrócenia się do obywatela-stróża, aby nie hałasował. Powstał drugi z uwagą, że byłoby to ścieśnieniem wolności osobistej obywatela, kazać mu cicho siedzieć, kiedy mu się chce hałasować. Ta uwaga przekonała zgromadzenie i dano obywatelowi-stróżowi pokój. Postawił potem ktoś zapytanie, czy komisya wybrana do napisania projektu konstytucyi dla Rzeczypospolitej Polskiej już pracę swą zakończyła i kiedy ten projekt będzie zgromadzeniu przedłożony. Wtem począł się ktoś okropnie rzucać i domagać się głosu. Gdy mu go dano, rzekł: „Każda konstytucya, jak każde prawo, jest ścieśnieniem wolności. My walczymy za wolność nieograniczoną i konstytucyi nie potrzebujemy. Wola ludu jest naszą konstytucyą". Mowa ta przyjęta była hucznymi oklaskami. Wiele innych było mów, wytykających zdradę w Rządzie, zdradę w wojsku, któreby czapkami Rosyan wytępiło, gdyby nie zdrady. Wynoszono pod niebiosa postępowanie rewolucyi francuskiej i gilotynę. W niej tylko widziano zbawienie kraju, bo pobicie i wypędzenie wojsk rosyjskich uważano za fraszkę, która nastąpić musi, skoro głowy polskie padać będą.

W tem zgromadzeniu wybitną rolę odgrywali oficerowie, mianowani w początku powstania przez regimentarzy. Wiele złego nam zrobili mianowani zaraz z początku regimentarze, którzy mieli się zająć formowaniem powstania po województwach. Ci nie byli wojskowymi, nie umieli się praktycznie wziąć do rzeczy, jeździli tylko po swoich województwach, zbierali szlachtę, miewali mowy patryotyczne i najzapaleńszym dawali nominacye na oficerów. Mieliśmy więc masy oficerów do służby wojskowej niezdolnych, a nawet bić się niechcących, ale pragnących utrzymać swoją reputacyę patryotów sejmikowaniem i gwałtownemi mowami.

Do tego najtęższi byli Kaliszanie. Jedni z pierwszych uformowali szwadron ułanów. Gdy ten wchodził do Warszawy, przyjęto go hucznymi okrzykami: „Niech żyją Kaliszanie!“ Na to oni odpowiedzieli okrzykiem: „Niech giną Kaliszanie, a niech żyje Ojczyzna!“ Tymczasem nie zginęli Kaliszanie, bo jak pierwszy raz wyprowadzono ich do boju, za pierwszymi strzałami armatnimi uciekli i dopiero w Kaliszu się zebrali. Komendant ich zdał raport, że dowodząc tak potrzebnymi dla kraju obywatelami, nie mógł ich wystawić, aby marnie od kul nieprzyjacielskich ginęli, że zresztą są marszami zmęczeni i potrzebują spoczynku. Na tym raporcie podpisał się: „Major i obywatel“. Bardzo nas ten raport zabawił. Wypadek ten tak popsuł reputacyę Kaliszanom, że gdy się dowiedziano, iż jakiś oddział placu nie dotrzymał, zaraz żołnierze mówili: „To pewnie Kaliszanie!“

Wracając do Towarzystwa demokratycznego, wydało mi się ono wtenczas takiem błazeństwem, że byłbym się chętnie podjął rozbić je kompanią piechoty. Lecz Rząd nie miał do tego dostatecznej energii. Zresztą do niego należały osoby, których znaczenie stało na tem Towarzystwie i które razem z niem byłyby musiały runąć. Z czasem zyskało ono na znaczeniu i stało się powodem wypadków, które nasz koniec przynajmniej o pół roku przyspieszyły, a w pół roku Bóg wie co się stać mogło. Dlatego też nie wątpię, że głównymi podżegaczami w Towarzystwie byli agenci moskiewscy i dawne szpiegi policyi.

Wojna między Rządem i Sejmem a jenerałem Skrzyneckim coraz bardziej się rozpalała. Jenerał Skrzynecki odebrał dość przykre od Rządu pismo z wyrzutami za Ostrołękę. Odpowiedział na nie jeszcze gwałtowniej. Przeczytał mi tę odpowiedź. Namawiałem go, aby ją złagodził, przedstawiając mu, że z takiej wojny tylko nieszczęścia wypaść mogą. Nic wskórać nie mogłem. Kazał mi to pismo do Rządu zanieść. Zasiadał Rząd w dawnym namiestnikowskim pałacu. Wpro-

wadzono mnie do wielkiej sali; koło stołu na środku pokoju siedział prezes, xiążę Adam Czartoryski, i parę osób, nie pomnę kto. W oknie był członek Rządu, Lelewel, czytając gazetę. Oddałem pismo xięciu Adamowi i stanąłem na boku, czekając rozkazów. Xięciu, czytającemu to pismo, twarz się zmieniła i widać było, ile na tej wojnie cierpiał. Lelewel, niby czytając gazetę, z pod oka na xięcia spoglądał i uśmiechał się w miarę, jak widział boleść na twarzy xięcia. Ta scena dała mi najgorszą o jego charakterze opinię. Widziałem, że to człowiek, który umie pod każdym potajemnie dołki kopać, a nie ma odwagi samemu chwycić za władzę, nawet wtenczas, gdy mu ją ofiarowano. Był to stary konspirator, który umiał tylko spiskować przeciw każdej władzy, nawet tej, której sam był członkiem.

Nieraz w naszych poufnych rozmowach ubolewał xiążę Adam, że przegłosowany przez kolegów, musi iść drogą, która się z jego przekonaniem nie zgadza. Ja go bardzo namawiałem, aby zrezygnował ze swego urzędu. Był on jeszcze za tak niezbędnie potrzebnego uważany, że prawdopodobnie byłby go Sejm prosił, aby nie odstępował, a wtenczas byłby mógł stawiać warunki, któreby był za potrzebne uznał. Mianowicie mógł sobie przybrać do Rządu ludzi czynu, a nie wichrzycieli. Albo byłby Sejm przyjął jego dymisyę, a wtenczas nie byłby musiał iść drogą, którą sam za dobrą nie uznawał. Już się był xiążę na ten krok zdecydował i jak mi jego sekretarz mówił, zawiadomienie o złożeniu urzędu było już napisane. Gdy się o tem jego koledzy dowiedzieli, tyle go błagali, że do Sejmu nie podał. Czuli oni, że im jego firma koniecznie potrzebna i że bez niej nie mieliby żadnego znaczenia. Zostały więc rzeczy przy dawnem.

Opracowywano wtenczas w sztabie głównym projekt wyprawy ku południowi, przeciw jenerałowi Rüdigerowi, który stał w okolicach Kocka z korpusem dwunastotysięcznym. Miało być połączone działanie

korpusu wychodzącego z pod Warszawy z oddziałem dowodzonym przez jenerała Ramoriny, stojącym nad Wisłą i korpusem jenerała Chrzanowskiego, który odebrał rozkaz wyjścia z Zamościa i posunięcia się na Lublin ku Wieprzowi. Miało nas być około 22 tysięcy. Zdawało się więc, że liczyć można na zwycięstwo. Jenerał Skrzynecki chciał sam wziąć komendę korpusu wychodzącego z pod Warszawy. Świetne zwycięstwo, jak się spodziewano, byłoby koniec położyło wszystkim intrygom i krzykom przeciw niemu.

Jenerał Prądzyński bardzo pragnął, aby się jemu dostało dowództwo nad tą wyprawą. Aby więc zatrzymać jenerała Skrzyneckiego w Warszawie, parę dni przed wyjściem wyprawy oddał potajemnie posłowi, swemu znajomemu, memoryał, który był rodzajem aktu oskarżenia przeciw jenerałowi Skrzyneckiemu. Ten podał ten memoryał do Sejmu, który go odesłał jenerałowi Skrzyneckiemu do tłómaczenia się. W wilię dnia oznaczonego do wyruszenia jenerał Skrzynecki pokazał mi ten memoryał, który był dopiero co odebrał i oświadczył mi, że już sam nie weźmie dowództwa tej wyprawy, bo musi odpowiedzieć na ten akt oskarżenia. Napróżno starałem się przekonać go, że najlepszą odpowiedzią byłaby bitwa wygrana; nie odstąpił od swego, a wiedząc, że to oskarżenie było dziełem jenerała Prądzyńskiego, nie chciał mu dać dowództwa. To więc poruczone zostało najstarszemu jenerałowi, który był w blizkości, a tym był jenerał Jankowski[5].

Jenerał Skrzynecki na głównodowodzącego miał ogromną wadę, która po części pochodziła ze stanu jego zdrowia. Póki szło o to, aby odeprzeć atak, bronił się uparcie; byłby wytrzymał do ostatniego człowieka i do ostatniego ładunku. Lecz gdy wypadało jakiś ruch naprzód robić, porwał się z miejsca, a potem ustawał i szukał pozoru, aby na miejscu pozostać. To było powodem nieudania się wyprawy na gwardye i klęski pod Ostrołęką. To także skłoniło go, że nie

*

wziął dowództwa tej wyprawy, pod pozorem usprawiedliwienia się przed Sejmem. Tłómaczy go po części to, że już przed wojną był tak osłabiony, iż potrzebował pomocy dwóch ludzi, aby się na konia wydrapać.

Skrzynecki odprowadził korpus o kilka mil za Pragę, tam oddał komendę Jankowskiemu i sam wrócił do Warszawy. Z jego adjutantów było kilku odkomenderowanych do Jankowskiego. Między nimi był Roman Sanguszko, Małachowski i ja. Wyruszyliśmy w dalszą drogę ze świtem. Bardzo przykre wrażenie na wojsku zrobił ten fakt, że gdyśmy przechodzili przed domem, w którym mieszkał naczelny wódz, jego służący prosił, aby nie bębniono i nie hałasowano, aby go nie przebudzić.

Wtenczas dopiero poznałem jenerała Jankowskiego. Jadąc konno koło siebie, dużośmy z sobą rozmawiali. Bardzo był zmartwiony i skłopotany tem, że mu dano dowództwo oddzielnego korpusu i to dość znacznego. Mówił, że się czuje w stanie dowodzić brygadą, nawet dywizyą kawaleryi, ale nigdy korpusem złożonym z mięszanej broni. Przedstawiał to naczelnemu wodzowi, ale gdy mimo to kazano, trzeba było słuchać. We wszystkich też jego rozporządzeniach znać było chwiejność i brak zaufania w siebie.

Po paru dniach marszu doszliśmy do Łysobyk, niedaleko Kocka. Wieczorem wpadł do nas szlachcic na koniu, z doniesieniem, że przez Wieprz przeprawiła się brygada piechoty moskiewskiej wbród, dwa działa, które ledwie na promach przeciągnięto i mały oddział kozaków. Aby ich otoczyć i zabrać w niewolę, postanowiono podzielić się na trzy oddziały. Pierwszy pod dowództwem jenerała Turny, byłego adjutanta wielkiego xięcia Konstantego, miał iść prawem skrzydłem; drugi pod dowództwem jenerała Bukowskiego szedł lewem skrzydłem ku Kockowi; trzeci pod dowództwem samego jenerała Jankowskiego formował re-

zerwę, która miała iść w tę stronę, gdzieby się bój okazał zaciętszy. Wszyscy ruszyć mieli przed świtem. Z nas adjutantów Małachowski odkomenderowany był do Turny, ja i Roman Sanguszko mieliśmy zostać przy Jankowskim.

W nocy obudził mnie Małachowski, z prośbą, czybym nie chciał się z nim zamieniać, gdyż Jankowski miał maszerować na Lubartów, dobra jego żony, a on bardzo radby tam zajrzeć. Gdy się na to zgodził i szef sztabu, ja zebrawszy moje manatki, poszedłem do kwatery Turny. Odchodząc, namawiałem Romana Sanguszkę, aby także prosił o przeniesienie do Turny. Przedstawiałem mu, że od początku wojny byliśmy zawsze razem i teraz nie rozłączajmy się. On mi na to odpowiedział, że czuje się słabym i potrzebuje trochę spoczynku. Prędzej go mieć będzie przy Jankowskim, który stoi tylko w odwodzie, kiedy Turno od rana ma wpaść na nieprzyjaciela.

Tymczasem inaczej się stało. Jankowski, słysząc mocną kanonadę od strony Turny, posyłał adjutanta po adjutancie do Bukowskiego, aby z tyłu atakował nieprzyjaciela i zbliżył się do miejsca bitwy. Trzech wysłanych: Butrym, Sanguszko i Małachowski nie dojechawszy, wpadli w ręce oddziałów rosyjskich. Czwarty, Cieciszewski, zdołał uciec i doniósł Jankowskiemu, że pluton dragonów przeciął komunikacyę i że trzej pierwej wysłani dostali się do niewoli.

Tymczasem Turno przed świtem [19. czerwca] ruszył naprzód. Przeszedłszy przez las, ujrzeliśmy przed sobą znaczne kolumny i artylerya rozpoczęła silny na nas ogień. My im odpowiadali, gdy raptem za sobą słyszymy w lesie gęsty ogień tyralierski. Przekonaliśmy się, że mamy do czynienia nie z małym oddziałem, ale z całym korpusem Rüdigera. Aby nie być od swoich odciętym, wypadało nam przez ten sam las wrócić. Tyralierzy moskiewscy dotarli już byli do samej drogi, którą nam wracać wypadało. Piechotą naszą odparliśmy ich, aby drogę zabezpieczyć dla na-

szej artyleryi i kawaleryi. Tyralierzy nasi i rosyjscy tak byli z sobą pomięszani, że dwa razy pojechaliśmy do tyralierów rosyjskich, sądząc, że to nasi. Gdy Turno począł do nich mówić, oni nas poznali i przywitali gęstym ogniem. Szczęściem nikogo z nas nie trafili.

Wyjechawszy za las, zastaliśmy naszą kawaleryę uszykowaną frontem i zasłaniającą drogę, którąśmy wracali. Była ona wystawiona na silny ogień armatni i miała przed sobą kolumny rosyjskie, ku niej się posuwające. Była ona tem mocno wzruszona, tak, że już wiele koni stało tyłem do nieprzyjaciela. Spostrzegł to Turno, wyjeżdżając z lasu. Jak strzała wyskoczył przed front, zakomenderował: „Naprzód stępo marsz!“ a sam z nami wyjechał o kilkadziesiąt kroków przed front i małym galopem przejechał wzdłuż frontu z uśmiechem na ustach. To dodało naszym tyle ducha, że już o ucieczce nie było mowy. Rosyanie, widząc nas tak blizko siebie, przywitali nas kilku strzałami kartaczowymi. Jeden kartacz przeszedł przez czapkę Turny i dał mu kontuzyę w głowę, na którą długo cierpiał. W pierwszej chwili nie dał tego poznać tak, że nawet my, którzy koło niego byli, dopiero po bitwie o tem dowiedzieli się. On był w tej chwili prawdziwie wspaniałym. Tymczasem nasza artylerya i piechota wyszedłszy z lasu, wyszła na linię bojową, co odebrało Rosyanom chęć parcia nas mocniej.

Mimo kilkugodzinnej walki z przemagającą siłą, z nikąd pomoc nam nie przychodziła. Trzeba więc było się cofnąć na mocniejszą pozycyę i tam czekać dalszych wypadków. Turno kazał mi wziąć pół plutonu ułanów, pojechać w las i ściągnąć stamtąd naszych tyralierów. Gdy przyjechałem do pułkownika, aby mi dał te pół plutonu, rozkazał on podporucznikowi, aby za mną jechał. Ten wyjechał przed front, a nie znając komendy, po chwili namysłu zawołał: „Proszę za sobą!“ Poszli więc, ale bez żadnego porządku, jak trzoda owiec. Dopiero potem pomogłem

mu do uporządkowania tych kilkunastu ludzi. To był skutek nominacyi oficerów przez regimentarzy. Przyjechawszy pod las, spotkałem majora od piechoty, którego dwóch żołnierzy pod pachy prowadziło, a prawie niosło. Zbliżywszy się do niego, zapytałem: „Czy major ranny?“ On spojrzał na mnie ogłupiałym wzrokiem. Prowadzący go żołnierze odpowiedzieli mi: „Gdzie tam ranny! Pijany!“ Takie to we mnie obrzydzenie wzbudziło, że zarzekłem się, iż nigdy przed bitwą wódki do ust nie wezmę. Przy takiem wzruszeniu mała nawet ilość wystarczy, aby zmysły i przytomność odebrać.

Po ściągnięciu piechoty z lasu cofnęliśmy się na pagórek dominujący nad całą okolicą i tam uszykowaliśmy się w porządku bojowym. Rosyanie przestali na nas nacierać, bo widzieli się zewsząd osaczeni i do Wieprza przyparci. W rzeczy samej z pagórka, gdzieśmy stali, przez lunetę widzieliśmy za wojskami rosyjskiemi uszykowany oddział Bukowskiego. Czekał on na rozkazy, aby atakować, a te nie nadchodziły. Jenerał, takim korpusem dowodzący, powinienby mieć dość głowy, aby wiedzieć, co mu czynić wypada, gdy widzi ostro toczącą się bitwę, ale błędem to było organizacyi naszego wojska za wielkiego xięcia, że każdy oficer doskonale znał służbę ze swoim stopniem połączoną, ale był zupełnie nieudolny, gdy na wyższy stopień postąpił. Wyjątek stanowili ci, którzy się rzeczywiście wojskowo kształcili, lecz takich wielki xiążę nie lubił i prześladował. Czytanie innej xiążki, jak regulamin, uchodziło u niego za zbrodnię. Zezwolił, acz z niechęcią, na założenie w Warszawie wyższej szkoły wojskowej [aplikacyjnej]. Starał się, ile mógł, odrywać jej uczniów od nauki. Między innemi kazał im całe lato przebywać w obozie, po namiotach razem z prostymi żołnierzami. Zawsze ich prześladował, nazywając ich sawantami. Mimo to szkoła ta wydała bardzo zdolnych oficerów.

Po niejakim czasie odebraliśmy od jenerała Jankowskiego rozkaz cofnięcia się do niedalekiej wsi (Gutowskiej Woli). Zastaliśmy go tam w rozpaczy i prawie od zmysłów odchodzącego. Tłómaczył się, że nie szedł nam w pomoc, ponieważ czekał na jenerała Bukowskiego i z tego powodu, że mając cały park rezerwowy i po większej części pułki nowej formacyi, w dodatku przeważnie tylko kosami uzbrojone, nie śmiał z nimi naprzód się posuwać. Wkrótce do tej wsi nadszedł jenerał Bukowski, który się znów tłómaczył brakiem rozkazów do atakowania. Dopiero ku końcowi bitwy odebrał rozkaz powrotu do głównej kwatery. Połączył się tam z nami jenerał Ramorino z kilkutysięcznym korpusem. Słysząc huk armat, szybkim krokiem poszedł on ku nam, aby wziąć udział w bitwie.

Wtem przybył adjutant naczelnego wodza, Tytus Działyński, z wiadomością, że Warszawa zagrożona przez Dybicza i z rozkazem, aby czasu nie tracąc na gonienie rozbitków korpusu Rüdigera, do czego wystarczy jenerał Ramorino i jenerał Chrzanowski, który z Zamościa wyruszył — natychmiast wracać pod Warszawę. Jenerał Jankowski zebrał radę wojenną, na której i ja obecny byłem. Zdania były podzielone. Jedni utrzymywali, że, jak sam Działyński zeznawał, sądzono w głównym sztabie, iż on nas spotka dobrze za Wieprzem, więc o parę marszów dalej, że więc jest czas do stoczenia bitwy, w której mamy wszelkie szanse wygranej i że jeszcze przyjdziemy pod Warszawę wcześniej, niż się nas spodziewają. Jedni byli zdania, aby jeszcze tego samego wieczora ruszyć ku armii rosyjskiej, drudzy, aby nazajutrz przed świtem bitwę rozpocząć. Ja byłem tego zdania. Drudzy brali rozkaz dosłownie, aby natychmiast wracać. Przedstawiali odpowiedzialność, na jakąbyśmy się wystawili, nie wykonując dosłownie rozkazu. To drugie zdanie w radzie przemogło i postanowiono nazajutrz rano

ruszyć do Warszawy na Magnuszew, gdzie był most na Wiśle. Tym sposobem straciliśmy sposobność odniesienia świetnego zwycięstwa, które nie decydowało o naszej kwestyi, ale byłoby ducha podniosło w wojsku i w narodzie, a może bylibyśmy uniknęli smutnych scen, które nas później zhańbiły i upadek nasz przyspieszyły. Jakby przez nas namówiony, Rüdiger przeprawił się przez Wieprz. Miał za sobą rzekę bez mostów, a przed sobą siły znacznie przemagające. Coby się nie było poddało, to byłoby w rzece utonęło. Cała jego artylerya powinnaby była nam się dostać.

W naszym odwrocie nic ważnego nie zaszło. Rüdiger posłał za nami kozaków, którzy nas nie zaczepiali, ale wyłapywali maroderów, sam zaś kontent, że cały wyszedł z matni, przeprawił się napowrót i poszedł ku Lublinowi. Tam spotkał się z nim jenerał Chrzanowski, idący z Zamościa z rozkazem zniszczenia do reszty jego niedobitków. Szczęściem jenerał Chrzanowski był dość ostrożny i nie rozpoczynał bitwy, zanim się nie przekonał, kogo ma przed sobą. Zobaczył, że nie z rozbitkami ma do czynienia, ale z korpusem zupełnie porządnym i prawie trzy razy liczniejszym od jego. Zrobiwszy więc zmianę frontu, począł się cofać ku Wiśle, do której szczęśliwie doszedł po kilku mało znaczących utarczkach jego aryergardy z przednią strażą Rüdigera. Powtarzam tu, co mi jenerał Chrzanowski sam rozpowiadał.

W Warszawie znaleźliśmy umysły ogromnie rozburzone nieudaniem naszej wyprawy. Niemało przyczynili się do powiększenia tego stanu oficerowie, szczególnie ci, którzy byli pod jenerałem Bukowskim. W kilka dni potem od rana poczęły się masy ludu zbierać. Zaraz wystąpili mowcy z gwałtownemi mowami o zdradzie i potrzebie wieszania zdrajców. Dla uspokojenia ludu kazał Rząd zamknąć i pod sąd wojenny oddać jenerała Jankowskiego, Bukowskiego i kilkanaście innych osób, wskazanych przez ogólne

krzyki jako zdrajców i szpiegów moskiewskich. Między nimi było rzeczywiście kilka osób, znanych jako byłych agentów policyi wielkiego xięcia.

Wtenczas po raz drugi miałem sposobność widzenia Lelewela i wyznaję, że bardzo mi się nie podobał. Przyszedł do jenerała Skrzyneckiego i w mojej przytomności począł ubolewać nad tym ruchem ludu, przewidując wszystkie jego smutne skutki. Jenerał Skrzynecki namawiał go, aby wyszedł na ulicę i starał się lud uspokoić, gdyż on mógł mieć najwięcej wpływu. Zaczął się składać, że on nic nie może, że go lud słuchać nie będzie. Tymczasem między najzapaleńszymi mowcami ulicznymi byli tacy, o których dobrze wiedziano, że zostają z nim w blizkich stosunkach. Zawsze ten sam sposób nurtowania pokryjomu, nie przyznając się do tego. Szczęściem po aresztowaniu tych kilkunastu osób spokojność wróciła. Nie popełniono żadnych większych gwałtów, ale już można było przewidywać, że to tylko pierwsza próba i że możemy przyjść do gwałtowniejszych wypadków.

W czasie tych nieporządków Roman Sołtyk, który się był do artyleryi zapisał i paradował w mundurze pułkownika artyleryi, chociaż żadnej służby nie pełnił, wyjechał konno na ulicę i zebrawszy pewną ilość ludu, począł do niej mieć bardzo gorącą patryotyczną mowę. Poczęto mu krzyczeć wiwaty. Wtenczas on: „Nie mnie, panowie, należą się te wiwaty, ale temu sędziwemu starcowi (jego ojcu), który całe życie służył ojczyźnie i na jej usługach sterał siły“. Więc cała banda poszła za nim do jego ojca, krzycząc: „*Vivat* Sołtyk!“ Wtem z bocznej ulicy wyszła druga banda, która źle dosłyszała i myślała, że krzyczą: „Wieszać Sołtyka!“ Więc i ona chciała się do tego wielkiego dzieła przyczynić i już się brano do niego, gdy wkońcu nowo przybyli zrozumieli, że nie krzyczą: „Wieszać“ ale „*Vivat!*“ Dano mu pokój i wszyscy razem poszli, krzycząc: „*Vivat!*“

Przerwę tu opisanie wojny, aby zanotować niektóre rzeczy, o których dowiedziałem się w Warszawie przy wolniejszym czasie.

W papierach pozostałych w Warszawie po Nowosilcowie znaleziono wiele rzeczy ciekawych, mogących objaśnić panowanie cesarza Alexandra I-go. Między innemi był projekt konstytucyi dla całego państwa rosyjskiego, wyrobiony z rozkazu tegoż cesarza. Miała być Rosya podzielona na prowincye podług narodowości i tak: Litwa z Biało-Rusią miała być jedną — Wołyń, Podole, Ukraina, podobno nawet Zadnieprska drugą — prowincye niemieckie trzecią. O innych nie pamiętam[6]. Każda prowincya miała mieć swój sejm, stanowiący o wszystkich sprawach administracyjnych i wewnętrznych. Dla spraw tyczących się ogółu monarchii mieli się w Petersburgu zbierać delegaci ze wszystkich sejmów. Zapewne byłby cesarz konstytucyę Królestwa Polskiego zmodyfikował i do ustroju całego państwa zastosował. Jednem słowem, było to zastosowaniem zasad, któreby dzisiejsi federaliści chcieli w Austryi przeprowadzić. Mojem zdaniem, byłaby to jedynie możliwa forma rządu w kraju, złożonym z wielu narodowości. Poza tem innej formy niema, chyba rząd wojskowy, na gwałcie i sile materyalnej oparty.

Jenerał Rożniecki, naczelnik tajnej policyi wielkiego xięcia, był zawsze zadłużony po uszy i pożyczał, gdzie tylko mógł. Pożyczył on jakąś sumkę od swego proboszcza w Kałuszynie i zaproponował mu, aby procent sobie odbierał z kasy wojewódzkiej, z którą on miał ciągłe stosunki pieniężne. Poczciwemu xiędzu było to bardzo dogodnem i chętnie na to się zgodził. Nie przeczuwał w tem zdrady. Dopiero po powstaniu znaleziono xiędza wpisanego na liście szpiegów, z płacą odpowiednią jego procentowi.

W tym czasie nastąpiła śmierć Dybicza. Objął po nim dowództwo Paskiewicz. Ten postanowił przeprawić się przez Wisłę. Most budowano mu na gruncie

pruskim. Stamtąd miał być w górę pociągnięty do Płocka, gdzie miała nastąpić przeprawa. Mógł on to uczynić, wiedząc, że może mieć wszystkie swoje zapasy wojenne w Prusiech, bo tylko tą drogą mógł się z Rosyą komunikować.

Gdy nas doszła wiadomość o posuwaniu się kolumn rosyjskich ku Płockowi, ruszył jenerał Skrzynecki z znaczną częścią wojska do Modlina. Sądziliśmy, że z Modlina ruszymy dalej i wpadniemy na Rosyan, którzy wykonywali bardzo dla siebie niebezpieczny marsz flankowy. Wpadłszy z boku na długo ciągnące się kolumny marszowe, mogliśmy przeciąć wojsko nieprzyjacielskie na dwie części i zadać mu, jeśli nie zupełną klęskę, to przynajmniej dotkliwe straty. Przybywszy do Modlina, z niecierpliwością oczekiwaliśmy rozkazu do dalszego marszu.

Tymczasem jenerał Skrzynecki ugrzązł w Modlinie i posłał tylko jedną dywizyę piechoty i brygadę kawaleryi dla wykonania tego, do czego całe siły były potrzebne. Tłumaczył się tem, że już Rosyanie poczęli się przez most przeprawiać i że mogliby nas pod Warszawą uprzedzić, a jednak nam przez Modlin bliżej było do Warszawy, jak im z Płocka, wpadłszy zaś na nich w ich marszu, na prawym brzegu Wisły, mieliśmy czas wrócić i przez most pod Modlinem przeprawiwszy się przez Wisłę, wstrzymać ich marsz ku Warszawie.

Byliśmy wtenczas zupełnie w stanie gorączkowym. Oddział posłany naprzeciw wojskom rosyjskim miał kilka z niemi utarczek, ale był za słaby, aby coś stanowczego zrobić. Odznaczył się w nich [Ignacy] Kruszewski, który jako pułkownik dowodził brygadą kawaleryi (później był jenerałem belgijskim). Raporta jego do jeneralnej komendy okazywały nie tylko odwagę, ale i rozwagę i znajomość wojny.

W Modlinie poznałem [Józefa] Bema. Wtenczas jako pułkownik dowodził bateryą lekko-konną niegdyś gwardyi. Obozował on z swoją bateryą pod sa-

mym Modlinem. Odwiedzałem go dość często. Rozmawialiśmy nieraz o artyleryi, mianowicie o jej materyale. Widząc, że jestem dość z tym przedmiotem obeznany i znałem ulepszenia we Francyi i Angli zaprowadzone, bardzo mnie namawiał, abym przeszedł do tej broni.

W Modlinie doszedł nas raport jenerała Chrzanowskiego, który stał między Mińskiem a Kałuszynem dla zasłaniania Warszawy, że tam spotkał się z jenerałem Gołowinem i odniósł nad nim świetne zwycięstwo [14. lipca]. Naczelny wódz postanowił natychmiast tam jechać. Wyprawiliśmy nasze konie, a sami pocztą pojechaliśmy we trzech, Leon Rzewuski, Zdzisław Zamoyski i ja. Nad ranem stanęliśmy w Kałuszynie. Na poczcie powiedziano nam, że nasi opuścili Kałuszyn i że już tam docierają patrole kozackie. Kazaliśmy jak najprędzej zaprządz, a tymczasem zasnęliśmy w najlepsze. Bogu mamy dziękować, że kozacy nie nadjechali i nas spiących nie połapali. Zmęczenie było przemogło strach przed niebezpieczeństwem. Rosyanie byli tak rozbici, że kupkami po lasach się kryli. Chłopi ich łapali i nam przyprowadzali, a oni najmniejszego oporu nie stawiali. Widziałem sam po kilkunastu żołnierzy przez chłopów prowadzonych. Jenerał Chrzanowski wściekał się na nasze przybycie, bośmy mu nie byli żadną pomocą, owszem staliśmy się przeszkodą w korzystaniu ze zwycięstwa.

Tymczasem Paskiewicz przebywszy Wisłę na moście w Prusiech zbudowanym i mając w Prusiech wszystkie swoje magazyny i zapasy wojenne, posuwał się lewym brzegiem Wisły ku Warszawie. Opuściliśmy więc okolice Kałuszyna i na Warszawę udaliśmy się do Bolimowa, gdzie stanęliśmy z główną kwaterą. Zbierało się tam prawie całe wojsko. Położenie było korzystne. Obsadziliśmy pasmo pagórków, które atakować niełatwo było armii rosyjskiej.

Już w wojsku coraz więcej głosów się odzywało przeciw Skrzyneckiemu, szczególnie między młodymi

oficerami, a najwięcej między tymi, którzy więcej w kawiarniach warszawskich przesiadywali, jak w obozach. Wszyscy czuli błędy i wady Skrzyneckiego, ale starsi nie wiedzieli, kim go zastąpić, młodsi sądzili, że każdy pomiędzy nimi będzie lepszy.

W kilka dni po naszem przybyciu do Bolimowa [9. sierpnia] przyjechała z Warszawy komisya, delegowana przez Sejm, czy przez Rząd (nie pamiętam). Do niej należał xiążę Adam Czartoryski, Wincenty Niemojowski, Antoni Ostrowski dowódca Gwardyi Narodowej i kilku innych, których nie pomnę[7]. Zaczęła ona zwoływać jenerałów, pułkowników, a nawet niższych oficerów i zapytywała o zdanie o Skrzyneckim, a potem pytała, ktoby go mógł zastąpić. To do reszty rozbudziło ducha sejmikowania w wojsku, a tem samem rozbiło wszelką karność; każdy do swego obozu wracając, zbierał swych kolegów, radzono po dniach i nocach, sądzono czynności nie tylko naczelnego wodza, ale i wszystkich przełożonych. Musiano o tem wiedzieć i w obozie rosyjskim, bo chociaż tak blizko staliśmy od siebie, że ich granaty mogły dochodzić do naszej głównej kwatery, jednak nie niepokoili nas wcale, zostawiając nam czas do sejmikowania.

Co do błędów Skrzyneckiego, każdy prawie je przyznawał, bo te widocznie pod oczy podpadały. Co do wyboru jego następcy, najrozmaitsze wychodziły zdania. Nie było prawie oficera, któryby nie miał swego kandydata na naczelnego wodza.

Niedawno [3. sierpnia] był wrócił z Litwy z swym oddziałem jenerał [Henryk] Dembiński. Czy jego zręczności, czy po części i szczęściu przypisać należy jego świetny odwrót, nie jestem w stanie sądzić, jednak nie był on bez zasługi i w Warszawie przyjęto go z zapałem. I to za nim przemawiało, że był przyjacielem Skrzyneckiego i że ten oświadczył gotowość służenia pod nim, czy to jako dowódca korpusu, czy nawet dywizyi. Szczegóły tej sprawy nie były mi

dokładnie wiadome, bo wyznaję, iż tak mnie to sejmikowanie w wojsku gniewało, że ani razu z moim szwagrem xięciem Czartoryskim nie mówiłem w Bolimowie.

Po kilku dniach ogłoszono nam dymisyę jenerała Skrzyneckiego i nominacyę jenerała Dembińskiego [na razie zastępczo] naczelnym wodzem. Kazano wszystkim pułkom, aby na drugi dzień wystąpiły. Obaj jenerałowie z całym sztabem jeździli [12. sierpnia] od pułku do pułku. Jenerał Skrzynecki miał mowę pożegnalną, w której wychwalał swego następcę i kończył, wołając: „Niech żyje jenerał Dembiński!“ W wielu pułkach odpowiadano: „Niech żyje jenerał Skrzynecki!“ Przy jednym pułku, który był w jakiejś bitwie pod jenerałem Dembińskim, ten powiedział: „Miło mi widzieć ten pułk, w którym już walczyłem“. Na to z pułku odezwało się wiele głosów: „A nam niemiło ciebie tu widzieć!“ W wielu pułkach po paradzie zebrali się oficerowie i przyszli do jenerała Skrzyneckiego z nim się żegnać i to serdecznie.

Pojąć można, że wszyscy, którzy oświadczyli się byli za innym kandydatem na naczelnego wodza, byli przeciwni jenerałowi Dembińskiemu. Okazało się wyraźnie, że to wszystko, co mówiono o niechęci wojska do jenerała Skrzyneckiego, było czystą bajką przez krzykaczów warszawskich wymyśloną. Widziano jego błędy, ale nikt nie dał dowodów, że potrafi lepiej zrobić. W mojem przekonaniu, gdyby nie intrygi, a później burdy w Warszawie i gdyby był jenerał Skrzynecki przy dowództwie pozostał, bylibyśmy do następnej wiosny dotrzymali. Mogliśmy pod Bolimowem jeszcze przez parę tygodni wstrzymać dalszy pochód wojsk rosyjskich. Była to pora żniw. Można było do Warszawy ściągać zbierające się za nami plony i tem zapewnić sobie żywność dla ludzi i koni. Byłaby bitwa pod Warszawą nastąpiła o parę tygodni później, więc w drugiej połowie września. Paskiewicz nie miał ochoty przypuszczenia szturmu do Warszawy. Uczynił

to na wyraźny rozkaz z Petersburga, w którym dodano, że w razie nieudania się ma się cofnąć do Prus, a przynajmniej nad granicę, na zimowe leża. Pod dowództwem Skrzyneckiego bylibyśmy niezawodnie szturm odparli; Warszawa była wziętą jedynie przez brak dowódcy w wojsku. Coby się było stało do wiosny, trudno odgadnąć. Wszakże na drugi dzień po wzięciu Warszawy przybył do niej Andrzej Zamoyski z Wiednia, z agentem dyplomatycznym austryackim[8]. Rozumie się, że po rozbiciu naszego wojska nie chciano z nim mówić. Innaby rzecz była, gdyby był Paskiewicz odparty i odstąpił od Warszawy.

W czasie naszej jazdy za naczelnymi wodzami, Bem, który już był jenerałem i dowódcą całej artyleryi, zaproponował mi, bym przeszedł do niego na adjutanta. Chętnie przyjąłem. Podobało mi się służyć pod jednym z najznakomitszych naszych oficerów i w broni, w której było najwięcej karności i porządku. Pojechał on zaraz do szefa sztabu i wieczorem odebrałem rozkaz przejścia pod jego rozkazy.

W kilka dni potem rozmawialiśmy o złem wykonaniu robót w naszym arsenale. Dowodził nim jenerał Bontemps, Francuz, któremu dobrze się działo za wielkiego xięcia, a Polska była mu dość obojętną. Rad był, aby ta cała sprawa jak najprędzej się skończyła. Nowe lawety tak niedołężnie były wykonane, że po kilku strzałach armaty, nietknięte przez kule nieprzyjacielskie, były zdemontowane i musiały wracać do arsenału. To samo było i z karabinami. Jenerał Bem zapytał się mnie, czy w razie pomyślnego dla nas skutku bitwy pod Warszawą przystałbym na to, aby objąć kierunek arsenału. Dowodził mi, że mógłbym się stać o wiele użyteczniejszym, jak w służbie polowej, gdyż on zupełnie nie wie, komuby mógł tak ważną część służby poruczyć. Zgodziłem się na jego życzenie pod warunkiem, iż tę nową służbę obejmę dopiero wtenczas, gdy się Rosyanie z pod Warszawy usuną. Na jego przedstawienie dano mi nominacyę na

kapitana I-ej klasy w artyleryi, co odpowiada stopniowi majora w jeździe lub piechocie. Byłem dotąd porucznikiem[9]. Taki skok był mi niemiły, bo się bałem, aby nie ściągnął na mnie niechęci dawnych oficerów artyleryi. Ale Bem tak był między nimi lubiany, że wszystko, co zrobił, było przez nich za dobre uznanem.

Zaledwo jenerał Dembiński objął dowództwo, poczęli Rosyanie miejscami na naszą linię nacierać. Że się umysły nie były jeszcze uspokoiły po zmianie naczelnego wodza, nie śmiał jenerał Dembiński stawić im czoła i ryzykować walną bitwę, dał więc rozkaz do odwrotu ku Warszawie. W czasie tego odwrotu mieliśmy tylko pomniejsze utarczki naszej aryergardy.

Główna kwatera stanęła na Czystem, przed samemi rogatkami Warszawy. Było to przed połową sierpnia.

Dnia 14. sierpnia przyszedł do mnie Komierowski, dobry znajomy z Paryża, o którym już mówiłem. Był on przydzielony do sztabu jenerała Umińskiego. Zupełnie on nie pasował do reszty otoczenia swego jenerała. Tam karty i hulatyki były głównem zajęciem, a prócz tego, jako byłego adjutanta marszałka Marmont, miano go za niedość liberalnego. Wziąwszy mnie na bok, Komierowski powiedział, że coś musi się przygotowywać w Warszawie, bo jenerał Umiński ciągle posyła tam swoich powierników. Ci wracając, zdają mu potajemne raporta i znów z instrukcyami wracają do miasta.

Na drugi dzień rano przyszedł znowu Komierowski z wiadomością, że całą noc jenerał Umiński nie spał i że ciągle trwały te wysyłki do miasta. Nakoniec przychodzi i mówi: „Pewnie się już w Warszawie coś stało. Przybyły emisaryusz długo z Umińskim rozmawiał. Wkońcu ten wykrzyknął: Teraz jestem naczelnym wodzem!“

Wkrótce doszło nas, że xiążę Czartoryski konno przyjechał do głównej kwatery. Dwa działa przed nią

stojące i otworami zwrócone ku armii rosyjskiej, kazano obrócić ku miastu i nabić kartaczami. Boleśnie było widzieć, że stoimy między dwoma nieprzyjaciółmi, z których wewnętrzny straszniejszy od zewnętrznego.

Wkońcu doszła nas wiadomość o okropnościach, jakie się działy w Warszawie. Świadkowie naoczni pewnie je dokładniej opiszą, niż jabym to mógł uczynić. Xiążę Czartoryski, jak mi sam rozpowiadał, dowiedziawszy się, że go szukają, aby go powiesić, dostał się pokryjomo do Zamoyskich pałacu. Lecz i tam nie czując się bezpiecznym, siadł na konia, aby się dostać do obozu. Nie chciał go samego puścić Podlipski, koniuszy pana ordynata Zamoyskiego. Spotkała ich banda pospólstwa i zatrzymała ich. Xiążę pałaszem uwolniwszy się od tych, którzy go chcieli z konia ściągnąć, cwałem ruszył ku rogatce. Podlipski, aby dać czas xięciu do ucieczki, zatrzymał się. Z początku chciano go powiesić. Gdy jednak w tłumie znaleźli się tacy, którzy go znali, ci wymogli, że go puszczono i pozwolono do domu wrócić.

Lud dopuszczał się najokropniejszych okrucieństw. Pomordowano Jankowskiego, Bukowskiego i kilku innych; kogo lud spotykał na ulicy, a ktoś krzyknął, że to szpieg, zaraz go wieszano na pierwszej latarni. Między innymi starą kobietę, nazwiskiem Bażanów, żonę czy wdowę po byłym urzędniku z biur wojskowych korpusu litewskiego, wywleczono na ulicę, tam jej brzuch rozpłatano, jeden z przewódców wyrwał jej wnętrzności i podniósł do góry, wołając: „Patrz narodzie, jak kwitnie drzewo wolności!“

Sejm temi zaburzeniami nastraszony, nie znalazł innego ratunku, jak oddać władzę dyktatorską jenerałowi Krukowieckiemu, tajnemu podżegaczowi i sprawcy całego tego nieszczęścia. Wyprawiono z obozu wojsko dla przywrócenia porządku. Wybrano między innymi 1-szy pułk strzelców konnych, który był na

lud rozwścieklony za zamordowanie Jankowskiego, swego dawnego dowódcy.

Jenerał Bem dał dowództwo kilku dział [Aleksandrowi] Ekielskiemu, swemu adjutantowi a memu koledze, na którego służbistość mógł liczyć. Ten mi opowiadał, że gdy do miasta wjechał, przyszła do niego deputacya. Jej przewodniczący wystąpił z patryotyczną mową do niego, że liczą na niego, iż jako Polak do ludu polskiego strzelać nie będzie. On im na to po żołniersku odpowiedział: „Wy nie Polacy, ale zbóje i jak w ten moment się nie rozejdziecie, to plunę do was kartaczami i zobaczymy, czy choć jeden się na nogach zostanie". Widząc, że nie żarty, rozeszli się każdy w swoją stronę.

Gdy porządek był przywrócony, pojechałem do miasta. Przed kratą Zamoyskich pałacu był jeszcze u latarni wisielec. Chłopcy się nim bawili, zakręcając sznur, a potem puszczając. Obrzydliwy to był widok.

Ile mogłem się dowiedzieć, tajnymi organizatorami tego szkaradnego ruchu ludowego byli: jenerał Krukowiecki, Wincenty Niemojowski, Lelewel i Umiński. Zamiarem ich było obalić Rząd. Trzech pierwszych miało wziąć władzę cywilną, ostatni wojskową. Gdy jednak Sejm oddał całą władzę Krukowieckiemu, ten odsunął niedogodnych kolegów. Na czele wojska postawił jenerała Małachowskiego, poczciwego staruszka, który od wojen Napoleona mieszkał na wsi i gospodarował. Wiedział Krukowiecki, że z nim nie będzie miał żadnego kłopotu.

Ze zmianą naczelnego wodza wojsko opuściło swoje stanowisko za rogatkami Warszawy i rozłożyło się w obrębie fortyfikacyi. Ile można było, poprawiało się te fortyfikacye. Jenerał Bem wieczorem z nami wyjeżdżał do jednego z szańców i tam nocowaliśmy. Dodawało to otuchy żołnierzom i zaufania w obronność szańców. Ja miałem polecenie we dnie jeździć po szańcach i wprawiać żołnierzy w rzucanie ręcznych granatów. Wymagało to nie tyle zręczności, ile zimnej

*

krwi. Zapaliwszy granat, trzeba go było przez chwilę w ręku trzymać, aby żołnierzom pokazać, że można się nie spieszyć, a przecież strach brał, aby w ręku nie pękł.

Jenerał Krukowiecki dał nam wiedzieć, że chce przeglądnąć fortyfikacye. On jechał cesarską dorożką i końmi. My konno koło niego. Dojeżdżając do pierwszego szańca w Mokotowie, poprzedziliśmy go, z koni zsiedli i gdy wchodził, salutowaliśmy go. On nam się odkłonił na sposób cesarza. Pomówiwszy parę słów z jenerałem Bemem i dowódcą szańca, wziął mnie z sobą, począł mi mówić o xięciu Adamie Czartoryskim, że może być spokojny, bo on nad nim czuwać i protegować go będzie. Mówił ostro, przerywano, zupełnie małpując sposób mówienia cesarza Mikołaja. Ledwie wstrzymać się mogłem od śmiechu, że on, Krukowiecki, dość nędzny jenerał, sławny tylko z burd i pojedynków — (miał 60 pojedynków, w ostatnim zabił jenerała Sokolnickiego) — mógł ofiarować swoją protekcyę xięciu Adamowi, przed którym dawniej czapkował[10].

Xięcia Adama już w Warszawie nie było. Wyszedł on był z Warszawy z korpusem Ramoriny, który się posuwał ku Brześciowi Litewskiemu. Stoczył on szczęśliwą bitwę pod Terespolem [2. września], w której Rosyan pobił i do ucieczki zmusił.

Ja pierwszy miałem wiadomość o tej wygranej, listem od xięcia Adama. Zaraz zaniosłem ten list jenerałowi Bemowi. Zastałem u niego jenerała Prądzyńskiego. Ten przeczytawszy list, powiedział, że przybywa od jenerała Krukowieckiego, który o tem nic nie wie i że trzeba mu ten list pokazać. Kazałem dwa konie osiodłać i pojechaliśmy razem do jenerała Krukowieckiego. Rozmawiając po drodze, zapytałem, jakie jego zdanie, co powinien jenerał Ramorino zrobić dalej. Odpowiedział: „Iść naprzód, choćby do samego Wilna“. Na to zrobiłem uwagę: „A my tu bez jego pomocy, czy się utrzymamy?“ Wyrzekł na to

Prądzyński: „*Varsovie est imprenable*“. Zadziwiła mnie ta odpowiedź. Myśmy w Warszawie mieli zaledwie dwadzieścia kilka tysięcy wojska, po większej części nowych pułków; naprzeciw nas stała główna armia rosyjska, licząca przeszło 80.000 doborowego wojska. Myśmy mieli około 150 dział, licząc nawet i wałowe. Rosyanie mieli ich około 500, które mogli w każdym punkcie użyć. Najlepszą część naszego wojska miał Ramorino.

W parę dni później, 6-go września, równo ze świtem rozpoczęli Rosyanie gwałtowną przeciw nam kanonadę. Jenerał Bem pojechał czem prędzej do kościoła protestanckiego, aby z kopuły, jako najwyższego punktu, obserwować ruchy nieprzyjacielskie. Sądziliśmy, że oni nas będą atakować od Mokotowa, tymczasem widzieliśmy, że kolumny ich ciągną stamtąd ku drodze Jerozolimskiej. Gdyśmy na dół zeszli, jenerał Bem posłał mnie z rozkazem do bateryi nr. 54 (tak zwanej Ordona). Już byłem od niej niedaleko, gdy raptem dał się słyszeć huk niesłychany. Ogień się był zakradł do magazynu z amunicyą. Ten wyskoczył w powietrze, rozbił szańce i palisady. Zaraz ruszyły kolumny nieprzyjacielskie i szaniec szturmem wzięły. Jeszcze się naprzód posuwałem, gdy nadbiegli nasi żołnierze, z szańca uciekający. Poczęli na mnie krzyczeć, abym dalej nie jechał, bo już oddziały rosyjskie są w szańcu.

Po wzięciu tego szańca Warszawa od rogatek Jerozolimskich stała prawie otworem. Jedyną przeszkodą był tak zwany wał Newachowiczowski, wał wysypany dla przeszkodzenia przemycaniu wódki do miasta. Za nim stało trochę piechoty. Paskiewicz jednak przeniósł się ku Woli i tam główny atak rozpoczął.

Wola, był to jeden z szańców najbardziej od miasta oddalony. Za nią stał drugi rząd szańców, które trzeba było zdobywać, aby się do miasta dostać. To Paskiewicza postępowanie zdaje się spraw-

dzać, co później mówiono, że on był przeciwny przypuszczeniu szturmu, że musiał to uczynić na wyraźny rozkaz z Petersburga i że miał upoważnienie w razie nieudania się szturmu cofnąć się do Prus na zimowe leża. Dlatego nie chciał atakować w punktach, w których byłby się od razu za głęboko w miasto posunął. Byłby mógł nawet dojść do mostu na Wiśle i nas od niego odciąć.

Pojechał jenerał Bem do naczelnego wodza Małachowskiego po dalsze rozkazy. Zastaliśmy go stojącego między Jerozolimską a Wolską rogatką, w najgwałtowniejszym ogniu armatnim, ale o planie obrony, o rozkazach nie było mowy. Odjeżdżając od niego, ujrzał jenerał Bem jadącego z swoimi adjutantami i kilku oficerami jenerała Krukowieckiego. Posłał mnie do niego, abym się jego zapytał o rozkazy. Odpowiedział mi on dość sucho: „Czy pan nie wiesz, że ja tu nie dowodzę i że naczelnym wodzem jest jenerał Małachowski?“

Tak więc stał każdy na swojem miejscu, bronił się do ostatniego tchu, bez żadnej znikąd pomocy, gdy tymczasem w punktach nieatakowanych stało wojsko nieczynnie.

Spotkałem jenerała Prądzyńskiego. Przedstawiałem mu stan rzeczy, namawiałem go, aby wziął komendę. Każdy tak czuł potrzebę dowódcy, że byłby go najchętniej słuchał, czy miał, czy nie, nominacyę na naczelnego wodza. Odpowiedział mi, że należy do korpusu Ramoriny, do którego zaraz wyjeżdża. Zresztą mówił: „Tu niema co robić; do wieczora będzie Warszawa wzięta“. Przypomniałem sobie, co mi przed paru dniami mówił: „*Varsovie est imprenable*“ i z rozbolałem sercem odjechałem.

Rosyanie zwrócili główny atak na szaniec pod Wolą, w którym dowodził jenerał [Józef] Sowiński. Jenerał Bem kazał mi tam przyprowadzić całą rezerwę artyleryi. Miało być 40 dział. Tymczasem rozebrano już większą część. Zastałem tylko jedną bateryę

konną i pół pieszej; razem 12 dział. Pojechałem z niemi pod Wolę. Ustawiłem je przy będących już tam, z boku kolumn moskiewskich, tak, że ogień ich był bardzo morderczy. Wykonawszy rozkaz, począłem szukać swego jenerała. Spotkałem mego kolegę, Szczepanowskiego, który był w tem samem, co ja, położeniu. Kogośmy się pytali o jenerała Bema, każdy mówił, że pojechał dalej ku Woli.

Ogień był tam szalony. Rosyanie skierowali na krótki front Woli 150 dział. Nasi odpowiadali z szańca kilku tylko działami. Jechaliśmy poprzed szaniec, leżąc na koniach, aby kule ponad naszą głową przechodziły. Widząc mnie jenerał Sowiński, wyszedł na wał, pytając, czy nie mam do niego rozkazu. Gdym mu odpowiedział, że nie, pożegnał mnie, widać było, z uczuciem, że już blizka jego ostatnia chwila. Rzeczywiście nie minęło pół godziny, Rosyanie wdarli się na wały. Żądali, aby się poddał; on nie chciał. Cofnął się do kościółka. Tam, oparty o ołtarz, bronił się jak lew, aż zakłuty został bagnetami. Był to śliczny mężczyzna, acz już stary. Białe włosy i wąsy dziwnie odbijały przy czerstwej i pięknej twarzy. Chodził na kulach, bo w roku 1812 pod Możajskiem stracił nogę. Gdy za wielkiego xięcia urządzono szkołę aplikacyjną, on nią dowodził i był uwielbiany przez jej uczniów. Ja byłem ostatnim z nienależących do załogi Woli, który z nim rozmawiał.

Pojechaliśmy z Szczepanowskim dalej, aż wpadliśmy na kolumny rosyjskie, idące do szturmu na Wolę. Kilkunastu tyralierów, idących przed kolumnami, przyjęło nas ogniem karabinowym. Zwróciliśmy więc konie i pojechali z powrotem tą samą, niemiłą drogą.

Przed wieczorem rozpoczęły się traktowania o kapitulacyę. Widziałem jenerała Berga kilka razy jadącego do Warszawy i napowrót. Unikałem, aby on mnie nie widział. Wieczorem wstąpiłem do mojej Matki i błagałem, aby bardzo rano z miasta wyje-

chała. Bałem się, że gdyby kapitulacya do skutku nie przyszła, miasto nie było szturmem zdobyte, spalone, a ludność na rzeź wystawiona. Biedna, obiecała mi, że to uczyni, choć Jej było boleśnie mnie zostawić i nie wiedzieć, co się ze mną stanie.

Termin do układów o kapitulacyę oznaczono do południa dnia następnego. Z rana pojechałem do Matki, aby się przekonać, czy już odjechała. Zastałem ją wahającą się i łzami zalaną; nie miałem czasu do tracenia, kazałem zaprządz, wsadziłem do pojazdu i otrzymawszy Jej błogosławieństwo, wyprawiłem Ją do Jabłonny. Pojechałem do Mokotowa, skąd miałem zabrać działa wałowe i przewieźć na rogatki ku Czystemu. Byłem w Alejach Ujazdowskich, gdy się południe zbliżało. Już zdawało mi się, że południe minęło, a strzelania nie było słychać. Miałem nadzieję, że kapitulacya nastąpiła.

Wtem usłyszałem huk taki, że się ziemia zatrzęsła i koń mój aż ze strachu się położył. Rosyanie dla postrachu kazali, aby wszystkie działa były nabite i gdy było południe i układy nie przyszły do skutku, za danym znakiem dali ognia z pięciuset dział na raz, licząc na wpływ moralny, jaki to na ludność wywrzeć mogło i wywarło. Cała sprawa kapitulacyi przedstawiona była Sejmowi. Nie brakło tam mów patryotycznych: „Wszyscy zginiemy! Nie zostawimy kamienia na kamieniu!“ Po salwie Sejm się powoli rozszedł; posłowie pojechali na Pragę. Po chwili milczenia rozpoczęła się ciągła kanonada. W mieście niepodobna było rozeznać strzału od strzału. Był to ciągły huk jak od grzmotu.

Przejeżdżając przez miasto, spotkałem pułkownika Niegolewskiego na koniu po cywilnemu. Zadziwiło mnie to. Powiedział mi, że widząc, iż wszelka dalsza wojna nie ma celu, wziął dymisyę i począł mnie namawiać, abym to samo uczynił, przedstawiając mi, że mam żonę i dzieci, że mam obowiązki dla nich się zachować, a nie ginąć marnie. Na te jego

słowa aż mi się ciemno w oczach zrobiło. Uciekłem od niego, jako od kusiciela. Jego słowa tem większe na mnie wrażenie robiły, że był znany jako bardzo tęgi oficer z gwardyi Napoleona.

Oddziały rosyjskie coraz bardziej parły nas ku miastu. Działa nasze stały między kamienicami, które nieprzyjaciel zapalał granatami. Musieliśmy ustępować przed pożarami. Stały po ulicach barykady, ale tak źle stawiane, że były więcej przeszkodą, jak pomocą. Koło rogatek Jerozolimskich huzary gwardyi (w mundurach ponsowych na siwych koniach) przypuścili na nas szarżę. Xiążę Stanisław Jabłonowski, który dowodził bateryą konną, dawniej gwardyi, dopuścił ich na mały strzał kartaczowy; prawie cały pułk wybił. Mówiono, że pole wyglądało jak półmisek raków na śmietanie. Część tych huzarów, nie mogąc koni wstrzymać, dostała się aż do miasta, gdzie ich połapano. Gdyby nie jeden pułk, ale cała dywizya była tę szarżę wykonała, byłaby się do mostu na Wiśle przed nami dostała, a wtenczas, nie mając którędy się cofnąć, bylibyśmy zmuszeni oddać się w niewolę. W tej szarży mój kolega Ekielski padł okropnie porąbany. Mieliśmy go za zabitego.

Późno w noc nastąpiła kapitulacya, która pozwalała nam wyjść z miasta i bez zaczepek wyprowadzić nasze zapasy wojenne.

Między 11-tą a 12-tą wstąpiłem do pałacu Zamoyskich, aby choć coś zjeść, bo cały dzień byłem o głodzie. Po raz ostatni widziałem mieszkanie, w którem tyle lat szczęśliwie spędziłem i którego już nigdy więcej widzieć nie miałem. Bolało serce. Żegnałem się z sługami; oni nie sądzili, że ich nigdy więcej nie zobaczę, ale ja o tem dobrze wiedziałem.

Koło północy wyjechałem na most. Przeprawa była niełatwa. Most był pełny wojska, furgonów, armat i prywatnych, pieszych i na wozach. Za prawdziwą łaskę Boga uważać trzeba, że się pod takim ciężarem nie przerwał i nie zatopił uciekających.

Z Pragi widok był przerażający. Od Bielan do Czerniakowa była jedna nieprzerwana linia pożarów. Nie tylko paliły się przedmieścia, w których się bitwa toczyła, ale Rosyanie podpalili i wsie bliższe Warszawy. W nocy trudno było szukać jakiej kwatery. Wszedłem do pierwszej lepszej sieni i tam się na ziemi położyłem. W pokoju obok sieni byli jacyś panowie, podobno czy nie posłowie. Ci ciągle między sobą rozprawiali, śmiali się, że nie mieli łóżek, pościeli, szlafroków. Okropnie mnie te żarty w takich okolicznościach raziły. Chęć mnie brała wpaść do nich i dać im porządną reprymendę, ale pomyślałem, że nie mam obowiązku ich uczyć i dać serce ludziom, którzy go nie mają.

Z rana zaczął się pochód do Modlina. Okropnie było na to patrzeć. Nie było jednego batalionu, ani jednego szwadronu w kupie. Szli hurmą piechury ze wszystkich pułków, kawalerzyści na koniach i piechotą. Wśród tego masa cywilistów i kobiet. Piechury dla ulżenia sobie wyrzucali swe ładunki lub w powietrze strzelali. Przypominało to opisy przejścia przez Berezynę roku 1812. Kilka sotni kozaków mogło to wszystko zabrać w niewolę. Jedna artylerya szła w porządku, choć dużo koni i ludzi brakowało. Ale ludzie, którzy byli, szli w porządku przy swych działach.

Dano mi bardzo przykre polecenie. Z parku rezerwowego wzięto dużo koni dla dopełnienia brakujących przy działach. Stało więc na Pradze dużo wozów amunicyjnych bez koni. Miałem więc wyprzęgać konie wyjeżdżającym z Warszawy i zaprzęgać je do wozów wojskowych. Dodano mi do pomocy kilkunastu karabinierów konnych (dawnych żandarmów). Oszczędzałem, ile mogłem, pojazdy z kobietami, ale mężczyzn bez ceremonii wysadzałem, pojazd do rowu wytaczałem, a konie zabierałem.

Nadjechał jakiś oficer od pociągów, towarzysząc wozowi, na którym siedziała pani; konie i furman

był od naszych pociągów. Kazałem go więc zatrzymać i konie wyprządz. On rozgniewany, puścił się w cwał na mnie i chciał dobyć pałasza. Uderzył mnie gwałtownie w kolano, chcąc z konia wysadzić. Jednakże tego nie dokonał, ale sam, że był pijany, stracił równowagę i najokropniej padł na ziemię. Zaledwie mógł wstać. Pomiarkowawszy, że głupstwo zrobił, począł mnie przepraszać i prosić, abym na niego nie skarżył.

Jużem był prawie wszystkie wozy amunicyjne wyprawił, gdy widzę kogoś idącego ku mnie od mostu z głową obwiązaną, z ręką na temblaku i ledwie włóczącego się. Gdy się zbliżył, poznałem biednego Ekielskiego. Mocno porąbanego pod Jerozolimską rogatką zaniesiono do szpitala w koszarach Ujazdowskich. Tam, po opatrzeniu ran, dostał tak mocnej gorączki, że całą noc leżał nieprzytomny. Nad rankiem przyszedł nieco do siebie. Zobaczył, że już nie polscy, ale moskiewscy lekarze są w szpitalu. Zrozpaczony uciekł ze szpitala i zaułkami piechotą doszedł do mostu i przyszedł na Pragę. Ucieszył się, gdy mnie zobaczył; prosił o ratunek. Na szczęście jego służący, nie mając się do kogo przytulić, trzymał się mnie. Z wielką biedą wsadziliśmy go na jego ulubionego konia. Jego służący szedł piechotą koło niego, mój służący koło niego prowadził jego i moje konie. Tak dowieźliśmy go do Modlina. Tam okropnie chorował. Wyjęto mu kilka kawałków kości z czaszki. Do kilku dni był o tyle wyleczony, że mógł z nami wyjść z Modlina i dojechać do Prus. Niesłychana siła woli była w tym zacnym człowieku.

Zanim mogłem Pragę opuścić, już tam Rosyanie byli, ale wierni punktom kapitulacyi nie zaczepiali nas. Ostatnie wozy amunicyjne wyprawiłem już przed nimi. Jeśli dla nas ciężkie były te dwa dni bitwy pod Warszawą, to dla nich jeszcze były cięższe. Mój szwagier, Zdzisław Zamoyski, posłany był, nie wiem o co, jako parlamentarz. Widział się z jenerałem Wittem.

Ten mu się przyznał, że w tych dwóch dniach mieli 25.000 rannych i zabitych. Nas nie wiem, czy było 22.000.

Najwięcej ich bolało kompletne zniszczenie pułku huzarów gwardyi. U nich utrata kilku dywizyi liniowych nie tyle znaczy, co jeden pułk gwardyi. Tam służy cała młodzież bogata, której rodzice mają wpływy u dworu. Gdybyśmy byli mieli jakiegokolwiek dowódcę, byliby oni musieli odstąpić od oblężenia. Przyznać trzeba, że największe zasługi w tych dwóch dniach położyła nasza artylerya. Ona prawie jedna cały bój prowadziła. Okazała odwagę i spokojność niepospolitą.

Na noc stanęła główna kwatera w Jabłonnej. Po drodze i przez noc kupili się ludzie do swoich oddziałów, tak, że na drugi dzień już byliśmy do wojska podobni.

W Jabłonnej zastałem moją Matkę. Przepędziliśmy wieczór razem. Przyszły z Warszawy wiadomości, że Rosyanie weszli, że nie było najmniejszego nieporządku. Wojsko rosyjskie miało nadzieję, że wolny będzie rabunek miasta szturmem zdobytego. Aby porządek utrzymać, Paskiewicz kazał pułkom liniowym, dwudniową bitwą rozbestwionym, odejść wtył, a wszedł sam z gwardyą, która z daleka tylko bitwie się przypatrywała. Gdyby nie to, byłyby rabunki i nieporządki nie do uniknienia. Dowiedziawszy się o tem, moja Matka na drugi dzień wróciła do Warszawy, a myśmy poszli do Modlina. Biedna Matka była już o mnie spokojniejsza. Wiedziała, że już nie idzie o dalsze prowadzenie wojny, ale o cofnięcie się do Prus. Wszyscy głośno o tem mówili.

Nie pamiętam, gdzie i jak zaszła zmiana naczelnego wodza[11]. W Modlinie już nim nie był jenerał Małachowski, ale jenerał [Maciej] Rybiński. Był to dobry komendant brygady, nawet dywizyi piechoty. Zrobił sobie reputacyę wielkiego strategika przez to, że przetłumaczył na polski język opis kampanii arcy-

xięcia Karola (podobno Jominiego). Był to bardzo zacny człowiek, ale słabego charakteru i bez stałej woli.

Za nimi przybyła do Modlina hurma krzykaczy z bruku warszawskiego. Całe Towarzystwo demokratyczne. Poczęli na rynku sejmikować i spiskować. Starali się przyciągać podoficerów i żołnierzy. Mówili o potrzebie wyrznięcia wszystkich generałów i wyższych oficerów. Groziło to rozprzężeniem do reszty naszego wojska, w którem i tak nie było już wiele karności. Jednym z przewódców i głównych krzykaczy był xiądz Szynglarski, znakomity urwisz. Jenerał Rybiński kazał go do siebie zawołać i począł go namawiać, aby nie burzył. Ten rozzuchwalony łagodnością jenerała, podniósł głos i traktował go jak żaka. W tej chwili Bem i ja za nim weszliśmy do pokoju. Przez chwilkę słuchaliśmy krzyczącego Szynglarskiego. Nakoniec Bem przyskoczył do niego, mówiąc: „Ty łajdaku, nie wiesz, z kim mówisz? Milcz, bo cię rozsiekam!“ Obróciwszy się do mnie rzekł: „Przyprowadź z odwachu czteru żołnierzy i zawiedź go do kazamat“. Wykonałem rozkaz. Gdy wróciłem z żołnierzami, już mój Szynglarski zamilkł i bez oporu dał się wyprowadzić. Trzeba nam było przez rynek przechodzić, gdzie stała hurma jego zwolenników. Widziałem, że mieli ochotę go odbić; jemu także widok przyjaciół dodał odwagi. Stanął i chciał mówić; krzyknąłem na żołnierzy: „Kolbą w kark, a jeśli się odezwie, zakłuć bagnetami!“ Żołnierze go nie żałowali i tak go kolbami poczęstowali, że się wywrócił. Podnieśli go, poszliśmy dalej i zgraja się rozstąpiła, aby nas przepuścić. Zamknąwszy go w kazamatach, wróciłem spokojnie, dziękując Bogu, że się ta sprawa tak skończyła.

Po kilku dniach kazał jenerał Bem wystąpić całej artyleryi polowej dla lustracyi stanu dział, koni i ludzi. Przy jednej bateryi artyleryi pieszej stał do szeregu z żołnierzami jakiś jegomość w mundurze ar-

tyleryi Gwardyi Narodowej. Znał go jenerał Bem jako jednego z głównych krzykaczy na rynku w Modlinie. Skoro go spostrzegł, przybiegł do niego i zapytał: „Co tu robisz? Czego chcesz?“ On odpowiedział frazesami patryotycznymi, że przychodzi ojczyźnie służyć. Na to mu Bem krótko odpowiedział: „Takich durniów, jak ty, ojczyzna nie potrzebuje. Ruszaj sobie!“ i począł konno za nim uganiać. Ja i Szczepanowski pomagaliśmy mu. Było to wyraźne polowanie z chartami na lisa. Żołnierze serdecznie się śmiali, szczególnie, gdy on, biegnąc przed nami, przewracał się. Pewnie on drugi raz nie spróbował koleżeństwa z artyleryą.

Jenerał Bem bardzo się bał, aby mu ludzi nie bałamucono i żeby ich nie zarażono chorobą sejmikowania. Utrzymał też do ostatniej chwili w artyleryi karność, której już w reszcie wojska nie było. — Znaleźliśmy w tym przeglądzie wszystko w dziwnym porządku, zważając na ciężkie przeprawy, przez któreśmy przeszli. Porządek ten przypisać należy w wielkiej części tej okoliczności, że zaraz z początku powstania uformowano tak zwany batalion artyleryi, tam kształcono oficerów i żołnierzy i poduczonych odsyłano do bateryi. Wprost do służby nie przyjmowano nikogo. Ja może stanowiłem jedyny wyjątek.

Odebrałem rozkaz zrewidowania broni w niektórych oddziałach piechoty. Między innymi był batalion, który z Dembińskim przybył z Litwy. Składał się po większej części z młodzieży szkolnej. Byli tam chłopcy mający ledwie po 14 lub 15 lat. Obejrzawszy ich karabiny, przekonałem się, że ledwie $^1/_{10}$ po oczyszczeniu była do użycia. Innym brakowało to kurka, to panewki. Bagnety były połamane. Te nawet, które mogły być użyte, były zardzewiałe, lufy do wpół ziemią zabite. Aż żal było widzieć dzieci uginające się pod tak nieużytecznym ciężarem. Wyprowadzić tych biedaków na linię bojową, byłoby chyba na to, aby nieprzyjaciel miał kogo zabijać. — To samo było,

choć w mniejszym stopniu, w nowych pułkach, gdzie nie było doświadczonych podoficerów.

W Modlinie mogliśmy się byli trzymać i nową kampanię rozpocząć. Mieliśmy most na Wiśle z szańcem przedmostowym, można więc było operować na obu brzegach tej rzeki podług potrzeby.

Mieliśmy korpus Ramoriny, w którym były najlepsze nasze pułki. Warszawa paraliżowała korpus rosyjski przynajmniej 30-tysięczny. Ale do tego trzeba było mieć naczelnego wodza, zdolnego, energicznego i wojsko karne, sejmikowaniem niepodminowane. Nasi demagodzy ciągle tylko nad tem pracowali, aby wzbudzać w żołnierzach i niższych oficerach nienawiść i nieufność do przełożonych.

Po kilku dniach spoczynku w Modlinie ruszyliśmy ku granicy pruskiej prawym brzegiem Wisły. Komendantem Modlina był jenerał [Ignacy] Ledóchowski, dawny oficer artyleryi, który pod Napoleonem w kampanii rosyjskiej stracił nogę i na kulach chodził. Był to dawny znajomy; żegnaliśmy się serdecznie, sądząc, że się już nie zobaczymy.

Marsz nasz był spokojny, bo nas Rosyanie nie ścigali. Po drodze, nie pomnę w którem miejscu [w Płocku], znowu była mowa o zmianie naczelnego wodza. Rozeszła się pogłoska, że nim został jenerał Umiński. Rzuciło to popłoch w wojsku; bano się o bezpieczeństwo kasy. Całe oddziały z własnego natchnienia przybiegły pilnować kasy przed naczelnym wodzem, którego demagodzy chcieli wojsku narzucić. Wszystkie te wieści skończyły się na niczem i zostało przy dawnem.

Gdyśmy byli pod Włocławkiem, kazano postawić most na Wiśle i wojsku się przeprawiać. Już pewna część wojska była na lewym brzegu, gdy raptem przyszedł rozkaz szybkiego powrotu. Dlaczego chciano przejść na lewy brzeg Wisły, dlaczego raptem zmieniono plan, to mi zupełnie nie wiadomo. Zdaje się, że doszła wieść o korpusie moskiewskim, który nas

chciał dopędzić prawym brzegiem Wisły, chciano go więc uniknąć, przechodząc na lewy; gdy i tam okazał się drugi, więc ustał powód przeprawy.

Gdyśmy już blizko byli granicy pruskiej, jenerał Bem wracając do swej kwatery, powiedział mi, że mam jechać do króla pruskiego z listem od jenerała Rybińskiego i że mam zaraz iść do tego ostatniego. Gdy wszedłem do niego, zapytał się mnie, czego ja chcę. Bardzo mnie to pytanie zadziwiło, powtórzyłem mu, co mi był powiedział jenerał Bem. On na to: „Ach, prawda! List gotowy, przeczytaj go!“ Przeczytałem list dobrze napisany, polecający królowi wojsko polskie. Gdy czytałem, przyszedł jakiś oficer; mówi mu Rybiński o tym liście. On był zdania, że ten list niepotrzebny; Rybiński z nim się zgodził. Wszedł drugi, bardzo pochwalający ten list, Rybiński każe mi się przygotować i natychmiast jechać. Nakoniec przyszedł pewien Juzwig, były chirurg batalionu, którym dowodził Rybiński. Gdy mu o liście powiedziano, osądził, że to głupstwo, że tego nie potrzeba. Wtenczas Rybiński oświadczył mi, że listu nie wyśle i ja nie pojadę. Ucieszyłem się, że nie pojadę, ale więcej jeszcze zasmuciłem się, widząc, w czyich rękach są nasze losy. — Juzwig, człowiek zupełnie ordynarny, był samowładnym panem Rybińskiego.

W marszu ku granicy pruskiej przechodziliśmy przez dobra jednego z najzapaleńszych naszych posłów[12]. W kilku gorących mowach na Sejmie mówił, że wszyscy powinniśmy dać ojczyźnie ostatnią kroplę krwi, że nie powinniśmy za sobą zostawić kamienia na kamieniu, tak, aby się wojskom rosyjskim została tylko pustynia. Gdyśmy u niego stanęli na noc, wpadł z ogromnym krzykiem do jenerała Bema, że pod obóz zajęto część jego łanu zasianego pszenicą, po którym depcą, że do palenia rozbierają mu płoty i brzozowe baryerki w ogrodzie i na podwórzu. Gdy się tak żalił, wpadłem do pokoju, mając na ręku pęk takich baryerek, mówiąc: „Panie jenerale, będziemy mogli choć

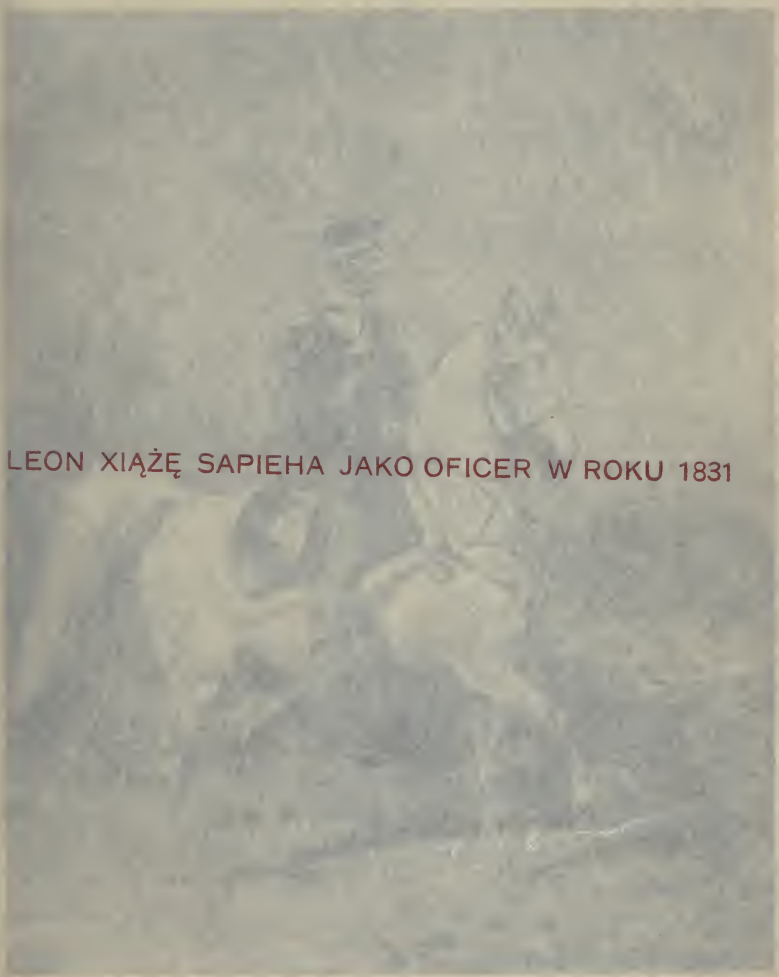

LEON XIĄŻĘ SAPIEHA JAKO OFICER W ROKU 1831

chciał dopędzić prawym brzegiem Wisły, chciano go więc uniknąć, przechodząc na lewy; gdy i tam okazał się drugi, więc ustał powód przeprawy.

Gdyśmy już blizko byli granicy pruskiej, jenerał Bem wracając do swej kwatery, powiedział mi, że mam jechać do króla pruskiego z listem od jenerała Rybińskiego i że mam zaraz iść do tego ostatniego. Gdy wszedłem do niego, [illegible] się mnie, czego ja chcę. Bardzo mnie [illegible] powtórzyłem [illegible] mi był [illegible] „Ach, prawda! List [illegible] List dobrze [illegible] Gdy [illegible] mówi mu Rybiński o tym liście [illegible] że ten list niepotrzebny, Rybiński z nim się zgodził. Wszedł drugi, bardzo pochwalający ten list. Rybiński każe mi się przygotować i natychmiast jechać. Nakoniec przyszedł pewien Juzwig, były chirurg batalionu, [illegible] Rybiński. Gdy mu o mnie powiedziano, osądził, że to głupstwo, że tego nie potrzeba. Wtenczas Rybiński oświadczył mi, że listu nie wyśle i ja nie pojadę. Ucieszyłem się, że nie pojadę, ale więcej jeszcze zasmuciłem się, widząc, w czyich rękach są nasze losy. — Juzwig, człowiek [illegible] ordynarny, był samowładnym panem Rybińskiego.

W marszu ku granicy pruskiej [illegible] przez dobra jednego z najzapaleńszych [illegible] posłów[illegible]. W kilku gorących mowach [illegible] że wszyscy powinniśmy dać [illegible] kroplę krwi, że [illegible] kamienia na kamieniu, tak, aby się wojskom rosyjskim została tylko pustynia. Gdyśmy u niego stanęli na noc, wpadł z ogromnym krzykiem do jenerała Bema, że pod obóz zajęto część jego łanu zasianego pszenicą, po którym depcą, że do palenia rozbierają mu płoty i brzozowe baryerki w ogrodzie i na podwórzu. Gdy się tak żalił, wpadłem do pokoju, mając na ręku pęk takich baryerek, mówiąc: „Panie jenerale, będziemy mogli choć

trochę się rozegrzać!“ Zaraz rozłożyłem ogień na kominku. Biedak okropnie się skrzywił i odszedł. Powinnibyśmy się raz nauczyć, że tęgie mowy nie dowodzą tęgiego człowieka.

Nie wiedzieliśmy, jaki los czeka nasze biedne wojsko i czy po rozbrojeniu Prusacy wszystkich nie wydadzą w ręce rosyjskie. Dlatego to ja i mój szwagier Zdzisław Zamoyski, w wilię dnia przeznaczonego dla przebycia granicy pruskiej, prosiliśmy o dymisyę i przed nocą przeszliśmy granicę[13]. Była wtenczas zaprowadzona kwarantanna od cholery. Zaprowadzono nas do niej i przez kilka dni nie wypuszczono. Na drugi dzień [5. października] nasze wojsko, odstrzeliwując się ścigającym je oddziałom rosyjskim, weszło na grunt pruski koło Brodnicy czyli Strasburga.

Dziwna ta manja germanizacyjna Prusaków. Na wszystkich ich mapach jest napisane „Strasburg“. Gdy z moim szwagrem wjeżdżałem do Prus, pytaliśmy się o drogę do Strasburga. Ludzie nam odpowiadali, że tu w okolicy nie wiedzą o żadnym Strasburgu, że najbliższe miasteczko jest Brodnica. My się kłócili, że nie chcemy jechać do Brodnicy, ale do Strasburga, aż przypadkiem spotkaliśmy Niemca, który nam wytłumaczył, że Strasburg i Brodnica to jedno.

Całego wojska naturalnie w kwarantannie zamknąć nie można było. Rozłożono je obozem w bliskości. Żądaliśmy, aby nas wypuszczono dla odwiedzenia kolegów. Nie pozwolono na to. Zdaje się, że to była spekulacya dozorcy kwarantanny, który nas żywił, a raczej najokropniej głodem morzył i kazał sobie ogromnie za to płacić. Mieliśmy na śniadanie pruską kawę, do niej trochę mleka i trochę chleba razowego; — na obiad rosół z baraniny i w nim mały kawałek mięsa baraniego i parę kartofli; — na wieczór nic. Towarzystwo nasze było dość smutne; byli to krzykacze z bruku warszawskiego. Na ich czele pani Chłędowska, z fajką w gębie ogromnie rozprawiała o zdradach wszystkich wyższych ofice-

rów, których trzeba było wywieszać i gilotynę na Krakowskiem przedmieściu postawić. Tymczasem o sprawach pieniężnych nie zapominała. Miała z sobą pieniądze pruskie. Za te kupowała pieniądze polskie po niesłychanie nizkich cenach. Musiała na tem grubo zarobić. Z Zdzisławem małośmy z pokoju wychodzili, unikając towarzystwa nam niemiłego, które od nas stroniło.

Zamknięcie w kwarantannie miało dla nas tę korzyść, żeśmy uniknęli widoku bardzo bolesnej sceny, to jest rozbrojenia naszego wojska. Nasi biedni żołnierze płakali jak dzieci, gdy musieli broń oddawać. Ściskali, całowali swe karabiny, swe konie; kanonierzy kładli się na swoje armaty. Siłą tylko można było ich oderwać. Przyznać trzeba, że wojskowi pruscy wykonywali dane polecenia z wszelką możliwą oględnością i grzecznością. Mieli dla nas poważanie, jakie w wojskowym wzbudza dzielność nawet u nieprzyjaciela.

Gdy nas wypuszczono, zamierzaliśmy jechać do Wrocławia. Nie pozwolono nam jechać najprostszą drogą przez Xięstwo Poznańskie. Musieliśmy je okrążyć. Podróżowaliśmy z początku konno. W każdej wsi chłopi się z nami najserdeczniej witali. Zapraszali do siebie na popas lub nocleg. Zaledwie mogliśmy ich skłonić, aby przyjęli zapłatę za furaż dany naszym koniom. Za nasze jedzenie nic przyjąć nie chcieli. Uciekaliśmy przed pruskimi żołnierzami Polakami, a szczególnie przed landwerzystami. Gdy po naszych ubiorach poznawali, żeśmy z wojska polskiego, zaraz nas otaczali, mówiąc: „Czemuście do nas nie przyszli. My wyrobieni żołnierze, mamy broń. Bylibyśmy wszyscy z wami poszli na Rosyanina i Niemca". Musieliśmy się przed nimi chować, aby takie mowy nam i im biedy nie narobiły.

Przybyliśmy nakoniec do Wrocławia. Przybyła tam także moja żona z dziećmi. Nie potrafię wyrazić, jakie to było dla mnie szczęście, widzieć rodzinę po

tylu miesiącach rozłączenia, z myślą, że może się już nie zobaczymy, przynajmniej na tej ziemi. Przez ten czas i moja biedna żona ciężkie przebyła chwile. Odjechałem ją w Paryżu w ciąży i bez pieniędzy! Poleciłem ją był dawnemu przyjacielowi, xięciu de Beauvau; była z nią dawna jej guwernantka, panna d'Arnaud. Xiążę pożyczył jej pieniędzy, chociaż nie wiedział, czy będę kiedy w stanie mu je zwrócić. Odbywszy połóg, skoro jej zdrowie pozwoliło, pojechała do Berlina. Czekała tam dalszych ode mnie wiadomości, następnie przyjechała do Wrocławia, skoro się dowiedziała, że i ja tam jadę.

1832—1846

Większą część zimy z r. 1831 na 1832 przepędziliśmy w Wrocławiu. Smutne były to czasy. Przejeżdżało przez Wrocław dużo Polaków, dążąc do Francyi. Byli między nimi porządni ludzie, ale było też i wiele hołoty. Ciągle do mnie o pomoc pieniężną przychodzili, a ja z żoną, trojgiem dzieci i służącymi, których nie mogłem za granicą na bruk wyrzucić, ledwie kilka talarów w kieszeni miałem, bez nadziei, by mi skądkolwiek coś przybyło.

Razu jednego wyszedłem z domu, zostawiając żonę samą przy dziecku chorem. Gdy wróciłem, zastałem żonę łzami zalaną. Zapytałem o przyczynę smutku. Przyznała mi się, że przyszedł do niej jakiś jegomość, prosząc o pieniądze. Odpowiedziała, że mając sama bardzo mało, nic mu nie może dać. Wtenczas zaczął on wymyślać na arystokratów, dobył z kieszeni chustkę, wołając, że na tej chustce wisiał Jankowski i że na niej niejeden arystokrata wisieć będzie. Moja żona przestraszona o dziecko, z którem sama była, oddała mu tych kilka talarów, któreśmy jeszcze mieli. Zostaliśmy więc zupełnie bez grosza. Sprzedaż karety i kilku jeszcze rupieci dało nam z czego żyć.

Byłem w wielkiej niepewności, co mam dalej począć. Nie miałem nadziei powrotu do kraju i do majątku. Wynieść się za granicę, żyć daleko od swoich, zdawało mi się okropnem. Postanowiłem spróbować, czy nie będzie mi możliwem osiąść w Galicyi. Nie znałem tej części Polski, ale była to Polska i mie-

szkańcy Polacy. Napisałem więc do xięcia Konstantego Czartoryskiego, wuja mojej żony, mieszkającego w Wiedniu, prosząc, aby mi wyrobił paszport do Galicyi. Nad wszelkie moje spodziewanie otrzymałem z Wiednia paszport gabinetowy, podpisany przez samego xięcia Metternicha, dla mnie, rodziny i sług na czas nieograniczony. Mało rzeczy w życiu tyle mi radości sprawiło, jak ten paszport. Do dziś dnia Bogu dziękuję, że mi pozwolił osiąść między swoimi i uwolnił od życia emigranckiego.

Nająłem furmana jak mogłem najtaniej. W ogromny kocz wleźliśmy wszyscy. Para koni zaledwie nas uciągnąć mogła. Co parę mil popasaliśmy lub nocowali. Nakoniec dojechaliśmy do Krakowa. Tam pani Arturowa Potocka ofiarowała nam mieszkanie w swym domu pod Baranami. Zastaliśmy tam siostrę mojej żony, hrabinę Działyńską. Mieszkając razem, zaprowadziliśmy wspólne gospodarstwo i to najoszczędniejsze, stosownie do naszych zasobów pieniężnych. Doszliśmy do tego, że nas wyżywienie jednej osoby dziennie kosztowało po groszy polskich 20.

Siedzieliśmy spokojnie w Krakowie, gdy przyjechał z Warszawy oficyalista mojej Matki z listem od Niej. Ostrzegała mnie od pewnej osoby, że wojska rosyjskie mają w nocy wpaść do Krakowa, aby mnie i kilku innych porwać. Jak się później dowiedziałem, ostrzegł o tem moją Matkę jenerał Witt, który był dla Niej i dla mnie bardzo przyjacielskim i przez którego moja Matka wiele osób z biedy wyratowała. Z tą wiadomością pobiegłem zaraz do konsula austryackiego, Lorenza. Ten mnie uspokoił. Oświadczył, że Rosyanie nie mogą wejść do Krakowa, nie ostrzegłszy konsulów austryackiego i pruskiego, że ja mając paszport gabinetowy od xięcia Metternicha, jestem pod jego opieką i że mnie ostrzeże, skoroby Rosyanie wejść mieli.

W kilka dni później, gdy z miasta wróciłem do domu, portyer powiedział mi, że pan Lorenz był

kilka razy, pytając się o mnie i że prosił, abym był u niego. Poszedłem więc zaraz. On mi oświadczył, że tej nocy mają wojska rosyjskie wejść, a więc mam zaraz Kraków opuścić. Wybrałem się jak najprędzej na Podgórze. Ostrzeżono moją żonę, że nie zastawszy mnie, mogą Moskale wziąć mego syna, Adama, który miał wtenczas zaledwie trzy lata. Przysłała mi go więc zaraz na Podgórze z niańką. Lorenz ostrzegł również innych, których Moskale wziąć zamierzali i ci, jak ja, zaraz się wynieśli. Musieli się Moskale o tem dowiedzieć, bo odstąpili od myśli wejścia do Krakowa, ale kozacy w nocy przyszli nas szukać.

Pan Zamoyski rozkazał, aby w miejsce pensyi złotych polskich 20 tysięcy, przeznaczonej mojej żonie, oddano mi w dzierżawę wieś Piskurowice, należącą do ordynacyi, a leżącą w Galicyi, blizko Sieniawy. Mając tym sposobem punkt oparcia, zaraz tam pojechałem, aby przygotować pomieszkanie dla rodziny. Zastałem tam dworek niezły, ale zupełnie pusty. Nie mając za co meble kupić, poprzestałem na kupnie kopy tarcic, z których miejscowy cieśla za pańszczyznę porobił mi tapczany, stoły i ławki. To mając, sprowadziłem z Krakowa żonę i dzieci. Takie było nasze pierwsze umeblowanie w Galicyi. Wynalazłem we wsi człowieka, który był niegdyś kuchtą u rządcy dóbr oleszyckich. Tego przyjąłem na kucharza za pańszczyznę i pewien dodatek w zbożu. Dodawszy do tego stróża, miałem cały dwór urządzony.

Byłaby to była jedna z szczęśliwszych epok naszego życia, gdyby jej nie były zatruły choroby dzieci i po sobie następujące ich straty. Byliśmy niedaleko Łańcuta. Odwiedzaliśmy czasami ciotkę, panią Alfredową Potocką, Czartoryskę z domu. Tam wszystko świeciło elegancyą i zbytkiem. Nie zapomnę zgorszenia pani Alfredowej, gdyśmy po raz pierwszy do Łańcuta przyjechali dość nędzną bryczką, podobniejszą do chłopskiego wozu, niż do xiążęcego ekwipażu.

W blizkości Łańcuta spotkaliśmy całe towarzystwo, jadące na spacer w kilku eleganckich pojazdach, z służbą w pięknych liberyach. Dziwnie przy nich odbijał nasz furman, parobek z folwarku, w chłopskiej guni i dużych chłopskich butach. Mimo to zawsze nas bardzo uprzejmie przyjmowano.

Pan Alfred co rano ze mną objeżdżał folwarki. Uczyłem się od niego gospodarstwa. Był on pod tym względem bardzo użytecznym przykładem dla całego sąsiedztwa. Gdy do niego sąsiad przyjechał, zaraz go się wypytywał o jego gospodarstwo. Szlachcic się wstydził, gdy się musiał przyznać do niewiadomości, albo do nieporządku u siebie. Wtenczas jeszcze w Galicyi gospodarstwo stało na bardzo nizkiej stopie. Gorzelnictwo i opas wołów na większą skalę dopiero zaczynały się rozwijać i później stały się powodem wzrostu wielu majątków. Panowała jeszcze ogólnie niechęć do wszelkich poprawnych narzędzi i machin gospodarskich. Młocarnia konna uchodziła za wymysł zupełnie nieużyteczny; tam nawet, gdzie była, trudno było wymódz od ekonoma, aby jej używał, a nie młócił cepami. On sam zwykle starał się, aby ją połamano i żeby nie był zmuszony jej używać.

Najczęściej bywaliśmy w Wysocku, u babki mojej żony, xiężny Czartoryskiej, jenerałowej ziem podolskich, która jeszcze w czasie naszego powstania przeniosła się była do Galicyi, z córką, xiężną Wirtemberską. Gdy nasze dzieci coraz częściej na zdrowiu zapadały, a przy xiężnie był lekarz, który im lepiej od innych pomagał, moja żona z dziećmi prawie zupełnie osiąść musiała w Wysocku.

Xiężna jenerałowa była kobietą niepospolitego rozumu i tęgości charakteru. Właścicielka olbrzymiego majątku i do zbytków przyzwyczajona, przy końcu życia widziała dochody swe znacznie zmniejszone, zakład w Puławach, któremu poświęcała wszystkie swe siły i wielką część swych dochodów i z którego

zrobiła rzecz, którą cudzoziemcy podziwiali, zniszczony i skonfiskowany, z dzieci dwoje, najbardziej kochanych, wygnanych i z majątków wyzutych[1]. Znosiła to wszystko z nadzwyczajną odwagą i spokojnością umysłu. Xiężna Wirtemberska, jakkolwiek sama stara i skołatana, dobywała ostatnich sił, aby matkę pielęgnować i życie jej uprzyjemnić.

Nie można sobie wytłumaczyć, na jakiej podstawie jej majątek skonfiskowano. Cały czas powstania przepędziła przy matce, z początku w Puławach, a potem w Wysocku, zupełnie nie mieszając się do spraw politycznych. Pisała ona do Petersburga, do jenerała Benckendorffa, przedstawiając stan rzeczy i że się do żadnej winy nie poczuwa. Ten przedłożywszy rzecz cesarzowi, krótko jej odpowiedział, że Najjaśniejszy Pan raczył osądzić — „że ona nie ma żadnego prawa do posiadania swego majątku". Innych na to powodów nie przytoczył. Cesarz Mikołaj darował ten majątek jej synowi, xięciu Wirtemberskiemu, chociaż to był czysto majątek jej własny, a jej mąż nigdy nie miał swego ani szeląga.

Xiążę Wirtemberski, przy dumie rodowej, był pewnie jednym z najpodlejszych ludzi, których mi się trafiło w życiu spotkać. Dziecięciem odłączono go od matki. Pierwszy raz ją widział w r. 1812, gdy jako oficer wirtemberski przechodził przez Warszawę. W r. 1815 on życzył sobie przejść do służby moskiewskiej. Matka jego w nadziei, że przy zbliżeniu i on się do niej przywiąże, uprosiła cesarza Alexandra, że go przyjął do wojska polskiego. To było dla niej powodem wielu cierpień. On stał ze swoją brygadą w bliskości Puław, nigdy jednak nie odwiedzał matki i rodziny, wyjąwszy wypadku, kiedy chciał mieć pieniądze, a to się dość często powtarzało, bo wcale znaczna pensya, przeznaczona mu przez matkę, nigdy nie wystarczała. Wtenczas nie było podłości, którejby nie robił, aby dostać pieniądze od rodziny, do której wstydził się należeć.

Nieraz kładł się na ziemię i w nogi całował wuja swego, xięcia Adama Czartoryskiego, prosząc, aby mu co dał. Gdy to otrzymał, odjeżdżał i nikogo z rodziny znać nie chciał. Gdy w Warszawie miał być pogrzeb jego dziada, jenerała ziem podolskich, on nie chciał przyjechać. Wielki xiążę Konstanty, dowiedziawszy się o tem, posłał mu rozkaz, aby się stawił. W czasie pogrzebu w kościele były miejsca oznaczone dla rodziny, dla władz cywilnych i wojskowych. On wszedłszy do kościoła, poszedł do wojskowych, a nie do rodziny. Widząc to wielki xiążę, sam przeszedł do rodziny. Po nabożeństwie kazał go wielki xiążę do siebie zawołać i najokropniej go złajał, wyrzucając mu, że wstydząc się rodziny, nie wstydzi się brać od niej pieniądze. Dodał: „Pojmuję, że jako xiążę Wirtemberski wstydzisz się matki i pokrewieństwa z Czartoryskimi; co do mnie, który jestem tylko wielkim xięciem i bratem cesarza rosyjskiego, mam sobie to pokrewieństwo za zaszczyt". (Matka wielkiego xięcia Konstantego była siostrą xięcia Wirtemberskiego, męża Czartoryskiej).

W czasie naszego powstania xiążę Wirtemberski uciekł do Rosyan. Jako jenerał atakował w Puławach nasz oddział. Zwrócił wtenczas kilka dział na pałac, w którym była jego matka i babka. Szczęściem żadnej nie zabił. Później strwoniwszy majątek matki, który mu był cesarz Mikołaj darował, osiadł w Wiedniu. Przebywała tam wtenczas jego matka po śmierci xiężnej jenerałowej. Nie myślał do niej się zbliżyć, aż cesarzowa matka (żona Franciszka I.) wystawiła mu całą nieprzyzwoitość tego postępowania. Oddał matce jedną wizytę, która obu stronom była równie niemiłą. Umarł w Wiedniu, znękany chorobami wskutek rozpusty.

Gdy nam dzieci ciągle na zdrowiu zapadały, pojechaliśmy do Lwowa, dla poradzenia się tamtejszych lekarzy. Hrabia Alfred Potocki dał nam bezpłatne u siebie mieszkanie. Już był odjechał dawny guberna-

tor, xiążę [August Longin] Lobkowitz. Był on ogólnie w kraju poważany i lubiany. W czasie naszego powstania był we Lwowie komitet obywatelski, który się trudnił przesyłką do Królestwa ludzi i wszelkich potrzeb dla wojska. Na czele tego komitetu stał hrabia Xawery Krasicki, dawny kościuszkowski żołnierz i jeden z najczynniejszych w czasie powstania 1809 roku. Przy nim najgorliwiej się zajmował Izydor Pietruski. Komitet ten był w ciągłych stosunkach z xięciem Lobkowitzem. Ten im ułatwiał zebranie przedmiotów potrzebnych i wskazywał drogi, któremi mają być wyprawiane, dając władzom nadgranicznym rozkazy pilnowania szczególnie innych punktów granicy. Te szczegóły słyszałem z ust panów komitetowych.

Gdy na żądanie Rosyi był xiążę Lobkowitz odwołany, przejeżdżając przez Przemyśl, wstąpił do Bakuńczyc do hr. Cetnera, z którym żył od dawna w przyjaźni. Mówiąc o jego położeniu, hr. Cetner zapytał się go, czy się nie lęka odpowiedzialności w Wiedniu za swoje postępowanie w czasie powstania w Polsce? Odpowiedział mu na to xiążę: „Mogę ci dać słowo honoru, że nic nie zrobiłem, do czego nie miałem upoważnienia, a nawet polecenia“. Gdy nasze powstanie upadło, rząd austryacki, aby się przed Rosyą wytłumaczyć, wszystkie czynności nam przychylne przypisał samowolnemu postępowaniu xięcia Lobkowitza.

Opowiadano mi we Lwowie anegdotkę z czasów naszego powstania. W rządzie gubernialnym był radca gubernialny Reitzenheim, Niemiec, zajadły nieprzyjaciel Polaków. Gniewało go to, że dużo młodych ludzi uciekało z Galicyi, aby służyć w naszem wojsku. Ułożył więc projekt prawa, które czyniło rodziców odpowiedzialnymi, jeśli synowie ich brali udział w powstaniu i oznaczało na nich surowe kary więzienia i pieniężne. Przyszedł z tym projektem do xięcia Lobkowitza, prosząc, aby mu oznaczył dzień, w któ-

rymby mógł ten projekt wnieść na posiedzenie gubernialne. Xiążę Lobkowitz tłumaczył się brakiem czasu i odkładał rozbiór tego projektu z posiedzenia na posiedzenie. Wtem, z rana przed posiedzeniem, dyrektor policyi melduje xięciu, że w nocy syn Reitzenheima[2] uciekł od rodziców i poszedł do powstania. Gdy się zeszli na posiedzenie, xiążę oświadcza Reitzenheimowi, że dziś, mając czas wolny, prosi go, aby wniósł swój projekt do prawa. Zaczął on się wykręcać jak mógł, nakoniec musiał się przyznać do tego, co się u niego stało i oświadczyć, że odstępuje od swego projektu. Ile razy później spotykałem Reitzenheima, nie mogłem się wstrzymać od śmiechu. Rzecz dziwna, ile mamy z ojca i z matki Niemców, synów urzędników, ale u nas wychowanych, którzy zostali najgorętszymi Polakami.

Gubernatorem Galicyi mianowany został arcyxiążę Ferdynand, ten sam, który w r. 1809 dowodził wojskiem austryackiem w Polsce, skąd wyparty został przez xięcia Poniatowskiego. Wszyscy obywatele z owych czasów przyczyniali się, ile było w ich możności, do zmuszenia go do opuszczenia kraju i służyli przeciw niemu czy to wojskowo pod xięciem Poniatowskim, czy cywilnie przy ustanowionym rządzie prowizorycznym. Oczekiwano więc jego przybycia z pewnym strachem. Uspokojono się jednak po pierwszej jego recepcyi, w której okazał się bardzo uprzejmym, nawet dla tych, którzy byli najwybitniej przeciw niemu wystąpili. Na pierwszej jego recepcyi byli tylko obywatele galicyjscy.

My emigranci nie wiedzieliśmy, czy zechce nas przyjąć. Dowiedziawszy się o tem, kazał nam oświadczyć, że chętnie nas przyjmie. Poszliśmy więc na drugą recepcyę. Pierwszą trudnością był dla nas strój. Wielu z nas fraka nie miało. Nas trzech: mój szwagier Działyński, Leon Rzewuski i ja, posiadaliśmy tylko jeden frak. Ułożyliśmy się więc tak, że każdy z kolei szedł do salonu. Gdy pierwszy wrócił do fia-

kra, wdziewał ten sam frak drugi, a po nim trzeci. W salonie zdawało mi się, że jestem w głównej kwaterze u jenerała Skrzyneckiego. Salony były przepełnione samymi naszymi oficerami. Później dość często u niego bywaliśmy i zawsze był dla nas bardzo uprzejmym, nawet przyjacielskim.

Będąc po raz pierwszy we Lwowie, nie znaliśmy tam nikogo. Nasze jednak stosunki rodzinne z panem ordynatem Zamoyskim, który w r. 1809 był prezesem rządu prowizorycznego, i z xięciem jenerałem ziem podolskich, który często w Sieniawie mieszkał i tam zawsze wiele gości przyjmował, sprawiły, że nas wszyscy bardzo uprzejmie przyjęli. Między wielu nowemi znajomościami, któreśmy zrobili, był pułkownik Szumlański, o którym słówko powiem. Za młodu służył on w wojsku rosyjskiem. W czasie wojny przeciw Turkom dostał się do niewoli. Gdy ubogiego szlachcica nikt wykupić nie myślał, miał on być sprzedany prywatnemu na targu. Zrozpaczony młodzieniec, chociaż nie znał xięcia jenerała ziem podolskich, napisał do niego, przedstawiając mu smutne swe położenie i prosząc, aby go xiążę wykupił. Jakkolwiek cena za młodego i zdrowego była dość znaczną, xiążę zaraz posłał za niego okup. Miał też zawsze w nim człowieka szczerze przywiązanego i poświęconego [3].

Gdy po pokoju tylżyckim formowano wojsko polskie, przyjął w niem służbę Szumlański; w r. 1809 był przy sztabie xięcia Poniatowskiego. Że dobrze umiał po rosyjsku, więc go xiążę używał do stosunków z jenerałami dowodzącymi oddziałami rosyjskimi, które pozornie przyszły były nam na pomoc jako sprzymierzeńcy Napoleona, a rzeczywiście porozumiewały się z Austryakami przeciw nam. W Petersburgu w kancelaryi sekretarza stanu dla Królestwa Polskiego, między raportami xięcia Poniatowskiego do króla saskiego i xięcia warszawskiego, czytałem wiele listów pułkownika Szumlańskiego z obozu rosyjskiego, bardzo ciekawych.

Gdy wojsko polskie, ścigając arcyxięcia Ferdynanda, weszło do Galicyi i zbliżyło się do Sieniawy, xiążę Poniatowski odkomenderował Szumlańskiego, aby wziął w niewolę xięcia jenerała, jako feldmarszałka austryackiego. Na ten dzień był liczny zjazd obywateli w Sieniawie. Xiążę wystąpił w mundurze feldmarszałka. Wtem wjechał z swym oddziałem Szumlański na podwórze. Zsiadłszy z konia, wszedł do salonu, ukląkł przed xięciem i prosił o oddanie sobie szpady. Jako niewolnik przez xięcia wykupiony brał go w niewolę. Po oddaniu szpady uściskał go xiążę i skończyło się na świetnym balu. Wtenczas umiano nawet wojnę połączyć z zabawami. Później Szumlański osiadł na wsi w Miłowaniu pod Stanisławowem i uchodził za sławnego gospodarza.

Do zarządu kraju dodany był arcyxięciu baron [Franciszek] Krieg. Był on rodem z nad Renu. Wszedł w Austryi do służby wojskowej. Że był zdatny do pióra, używano go w kancelaryach wojskowych. Prawdziwy biurokrata, dorobkiewicz. Jakkolwiek nadzwyczaj grzeczny, miał za nieprzyjaciela każdego, który nie był urzędnikiem z powołania i potrzeby. Jego żona była córką dawnego krawca lwowskiego, Niemca. Oboje byli Polakom bardzo nienawistni, ale tę niechęć pokrywali wielką grzecznością.

Wielka część naszej emigracyi schroniła się była do Galicyi. Z tych, którzy byli do Prus weszli, wypędzani stamtąd, starali się dostać do Galicyi, aby zostać między swoimi i nie tułać się między obcymi. Raptem przyszły z Wiednia surowe rozkazy, aby wszystkich emigrantów wydalać. Był to dla nich okropny cios, bo już prawie każdy znalazł był sobie zajęcie i przytułek. Że ja byłem za paszportem, więc mnie nie liczono do kategoryi mających być wydalonymi. — W rozporządzeniu wiedeńskiem było nakazane, aby wszyscy emigranci zgłosili się do władz, do pewnego terminu. Niechcący wrócić do kraju, będą odesłani kosztem rządu za granicę. Ci, którzyby do

oznaczonego terminu się nie zameldowali, będą wydani władzom rosyjskim. Powodem tak surowego rozporządzenia miał być raport policyi francuskiej, donoszący, że wielu emigrantów z Francyi wyjechało do Galicyi, aby stąd przejść granicę rosyjską jako emisaryusze i odnowić powstanie w Polsce. Rzeczywiście wkrótce ukazało się w Galicyi dużo tych emisaryuszów.

Ponieważ Piskurowice leżą blizko granicy, kilku i u mnie się ukazało. Większa część ciągnęła przez las piskurowicki, który się łączył przez inne lasy z lasami ordynackimi. Jednego z tych, którzy do mnie wstąpili, udało mi się przekonać, że Polski nie odbuduje, że na mieszkańców kraju wielkie ściągnie prześladowania i sam się zgubi. Odstąpił więc od swego zamiaru. Z emigrantów będących już dawniej w Galicyi, wielu w nadziei, że surowe względem nich rozkazy będą złagodzone, nie chciało się meldować do wywiezienia za granicę. Już jednak pozostać nie mogli tam, gdzie dotąd mieszkali i gdzie byli znani. Musieli się z miejsca na miejsca przenosić. Nie miało się wtenczas na wsi dnia spokojnego. Co chwila zajeżdżała przed dom bryczka; wysiadał z niej nieznajomy. Oświadczał, że jest emigrantem. Prosił o danie mu przytułku na parę dni, albo o konie na dalszą podróż. Z tego stanu rzeczy korzystali awanturnicy wszelkiego rodzaju. Łatwo było każdemu nazwać się emigrantem, chociaż nim nie był, bo nikt tego dochodzić nie mógł. Mówił mi ktoś, że zajechawszy do sąsiada, zastał u niego przy herbacie siedzącego swego dawnego sługę, którego był za kradzież wypędził.

Do Wysocka przyjechał jakiś jegomość, tytułujący się Zwolińskim, pułkownikiem artyleryi polskiej. Przyjęto pułkownika bardzo grzecznie. Opowiadał swoją historyę xiężnie jenerałowej, że wszedł do Prus z korpusem Rybińskiego; ponieważ był wdowcem i córkę zostawił w Warszawie, zdecydował się wrócić do kraju. Gdy dowiedział się, że go chcą zmusić do

wejścia w służbę rosyjską, musiał uciekać z Warszawy. Moja Matka wzięła wtenczas jego córkę w opiekę i oddała ją na pensyę. Po tak czułej historyi podwojono uprzejmości dla pułkownika. Wtem moja Matka przyjechała do Wysocka. Wszystkie panie poczęły wychwalać dobroczynność mojej Matki, mówiąc jej o panience, którą się opiekuje. Moja Matka zaklinała się, że nie zna ani pułkownika, ani jego córki. Gdy się zeszli na obiad, pułkownik przystąpił do mojej Matki, począł ją po rękach całować, dziękując za jej łaskę i aż się z wdzięczności rozpłakał. Moja Matka osłupiała, ale później wniosła, że osoba, której dawała pieniądze dla biednych, musiała tych pieniędzy użyć dla córki pułkownika. Wkońcu przyznała się do pupilki i do przyjaciela.

Dowiedziawszy się o przybyciu mojej Matki, przyjechałem do Wysocka. Zaraz mi powiedziano, że zobaczę tu kolegę i przyjaciela. Zaklinałem się, że nie znam żadnego pułkownika Zwolińskiego. Gdy on wszedł do salonu, rzucił mi się w objęcia tak serdecznie, iż pomyślałem sobie, że choć w każdym razie pułkownikiem nie był, ale dodać sobie kilka stopni, nie tak to wielki grzech; tyle osób się w czasie wojny znało, że nie o jednym można było zapomnieć, więc i ja przyznałem się do kolegi i przyjaciela. Pułkownik przychodził zwykle do mnie po obiedzie na cygara. Chciałem z nim rozmawiać o artyleryi i o naszej wojnie. On tej rozmowy unikał. Przekonałem się, że o jednem i drugiem nic nie wie, że nawet nigdy w wojsku nie służył. Dałem mu więc radę, aby się wyniósł, zanim go wypędzą. Usłuchał mojej rady pułkownik; wyjechał zaraz z Wysocka. Pojechał do Lublina. Tam gubernatorowi, jenerałowi Albertow, opowiadał, że w Wysocku zastał xięcia Adama Czartoryskiego, który przybył z Paryża, że był tam liczny zjazd obywateli. Naradzali się tam nad formowaniem oddziałów, które miały wpaść do Królestwa Polskiego. Widać, że jenerał Albertow nie przywiązywał ża-

dnej wagi do tej denuncyacyi, bo ją opowiadał wychowanicy xiężnej jenerałowej, od której to słyszałem. Takich awanturników, udających się za emigrantów, włóczyło się bardzo wielu po Galicyi i ci najwięcej emigrantom szkodzili.

Bojąc się, żeby i mnie nie wygnano z Galicyi i zachęcony przez arcyxięcia Ferdynanda, podałem się o obywatelstwo austryackie, które też wkrótce otrzymałem [1836]. Później Matka moja pracowitością i oszczędnością potrafiła zebrać dość znaczny kapitał, który mi dała na kupno dóbr w Galicyi. Tym sposobem położenie moje się ustaliło i jako należący do Stanów, mogłem brać udział w sprawach krajowych. Jakkolwiek prawa ówczesnych Sejmów galicyjskich były bardzo ograniczone, bo miały tylko prawo petycyonowania i proszenia o prawa i rozporządzenia, które uważano za potrzebne dla kraju, jednak zdawało mi się, że i to dałoby się korzystniej użyć, niż to dotąd czyniono.

Sejmy zaczynały się wielką paradą. Zbierano się w sali otwarcia, w bibliotece uniwersyteckiej, wszyscy w złocistych mundurach. Tak zwani komisarze sejmowi, przez cesarza mianowani, przyjeżdżali w staroświeckich pozłacanych karetach, w sześć koni, z masztalerzami na koniach. Jechali niby wprost od cesarza i donosili zebranym, że Najjaśniejszy Pan zdrów. Miewali mowy gubernator i arcybiskup. Na drugi dzień niby się naradzano nad potrzebami kraju. Zwykle kończono na tem, że uskarżano się na ciężkie podatki i w tym duchu spisywano petycyę do Najjaśniejszego Pana. Po kilkugodzinnej pogadance, podawszy prośbę o zniżenie podatków, czego się naturalnie nigdy nie otrzymało, zjadłszy obiad u arcybiskupa i u gubernatora, Sejm się rozjeżdżał.

W czasie Sejmu miałem sposobność poznać i zawrzeć stosunki z wielu obywatelami całego kraju. W naszych schadzkach przedstawiałem im moje zdanie, że jeśli Sejmy te zeszły na czystą komedyę, to temu

winna nie tylko instytucya, ale więcej jeszcze sposób jej użycia. Mówić o zniżeniu podatków rządowi, który zaledwie jest w stanie pokryć swe wydatki, zdawało mi się czczą gadaniną, niemogącą przynieść żadnego skutku. Zdawało mi się o wiele ważniejszem pomyśleć o środkach podniesienia bogactwa kraju, tak, aby mógł te podatki opłacać i nie był nimi przeciążony.

Aby zaś głos Sejmu miał więcej powagi w oczach rządu, uważałem za rzecz konieczną przypuścić do niego większe miasta przez swoich reprezentantów. Dotąd jedno tylko miasto Lwów miało na Sejmie dwóch reprezentantów i ci dwaj mieli tylko jeden głos, tak, że kiedy oni między sobą różnili się zdaniem, skazani byli obaj na milczenie. O przypuszczeniu do Sejmu reprezentantów włościan było jeszcze za wcześnie myśleć. Ani szlachta, ani rząd nie byłby się na to zgodził.

Zgodzili się wszyscy, że jedną z najpotrzebniejszych instytucyi dla podniesienia bytu materyalnego kraju byłoby zaprowadzenie Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Przed wielu laty, bo jeszcze dużo przed zaprowadzeniem tej instytucyi w Królestwie Polskiem, Sejm galicyjski robił kroki u rządu dla wprowadzenia jej w życie w Galicyi. Później rzecz ta poszła zupełnie w zapomnienie i przez kilkadziesiąt lat o niej mowy nie było. Poczęliśmy za tą sprawą deptać we Lwowie u arcyxięcia Ferdynanda, barona Kriega, prezesa sądu [Karola] Kraussa. Będąc w Wiedniu, mówiłem o niej z xięciem Metternichem, hrabią [Franciszkiem] Kolowratem, Mittrowskym, baronem [Franciszkiem] Pillersdorfem. Wszędzie napotkałem mniej na złą wolę jak na niechęć do pracy, a zbywano rzecz tak zwanymi, językiem biurokratycznym, szybrami. Odsyłano rzecz od władzy do władzy o danie opinii, lub żądając wyjaśnień. Przedstawiłem, że w Galicyi tłumaczą sobie te zwłoki niechęcią dla kraju, bo rzecz ta nie wymaga żadnych ofiar ze strony rządu, owszem może się przyczynić do regularniejszego wpływania podatków, zni-

żając ogromne procenta, które właściciele opłacać muszą i dając im fundusz na podniesienie gospodarstwa.

Moje starania nie były bez skutku. Wzięto się na seryo do rzeczy. Ułożono wspólnie z Wydziałem stanowym projekt statutów i otrzymano na nie sankcyę cesarską [1841]. Podług nich Sejm wybierał prezesa i dwóch dyrektorów, dwóch drugich wybierał z pomiędzy siebie Wydział stanowy. Na prezesa zostałem ja wybrany [21. września 1843], dyrektorami zaś: hrabia Kazimierz Krasicki i dr. [Hieronim] Wysłobocki; — z Wydziału stanowego: hrabia Kazimierz Stadnicki i Wacław Zaleski (później namiestnik Galicyi).

Po urządzeniu służby wewnętrznej w biurach, nastręczyła się bardzo ważna kwestya, jak ustalić kurs przyszłych listów zastawnych. Mieliśmy oferty od bankierów z Wiednia. Żądali oni, aby dyrekcya z nimi kontrakt zawarła i sprzedała im kilka milionów listów zastawnych po kursie 75%. Kilku członków dyrekcyi chciało koniecznie taki kontrakt zawrzeć i Krieg całego swego wpływu używał, aby ten kontrakt przyszedł do skutku. Ja się temu oparłem. Dyrekcya byłaby się naraziła na to, że gdyby biorący listy zastawne nie byli chcieli po tym kursie je sprzedać, byłaby musiała drożej kupować, aby je taniej sprzedać, a ofiarowany kurs zdawał mi się o wiele za nizki.

Po wielu targach moje zdanie przemogło. Czułem się jednak moralnie zmuszony do utrzymania kursu tego papieru. Począłem więc sam kupować po 90%, to jest o 15% drożej, jak dawali bankierzy. Na tem dobrze wyszedłem, bo te same listy odprzedałem po kursie o kilka procentów wyższym. Raz jednak byłem w wielkim strachu. Przyszedł do mnie nieznany mi obywatel z propozycyą, abym kupił od niego znaczną partyę listów zastawnych, które miał z kasy Towarzystwa odebrać. Miałem przy sobie wszystkiego 10 fl. — Gdybym był odmówił kupienia, mógłby był kurs znacznie spaść. Nie mając już pieniędzy, nie byłbym mógł napowrót go podnieść, a sam mając znaczny

kapitał w listach zastawnych, byłbym znaczną stratę poniósł. Z najlepszą więc miną ofiarowałem, że kupię owe listy. Pan ten odszedł. Czekałem, co z tego będzie, myśląc, skąd wezmę pieniądze. W kilka godzin wraca mój pan; zimno mi się zrobiło, aż tu on zaczyna się submitować i najmocniej przepraszać, że te listy komu innemu sprzedał, który mu dał wyższy kurs odemnie. W pierwszej chwili chciałem go za to uściskać, ale się wstrzymałem i udawałem, że mi bardzo żal jego listów zastawnych.

Administracya Towarzystwa kredytowego była pierwszą czysto polską administracyą; zaraz wzbudziła nieufność u władz. Baron Krieg sądził, że urząd złożony z samych obywateli nie da sobie rady i nie potrafi porządku utrzymać. Chciał mnie uważać za prezydenta „*ad honores*“, a myślał sam wszystkiem kierować przez pośrednictwo komisarza rządowego, radcę Namiestnictwa, [Józefa] Emingera, i drugiego radcę Namiestnictwa, Zaleskiego. Nie chcąc rozpoczynać z rządem wojny, którąby była wyszła na szkodę Towarzystwa, wolałem z początku ulegać. Jednak do paru miesięcy przez przyjaźń moją z Zaleskim udało mi się wyswobodzić Towarzystwo od niewłaściwych wpływów.

Inną trudność stawiały narzekania obywateli, że za małe daje im się pożyczki, a później, że się żąda wypłaty rat w oznaczonych terminach. Przekonany, że pomyślny rozwój Towarzystwa zależy od regularnego płacenia kuponów, które możliwe tylko było, odbierając regularnie raty od dłużników, po bezskutecznem dwukrotnem zagrożeniu egzekucyą, kazałem takową posłać. Wpadali do mnie zalegający i czasem dość grubiańsko żądali jej odwołania, przedstawiając, że się nie godzi, aby urząd obywatelski obywatelom egzekucyę stawiał. Gdy się przekonano, że ani prośby, ani groźby nic nie pomagają, przyzwyczajono się do regularności. Żaden podobno zakład tego rodzaju tak

nie szedł porządnie, jak nasz i tak mało nie miewał zaległości.

Drugą instytucyą, którą staraliśmy się w życie wprowadzić, była Kasa oszczędności we Lwowie[4]. Gdy w Europie każde prawie miasto ma swoją kasę oszczędności, w całej Galicyi nie było żadnej. Mieliśmy dowód, jak ta instytucya była potrzebną, bo i sama bardzo pomyślnie się rozwinęła i dziś podobne instytucye utworzyły się we wszystkich prawie główniejszych miastach Galicyi. Tam będąc mniej przez rząd krępowany, udało mi się zapomocą pana Supińskiego wprowadzić rachunkowość, którą można było za wzorową uważać. Miałem w dyrekcyi nieraz walki z kilku członkami, mianowicie z adwokatami. Uważali oni, zresztą sprawiedliwie, jako najbezpieczniejsze umieszczenie dla kapitałów pożyczki na hypotekę. Lecz nie zastanawiali się nad tem, iż może przyjść chwila, w której właściciele książeczek tłumnie przyjdą po swoje pieniądze. Wtenczas jak zrealizować pożyczki hypoteczne? Taki wypadek zdarzył się w 1848 r. Zakład byłby był w niemożności zwracania danych mu na książeczki pieniędzy, gdyby ówczesny gubernator, [Franciszek] Stadion, nie był mu przyszedł w pomoc pożyczką z depozytów sądowych, co było koniecznem, choć nielegalnem.

W kraju rolniczym, jak nasz, podniesienie rolnictwa, rozszerzenie wiadomości w tym zawodzie było niezawodnie jednem z najżywotniejszych zadań. Sądziłem, że pierwszym do tego krokiem było zawiązanie Towarzystwa gospodarskiego. Czuli to nasi poprzednicy i wkrótce po zaprowadzeniu Sejmów postulatowych w Galicyi, jeden z tych Sejmów między innemi prośbami do rządu podał o pozwolenie zawiązania takiego towarzystwa. Wypadki polityczne stały się powodem, że rzecz ta poszła w zapomnienie. Nowe Sejmy w przekonaniu, że wszelkie ich starania są bezskuteczne, żądania nie odnowiły. Otrzymanie pozwolenia na zawiązanie jakiegobądź stowarzyszenia

było rzeczą niełatwą. Rząd zawsze podejrzewał, że podany cel jest tylko płaszczykiem, a celem rzeczywistym będzie polityka i przygotowanie powstania. Na złodzieju czapka gore!

Kilkuletnie istnienie Towarzystwa kredytowego nieco uspokoiło pod tym względem rząd. Unikałem w niem wszystkiego, coby mogło mieć pozór mięszania się w co innego, jak w to, co było w zakresie działania Towarzystwa. Mawiałem nieraz moim panom: „Co robicie za murami, do tego się nie mięszam, ale Towarzystwo powinno tak stać, aby było możliwem pod każdym rządem, choćby do nas przyszedł i cesarz chiński". Opierałem się wszelkim demonstracyom, tak dobrze za, jak i przeciw rządowi.

Otrzymaliśmy wkońcu upoważnienie do zawiązania Towarzystwa gospodarskiego [1845 r.]. Zostałem wybrany jego prezesem[5]. W komitecie było kilka osób bardzo zdolnych i gorliwych. Na początek trzeba było skupić wszystkie siły tak intellektualne, jak i materyalne całego kraju, aby módz okazać krajowi korzyści, których z tej instytucyi spodziewać się można, bo wielu obywateli uważało to Towarzystwo jako zabawkę, z której kraj żadnej korzyści mieć nie będzie. Doznałem zaraz trudności, której się nie spodziewałem.

Krakowianie mieli statuta na Towarzystwo gospodarskie, aprobowane przed wielu laty przez były rząd Rzeczypospolitej. Gdy się dowiedzieli o zawiązującem się Towarzystwie we Lwowie, dobyli z kurzu swoje statuta i poczęli jednocześnie zawiązywać swoje Towarzystwo. Tem odciągnęli od nas wszystkich mieszkańców zachodniej Galicyi. Ubyło nam wielu zdolnych członków, którzy przyrzekali mi swoje współdziałanie. Ubyła także prawie połowa środków pieniężnych. Wielu z tych, którzy się byli zapisali na członków, kazało się wymazać, mając bliżej do Krakowa.

Poczęliśmy nasze czynności od wydawania pisma peryodycznego gospodarskiego[6]. Ile mi się zdaje, było

ono niezłe i zastosowane do potrzeb naszego kraju. Ale na cóż się przydało pisać w kraju, w którym, jak wówczas, nikt nie czytał, a ganił wszystko na niewidziane! Przypominam sobie, że wtenczas byłem raz na obiedzie u George'a z pewnym znajomym. Przybył jakiś pan, którego nie znałem i przysiadł się do nas. Padła rozmowa na Towarzystwo gospodarskie. Mój nieznajomy począł je błotem obrzucać, cały komitet, jego zdaniem, składał się z ludzi zupełnie nieudolnych i próżniaków. Zapytałem, skąd tak dokładnie wie o czynnościach komitetu. Odpowiedział, że czytał Rozprawy Towarzystwa i z nich przekonał się o próżniactwie komitetu. Zapytałem się go, co uważa, że powinienby komitet zrobić. Począł wyliczać przedmioty, którymi powinien się komitet zająć. W każdym przedmiocie powiedziałem mu, co komitet zrobił i zacytowałem zeszyt Rozpraw, w którym opisane były czynności komitetu w tym przedmiocie. Musiał wkońcu przyznać, że Rozpraw nie czytał i powtarzał tylko nagany, które słyszał.

Na ogólnych zgromadzeniach Towarzystwa odzywały się często głosy o potrzebie szkoły agronomicznej. Bez funduszów trudno było myśleć o założeniu porządnej szkoły. Był pewien xiądz [Antoni] Klima, zamiłowany i dość światły gospodarz. Próbowałem z nim, czyby nie można choć tymczasowo zastąpić formalny zakład. Wziąłem na jego imię dzierżawę od hr. Alfreda Potockiego. Tam on przyjął kilku młodych ludzi, którym wykładał agronomię, a zresztą praktycznie kształcił. Wkrótce okazało się, że to było zupełnie niedostateczne. Rozwiązaliśmy więc ten zakład, który mnie bez skutku niemało pieniędzy kosztował. Nie mogłem tych wydatków kłaść na karb Towarzystwa, które nie miało żadnych funduszów i ledwie tyle zebrać mogło, aby pokryć wydatki kancelaryjne i wydawnictwo Rozpraw.

Nie widząc innej drogi przed sobą, postanowiliśmy próbować rozpisania składek w całym kraju,

w celu kupna folwarku i założenia formalnej szkoły agronomicznej. Przedsięwzięcie było śmiałe. Znałem usposobienie kraju. Wiedziałem, że każdy mówi o potrzebie szkoły, każdy radby mieć udział w korzyściach, jakie ona przyniesie, ale pod warunkiem, aby inni pieniądze dali. Jednak ufny w pomoc Bożą, udałem się do ówczesnego namiestnika, hrabiego Gołuchowskiego, który zgodził się na moją myśl, na składkę w całym kraju zezwolił i wydał starostom polecenia, aby swoim wpływem rzecz poparli. Tymczasem upatrzyliśmy pod Lwowem folwark Dublany, który zdawał nam się dogodnym i ugodziliśmy się o jego cenę, warunkowo.

Wtem natrafiliśmy na nową przeszkodę. Zaledwie składka przez nas ogłoszoną i rozpoczętą była, Towarzystwo gospodarskie krakowskie ogłosiło, że zamierza zaprowadzić szkołę gospodarską pod Krakowem i że rozpisze na ten cel składkę. Przez to wszyscy prawie mieszkańcy zachodniej Galicyi odmówili przyczynienia się do tej składki, przewidując, że wkrótce będą mieli inną u siebie. Zdaje mi się, że tem Krakowianie nie tylko nam, ale i sobie zaszkodzili. Nam, że odciągnęli znaczną część kraju od naszej składki, — sobie, że bylibyśmy najchętniej przyczynili się do ich składki, gdyby była choć o rok później nastąpiła. Mimo to, zebraliśmy tyle, że przy pożyczce z Towarzystwa kredytowego mogliśmy Dublany kupić. Tu jednak ze wstydem powiedzieć muszę, że prawie połowę zebranego funduszu dała rodzina Zamoyskich, moja Matka i ja; — a mało co więcej jak połowę cały kraj.

Kupiwszy folwark Dublany, nie mieliśmy żadnego funduszu na zaprowadzenie gospodarstwa i na pobudowanie budynków, potrzebnych na umieszczenie szkoły i mieszkania dla uczniów. Powoli i to się znalazło. Wtenczas okazała się nowa trudność, gdzie znaleźć człowieka, zdolnego na dyrektora szkoły i nauczycieli. Dotąd nie myślano o szkole rolniczej, więc nikt się nie sposobił do wykładania w takiej szkole.

My sami, którzyśmy mieli obowiązek urządzenia tej szkoły, nie mieliśmy wyobrażenia o potrzebach takiego zakładu. Mieliśmy opisy tych zakładów za granicą, ale tam było dostateczne wyposażenie i byli ludzie odpowiedni. Wielką pomoc znaleźliśmy w emigrancie Zelkowskim, który był dłuższy czas profesorem w szkole rolniczej, w Grignon, we Francyi. Gdy sobie te wszystkie trudności przypominam, jeszcze się dziś dziwuję, że nam się udało je przezwyciężyć.

Nieraz moi koledzy w komitecie Towarzystwa gospodarskiego doradzali, aby założenie szkoły odłożyć do późniejszego czasu, a folwark na kilka lat puścić w dzierżawę. Ja jeden upierałem się przy przystąpieniu zaraz do założenia szkoły, bo choć ona będzie koszlawa, to widząc jej początek, prędzej da się kraj namówić do ofiar; rzecz odkładając, każdy zamiast pieniędzy da radę, aby jeszcze dłużej czekać. Bez wielkiej nadziei pomyślnego skutku postanowiliśmy dalej rzecz prowadzić. Udało się niezbędne budynki postawić. Na dyrektora wybraliśmy dawnego wojskowego, który później na dzierżawie uchodził za dobrego gospodarza. Zebraliśmy jako tako nauczycieli i otworzyliśmy szkołę. Wtem natrafiliśmy na nową trudność. Wszystkie dzienniki poczęły wytykać różne mankamenta naszej szkoły i tak odstręczały od niej rodziców, że tylko w tym razie synów nam oddawali, gdy sobie w innych szkołach rady z nimi dać nie mogli, czy to dla lamparteryi, czy to dla nieudolności. Jednak i z tych udało się nam kilku wyprowadzić na porządnych ludzi i zdolnych gospodarzy. Niejeden zaniedbujący się i niezdolny do nauk, zagustował w praktycznych zajęciach i w naukach, których widział bezpośredni dla siebie pożytek.

Z pomiędzy naszych uczniów najzdolniejszych i chcących oddać się zawodowi nauczycielskiemu wyprawiliśmy kosztem Towarzystwa gospodarskiego za granicę do celniejszych zakładów naukowych gospodarskich. Tym sposobem wyrobiliśmy sobie nauczycieli

dla zakładu dublańskiego, ludzi, którzy winni będąc temu zakładowi swoje pierwsze wychowanie, pracowali później dla niego z prawdziwem zamiłowaniem. Przy cierpliwości i wytrwałości Dublany doszły do tego, że minister rolnictwa, zwiedziwszy je szczegółowo, uznał, że należą do pierwszorzędnych zakładów tego rodzaju w Austryi.

Jedną z najważniejszych spraw, którą na Sejm galicyjski [w r. 1843] wniesiono, było skasowanie pańszczyzny. Zanim ta sprawa została przedmiotem publicznych rozpraw, trzeba było sejmujących z nią obznajomić i oswoić. Przez parę lat była ona przedmiotem naszych rozmów w kółkach prywatnych. Wszyscy uznawali szkodliwość pańszczyzny, która była powodem marnowania pracy, głównego źródła bogactwa krajowego. Zadaniem chłopa było zrobić jak najmniej roboty w jak najdłuższym czasie. Doszedł on był do doskonałości w rozwiązaniu tego zadania. Ale jakim sposobem przyjść do skasowania pańszczyzny, czem ją zastąpić? Tu były bardzo rozmaite zdania i kwestya była bardzo niełatwa do rozwiązania. Odebrać ją większym właścicielom bez wynagrodzenia, byłoby krzyczącą niesprawiedliwością. Ona stanowiła połowę ich majątku. Wynagrodzenie uskutecznić kosztem całego kraju, jak się to później stało, było również niesprawiedliwem. Dlaczego wszyscy mieszkańcy kraju mieliby być znacznym ciężarem obarczeni na to, aby mała ich część była obdarowana własnością ziemi, wolnej od dawnych ciężarów?

Tak się przecież stało w r. 1848, gdy rząd, nastraszony, myślał tym aktem zażegnać rewolucyę, której się lękał. Gdy po ogłoszeniu skasowania pańszczyzny, rozmawiając z włościanami, zapytałem, czy zadowoleni tem skasowaniem, jeden z gospodarzy odpowiedział mi: „Pewnie to dobre, ale przecież się to źle zrobiło. Gdybyśmy choć coś zapłacili, tobyśmy byli pewni, że te grunta nasze, ale teraz nasi parobcy mówią, że my grunta tylko na 12 lat darmo posia-

damy, a po 12 latach nas wypędzą i oni grunta nasze posiadać będą". — Były także zdania, aby zostawić przy gruntach włościańskich obowiązek płacenia niewielkiego rocznego czynszu, z prawem wykupienia się od niego za spłatą pewnego oznaczonego kapitału. Przy tylu rozmaitych zdaniach postanowiono prosić rząd o pozwolenie mianowania komisyi, któraby miała obowiązek wyrobienia projektu do prawa w celu skasowania pańszczyzny i przedstawienia go sejmowi. Po wielu trudnościach ze strony rządu wkońcu zgodził się on na wybór takiej komisyi. Wypadki z r. 1846 były powodem, iż te starania na niczem spełzły.

Ogólnie czuć się dającą potrzebą kraju było ułatwienie komunikacyi dla wywozu za granicę jego produktów. Już użytek kolei żelaznych był ogólnie uznany. Wybrał więc sejm komisyę [1840 r.], mającą się zająć wyrobieniem pierwszych projektów kolei, idącej od zachodu ku wschodowi, wzdłuż całego kraju. Zostałem wybrany przewodniczącym tej komisyi. Z natury rzeczy komisya ta miała trzy główne zadania: 1-e Oznaczyć kierunek i wypracować choć w przybliżeniu kosztorys jej założenia. 2-gie Obliczyć mniej więcej ruch na niej możebny, a więc i dochód, na któryby liczyć można. 3-cie Zetknąć się z potęgami finansowemi i wywiedzieć, pod jakimi warunkamiby chciały dostarczyć potrzebnych funduszów.

Do wypracowania pierwszego zadania umówiłem inżyniera [Franciszka] Bretschneidera, który był przy budowie kolei północnej Ferdynanda. Wtenczas inżynier obznajomiony z budową kolei żelaznych był rzeczą bardzo rzadką. Wypracowania drugiego punktu naszego zadania podjął się dr. [Edward] Tomaschek, profesor statystyki na uniwersytecie lwowskim. Później został on radcą ministeryalnym w ministerstwie oświaty publicznej. Pracował on bardzo gorliwie nad tą robotą, która była niełatwą z powodu braku i niedokładności dat statystycznych, przez rząd zbieranych. Natrafialiśmy co chwila na sprzeczności, które niewia-

domo było jak pogodzić. I tak, aby dojść choć w zbliżeniu, jaki może być ruch zboża na przyszłej kolei, wzięliśmy wykazy komor, które podawały dość znaczny wywóz zboża do Prus, lecz nie mieliśmy dat co do wywozu do innych prowincyi austryackich. Sądziliśmy, że do tego dojdziemy, porównywując wykazy produkcyi zboża z potrzebną ilością na wyżywienie miejscowej ludności. Różnica między tymi dwoma czynnikami powinna była nam wykazać ilość zboża mogącą być exportowaną. Tymczasem różnica ta wykazała, że licząc najmniej na wyżywienie mieszkańców, cała produkcya kraju nie była dostateczną na toż wyżywienie. Potrzebaby więc było rok rocznie znacznego importu zboża, li tylko, aby mieszkańców uchronić od śmierci głodowej. Co chwila natrafialiśmy na podobne absurda, porównywując z sobą daty statystyczne rządowe. Nic dziwnego, rząd kazał starostom podawać sobie te daty. Te składane były do aktów i nikt nie myślał o tem, aby z nich jakikolwiek użytek zrobić.

Z połączonych wypracowań Bretschneidera i Tomaschka ułożony był raport, który wydrukowano po polsku i po niemiecku[7].

Dla zetknięcia się z potęgami finansowemi, a razem dla obeznania się z nowem mojem zadaniem, puściłem się w drogę dla zwiedzenia istniejących kolei, obeznania sie z niemi, z ich budową, administracyą i korzyściami, jakie krajowi przynoszą. Ilość kolei już w ruchu będących była wtenczas bardzo małą i kolej kilkunastomilowa uchodziła już za bardzo długą.

Zwiedziłem naprzód kolej lipską, drezdeńską i lipsko-magdeburską. Poznałem ich dyrektorów, od których wiele się nauczyłem.

Zabawiwszy kilkanaście dni w Lipsku, Dreźnie i Magdeburgu, pojechałem do Belgii, gdzie znalazłem już znacznie dłuższe linie, kosztem rządu wykonane. Po ogłoszeniu niezależności Belgii zewsząd groziły temu państewku niebezpieczeństwa, godzące w jego

niepodległość. Musiało ono utrzymywać na stopie wojennej znacznie większe siły, niżby tak małemu państewku wypadało w zwykłych okolicznościach. Mimo oszczędności i pracowitości narodu, podatki z trudnością wpływały. Wtenczas rząd powziął śmiałą myśl zaciągnięcia znacznej pożyczki i użycia jej na budowę kolei żelaznych, aby tem podnieść dobrobyt kraju, a tem samem podnieść i dochody skarbu publicznego i rzeczywiście dopiął swego celu. Podniósł tem szczególnie dobrobyt fabryk żelaznych i kopalń węgli kamiennych, które stanowią jedno z głównych źródeł bogactwa krajowego i dają utrzymanie znacznej części ludności kraju tego.

Poznałem pana Masuy, naczelnego dyrektora wszystkich kolei rządowych. Z wielką uprzejmością dostarczał mi wszystkich wiadomości, których potrzebowałem. Badając szczegółowo rachunki z kilku lat i porównywując je z rachunkami innych kolei, przekonałem się, że gdy przy innych kolejach koszta administracyi i exploatacyi wynoszą 45 do 50% od dochodów brutto, przy kolejach belgijskich koszta te pochłaniały przeszło 70% od tegoż dochodu, pomimo, że ten był bardzo znaczny. Przedstawiłem to panu Masuy. Z początku mi negował. Gdy mu dowiodłem, że tak jest rzeczywiście, przyznał mi się do powodów tak kosztownej administracyi.

Przy otwarciu kolei upadło wiele przedsiębiorstw prywatnych *de roulage*. Tem pozbawieni zajęcia ludzie poczęli szemrać i już o tem poczęły się głosy odzywać i w Izbach. Aby tym skargom koniec położyć, minister rozkazał umieścić wielu przy kolejach, chociaż do tej służby zupełnie byli nieusposobieni. Później zaszła zmiana ministrów. Nowi ministrowie, aby powiększyć liczbę swych zwolenników, znacznie powiększyli liczbę urzędników kolejowych i nowo utworzone posady rozdali swym przyjaciołom i tym, których rodziny zyskać sobie chcieli, bez względu na to, że i więcej urzędników nie było potrzeba i nowo

przyjęci wyobrażenia o służbie kolejowej nie mieli. Stąd to tak bardzo wzrosły koszta administracyjne.

Jeśli na takie trudności natrafiła rządowa administracya kolei w Belgii, kraju małym i dobrze administrowanym, cóż mówić o tej administracyi w krajach obszernych i gorzej administrowanych. Dla kraju nie ma ona żadnych korzyści, owszem powiększa tylko wydatki. Dla ministrów ma ona wielką korzyść, ponieważ za jej pomocą można sobie wielu adherentów zyskać.

Z Belgii pojechałem do Paryża. Zwiedzałem koleje francuskie. Stamtąd udałem się do Wiednia. Co do uzyskania potrzebnego kapitału, nabyłem przekonania, że nic się za granicą zrobić nie da bez pośrednictwa znacznego banku wiedeńskiego. Począłem więc chodzić po głównych bankierach, przedkładając im sprawę, o którą idzie, a jednocześnie odwiedzałem ministrów i naczelników innych władz, przedstawiając korzyści, jakieby rząd miał, gdyby kolej przez Galicyę przeprowadzoną była i namawiając do dania korzystnych warunków, gdyby się towarzystwo zawiązało do budowania tej kolei.

Ważną było rzeczą zjednać sobie pierwszą potęgę finansową, Rothschilda. Bawił wtenczas w Wiedniu Alexander Fredro (komedyopisarz). Namówiłem go, abyśmy razem poszli do Rothschilda. Przyjął nas grzecznie, ale z poczuciem wyższości, którą mu dawało jego położenie finansowe. Nie odmówił swego współdziałania, robiąc go wszakże zależnem od warunków, które od rządu otrzymamy. Namówił, abyśmy byli u hr. [Franciszka] Hartiga, ministra. Wtenczas podał nam swój bilet wizytowy, mówiąc: „Pokażcie ten bilet, a możecie być pewni, że będziecie dobrze przyjęci“. Później zadzwonił. Wybiegł jakiś żydek, wyraźnie nasz faktor. Powiedział mu Rothschild: „Chcę tych panów na obiad zaprosić, kiedy mam dla nich dzień wolny“. Żydek wyliczywszy zaproszonych na dni następne, nakoniec oznaczył dzień, w którymby mogła

na nas kolej przypaść. Wtenczas dodał: „A więc przyjdźcie na ten dzień“. Wyszedłszy z tej wizyty, serdecznie się śmiałem z buty króla finansowego, a także i z gniewu Fredry, który ciągle powtarzał: „Co sobie ten żyd, parch myśli, że potrzebujemy jego protekcyi!“

Na dzień oznaczony stawiliśmy się na obiad. Było kilkanaście osób zaproszonych. Tam poznałem [Karola Ludwika] Brucka, późniejszego ministra finansów. Wtenczas był naczelnym dyrektorem Lloydu tryesteńskiego, kwitnącego towarzystwa żeglugi parowej. Gdy dano znać do stołu, Rothschild sam pierwszy przeszedł. My wszyscy za nim. Mnie i Fredrę posadził koło siebie, dając nam uczuć, jaka to wielka łaska nas spotkała. W czasie obiadu goście sadzili się na najgrubsze pochlebstwa, a on z zadowoleniem się uśmiechał. Za każdym przysmakiem lub winem opowiadał, że to dar jakiegoś panującego, lub pierwszego ministra. Mówił, że za kilka dni wyjeżdża statkiem parowym do Preszburga, skąd wróci pojazdem i dlatego posłał do Preszburga kilka pojazdów dla siebie i swych przyjaciół. Na to odezwał się jeden z gości: „Jeśli pan baron chce mieć pojazdy dla swych przyjaciół, Wiedeń nie ma ich dosyć“. Potem zapytał się Rothschild swego kamerdynera, czy już wyprawił pojazdy do Preszburga. Ten odpowiedział, że z początku odmówiono przyjęcia, bo wszystkie miejsca na statku parowym zamówione były dla jednego z arcyxiążąt. Gdy jednak dowiedziano się, czyje to były pojazdy, zaraz je przyjęto. Na to odpowiedział Rothschild z uśmiechem zadowolenia: „*Ja, ja, man macht etwas für den Baron Rothschild*“.

Był jeszcze jeden przedmiot, który bardzo mnie zajmował. Było to wzmocnienie Sejmu kilku deputowanymi z miast. Dotąd zasiadało w Sejmie tylko dwu deputowanych z miasta Lwowa. Lecz i ci mieli jeden tylko głos, tak, że jeśli się różnili w zdaniach, nie mogli wcale głosować. W Sejmie [1838 r.] większość

już byłaby się zgodziła na przyjęcie większej liczby delegatów z miast. W rządzie jednak uważano to za innowacyę zbliżającą do rządów konstytucyjnych, których się jeszcze obawiano.

Pracując z rozwagą nad rzeczami dla kraju użytecznemi, Sejmy nasze zyskały pewną powagę. Rząd sam przedstawił im do opinii niektóre projekta do praw i pozwalał na coraz dłuższe obradowania. Gdy dawne Sejmy trwały zaledwie cztery dni, z których dwa poświęcone były ceremoniom otwarcia i zamknięcia, ostatni Sejm w r. 1845 trwał już dni 15. Nawet w innych prowincyach monarchii uznawano naszą wyższość. Mówił mi jeden mój znajomy, że podczas jazdy szybkowozem z obywatelem z Morawii, ten na wiele rozporządzeń rządowych utyskiwał. Galicyanin zrobił mu uwagę, dlaczego ich Sejmy nie starają się złemu zaradzić. Na to mu Morawczyk odpowiedział: „Gdyby nasz Sejm był tak czynny, jak wasz, toby się dało wiele zrobić, ale nasz Sejm nie da się z waszym porównać".

Gdy tak Galicya, nieco z dawnego letargu obudzona, starała się trochę dźwigać, z drugiej strony do pogorszenia jej położenia niemało się przyczyniła emigracya, a przynajmniej część jej ruchawa. Z początku rząd zdawał się skłonny do zezwolenia na to, aby emigranci osiadali w Galicyi, pod warunkiem wszakże, aby spokojnie przebywali i nie narażali się Rosyi. Tymczasem na emigracyi wylęgła się nieszczęsna myśl tak zwanej gerylasówki. Zaczęło się to w latach 1832 i 1833. Przybywali z Francyi emigranci. W Galicyi starali się zebrać kilku lub kilkunastu ludzi uzbrojonych w dubeltówki i z nimi wpadali przez granicę do Królestwa Polskiego. Dziwna to myśl była. Czegośmy dokazać nie mogli, mając czterdzieści tysięcy wojska dobrze zorganizowanego i uzbrojonego, mając w ręku administracyę całego kraju, to miało zrobić kilkudziesięciu lub kilkuset ludzi uzbrojonych w dubeltówki. Dali sobie nazwę gerylasów. Miało to być

naśladowanie gerylasów w wojnach hiszpańskich za Napoleona I. Zapomniano tylko, że wtenczas obok gerylasów były wojska hiszpańskie i angielskie. Była flota angielska, która wszędzie dostarczała mieszkańcom broni i amunicyi i oddziały, przemagającą siłą parte, przewoziła w inne miejsce. Zarówno podziwiać potrzeba poświęcenie ludzi idących na pewną i bezskuteczną zgubę, jak niesumienność tych, którzy ich wyprawiali.

Skutkiem gerylasówki w Galicyi było wypędzenie z kraju wszystkich emigrantów bezwzględnie. W Królestwie i prowincyach polsko-rosyjskich był on o wiele straszniejszy; każdy, u którego był choć chwilę gerylas, a on go zaraz nie odstawił do najbliższego posterunku żandarmeryi, był natychmiast wysłany na Sybir.

Okropny zdarzył się wypadek w ordynacyi Zamoyskich. Do jednego z oficyalistów, którego zajęcie było jedynym środkiem utrzymania licznej rodziny, przybył brat jego emigrant i teraz gerylas. Nastraszony o los swój i całej rodziny, błagał brata, aby czem prędzej dom jego opuścił, oświadczając, że musi żandarmeryi donieść o jego przybyciu. Pojechał więc. Jechał, jak mógł najwolniej, aby dać czas bratu do ucieczki. Gdy wrócił z żandarmami po kilku godzinach, zastał brata jeszcze w domu. Schwytano go i rozstrzelano. Łatwo pojąć rozpacz brata.

Mimo ogólnego rozkazu wydalenia z Galicyi wszystkich emigrantów, udało mi się wyrobić kilka wyjątków. Między innymi był pewien oficyalista mego szwagra, xięcia Adama Czartoryskiego, którego znałem jako bardzo porządnego człowieka. Odebrałem od niego bilecik, w którym donosił, że był na policyi zamknięty, że tego samego dnia ma być wywieziony do granicy i w ręce rosyjskie oddany. Prosił o ratunek. Nie było chwili do stracenia. Pobiegłem do arcyxięcia Ferdynanda. Wystawiłem mu rzecz i prosiłem o uwolnienie. Arcyxiążę zapytał się mnie, czy go dobrze znam i czy

ręczyć mogę, że się będzie spokojnie zachowywał. Zaręczyłem. Arcyxiążę, bez innego dochodzenia, polegając jedynie na mojem zaręczeniu, kazał go zaraz wypuścić i dać mu pozwolenie pobytu w Galicyi. Wyznaję, że byłem zawsze wdzięczny arcyxięciu za ten dowód zaufania.

Około r. 1834 czy 1835 przybył do Lwowa poseł [Józef] Świrski. Otrzymał on paszport z Francyi do Galicyi pod pozorem widzenia się z członkami rodziny, którzy mieli przyjechać z Królestwa Polskiego. Rzeczywistym celem jego podróży było zawiązanie tajnego towarzystwa, któreby przygotowało napad na Królestwo Polskie. Miano się starać zebrać do 100.000 ludzi na chłopskich koniach, uzbrojonych w kosy lub pałki. W braku siodeł miano użyć worków z sieczką. Były oznaczone punkta zboru i przejścia przez granicę. Ja i kilku innych, do których Świrski się udał, przedstawili mu całą niepraktyczność tych pomysłów. Nic nie wskórawszy i ile wiem, nic nie zrobiwszy, wrócił on do Francyi. W kilka czasów po jego odjeździe mówił mi jenerał [Fryderyk] Langenau, ówczesny komenderujący w Galicyi: „Przyznaj mi, że u was okropna lekkomyślność". Zapytałem, dlaczego. Na to on dalej: „Oto poseł Świrski, posłany dla organizowania powstania w całym kraju (i tu zacytował mi projekt, jakby go był cały czytał z uwagą) — większą część czasu przepędzał przy zielonym stoliku i tak się zgrał, że zaledwie miał o czem wrócić do Paryża". Żartował potem z niedorzeczności całego projektu.

1846—1848

Zbliżał się nieszczęsny rok 1846. Snuło się po kraju mnóstwo emisaryuszów. Jedni namawiali wyższe klasy do zrobienia powstania, zapewniając im współudział ludu wiejskiego, drudzy chodzili pomiędzy lud i starali się trafić mu do przekonania, obiecując mu skasowanie pańszczyzny, podział gruntów dworskich między nich, oddanie im lasów i pastwisk dworskich do wolnego użytku.

Między emisaryuszami było trochę emigrantów, ale najwięcej Galicyanów. Na objekcyę chłopów, że panowie nie zechcą dobrowolnie oddać swe grunta i lasy, odpowiadali, biorąc garść owsa i kładąc na nią ziarnko przenicy: „Póki spokojnie, to ziarnko pszenicy jest na górze, — ale tylko pomięszać, a niema śladu pszenicy i górą owies. Panowie to pszenica, owies to wy. Pszenicy mało, owsa dużo. Idzie tylko o to, aby wszystko pomięszać".

Emisaryusze wszelkich sprężyn używali, aby wszystkich do ruchu pobudzić. Wiedząc, że na Podolu między obywatelami mam pewne zaufanie, jeździł jeden z nich od domu do domu, mieniąc się wysłanym przeze mnie i namawiając do robienia przygotowań do powstania. Gdy po jego odjeździe obywatele się zjechali dla naradzenia się, jeden znający mnie lepiej oświadczył, że to być nie może, abym ja wzywał do powstania; podjął się pojechać do Lwowa, aby się ze mną widzieć i donieść im o prawdzie. Gdy przybył i wszystko mi opowiedział, zaręczyłem mu jak najsolenniej, że nikogo z taką mi-

syą nie posłałem. Przeciwnie, wszystkich jak najmocniej namawiam, aby byli spokojni i nie gubili siebie i kraju. Zaraz on z tem napowrót pojechał. Jego namowy skutecznie działały.

Rząd wiedział dokładnie o wszystkich tych zabiegach. Ruchy szlacheckie go nie straszyły. Wiedział o nich jak najdokładniej. Kilku urzędników bywało na zebraniach i naradach spiskowych. Z tego wnosili niektórzy, że kiedy rząd wie o wszystkiem, a nie przeszkadza, musi mieć w tem pewne widoki, mianowicie pozwala spiskowym organizować się, aby ich rzucić na Rosyę i przyjdzie im w pomoc do zabrania Królestwa Polskiego. Nie podejrzewali, że to była tylko zdrada. Więcej niepokoiła rząd propaganda między włościanami. Począł on ze swej strony taką samą propagandę. Urzędnicy, przebrani po chłopsku, jeździli po wsiach, obiecując złote góry, jeśli oni pomogą rządowi do zgniecenia panów. Urlopnicy byli najlepszymi agitatorami. Tarnów i jego okolice były środkiem głównym tej agitacyi.

W kilka tygodni przed ostatecznym wybuchem przyjechał do Lwowa [Karol] Kotarski, który wkrótce potem został przez własnych chłopów zamordowany. Przyszedł on do mnie. Opowiedział mi w szczegółach, co się koło Tarnowa dzieje. Z jednej strony parcie na obywateli, aby się do powstania gotowali — z drugiej burzenie chłopów, którzy rzucą się na dwory i rabować, a może mordować będą. Przewidywał najokropniejsze nieszczęścia. W imieniu własnem i innych obywateli prosił, abym przestrzegł arcyxięcia i pana Kriega, prosząc, aby rząd temu tamę położył.

Wypełniłem jego polecenie. Arcyxiążę uważał te wszystkie pogłoski za przesadzone i strach za nieuzasadniony. W ciągu zimy moja żona często z nim mówiła o grożącem niebezpieczeństwie ruchu rewolucyjnego. On to był w żart zamienił i nieraz pytał się, czy jej się rewolucya nie śniła. Pan Krieg odpo-

wiedział mi, że te ruchy są rządowi bardzo dobrze wiadome, że się skończy aresztowaniem kilku osób i że niczego gorszego lękać się nie można.

W mojem przekonaniu arcyxiążę nie wiedział dokładnie o stanie rzeczy. Przedstawiono mu, że są tacy, którzyby radzi wywołać powstanie, ale gdy się przekonają, że lud za nimi nie pójdzie, będą musieli od zamiaru odstąpić i że lepiej im dać przekonanie o swej bezsilności w masie narodu, niż ich zawczasu aresztować i zrobić z nich ofiary polityczne.

Cały plan był uknuty między Kriegem, Kraussem prezesem sądu i [Leopoldem] Sacher Masochem dyrektorem policyi. Chcieli oni koniec położyć ciągle odnawiającym się spiskom i tajnym towarzystwom dobitnym dowodem, że one są dziełem nielicznej klasy i że stanowczo masa narodu jest im przeciwna. Może nie sądzili, że rzecz tak daleko pójdzie i że da powód do tylu morderstw. W tem więcej działała gorliwość niższych urzędników i ich nienawiść do właścicieli ziemi i ogólnie do Polaków.

Tu mi się przypomina frazes przypisywany Kriegowi. Ktoś mówił mu: „*Es kocht im Tarnower Kreise*“. On na to miał odpowiedzieć: „*Lassen Sie nur kochen. Wir werden desto besser speisen*“. Gdy rząd wiedeński, zaniepokojony wieściami o możliwym ruchu w Galicyi, chciał ilość wojska tam powiększyć, z gubernium poszedł raport, że to zupełnie niepotrzebne. Wskutek tego kilka batalionów, które już były w marszu ku Galicyi, dostały rozkaz powrotu na swe dawne stanowiska.

Przyszło nakoniec do wybuchu, którego każdy rozsądny człowiek się lękał, chociaż nikt przewidzieć nie mógł okropności, które były jego skutkiem. Nie będąc na miejscu wypadków, nie mogę dać szczegółowego ich opisu. Gdy o nich wiadomość do Lwowa doszła, przejęła nas zgrozą. Urzędnicy, którzy do ostatniej chwili nie byli pewni, kto przemoże u chło-

pów, radośnie przyjęli wiadomość, że oni poszli za rządem i rzucili się na panów.

W tej całej sprawie nie brałem udziału. Owszem, ile było w mej mocy, odwodziłem od powstania, którego smutne skutki można było przewidzieć. Mimo to urzędnicy, czy to z nienawiści ku mnie jako Polakowi, czy w błąd wprowadzeni raportami z prowincyi, donoszącymi o emisaryuszach, mianujących się moimi agentami, koniecznie chcieli widzieć we mnie ukrytą głowę powstania.

Jeszcze w zimie przed wybuchem byłem na balu u Kriega. Stałem pod ścianą zamyślony. Gospodarz domu zbliżył się do mnie, mówiąc: „*Mon Prince, Vous avez l'air bien pensif. Il doit y avoir des choses bien graves qui vous préocupent*". Z miny, z jaką to powiedział, odgadłem jego myśl.

W dzień Trzech Króli dzieci kilku przyjaciół zeszły się u mnie, dla ciągnienia króla migdałowego. Moje dzieci przygotowały korony z pozłacanego papieru. Mój szlafrok ponsowo podszyty służył za płaszcz królewski. Rozgłoszono i nawet do Wiednia raportowano, że mam u siebie wszystkie insygnia królewskie i że robiłem u siebie próbę mojej koronacyi na króla polskiego! Po wybuchu przedstawiano kilkakrotnie arcyxięciu konieczność aresztowania mnie, lecz on na to pozwolić nie chciał, póki mu nie złożą wyraźnych dowodów mojej współwiny. Wszystkich aresztowanych szczegółowo badano o ich stosunki ze mną. Jedni oświadczyli, że żadnych ze mną nie mieli, drudzy, że mnie zupełnie nie znają.

Nie mogąc wynaleźć żadnego dowodu przeciwko mnie, użyli innego wybiegu. Nauczyciel mego syna, xiądz Kloze, udał się na policyę w kwestyi paszportowej. Dyrektor policyi Sacher, poznawszy go, przyjął z największą uprzejmością; kazał urzędnikom rzecz załatwić, a jego prosił, aby tymczasem wszedł do jego biura. Począł z nim rozmawiać bardzo po przyjacielsku. Mówił o bieżących wypadkach. Wspo-

mniał o mnie, ubolewając nad tem, że się tak bardzo skompromitowałem, na co mają w ręku dowody i dodał: „*Und leider, er wird hängen*“. Rozumie się, że wróciwszy do domu, xiądz Kloze zaraz mi tę rozmowę powtórzył. Wkrótce potem wpadł do mnie drugi dobry mój przyjaciel, zadyszany i nastraszony. Opowiada, że w interesie był u Sachera. Ten długo mu o mnie mówił i skończył tym samym frazesem, że będę wisiał. Na drugi dzień przyszła do mnie jakaś pani, której nie znałem. Poczęła rozmowę od bardzo patryotycznych oświadczeń. Mówiła o wielkiej admiracyi, jaką ma dla mnie, jako Polka. Wkońcu oświadczyła, iż wie z pewnego źródła, że przyszłej nocy mają mnie uwięzić, że mnie pod sąd oddadzą i mają wszystko przygotowane, aby mnie na śmierć skazać. Chcąc mnie wyratować, wyrobiła paszport pod innem nazwiskiem, za którym mogę uciec i błaga, abym zaraz z tego skorzystał. Odpowiedziałem jej: „że w rzeczy samej widzę, iż mnie posądzają o udział, a nawet o kierownictwo w teraźniejszem powstaniu. Ja się do niczego nie poczuwam. Rad więc będę, aby mnie pod sąd oddano, bo się tam rzecz cała wyświeci i upadną wszystkie niesprawiedliwe posądzania, że więc uciekać nie będę“. Ona wtenczas z płaczem do nóg mi upadła, zaklinając na żonę i dzieci, abym się na niebezpieczeństwo nie wystawiał i ratował się, póki jeszcze czas.

Widząc, że mnie przekonać nie może, udała się do mojej żony, gdzie takąż samą scenę powtórzyła. Moja żona była wtenczas słabą, więc tem większe to na niej wrażenie zrobiło. Poczęła więc i ona prosić mnie, abym uciekał. Nie odstąpiłem jednak od mego przedsięwzięcia i zostałem. Wyznać muszę, że przez kilka nocy następnych spać nie mogłem. Ile razy na ulicy słyszałem kroki przechodzących patroli, a wtenczas gęsto bardzo chodziły, miałem przekonanie, że po mnie przychodzą. Bóg łaskaw, żem nie wpadł w łapkę. Gdybym był uciekał, byłbym tem dowiódł,

że się czuję winnym, a nawet nie byłbym uciekł, bo policya wiedząc, pod jakiem nazwiskiem mam paszport, byłaby mnie zaraz schwytała.

Głównem narzędziem do mordowania szlachty użytem, był włościanin Szela. Skazany on był za zbrodnię do kryminału. W kilka czasów przed mordami wypuszczono go z więzienia. Uznano, że nie można go było w okolicy, w której tyle zbrodni popełnił, utrzymać. Darował mu rząd grunt i całe gospodarstwo na Bukowinie. Aby pokazać włościanom, jak rząd wynagradza nawet zbrodnie na jego korzyść popełnione, przewożono go podwodami włościańskiemi, jadąc zaledwie trzy lub cztery mile dziennie. Na każdym popasie i noclegu zbierano włościan. On im rozpowiadał, co się stało, ile szlachty zamordował, ile dworów zrabował i jak jest wynagrodzony. Byłem właśnie w Przemyślu, gdy on tamtędy przejeżdżał. Miał dodanych kilku żandarmów, aby nie doznał obelg lub innych nieprzyjemności w podróży.

Wszyscy urzędnicy, którzy w tej sprawie największy udział brali, znikli z horyzontu. Krieg zwykł był wieczorami jeździć na spacer do Kortuma ogrodu, w którym były obłaskawione sarny. Tam go kozioł tak mocno ubódł, że mu nogę w biodrze złamał. Ledwie z tego wyszedł, ale był do śmierci kaleką. Jego syn [Gustaw], który pracował w sądownictwie i uchodził za bardzo zdolnego, po gwałtownym tyfusie zupełnie umysłowo podupadł i musiał z urzędu wystąpić. Innych odsunięto i pensyonowano.

Kto nie żył w czasach przed 1848, trudno, aby miał wyobrażenie o duchu, jaki panował między urzędnikami. Nienawiść do Polaków, a szczególnie do szlachty i większych właścicieli była przez nich uważana za obowiązek urzędnika. Pokrywali ją pozorem życzliwości dla włościan. Nieraz mawiali, że dla państwa potrzebne są tylko dwie klasy: urzędnicy i włościanie.

Dziś trudno pojąć, czem była u nas owa rzeczpospolita urzędnicza, tak zwana biurokracya, która uważała swoją kastę jako główny cel stworzenia, a resztę ludności jako środek wywyższenia siebie. Aby to wyjaśnić, zacytuję tu kilka wypadków charakterystycznych. Przybywszy do Galicyi, gdzie byłem tylko tolerowany, wiele mi na tem zależało, aby mieć za sobą władze miejscowe. Sądziłem, że wypada mi oddać wizytę staroście obwodu, w którym mieszkałem. Był nim [Karol] Czetsch. Pojechałem więc do Przemyśla, jego stolicy. Przyjął mnie bardzo grzecznie. Rozmowa toczyła się o rozmaitych rzeczach, któreby mogły podnieść dobrobyt jego obwodu. Słuchał mnie bardzo obojętnie, wkońcu powiedział, że wiele możnaby rzeczy zrobić, ale on nie ma czasu się tem zająć, bo pobór podatków i tajna policya cały czas jemu zabierają. Zdziwiło mnie niemało, że naczelnik administracyi tylko tem się zajmuje.

Gdy już byłem poddanym austryackim i z powodu Towarzystwa kredytowego stale we Lwowie mieszkałem, byłem wezwany przez gubernium do narady nad projektem prawa o zabezpieczeniu lasów od zniszczenia. Do tej narady był także wezwany [Kazimierz] Milbacher, starosta obwodu lwowskiego, wysoko położona osobistość. Oświadczył on, że ma od dawna wyrobiony projekt i prosił o pozwolenie odczytania go. Projekt ten na tem się zasadzał, aby administracyę lasów odebrać ich właścicielom, a oddać ją starostom obwodowym. Ci mieliby tyle drzewa sprzedać, ileby potrzebowali, aby pokryć koszta administracyi, włościanom tyle dać, ileby potrzebowali, a gdyby jeszcze co pozostawało, pozwolić właścicielowi tą nadwyżką rozrządzić. Jakkolwiek projekt ten nie był popartym, jest on wszakże charakterystyczny dla dawnych urzędników.

Gdy trafiono na ślad tajnych towarzystw, posądzano urzędników Biblioteki Ossolińskich, a nawet kuratora xięcia Henryka Lubomirskiego, że do nich

należą i że w drukarni Zakładu drukowano pisma rewolucyjne. Aby xięcia uspokoić co do tych podejrzeń, zaprosił go Krieg do siebie na obiad. Ja także byłem proszony. W czasie obiadu wpadł urzędnik Zakładu z doniesieniem xięciu, że policya otoczyła Zakład i w jego pomieszkaniu odbywa rewizyę. Xiążę musiał wśród obiadu odejść do siebie. Pan Krieg udawał bardzo tem zmartwionego, chociaż rewizya ta nie mogła się odbyć, jak tylko za jego rozkazem.

W tej rewizyi najwięcej ściągnął uwagę list pana Alfreda Potockiego o nowym sposobie fabrykowania cukru z buraków przez maceracyę. Sądzono, że w nim jest jakiś sens ukryty. Przez kilka dni musiał xiążę chodzić na policyę, gdzie go protokolarnie badano nad rzeczywistem znaczeniem wyrazów: „cukier“, „buraki“ i „maceracya“. Niedokładna znajomość języka polskiego powiększała jeszcze podejrzliwość urzędników.

Gdy aresztowano hr. Adama Potockiego r. 1850, indagowano wszystkich, którzy mieli z nim bliższe stosunki. Między nimi był dzierżawca jego pan Kajetan Wolski. Po długiem badaniu bez żadnego rezultatu, nakoniec sędzia śledczy wychodzi z zapytaniem, z którego miały ważne bardzo wyjść wykrycia. Zapytuje: „Panie Wolski, jakie były stosunki pana Potockiego i pana z świętymi tureckimi?“ On najmocniej przeczył, jakoby były jakiekolwiek stosunki z Turkami. Sędzia, aby go zmięszać, wyjął papier z kieszeni i okazał mu go. Był to list, który on był pisał do jakiejś Polki, mieszkającej w Paryżu i który na poczcie przejęto jako ważny dokument. W tym liście, chwaląc Potockiego z tego, że wszystkich zachęcał do pracy i skromnego życia, mówił, że gdyby nie on, bylibyśmy wszyscy wyszli na świętych tureckich. Nadzwyczaj trudno było sędziego przekonać, że w tem niema spisku, w którym i Turcy udział mają.

W życiu domowem ciężko mnie Bóg doświadczał. Na ośmioro dzieci straciłem siedmioro! I to zawsze

wśród okoliczności, czyniących ból tem dotkliwszy. Pierwszą córkę straciliśmy w Karlsbadzie, dokądeśmy byli dla niej pojechali. Zostawiliśmy byli najmłodszego synka u siostry mojej żony, pani Działyńskiej. Gdyśmy wracali, prosiliśmy ją, aby z nim przyjechała do Łańcuta. Cieszyliśmy się nadzieją oglądania go. W Łańcucie była pani Działyńska, ale sama! Synek w wilię był skończył.

Moja biedna żona, znękana troskami o zdrowie dzieci, zapadła na uporczywy kaszel. Gdy ten ustępować nie chciał, udałem się z nią do Lwowa. Z czterech lekarzy na konsultacyę zaproszonych, trzech oświadczyło, że choroba płucowa tak daleko zaszła, iż niema już nadziei wyleczenia. Jeden tylko nie odbierał wszelkiej nadziei i kazał jej jechać w góry, na kuracyę żętyczną. Odwiozłem ją więc i osadziłem w Kopyśnie za Birczą. Sam wróciłem do dzieci, do Żurawicy.

Tam mi druga córeczka zachorowała. Trudno wyrazić, przez jakie wtenczas męczarnie przeszedłem. Widziałem, że choroba córeczki coraz groźniejszą się staje. Żony, o którą byłem bardzo niespokojny, o tem zawiadomić nie śmiałem. Nakoniec sprowadziłem ją do domu, gdzie zastała córkę jeszcze żywą, ale już prawie konającą. Umarła też w kilka dni po przybyciu matki.

Jedną córkę, już dorosłą panienkę, straciliśmy w Krakowie w podróży do Gräfenbergu. Również tam jadąc, umarł nam synek w wagonie pod Mysłowicami. Musieliśmy w Mysłowicach nocować, czekając pociągu do Krakowa. Aby uniknąć policyjnych formalności, tak w nocy, jak w podróży do Krakowa, musieliśmy ukrywać, że dziecko nie żyje i trzymać je na rękach, jakby spiące. Te wszystkie trudności nie zwiększają nieszczęścia, ale czynią boleść dotkliwszą. Córkę Terenię, już dorosłą, a przeto tem bardziej kochaną, straciliśmy w Wiedniu. Tyle razem przebytych boleści

są nowym węzłem łączącym nas obojga do reszty dni życia.

Rok 1848 była to groźna burza, która wiele hałasu narobiła, ale niewiele skutków po sobie zostawiła. Byłem we Lwowie, gdy tam doszła wiadomość o rewolucyi wiedeńskiej. Czuliśmy potrzebę dania oznaki życia narodowego. Poczęliśmy się schodzić u Alexandra Fredry. Napisał on był projekt podania do Najjaśniejszego Pana. Każdy żądał dodania lub ujęcia jakiegoś wyrażenia. Gdyśmy byli zebrani do tej dyskusyi, wpadł do pokoju Jan Chwalibóg. Krzyknął donośnym głosem: „Panowie tu rozprawiacie, a tymczasem naród podpisuje adres. Ktoby śmiał z innym wystąpić, byłby zdrajcą kraju. Niema tu co dyskutować, trzeba przyjąć, co naród postanowił. Chodźcie panowie za mną i podpiszcie adres przez kraj przyjęty". Wszyscy poszli i nie czytając podpisali u krawca [Tomasza] Kulczyckiego adres przez [Jana] Dobrzańskiego napisany[1]. Był on daleko gwałtowniejszy, niż projekt Fredry, którego nie chciano przyjąć, jakoby za ostry. Ale u naszej szlachty nie ten przemoże, który przekona, ale ten, który nastraszy.

Trzeba było wybrać deputacyę, któraby z tym adresem jechała do Wiednia. Prezesostwo tej deputacyi przyjął xiążę Jerzy Lubomirski. Wybór reszty członków odbywał się więcej na ochotnika na placu Maryackim. Rej wodzącymi w tej deputacyi byli Leszek Borkowski, [Józef] Dzierzkowski i Dobrzański. Inni byli raczej figurantami.

Wypadki w Wiedniu tak prędko po sobie następowały, że ci panowie tam przybywszy znaleźli adres, który byli zawieźli, za blady. Napisali inny, do którego przyczepili arkusze z podpisami, przeznaczonymi do pierwotnego. O ile to się z uczciwością zgadzało, łatwo osądzić. Treść nowego adresu była mniej więcej taka: „Ty Austryo, wypowiedz wojnę Rosyi. Jeśli ci się nie powiedzie, los wojny zdecyduje, co stracisz. Jeśli będziesz zwycięską, to podbiwszy Polskę, stracisz tylko

Galicyę, którą oddasz dla zbudowania niezależnego Królestwa Polskiego". Wszystko to ubrane było w szumne frazesy. Ogólnie jednak propozycya nie była bardzo ponętna.

Doszła była do ministeryum kopia dawnego adresu. Przygotowano na nią odpowiedź, którą miał cesarz odczytać deputacyi przy audyencyi. W tej odpowiedzi było zgadzanie się na niektóre punkta i obietnica, że ogólnie nad resztą Najjaśniejszy Pan się zastanowi. Na audyencyi [6. kwietnia] deputacya odczytała nowy swój adres po polsku. Cesarz dobył z kieszeni przygotowaną odpowiedź i począł ją czytać. Wtem Zaleski (następnie gubernator Galicyi) powiedział do ucha Pillersdorfowi, że odczytany adres jest zupełnie inny, jak ten, na który odpowiedź przygotowano. Pillersdorf cesarza za połę pociągnął, aby przestał czytać. Cesarz zdziwiony nie wiedział, o co idzie, jednak odpowiedź schował do kieszeni. Ukłonił się deputacyi i wyszedł.

W kilka dni po podpisaniu adresu proszono mnie, abym należał do deputacyi, która miała iść do gubernatora Stadiona, z prośbą o uwolnienie więźniów politycznych z roku 1846[2]. Przystałem na to. Wiedziałem zresztą, że Stadion już był otrzymał z Wiednia upoważnienie wypuszczenia ich na wolność. Mieliśmy się zejść u Kulczyckiego. Sądziłem, że pójdziemy w kilku. Jakież było moje zdziwienie, gdy zaczęły się zbierać tłumy ludu. Bardzo mi przykro było, że należeć muszę do demonstracyi, ale trudno już było się wycofać.

Szliśmy placem Maryackim i Bernardyńskim do dzisiejszego namiestnictwa; za nami szło z 10.000 ludzi. Przed jeneralną komendą stało kilka dział z zapalonymi lontami, dwa bataliony piechoty i szwadron huzarów. Jeden człowiek pijany wystarczał, aby wywołać krwawą burdę. Gdyśmy wyszli na górę do Stadiona, tłum tak zaczął dusić szyldwachów, że ci zaczęli się kolbami obganiać. Mogło się to było bardzo smutno skończyć. Wybiegłem na ganek. Począłem lu-

dowi pokazywać, aby się trochę od budynku oddalił, co też zaraz nastąpiło. To niemało może krwi oszczędziło. Bez trudności dał nam Stadion pozwolenie objechania więzień i uwolnienia więźniów.

Gdyśmy od Stadiona schodzili, spotkaliśmy adwokata Romanowicza[3]. Dowiedziawszy się, że jedziemy do więzień, by uwięzionych zawiadomić, że są wolnymi, przyczepił się do nas i starał się pierwszy wejść do kaźni, aby mieć tam mowę, w której nie omieszkał sobie przypisywać zasługi ich uwolnienia. Tymczasem nie była to żadnego z nas zasługa, tylko rozporządzenie z Wiednia.

Wielką wtenczas wagę przywiązywano do zawiązania po miastach gwardyi narodowej. Sądzono, że ta może się stać siłą mogącą równoważyć wojsko. Przyszło i do Lwowa pozwolenie zawiązania gwardyi narodowej i prawo oznaczające, kto może do tej gwardyi należeć. Ja z kilku innymi obywatelami miasta byłem wybrany do komisyi, mającej przyjmować zapisy do tej gwardyi. Do tej należał delegat namiestnictwa i wojska. Ja się ściśle trzymałem przepisów prawa i przyjmowałem tylko takich, których prawo oznaczało.

To się bardzo nie podobało stronnictwu ruchu, które chciało bezwzględnie lud cały uzbroić. Zrobiła się z tego burda uliczna. Zebrało się kilka tysięcy ludzi, wołających gwałtem o broń. Stadion uspokoił ich tem, że kazał im wydać z arsenału kilkaset karabinów, zupełnie do użytku niezdatnych. W tym ruchu przewodził Jan Dobrzański. Wpadł on wtenczas w taki stan exaltacyi, że począł po ulicach wołać, że Stadion w imieniu rządu ogłasza przywrócenie Polski w dawnych granicach. Czy on to mówił już w stanie gorączkowym, czy też pomiarkowawszy, że skompromitował się tem mówieniem, udawał później waryata, dość, że przez kilka dni potem nie wychodził z domu pod pozorem zapalenia mózgu. Przez te dnie na ulicach ogłaszano co kilka godzin biuletyny o stanie jego zdrowia.

Amatorowie (ze szlachty) odbywali wartę pod jego domem z dobytymi pałaszami. Zimno na to zapatrującemu mogło się wydać, że cały Lwów jest wielkim domem obłąkanych.

W kilka dni potem [1. kwietnia] przyszło z Wydziału stanowego niższo-austryackiego wezwanie, aby przysłać kilka osób do narady nad potrzebnemi zmianami w prawie gminnem. Stadion zwołał [5. kwietnia] kilkunastu z szlachty stanowej i zaproponował im wybór trzech delegatów. Wybrali Alexandra Fredrę [4], Maurycego Kraińskiego i mnie. Fredro w przekonaniu, że z tego całego hałasu nic rozsądnego wyjść nie może, odmówił jechania. Kraiński i ja pojechaliśmy. Ja tem bardziej, że moja żona była wtenczas w Wiedniu przy ojcu.

Przybywszy do Wiednia, przekonaliśmy się, że w tych czasach nic zrobić się nie da. Przedstawiliśmy to członkom Wydziału niższo-austryackiego, którzy nas byli wezwali. Uznali oni, żeśmy mieli racyę. Na tem się skończyły nasze narady. Delegacya nasza, która w Wiedniu przesiadywała, szemrała na nasz przyjazd. Uważała się za jedyną reprezentantkę kraju i nasz przyjazd uważała za bunt przeciwko niej.

Jerzy Lubomirski, który rad był wszystkich pogodzić, namówił nas, abyśmy przyszli na posiedzenie delegacyi. Zgodziliśmy się na to, nie przewidując, co nas czeka. Gdyśmy weszli do sali ich zgromadzenia, zastaliśmy wszystkich siedzących wkoło. Prezydował Leszek Borkowski, koło niego siedział Dzierzkowski z jednej strony, z drugiej [Salomon] Meisels, żyd z Warszawy i członek delegacyi krakowskiej. Dzierzkowski przyjął nas długą mową, wyglądającą na akt oskarżenia na nas. Po nim głos zabrał Meisels. W gwałtownej mowie nazwał nas zdrajcami ojczyzny, nie patryotami, buntującymi się przeciw delegacyi, wybranej przez naród (byli oni werbowani na placu Maryackim).

Reszta delegatów, między którymi było wielu obywateli, dobrych moich znajomych, którzy mi zawsze dużo zaufania okazywali, siedziała wkoło i zdawała się mowcom potakiwać. Widząc to, Kraiński i ja kilku słowami pożegnaliśmy tych panów i wynieśliśmy się, niemało zdziwieni tem, co nas spotkało. Po tej scenie prócz Lubomirskiego i Nierensteina, bankiera we Lwowie, żaden z delegacyi nie śmiał się u mnie pokazać; nawet, gdy mnie na ulicy spotykali, przechodzili na drugą stronę, aby się ze mną nie witać i tem się nie skompromitować. Mnie to było dość obojętne. Wiedziałem, że to chwilowe tchórzostwo. Tych samych później często widywałem i byli dla mnie z największem poważaniem.

Powiem tu kilka słów o Dzierzkowskim, który w delegacyi i przez cały ciąg roku 1848 pewną rolę odgrywał. Był on bratankiem adwokata lwowskiego [Józefa], który dawniej miał pewne znaczenie jako patryota. U niego schodzili się obywatele i naradzali się w sprawach krajowych. Już nie żył, gdy po raz pierwszy byłem we Lwowie. Dużo mi o nim mówiono. Chwalono jego rozum, ale uczciwość jego była wątpliwą.

W r. 1831 wyprawił bratanka do Warszawy. Ten przybywszy, stanął w jednym z pierwszych hoteli. Zajął piękny apartament i kazał się tytułować hrabią. Poznał biedną dziewczynę, której się oświadczył. Gdy przyjęła oświadczenie, powiedział jej, że jego rodzina nigdy na to małżeństwo się nie zgodzi, muszą więc ślub wziąć potajemnie. Niech więc ona odda mu wszystkie pieniądze i kosztowności, jakie ma i niech na niego czeka przy rogatce na dniu i godzinie omówionej. On tam ją weźmie do swego pojazdu i na wsi ślub wezmą. Biedna uwierzyła. Oddała mu wszystko, co miała i przy rogatce czekała, ale się nie doczekała. On wyjechał, nie zapłaciwszy znacznego rachunku w hotelu, ale wyjechał inną rogatką.

Pojechał do jenerała Dwernickiego, który wychodził na ostatnią swoją wyprawę na Wołyń. Że wygadany, a udawał zapalonego demokratę, podobał się Dwernickiemu, który go trzymał przy swoim sztabie[5]. Wróciwszy do Galicyi, pisywał do dzienników. Jego powieści dowcipne, lecz niemoralne, miały pewien rozgłos. Bywał na wieczorach literackich.

Tam go poznał mój szwagier Działyński, wielki biblioman. Na jednym z takich wieczorów, na którym był i mój szwagier, była mowa o starych dziełach polskich, których już bardzo mało istnieje exemplarzy i są rzadkością bibliograficzną. O każdem mówił Dzierzkowski, że widział jeden exemplarz. Rozciekawiony Działyński pyta się go, gdzieby one były. Na to odpowiada Dzierzkowski, że są na Podolu u wdowy po xiędzu ruskim i sądzi, że ona dałaby się namówić do sprzedania tych książek. Onby ją może mógł do tego namówić, bo ją zna od dawna i ma jej zaufanie. Zaczyna go więc Działyński błagać, aby zechciał na Podole jechać i starał się te książki dla niego kupić. Gdy Dierzkowski się na to zgodził, Działyński daje mu 100 dukatów, kocz i konie, aby zaraz jechał. Po kilku milach Dzierzkowski mówi furmanowi, że jego konie zmęczone, że on prędzej pojedzie, najmując konie z miejsca na miejsce. Wrócił więc furman z końmi do Lwowa. Działyński z największą niecierpliwością oczekiwał skutku tej wyprawy, gdy raptem odebrał list od obywatela, którego nie znał. Donosił on, że Dzierzkowski sprzedał mu swój kocz i powiedział, że do niego należą kufry, które są złożone u Działyńskiego, prosił więc, aby mu te kufry oddać. Łatwo pojąć furyę Działyńskiego, gdy się przekonał, że owe ciekawe książki, na które dał pieniądze, były tylko oszustwem. Jedynie tem się pocieszył, że później wpadł do Dzierzkowskiego i porządnie go kijem obił.

W ciągu roku 1848, gdyśmy ze Stadionem byli raz sam na sam, pytał się mnie o kilku ówczesnych

koryfeuszów, których nie znał. Odpowiedziałem mu, że za najniebezpieczniejszego mam Dzierzkowskiego, bo ma swadę, głos donośny i może ulicę do, Bóg wie, jakiej awantury pociągnąć. Na to Stadion się uśmiechnął z miną, po której poznałem, że go ma w kieszeni do hałasowania, ale nieszkodliwie i bez skutku.

Wszyscy wiedzieli o życiu Dzierzkowskiego, a przecież słuchali go. Piotrowi Dulskiemu, jednemu z najgorętszych jego adeptów, przypominałem, że sam przed rokiem opisywał mi szczegóły życia Dzierzkowskiego, mówił, że od dawna był szpiegiem i pobierał pensyę z policyi. Odpowiedział mi: „Prawda, ale od marca 1848 to zupełnie inny człowiek". Dzierzkowski miał dar obałamucania.

Gdy byłem w Wiedniu, gubernator Stadion czuł potrzebę przeciwstawienia ulicy innej powagi. Zwołał dawny Sejm postulatowy, złożony z właścicieli ziemskich, opłacających pewny podatek. Chciał go wzmocnić ludźmi przez miasta wybranymi. Panowie ulicy czuli, że to mogłoby im berło z rąk wytrącić. Poczęli więc zdrajcami ogłaszać każdego, ktoby śmiał w tym Sejmie zasiadać. Na dzień oznaczony [26. kwietnia] zebrało się kilkudziesięciu obywateli. Z drugiej strony zebrał się tłum na ulicy przed budynkiem sejmowym, krzycząc i odgrażając się. Sami sejmowi oświadczyli, że są nielegalnie zebrani i rozeszli się, uznając tem, że motłoch uliczny jest jedynym legalnym reprezentantem całego kraju.

Nielepiej się działo w Wiedniu. Ulica rządziła zapomocą kocich muzyk. Sprawiono jednę arcybiskupowi, drugą i to najgwałtowniejszą xięciu Metternichowi, wskutek której podał się do dymisyi i z Wiednia wyjechał, zostawiając państwo bez przewodnika.

Czesi zapowiedzieli zjazd Słowian w Pradze. Namawiano mnie, abym wziął w nim udział. Aby poznać przywódców tego zjazdu, jadąc do Lwowa, obróciłem drogę na Pragę. Bawiłem tam kilka dni. Poznałem tam hr. Macieja Thuna, który był przywódcą stron-

nictwa czeskiego. Był to człowiek zdolny i zacny, ale już był bardzo na zdrowiu podupadł. Przed zjazdem umarł. Przy nim największą rolę odgrywali Palacky i zięć jego [Władysław] Rieger.

Myśl pierwotna była, aby zebrać tylko Słowian pod berłem austryackiem zostających i ułożyć podanie do korony z żądaniami ludności słowiańskich, należących do państwa austryackiego. Gdy byłem w Pradze, przyszła wiadomość, że cesarz Ferdynand opuścił Wiedeń i udał się do Lincu. Wielką to tym panom sprawiło radość. Zaraz wyprawili deputacyę, która miała cesarza zapraszać do Pragi, z oświadczeniami wiernopoddańczemi. Mając cesarza u siebie, mieli nadzieję, że tem przełamią przewagę niemiecką. O stronnictwie rosyjskiem i panslawizmie nie było wtenczas mowy w Czechach. Jedynie dążyli do zyskania pewnych praw narodowych i autonomicznych w państwie austryackiem dla siebie i dla innych szczepów słowiańskich w Austryi, upatrując w wolności innych gwarancyę dla swoich wolności. Widząc rozwagę polityczną ludzi i kierujących ruchem, postanowiłem wrócić do Pragi na zapowiedziany zjazd słowiański.

Wróciwszy do Lwowa, znalazłem tam największe zamięszanie w wyobrażeniach. Wszyscy się ruszali. Nikt dokładnie nie wiedział, do czego dąży, a tem mniej, jaką drogą dojść do nieokreślonego celu. Wielu chciało z gwardyi narodowej zrobić zawiązek wojska narodowego, niepomni, że większa połowa tej gwardyi składa się z żydów, Niemców i urzędników, że we wszystkich wsiach koło miasta były również oddziały gwardyi z chłopów złożone i na wszystko gotowe na rozkaz rządu. Gwałtem wołano o kupno broni dla gwardyi. Żądano, aby Towarzystwo kredytowe oddało na ten cel swój fundusz rezerwowy. Oparłem się temu jak najmocniej. Niejedną o to walkę stoczyć musiałem w samemże gronie dyrekcyi. Grożono mi, że lud napadnie na kasę Towarzystwa i siłą zdobędzie

fundusze, których dać nie chcę. Utrzymałem się jednak przy swojem.

Byłem wybrany członkiem Rady miejskiej. I w tej korporacyi przemagał hałaśliwy duch czasu. Widziałem, że w gronie stu członków i to ludzi więcej zajętych polityką niż sprawami miasta, niepodobna nic zrobić w sprawach administracyjnych. Zaproponowałem więc podział Rady na sekcye, z których każdaby się zajęła pewną częścią administracyi. Zgodzono się na to. Mnie wybrano jako przełożonego sekcyi finansowej. Udało się mi tam zaprowadzić niektóre ulepszenia, mianowicie w całym układzie rachunkowości. Posiedzenia plenarne kończyły się zwykle na ogólnych rozprawach i sążnistych mowach patryotycznych i ultra-liberalnych o wolności i równości. Do żadnych uchwał w sprawach miasta przyjść nie można było.

Postępowanie rządu było chwiejne. Wszystko, co się we Lwowie działo, było tylko naśladowaniem Wiednia. Co było pozwolone w Wiedniu, tego rząd nie mógł zabronić we Lwowie. Jedynem jego działaniem było jednanie sobie włościan. Za ich i wojska pomocą czuł się dość silnym do zgniecenia całego ruchu, skoro chwila nadejdzie. Wiedział, że poza tym hałasem i wielomownością niema żadnej rzeczywistej siły. Stadion zaprosił [2. maja] kilkunastu obywateli wiejskich i miejskich, aby z nich utworzyć sobie radę przyboczną. W ich liczbie i ja byłem. Gdyśmy się po raz pierwszy zebrali, w długiej mowie oświadczył nam, że nic nie przedsięweźmie bez naszej porady, że zawsze pójdzie za zdaniem większości i skończył tem wyrażeniem: „Ale was, Panowie, was jednych czynię odpowiedzialnymi za szczęście kraju“.

Sądziliśmy, że rzeczywiście będziemy mieli jakiś wpływ. Skończyło się na tem, że parę razy na tydzień schodziliśmy się wieczorem u niego na herbatę. Bywała gawęda o różnych rzeczach, czasem o sprawach bieżących. Nie radził się nas, bo nie chcąc otwarcie nic robić, nie potrzebował naszej rady. Potajemnie

*

zaś organizował stronnictwo ruskie i zapewniał sobie pomoc chłopów w razie potrzeby. W czasie naszych tak zwanych posiedzeń wpadali różni, zadyszani, grożąc niebezpieczeństwem rewolucyi, bo lud tem lub owem niezadowolony, poczyna się zbierać.

Między takimi był pewien Pietrzycki, mały dzierżawca z okolic Lwowa. Nosił się po polsku. Nieraz spotykałem go na mieście jadącego na szkapie po ulicach to w jedną, to w drugą stronę, przemawiającego, ile razy spotkał kilkunastu ludzi zebranych. Wpadł on raz do Stadiona, opowiadając, jak się lud groźnie zbiera. On do niego przemawiał, aby go uspokoić, ale napróżno, tak, że już za spokojność miasta ręczyć nie może. Stadion wysłuchawszy go, zapytał, jak się nazywa. Odpowiedział: „Jestem Pietrzycki". Na to mu Stadion najspokojniej odpowiedział: „Panie Pietrzycki, wyglądasz pan bardzo zmęczony; radzę panu, idź spać, a tymczasem ja za spokojność miasta odpowiadać będę". Odpowiedź ta nas wszystkich rozśmieszyła, a biedny Pietrzycki, który myślał, że wielkie wrażenie zrobi, zmieszany wyniósł się.

Nadszedł czas oznaczony dla zjazdu słowiańskiego [31. maja]. Pojechałem do Pragi z Maurycym Kraińskim. Znalazłem rzeczy bardzo zmienione od ostatniego mego pobytu. Maciej Thun był bardzo chory, prawie konający. Stronnictwo rewolucyjne bardzo się było wzmogło. Zjechali się Słowianie nie tylko poddani austryaccy, ale i pod innem berłem zostający. Przyjechało dużo naszych emigrantów, rosyjski emigrant [Michał] Bakunin. Było także kilku Poznańczyków: [Karol] Libelt, [Jędrzej] Moraczewski, [Rychard] Berwiński, xiądz Janiszewski (teraz biskup wypędzony, bardzo zacny i światły kapłan).

Prezydującym na ogólnych zebraniach był Palacky. Podzieliliśmy się na sekcye, podług narodowości. W naszej sekcyi prezydował Libelt. Jego zastępcą był ruski kanonik przemyski [Grzegorz] Ginilewicz. Zaraz wystąpili nasi emigranci z kwestyą przywróce-

nia niepodległej Polski; Rusini ze skargami na ucisk Polaków. Chciano sformułować punkta petycyi do cesarza, ale dwie wyżej wymienione kwestye nie dopuszczały do dyskusyi tych punktów.

Na zebraniach ogólnych przemawiał każdy swoim językiem. Udawaliśmy, że się doskonale rozumiemy. Jednak, gdyśmy chcieli wiedzieć o co idzie, musiano mowcę prosić o powtórzenie tego samego po niemiecku. To powtórzenie odbywało się pokątnie, bo głośno nie można się było przyznać, że się nie rozumiemy.

Wieczorem odbywaliśmy wspólne spacery, lub bywały wieczory w zakładach publicznych. Na nich bywali jenerałowie austryaccy i byli z nami w najlepszej komitywie. Na tych schadzkach bywaliśmy w strojach narodowych. Nieraz Palacky i Rieger zazdrościli nam, że mamy strój narodowy. Sami wyszukiwali, a nie mogąc dojść do stroju specyalnie czeskiego, wymyślali stroje, któreby odznaczały ich odrębność narodową. Przypominając sobie ich słowa, a widząc naszą obojętność dla stroju narodowego, smutne mnie przejmuje uczucie zwątpienia o naszej przyszłości.

W sekcyach naradzano się nad punktami petycyi do Najjaśniejszego Pana. U nas szło bardzo opornie. Większość naszej sekcyi składała się z emigrantów i Poznańczyków. Stawiali oni punkta tyczące się jedynie przywrócenia Polski całej, w dawnych granicach. Naprożno przedstawialiśmy im, że przedkładać cesarzowi punkta, których spełnienie nie leży w jego mocy, jest to samo, jak nic nie żądać.

Najprędzej swą czynność załatwili Kroaci. Żądania ich składały się z dwóch punktów: 1. Aby cesarz zatwierdził, co tylko Sejm zagrzebski dotąd uchwalił. 2. Aby obiecał, że zatwierdzi, co tenże Sejm nadal uchwali.

Chęć wywołania bójki coraz więcej na jaw wychodziła. Hasło do niej dało zabójstwo xiężnej Win-

dischgrätz [11. czerwca], żony głównodowodzącego [Alfreda]. Naprzeciwko jej okien był hotel pod „złotym aniołem“. Gdy oknem wyjrzała, strzelił ktoś do niej z hotelu i na miejscu ją zabił. Mówią, że to był strzelec, który dawniej u xięcia służył. Czy to była osobista zemsta, czy fanatyzm polityczny, nie wiadomo. Zaraz cały garnizon z działami wystąpił. Otoczono hotel. Wiele osób aresztowano, między niemi Jerzego Lubomirskiego i adwokata Romanowicza.

Akademicy złapali gubernatora Leona Thuna, który do nich był wyszedł, chcąc ich uspokoić. Uwięzili go w budynku akademickim i tam go pod strażą trzymali. My Polacy byliśmy zebrani na naradę, nie wiedząc o niczem. Wpadł do nas Bakunin z krzykiem, że tu nie czas radzić, że powinniśmy iść walczyć. Rozeszliśmy się. Ja i większa część naszych poszliśmy do naszego hotelu, blizko będącego. I ta krótka przeprawa nie była łatwa, bo naprzeciw hotelu stało liczne wojsko, właśnie pułk polski. Ogromnie na nas po polsku wymyślali i grozili strzelaniem. Uprosiliśmy oficera, aby nam towarzyszył do naszego mieszkania.

Wróciwszy do domu, byłem okropnie niespokojny. Był wtenczas ze mną syn mój Adam. Dowiedziawszy się, że się na ulicy biją i słysząc strzały, wybrał się ze Stefanem Potockim i Wielopolskim na miasto, aby się walce przypatrzeć. Wróciwszy, nie zastałem go w domu. Nie wiedziałem, w którą stronę poszli. Szukać ich było niepodobieństwem; kilka godzin przepędziłem w okropnym niepokoju. Nakoniec wrócili szczęśliwie.

Po nocy, przepędzonej wśród huku dział i ognia karabinowego, rano dowiedziałem się, że Jerzy Lubomirski jest uwięziony i prosi, abym się starał o jego uwolnienie. Wyjść z oberży nie było łatwą rzeczą, bo naprzeciw bramy stojące wojsko strzelało na każdego, kto z bramy wychodził. Właśnie, gdy się do bramy zbliżałem, usłyszałem kilkanaście strzałów i wychodząc widziałem leżącego trupa przed bramą. Udało mi

się przecież, że do mnie nie strzelano. Uprosiłem oficera, że mi dał eskortę, która mnie zaprowadziła do znanych mi jenerałów Zerbeloniego i Wallmodena.

Opisałem im położenie Lubomirskiego. Zaraz posłali oficera, który jego i adwokata Romanowicza odprowadził na stacyę kolejową, skąd spokojnie odjechali. Mówiłem także jenerałom, że w oberży jest nas wielu, którzy nie myślą wojować i pragnęliby Pragę opuścić, tylko nie mogą wyjść z hotelu, bo do nas zaraz strzelają. Obiecali, że wystarają się o pojazdy, które nas odwiozą do stacyi, skąd wychodzą statki parowe do Drezna i dadzą nam wojskową eskortę przez miasto. Wróciwszy do oberży oświadczyłem to kolegom, zapytując, kto chce wyjechać. Podobno wszyscy się zgłosili. Pod wpływem huku armat znikły były wszystkie kamizelki „*à la Robespierre*“, już byłem xięciem, którego opiece się polecili — już nie obywatelem.

Gdyśmy przez miasto jechali, eskorta zabezpieczyła nas przed wojskiem, ale zato z okien puszczono do nas kilka strzałów, jednak nieszkodliwie. Na stacyi statków parowych zastaliśmy Moraczewskiego i Berwińskiego, którzy tam byli od 24 godzin. Chociaż musieli Pragę opuścić wkrótce po rozpoczęciu walki, jednak rozpowiadali nam, na ilu to barykadach byli, jak lud do boju zachęcali, jak szli do ataku na wojsko. Nie wstrzymywało ich to, żeśmy jasno widzieli, że to były kłamstwa.

Na drugi dzień rano siedliśmy na statek parowy, który płynął do Drezna. Na pokładzie mieliśmy adwokata lwowskiego [Karola] Malisza, zapalonego panslawistę. Ten na pokładzie rozpoczął dyskusyę z Niemcami, dowodząc, że Słowianie winni się połączyć, aby Niemców wypędzić ze wszystkich krajów dawniej przez Słowian zamieszkałych. Niemcy zaczęli się zapalać. Mogła się rozprawa źle dla nas skończyć, gdyby jeden z naszych nie był wpadł na szczęśliwą myśl. Stanął za Maliszem, który z ubrania i ruchów

dość był do waryata podobny, wskazał na głowę i palcem kręcąc, dał do zrozumienia, że to obłąkany. Pojęli to Niemcy, przestali brać na seryo, co on mówił, owszem, aby go nie drażnić, zaczęli mu potakiwać. Malisz nadzwyczajnie był tą rozmową uradowany, bo myślał, że Niemców przekonał.

W drodze spotkaliśmy statek idący z Drezna i przepełniony młodzieżą uzbrojoną. Byli to akademicy z Lipska, którzy dowiedziawszy się o bójce w Pradze, uważali ją jako bitwę między Słowianami a Niemcami, spieszyli więc na pomoc Niemcom. Śpiewali na pomoście pieśni patryotyczne niemieckie i przekleństwa na Słowian. Słychać było z daleka strzały armatnie. Cieszyli się, że przybędą na czas, aby walczyć z Słowianami.

Po drodze ja i Kraiński wysiedliśmy w Schandau, w Szwajcaryi Saskiej. Była tam moja żona i siostra; obie z dziećmi. Chociaż było nas tylko dwóch mężczyzn, tak wielka liczba Polaków i Polek przejęła strachem mieszkańców. Sądzili, żeśmy przyjechali z myślą zrobienia rewolucyi. Że nasze mieszkanie obrócone było na południe i słońce bardzo dopiekało, a nie było firanek, moja żona okna pomalowała kredą rozpuszczoną w wodzie. Mieszkańcy wnosili, że to był jakiś znak rewolucyjny i bardzo byli tem zaniepokojeni.

Kraiński mieszkał w oberży. Często do niego chodziłem po obiedzie na czarną kawę. Siadaliśmy w ogródku na gawędę. W tym ogródku siadywał młody człowiek i bardzo pilnie nam się przypatrywał. Widać było, że pragnął się z nami poznać, a nie śmiał. Nakoniec zrobiliśmy znajomość. Był to właściciel młyna w Schandau. Po kilku dniach przekonał się, że nie myślimy ani podpalić miasta, ani ludzi zabijać; opowiadał nam, jakie o nas krążą wieści między mieszczanami i o wrażeniu, jakie zrobiły nasze białe szyby i że zażądano przysłania kilku żandarmów więcej, którzy już przybyli.

Gdy przybyłem do Lwowa, już przewidzieć można było, że i tu musi przyjść do krwawego starcia. Z jednej strony starano się zamienić gwardyę narodową w wojsko regularne. Formowano coraz to nowe kompanie, do których brano ludzi, niemających prawa do gwardyi należeć. Zbierano składki, aby im żołd opłacać. Było między nimi dużo młodych ludzi przybyłych z innych części Polski, którym dano wiedzieć, że się formuje wojsko polskie i którzy radzi byli uciec przed rekrutacyą rosyjską i mieć jakie takie utrzymanie. Szczególnie, gdy nadeszły wakacye i akademicy i technicy do domu się rozjechali, zastąpiono ich zaciężnym ludem.

Gdy rząd odmówił dostarczenia dostatecznej ilości broni, starano się sprowadzić ją potajemnie. Dowódcą gwardyi narodowej był jenerał [Roman] Wybranowski, były pułkownik wojska polskiego, bardzo zacny człowiek, ale za słaby, aby się prądowi oprzeć. Widział dobrze, że to nas doprowadzi tylko do nieszczęść, ale nie umiał stanąć oporem działaniom centralizacyi paryskiej — a zresztą byłby mało znalazł do pomocy w tem ludzi.

Mamy nieszczęsną słabość, że wolimy ojczyznę zgubić, niż narazić się na to, aby nas nazwano niepatryotami i zdrajcami ojczyzny, a tymi wyrazami doskonale umie wojować stronnictwo rewolucyjne. Wie ono, że na kogo rzuci tymi wyrazami, tego wszyscy opuszczą, nawet ci, którzy jego zdanie dzielą. Z drugiej strony starano się rozburzyć umysły żołnierzy nienawiścią do gwardyi narodowej i tak zwanych Polaków. Razu jednego puszczono w koszarach pogłoskę, że Polacy zatruli wodę we wszystkich studniach, z których brano wodę do koszar. Postawiono przy studniach warty, zabraniające z nich brać wodę, a żołnierzom kazano z daleka sobie wodę przynosić. Łatwo pojąć, jak to żołnierzy rozjątrzyło.

Zdaje się, że dzień Wszystkich Świętych był oznaczony na rozpoczęcie ruchu we Lwowie, bo na ten

dzień przybyli do Lwowa wszyscy członkowie towarzystwa tak zwanego demokratycznego i wszyscy zapaleńcy, tak Galicyanie, jak i z emigracyi. Z drugiej strony wojskowość ściągnęła do Lwowa parę batalionów piechoty. Policya dokładnie wiedziała o wszystkich ruchach partyi rewolucyjnej. Rząd pragnął, aby przyszło do starcia. Dobrze wiedział o swojej i przeciwników sile. Uważał starcie jako jedyny środek powrócenia do władzy, którą był z rąk wypuścił.

Wojskowość szczególnie pragnęła starcia, aby okazać swoją przewagę. Głównodowodzącym był jenerał [Wilhelm] Hammerstein, człowiek stary i głuchy. Za Napoleona dowodził on już znacznym oddziałem wojska saskiego i pierwszy z swym oddziałem opuścił Napoleona i przeszedł do aliantów. Zdaje się, że o wszystkiem, co się gotowało, nie wiedział. Poza nim wszystko prowadził jego szef sztabu Ruckstuhl. Ten miał nadzieję, że bombardowaniem miasta odznaczy się i zrobi sobie zasługę.

Gdy wieczorem padły pierwsze strzały armatnie, Hammerstein siedział spokojnie przy swojej partyi wista. Gdy mu powiedziano, że strzelają, będąc głuchym, z początku temu zaprzeczał. Gdy go jednak zapewniano, że tak jest, posłał swego adjutanta, aby się dowiedzieć, co się stało i dlaczego z armat strzelają. Rzeczywistym dowódcą był szef sztabu Ruckstuhl.

Nie brakło i na prowokacyach z naszej strony. Opowiadał mi Wisłobocki, komendant jednej kompanii gwardyi narodowej, że zebrawszy swoją kompanię, stanął przed koszarami artyleryi i w przytomności zebranych artylerzystów kazał nabijać karabiny ostrymi ładunkami.

Byłem tego wieczora na herbacie u ówczesnego gubernatora, Wacława Zaleskiego, z którym z powodu jego zacności byłem w przyjaźni. Niczego on się nie domyśliwał, gdy raptem usłyszeliśmy strzały armatnie. Pobiegłem zaraz na ratusz, gdzie w razie alarmu ze-

brać się miała nasza kompania. Spotkałem zebrane tłumy ludu, już robiono barykady. Były to tylko kupy mebli i tarcic, za któremi stać było niebezpieczniej jak przed niemi, bo za pierwszym strzałem armatnim musiały się rozbić i drzazgi byłyby więcej ludzi kaleczyły jak sama kula. Gdy wchodziłem do ratusza, padło kilka strzałów kartaczowych. Nie mogły one ludziom szkodzić. Słychać tylko było, jak kartacze na dachach gonty łamały.

Przybywszy na ratusz, zastałem tam jenerała Wybranowskiego i kilku oficerów gwardyi narodowej w rozpaczy. Dawne kompanie gwardyi słuchały dowódców i starały się patrolując namawiać lud do rozejścia się. Nowe kompanie, złożone po większej części ze zbieranej za pieniądze drużyny i z emigrantów, biegały po ulicach, zachęcając lud do walki. Widziałem między nimi i Heltmana, którego zawsze miałem za agenta policyi moskiewskiej. Aby wstrzymać strzelanie z armat, chciano na wieży ratuszowej wywiesić białą chorągiew, ale Heltman z kilku swoimi obsadził schody od wieży i nikogo na nie nie dopuścił.

Wybranowski widząc, że ludu wstrzymać nie może, chciał przynajmniej skonstatować, że gwardya narodowa do tego nie należy. Posłał mnie więc do Hammersteina, abym otrzymał od niego pozwolenie, żeby choć w jednem miejscu przepuszczano chcących wrócić do domu; byliśmy zupełnie wojskiem otoczeni, a ktokolwiek do wojska się zbliżył, strzelano do niego. Z niemałą trudnością kilkakrotnie przechodziłem z ratusza do jeneralnej komendy i napowrót. Szedłem pod eskortą jednego, a czasem dwóch oficerów. Koło mnie żołnierze Polacy krzyczeli: „A zakłuj szelmę!“ — Krzyki te były tem niemilsze, że żołnierzom rozdawano wódkę; prawie wszyscy byli pijani, a tak nabito ich było, że nawet z oficerami trudno było się przecisnąć.

Panowała wtenczas cholera. Gdy byłem w jeneralnej komendzie, napadły mnie boleści zupełnie do

napadu cholery podobne. Było to nad rankiem. Udałem się do gubernatora Zaleskiego. Tam żona jego kazała mi łóżko posłać, dała ciepłej herbaty się napić. Gdy mi się lepiej zrobiło, postanowiłem dostać się do domu, na Syxtuskę. Ułatwił mi przejście pułkownik Barko. Dał mi huzara, który mi aż do domu towarzyszył. W nocy rzadkie tylko padały strzały armatnie. Rano [2. listopada] dopiero zaczęła się formalna kanonada. Puszczano granaty, które wiele budynków podpaliły. Po ulicach strzelano do chcących wyjść z kamienicy, kobiet nawet nie oszczędzano, tak, że prawie tyle kobiet zabito, ile mężczyzn. Wiele ofiar padło między przyjeżdżającymi na targ z prowiantami. Zabito xiędza [Józefa Hausmana], który szedł do kościoła, aby mszę św. odprawić. Między oficerami i urzędnikami znaleźli się dość podli, aby żołnierzom ofiarować cygara, jeśli trafią przechodzącego przez ulicę.

Że nasi zapaleńcy chcieli wywołać awanturę, to się zaprzeczyć nie da, ale byli bezsilni i musiały ich usiłowania na niczem spełznąć. Gdyby wojsko było zajęło główne stanowiska, a nie zaczepiając było na wszelkie zaczepki ostro odpowiedziało, byliby przez parę godzin po ulicach krzyczeli, ale przekonawszy się po pierwszej zaczepce, że to nie żarty, byliby się rozeszli.

Między władzami widać było dwa uczucia. U jednych chęć popisywania się, wystawiając położenie jako groźne i powstanie uśmierzone jedynie ich energią. U innych niesłychane tchórzostwo. Wystawiali sobie położenie jako rzeczywiście groźne i mścili się za to, że się nastraszyli. Nie tylko byli znacznie powiększyli siły wojskowe, ale jeszcze nakazali, aby w okolicznych wsiach wszyscy chłopi stali zebrani pod komendą urlopowanych żołnierzy i uzbrojeni byli w koły, cepy lub pałki. Tak wielkie przygotowania wytłómaczyć można albo tchórzostwem, albo chęcią popisywania się przed władzami w Wiedniu,

że niebezpieczeństwo było wielkie i że się go odwróciło Co jest dziwnem, że w kilka godzin po skończeniu bombardowania jenerał Hammerstein posłał do jenerała Wybranowskiego, aby gwardya narodowa znowu zajęła swe posterunki. Jenerał Wybranowski odmówił, odpowiadając, że nie chce gwardyi wystawić na to, aby wojsko na nią strzelało bez przyczyny, jak to się dopiero stało. W tych wypadkach okazało się, że za rządem oficyalnym stał drugi rząd tajemny, który wszystko prowadził poza plecami pierwszego. Że Zaleski gubernator o niczem nie wiedział, to mogę zaręczyć. Również prawdopodobnem jest, że i wojskowość działała bez wiedzy głównokomenderującego Hammersteina.

1849—1863

Po bombardowaniu Lwowa wszystko wróciło do dawnego stanu. I ja wróciłem do moich dawnych zajęć, w Towarzystwie kredytowem i gospodarskiem. Przybyły mi czynności jako członkowi Rady miasta Lwowa. W Towarzystwie kredytowem było zawsze dość bieżącej roboty, ale machina dobrze nastrojona nie wymagała żadnych zmian, a nawet chcąc poprawić, łatwo było przeciwnie zepsuć. Trzymałem się już ustanowionego porządku. Pilnowałem szczególnie niedopuszczania zaległości w należnych ratach Z powodu surowej egzekucyi nieraz wystawiony byłem na przykre wyrzuty, jednak od przepisów nie odstępowałem. Widziałem w ścisłem egzekwowaniu rat dłużnych nie tylko bezpieczeństwo zakładu, ale i jego dłużników. Jeśli z trudnością przychodziło im czasem zapłacić z dochodów bieżącą ratę, to niezawodnie są w niemożności zapłacenia kilku. Musi wtenczas nastąpić sprzedaż dóbr ich przez licytacyę i wyzucie z majątku. Otrzymywałem nieraz bardzo przykre listy od tych, od których zaległe raty egzekwowano, ale na to względu nie miałem i w rzadkich tylko wypadkach odwoływałem nakazaną egzekucyę.

Niemało dawało mi do czynienia Towarzystwo gospodarskie i szkoła rolnicza dublańska. Jak zwykle u nas, mało skąd miewałem pomoc, ale za to nagan nie szczędzono, nie tylko ustnie, ale i w dziennikach. Nie było ludzi wykształconych na profesorów w tym zawodzie, tem mniej na dyrektora. Na takiego szukałem szczególnie między wykształconymi dzierżawcami,

którzy mieli reputacyę, że sobie dobrze gospodarowali i to na pieniądze. Unikałem dyrektora czysto teoretyka, nie chcąc kształcić gospodarzy czysto teoretycznych, umiejących na gospodarstwie majątki tracić. Między praktycznymi gospodarzami niepodobna było wynaleźć takiego, któryby był choć trochę naukowo wykształconym. Częste próby się nie udawały, a każdy wybór nieudany podnosiły dzienniki z ostremi przymówkami dla dyrektora i komitetu Towarzystwa gospodarskiego. To odstręczało wszystkich, a nie przysparzało ludzi zdolnych. I rodzice, czytając ciągłe nagany o Dublanach, tylko wtenczas synów tam oddawali, gdy nie mieli dla nich nadziei promocyi w innych szkołach. Dopiero wtenczas szkoła dublańska się podniosła, gdy komitet Towarzystwa gospodarskiego kilku z celujących uczniów wysłał na dalsze nauki do zagranicznych szkół gospodarskich i z nich wyrobił dobrych nauczycieli.

Mnożyły się coraz bardziej w Europie koleje żelazne i powszechnie uznawano wpływ ich na dobrobyt krajów, które przebiegają. U nas także czuć się dawała potrzeba łatwej, a taniej komunikacyi dla przewozu naszych płodów. Wiedziano, że jeśli się sami do dzieła weźmiemy, będziemy ostatni, którzy kolej otrzymamy. Trzeba było kogoś, któryby w tej sprawie wziął inicyatywę i poświęcił jej czas swój i pracę. Zewsząd poczęto na mnie nalegać, abym się tą sprawą zajął. Długo się broniłem, bo wiedziałem, jaka to będzie praca, która mnie zmusi głównie w Wiedniu przebywać. Wymagało to także zaryzykowania znacznej części majątku. Można było na tem zarobić, ale też można było wszystko stracić. Nalegania były tak silne, że nakoniec uległem i zdecydowałem się podjąć się tej roboty.

Wszędzie koleje państwowe są tylko środkiem dla ministrów do jednania sobie przyjaciół i głosów w parlamencie. Zwykle więcej kosztują w budowie i utrzymaniu, jak koleje prywatne i gorzej bywają

administrowane. Kolej prywatna jest pod nadzorem rządu, który może ją karać za każde przewinienie. Przy kolejach rządowych rząd pierwszy jest interesowany, aby swoje błędy w administracyi utaić, aby się na naganę publiczną nie narazić.

Starając się o koncesyę na koleje galicyjskie, bo wtenczas szło o uformowanie jednego towarzystwa na koleje od Krakowa do Lwowa, a stamtąd do Brodów i Czerniowiec, miałem głównie do czynienia z trzema ministrami, Bachem, Bruckiem i Toggenburgiem. Bach był prezesem Rady ministrów, a zarazem ministrem spraw wewnętrznych. Z adwokata wyszedł na ministra wskutek ruchu z r. 1848. Był on wtenczas naczelnikiem stronnictwa liberalnego, umiarkowanego. Przyszedłszy do władzy, zapomniał o swych zasadach liberalnych i konstytucyjnych. Rządził absolutnie, ale uczciwie i rozumnie. Był zupełnie centralistą niemieckim. Z tego powodu miał wielu nieprzyjaciół, mianowicie między Węgrami. Miewał recepcye co tydzień. Dziwne to było, że na tych recepcyach ledwie kilkanaście a często tylko kilka bywało osób. Węgrzy nigdy u niego nie bywali, również i dawne jego stronnictwo go odstąpiło. Stronnicy dawnego stanu rzeczy nie mogli się z tą myślą oswoić, że pierwszą osobą w państwie był dawny adwokat. Towarzystwo więc składało się z kilku urzędników i przemysłowców, mianowicie zagranicznych. Ja dość często na tych wieczorach bywałem, bo miałem tam sposobność popierania mej sprawy i często rozmowa przy herbacie i cygarze była dość ciekawą.

Prawą ręką Bacha i przyjacielem od serca był [Józef] Lasser. Tam miałem sposobność bliżej go poznać. Był on zawziętym nieprzyjacielem Gołuchowskiego, który był wtenczas namiestnikiem Galicyi. Przy każdej sposobności uskarżał się przede mną na niego, szczególnie na jego despotyczne postępowanie, które dawało powód do ciągłych zażaleń do minister-

stwa, również i na to, że nigdy nie wykonywa poleceń, jakie odbiera i owszem przeciwko nim działa.

Gdy raz Gołuchowski wezwany przez cesarza przyjechał do Wiednia i tam kilka dni bawił, Lasser przestał mówić o Gołuchowskim, a nawet później go chwalił. Gdy Gołuchowski [w r. 1859] otrzymał tekę spraw wewnętrznych, jedną z pierwszych jego czynności było otrzymać dla Lassera stopień szefa sekcyi, jako zastępcy swego w ministeryum spraw wewnętrznych. Później dowiedziałem się, że za dawniejszej bytności Gołuchowskiego w Wiedniu pomiarkował Lasser, że się Bach chwieje i że Gołuchowski mógłby po nim nastąpić, zbliżył się więc wtenczas do niego, a nawet wszedł z nim w prywatną korespondencyę. Później z Węgrami i Niemcami przyczynił się do wysadzenia Gołuchowskiego. Wspólnie z Jerzym Apponyi'm i kilku panami pisał dyplom październikowy. Później jako minister przy Schmerlingu redagował konstytucyę centralistyczną lutową. Jednej zasadzie był zawsze wiernym, to jest, aby w każdym razie zostać przy władzy.

Najwięcej miewałem do czynienia z ministrem finansów Bruckiem. Był to człowiek niepospolitych zdolności w swoim zawodzie. On to był założycielem w Tryeście towarzystwa żeglugi Lloydu, które dotąd znakomite zajmuje miejsce między towarzystwami tego rodzaju. On najwięcej się przyczynił do powiększenia w Austryi sieci kolei żelaznych. Był to człowiek bardzo z sprawami finansowemi i przemysłowemi obeznany. Całe życie w tym zawodzie pracował nie jako urzędnik, ale jako kupiec i bankier. Uważał rzeczy ze stanowiska praktycznego. O formy urzędowe mało się troszczył.

Nie zapomnę zgorszenia i zakłopotania Toggenburga, ministra handlu, gdy raz przyszedłem do niego z polecenia Brucka z wykazem podpisujących na akcye kolei Karola Ludwika, napisanym własną ręką Brucka, na świstku ołówkiem. Miał to być urzędowy dowód,

że kapitał na to przedsiębiorstwo zapewniony. Toggenburg, uczciwy Tyrolczyk ale dość ograniczony, bał się Brucka, nie śmiał tego świstka odmówić, a nie pojmował, jak można na nim opierać dalsze działanie urzędowe.

Nieraz zastawałem Brucka zamyślonego i mocno zakłopotanego. Opowiedział mi tego przyczynę. Nie było wtenczas ministra wojny. Sam cesarz zachował sobie jego czynności. Często władze wojskowe przychodziły do niego z projektami czy to ulepszeń w umundurowaniu lub uzbrojeniu, czy też z planami nowych budowli wojskowych. Projekta podobały się cesarzowi, polecał ich wykonanie i zawiadomił ministra finansów, że ma potrzebnych funduszów dostarczyć. Wydatki te były milionowe. Przez to niepodobna było zrobić porządnego budżetu. Między innymi podobnymi wydatkami wojskowość otrzymała cesarza zatwierdzenie na postawienie ogromnego budynku na zakład naukowy wojskowy (nie pamiętam, w którem mieście). Rozpoczęto budowę. Same fundamenta i przygotowane kamienie ciosowe kosztowały fl. 1,200.000. Po wydaniu tych pieniędzy odstąpiono od tego projektu, a wydany kapitał przepadł. Pod Przemyślem zachciało się wojskowości rozpocząć manewry w 15 dni przed żniwami. Zakupiono całą krescencyę na pniu po ogromnych cenach, skoszono ją i jako słomę za bezcen odsprzedano. Podobnych niepotrzebnych wydatków co chwila dopuszczała się wojskowość niekontrolowana.

Po przytłumieniu wszelkich ruchów politycznych ogólna czynność rzuciła się na pole przemysłowe. Codziennie wychodziły nowe projekty banków, kolei żelaznych, fabryk na akcye. Niektóre pomysły były zdrowe i użyteczne. Większa jednak ich część nie miała innego celu, jak spekulowanie na sprzedaż akcyi. Uważałem z mowy ministrów, że i mnie mają w posądzeniu, że żądam koncesyi na koleje galicyjskie jedynie w celu posiadania akcyi, którebym mógł z zy-

skiem sprzedać, puszczając wykonanie drogi na los szczęścia. Aby dowieść, że tak nie jest, musiałem złożyć część administracyi, mianowicie technicznej, nie mając jeszcze koncesyi. Dużo przez to ryzykowałem. Gdybym nie był koncesyi otrzymał, byłbym musiał tę administracyę z własnej kieszeni opłacić. Inaczej jednak zrobić nie można było.

Na naczelnego inżyniera przyjąłem Köba, człowieka miernych bardzo zdolności, ale uczciwego. Za jego wyborem zdecydowało mnie to, że miał za żonę siostrę Lassera. Tym sposobem pewny byłem tegoż poparcia. Od tego czasu poczęto ze mną na seryo mówić. Czasy bardzo sprzyjały wypuszczeniu w obieg akcyi. Korzystano z tego, aby zapewnić sobie wykonanie kilku innych kolei, a mnie ciągle wstrzymywano.

Gdy się tak sprawa przewlekała, we Lwowie głoszono, że ja na akcyach ogromne zyski robię, że nikogo z kraju dopuścić nie chcę. Tak się umysły rozburzyły, że na zebraniu obywateli wybrano deputacyę, która miała do Wiednia jechać, skarżyć się na mnie u Najjaśniejszego Pana i prosić go, aby mi koncesyi nie dał. Byłem o tem ze Lwowa ostrzeżony, a że do tej deputacyi należeli tylko sami znajomi, skoro przybyli, zaraz do nich poszedłem. Zastałem ich z początku bardzo gwałtownie nastrojonych. Gdy zapytałem o co im idzie, oświadczyli, iż chcą, aby mieszkańcy kraju mogli mieć udział w dostaniu akcyi. Na to im odpowiedziałem, że w rozdziale akcyi zachowałem dla kraju dwa miliony, które proszę, aby między siebie rozebrali. Bardzo ich to zastanowiło, spuścili bardzo ze swych pretensyi i wkońcu dla siebie i tych, którzy ich wysłali, zażądali niespełna akcyi za sto tysięcy złr., które im zapewniłem. Od tego czasu byliśmy z sobą jak najlepiej i od wszystkich skarg odstąpili. — Był to dla mnie nowy dowód, o ile na przyjaźń ludzką rachować można!

*

Minister Bruck przeprowadziwszy wszystkie inne koleje mniejszej wartości i moją sprawę zaczął promować. Właśnie wtenczas targ pieniężny był już przeładowany masą nowych papierów w obieg puszczonych. Gdy miałem koncesyę otrzymać, odebrałem list zbiorowy od bankierów, którzy się byli podpisali na akcye kolei galicyjskich, z oświadczeniem, że gdy się sprawa przewlokła i nastąpiły ciężkie dla giełdy czasy, nie czują się związanymi przyjętym obowiązkiem wzięcia akcyi i że od tego interesu odstępują.

Odpisałem im, że gdy Najjaśniejszy Pan dał mi koncesyę jedynie na podstawie ich zobowiązań, więc ja nie jestem w mocy ich od nich uwolnić. Mógłby to uczynić tylko sam Najjaśniejszy Pan. Zarazem zaprosiłem ich, aby się zechcieli u mnie zejść dla naradzenia się, jakby można ten interes korzystnie przeprowadzić. W największym byłem kłopocie. Miałem już lokal na biura najęty i kilkunastu inżynierów na gruncie pracujących. Gdybym nie był dzieła do skutku doprowadził, byłbym stracił wielką część mego majątku.

Pobiegłem zaraz do Brucka. Ułożyłem z nim następujące punkta: Wolno mi było budować kolej tylko do Lwowa, opuszczając linie Brody i Czerniowce. Dostawałem od rządu kolej od Krakowa do Dębicy za cenę kosztów, jakie rząd na jej budowę poniósł. Była to cena bardzo wygórowana, ale za to przez cztery lata nie płaciłem od obliczonego kapitału żadnego procentu, a po czterech latach miałem kapitał wypłacać w dziesięciu rocznych ratach, z 4-tym procentem. To mi pozwalało płacić akcyonaryuszom przez pierwsze cztery lata bardzo znaczne dywidendy, a przez to zapewniało możność umieszczenia akcyi. W tych czterech latach kolej zbudowana do Lwowa mogła już odpowiedni dochód dawać.

Gdy się bankierowie u mnie zeszli, zaproponowałem im te punkta, na które się zgodzili. O jeden tylko długośmy się targowali. Oni żądali zmniejszenia

pierwszej emisyi akcyi na 15 milionów. Ja chciałem ją podnieść do 20 milionów. Opierałem się na tem, że może nie wszyscy, którym akcye obiecałem, zgodzą się na zmniejszenie obiecanych im akcyi, mianowicie Galicyanie. Rothschild na to odpowiedział: „Jeśli panowie Galicyanie nie zechcą zmniejszyć swych subskrypcyi, to ja im dam z moich, ile zechcą". A zwracając się do sekretarza piszącego protokół, powiedział: „Zapisz pan do protokołu". Tymczasem dwu innych panów, obliczając ile z początku dać mogą akcye, powiedzieli nieco głośniej: „Powinny dać 12 procent". Na to Rothschild: „Co panowie mówicie, 12 procent? Ja moich akcyi nie dam, nie pisz pan do protokołu". Szczerze się z tego śmiałem.

Przy ułożeniu pierwszej rady administracyjnej miałem trudności z Bruckiem. On chciał dać przewagę Niemcom, ja chciałem mieć równą ilość Polaków i Niemców. Ja w dodatku jako prezes byłbym dał Polakom przewagę. Gdy do każdego Niemca, którego on dodawał, ja mu dodawałem Polaka, doszliśmy byli do ogromnej liczby. Wkońcu zgodził się na równą ilość i zmniejszyliśmy nasz spis. Ale innego środka użył. Przez wzgląd, że nam rząd daje 18 mil już zbudowanej kolei i to z początku bezpłatnie, zażądał dla swego bezpieczeństwa umieszczenia dwóch członków z jego nominacyi. Z tych jeden był niby Polakiem, bo się we Lwowie rodził i po polsku mówił, ale zresztą nic więcej polskiego w nim nie było. Musiałem się i na to zgodzić.

Z niemałą trudnością udało mi się przy kolei umieścić prawie wszystkich uczniów, kończących technikę lwowską i to z 2-ch lat. Inżynierowie Niemcy później uznawali, że są równie wykształceni jak technicy wiedeńscy. Wzięliśmy wielu i z techniki krakowskiej, ale ci byli o wiele słabsi.

Nakoniec po wielu trudach i mozołach otrzymałem na moje imię koncesyę na kolej z Krakowa do Lwowa [definitywnie d. 7. kwietnia 1858 r.]. Przy za-

wiązaniu towarzystwa akcyjnego, któremu miałem koncesyę odstąpić, podałem rachunek poniesionych przeze mnie kosztów. Z początku bankierowie w zasadzie przyjąć go nie chcieli, sądząc, że jak zwykle się działo, położyłem znaczną sumę jako mój zysk. Gdy jednak przejrzeli ten rachunek i widzieli, że żądam tylko zwrotu wydanych rzeczywiście pieniędzy na dzienniki i inne tego rodzaju wydatki, nic dla siebie nie likwidując, z wielkiem zdziwieniem przyjęli w całości mój rachunek, który zaledwie 30.000 złr. wynosił. Mają to za złe koncesyonaryuszom, że żądają pewnej sumy dla siebie za odstąpienie swej koncesyi. Gdy się jednak zważy, ile się ryzykuje starając się o koncesyę, ile się wydatków ponosi przy tem, ile czasu się traci, mojem zdaniem wynagrodzenie się należy. Idzie tylko o to, aby ono było słuszne i nieprzesadzone. Odmawiając tego, jak to w Austryi uczyniono, odstręczono uczciwych ludzi od starania się o koncesyę, bo nikt nie zechce wystawić się na ryzyko znacznych strat w razie nieudania się, bez nadziei pewnego zysku w razie, gdy się uda. O koncesye dziś starają się spekulanci tylko, którzy pozornie nie mają żadnego za swą pracę wynagrodzenia, ale tem większe biorą skrycie pod utajonemi formami.

Zostawszy prezesem nowo zawiązanego towarzystwa, musiałem czas mój dzielić między Lwowem a Wiedniem, przy każdej podróży zwiedzając po drodze budującą się kolej.

W czasie jednego z moich pobytów w Wiedniu poznałem kilku Anglików świeżo tam przybyłych z myślą założenia banku kapitałami angielskimi. Byli to: pan Somerset Beaumont, czynny bardzo członek Towarzystwa przyjaciół Polaków w Londynie, przez to wielki zwolennik lorda Dudley Stuart, członek parlamentu. Drugim był pan Drake, jeden z pierwszych adwokatów w Londynie. Z nimi była pani Blaze de Bury, z rodu Angielka, jak mówiono córka lorda

Brougham, byłego kanclerza i ministra sprawiedliwości za ministeryum Whigów, żona pana Blaze de Bury, współredaktora *de la Revue des Deux Mondes,* kobieta niepospolitych zdolności i nadzwyczaj czynna i przedsiębiorcza. Była ona przyjaciółką Glynn'a, naczelnika domu Glynn Mills et Co., równającego się z Rothschildami co do majątku i znaczenia w Londynie.

Ci poczęli mnie bardzo namawiać, abym przystał do ich spółki i przyjął prezesostwo założyć się mającego banku. Długo się opierałem, wkońcu uległem ich namowom pod warunkiem, aby ten bank założył filię we Lwowie. Kto zwrócił uwagę Anglików na mnie i skłonił ich do oddania tak wielkiego kapitału w moje ręce, tego nigdy nie doszedłem. Taki był początek banku anglo-austryackiego, któremu przez kilka lat przewodniczyłem. Muszę się pochwalić, że pod mojem przewodnictwem bank ten pomyślnie się rozwijał, akcye jego stały przeszło o 50% nad *pari* i nigdyśmy żadnej ważnej straty nie ponieśli. Miałem jako prezesa Kleina, bardzo zacnego człowieka, który dłuższy czas prowadził w Petersburgu dom Stieglitza, a przez to miał wiele doświadczenia w sprawach finansowych.

Rzecz dziwna, że Londyn, który robi interesa handlowe z całym światem, z jedną tylko Austryą nie miał żadnych stosunków. Na giełdzie londyńskiej bywają kupowane i sprzedawane papiery najmniejszych państewek Ameryki południowej, jedne tylko papiery austryackie nie miały do niej przystępu. Dopiero bank anglo-austryacki otworzył przedsiębiorstwom austryackim plac londyński.

Miałem w radzie administracyjnej kilku Wiedeńczyków. Między nimi byli i członkowie Reichsratu, a wszyscy ultra-liberały i centraliści. Patrzyli oni na mnie krzywem okiem. Mianowicie jednej sprawy darować mi nie mogli. Było to za ministeryum Belcrediego [1865—67]. Ministrem finansów był wtenczas

hr. Larisch. Był on upoważniony przez Izby do zaciągnięcia znacznej pożyczki. Traktował on o nią z Kredytem ruchomym i Rothschildem, ale ci mu stawiali nadzwyczaj ciężkie warunki, a jemu pilno było o pieniądze.

Wyprawiłem do Londynu Kleina. Tam Glynn i kilka innych domów wspólnie z nami zaawansowali mu znaczną sumę, bo kilkadziesiąt milionów i tem ułatwili mu korzystniejszą sprzedaż nowej pożyczki. W czasie pobytu Kleina w Paryżu i Londynie odbierałem codziennie od niego listy i telegramy cyfrowane. Widzieli to moi panowie i pytali się o co idzie. Ja mówiłem, że to prywatny interes. Musiałem się kryć przed nimi, bo wiedziałem, że przez nienawiść do ministeryum autonomicznego byliby się starali rzecz rozbić. Gdy sprawa była ułożona i Klein wrócił, przedstawiliśmy rzecz na radzie. Wszyscy Wiedeńczycy wotowali przeciwko tej ugodzie, ale ja z Kleinem, mając pełnomocnictwa członków londyńskich, stanowiliśmy większość i mimo opozycyi przeprowadziliśmy ten interes.

Wyznaję, że miałem potem ogromny strach z powodu odpowiedzialności, którą na siebie wziąłem i szczęśliwy byłem, gdy się interes pomyślnie rozwinął. Od tego czasu ci panowie starali się wszelkimi sposobami mnie się pozbyć. Wkońcu wystąpiłem. Prezesostwo po mnie objął hr. Kinsky. Zaraz postarali się o zmianę statutów i wyrzucili Anglików z rady administracyjnej. Poczęto robić coraz niebezpieczniejsze interesa. Stracono znaczną część kapitału. Dziś akcye stoją więcej jak o 50% niżej *pari*.

W domu przebyłem wtenczas najboleśniejsze chwile mego życia. Córka nasza, Terenia, zagrożona była chorobą nieuleczalną, chorobą Brighta. Choroba ta wolno postępowała, ale w czasie pobytu naszego w Wiedniu coraz groźniejszą się stawała. Moja żona zapadła na gwałtowny tyfus. Miałem więc z jednej strony córkę zwolna gasnącą, z drugiej strony żonę,

której koniec zdawał się blizkim i nieuniknionym. Dziś jeszcze po tylu latach, gdy te chwile pamięcią przechodzę, dziwię się, że je przeżyć mogłem.

Bóg dobry żonę mi zachował. Gdy już była zdrowsza, pragnęła córkę odwiedzić. Ja ją wstrzymywałem pod pozorem, że po chorobie jeszcze źle wygląda i że jej widok mógłby na córce przykre zrobić wrażenie, a rzeczywiście lękałem się wrażenia, jakiego sama dozna, gdy córkę tak zmienioną zobaczy, sama będąc jeszcze bardzo osłabioną. Wkońcu już jej dłużej wstrzymać nie mogłem. Biedna ubrała się starannie, aby na niej nie znać było zmiany po chorobie. Wziąłem ją i poprowadziłem do pokoju córki, u której choroba ogromne zrobiła postępy. Myślałem, że mi serce pęknie i dziś jeszcze widzę przed sobą tę chwilę. Niedługo też potem po okropnych męczarniach nastąpiła śmierć Tereni.

W organizacyi państwa w Austryi gotowały się zmiany. Pod wpływem Węgrów układał się projekt dyplomu październikowego [1860]. Wiedziałem, że w napisaniu jego znaczny miał wpływ hr. Jerzy Apponyi, były kanclerz węgierski za czasów xięcia Metternicha. Bywałem często u niego, aby mu przypominać i nasze interesa. Mówił mi raz: „W mem przekonaniu dla Węgier korzystniej mniej otrzymać, byle i inne narodowości to samo co i my otrzymały, gdyż to nam daje gwarancyę utrzymania się przy zyskanych wolnościach — niż dużo dla siebie otrzymać bez względu na was i inne narodowości“. Twierdzenie to zdaje mi się było zupełnie słuszne i w interesie Węgrów. W tym też duchu napisany był dyplom październikowy.

W konstytucyi lutowej [1861] odstąpiono od niego. Dano Węgrom dużo przywilejów, aby w reszcie państwa utrzymać przewagę elementu niemieckiego.

Na tem najgorzej wyjdą Węgry. Albo kiedyś przyjdzie do wojny domowej, jak w roku 1849, a wtenczas upadnie przewaga ich nad resztą monar-

chii, — albo przyjdzie do podziału Austryi, a wtenczas Węgry będą małym kraikiem wśród potężnych mocarstw, które mu będą prawa dyktować. Stan dzisiejszy w żaden sposób nie da się utrzymać. Musi doprowadzić albo do wojny domowej, albo do upadku i rozbioru Austryi.

Największy cios zadał Austryi mojem zdaniem Schmerling konstytucyą lutową i uporem w jej przeprowadzeniu. Gdy podług tej konstytucyi rozpisane były wybory do Rady państwa, przybyli do Wiednia niektórzy obywatele z Siedmiogrodu i Kroacyi. Między tymi ostatnimi był Mazuranicz, później ban. Nie byli od tego, aby przysłać delegatów do Rady państwa, chcieli jednak wprzód wiedzieć, jakie będzie ich stanowisko do reszty monarchii.

Zapewniając im pewną autonomię, można było ich przyciągnąć, a tem zmniejszyć siłę i znaczenie Węgrów, którzyby wtenczas musieli poprzestać na autonomii, nie żądając zupełnej odrębności. Tych obywateli Schmerling namawiał, aby przysłali delegatów do Rady państwa. Gdy jednak chcieli wprzód wiedzieć o swem stanowisku względem tej Rady, odpowiedział im, że to sama Rada wyrzecze. Widząc, że chcą ich zupełnie oddać na łaskę Rady państwa, odmówili przystąpienia do niej i woleli połączyć się z Węgrami. Zarzucano Beustowi, że to on zaprowadził dualizm. Ale gdy przyszedł do władzy, już nie było innego środka dla uniknięcia wojny domowej. Nieszczęsne Schmerlinga: „*Wir können warten*“ było prawdziwym twórcą dualizmu.

Drugim sekretarzem w administracyi kolei krakowsko-lwowskiej był Wiktor Ofenheim, człowiek zdolny i czynny.

Ten podał mi myśl, aby zapomocą banku anglo-austryackiego zawiązać angielskie towarzystwo do zbudowania kolei ze Lwowa do Czerniowiec. Myśl ta uśmiechała mi się, bo tym sposobem miałaby Ga-

licya kolej przez całą długość tego wązkiego a długiego kraju.

W Wiedniu o zebraniu funduszów myśleć nie można było. Akcyonaryusze kolei Karola Ludwika o powiększeniu jej kapitału zakładowego nie chcieli słyszeć. Owszem najchętniej ta kolej zrzekła się prawa pierwszeństwa, jakie miała do budowy tej linii. Zawiązanie w Wiedniu nowego towarzystwa było niemożliwe. Sądziłem także, że gdy Anglicy kolej budować będą, mogą się z nimi i inne stosunki handlowe nawiązać.

Ofenheim zdecydował się jechać do Londynu. Po niejakim czasie napisał mi, że ma nadzieję pomyślnego skutku swej podróży i prosił mnie, abym do Londynu przyjechał. Wybrałem się więc [czerwiec 1862 r.] w podróż. Moja żona i mój syn lękali się puścić mnie samego w drogę i namówili Włodzimierza Borkowskiego, aby mi towarzyszył.

Przybywszy do Londynu, zastaliśmy rzeczy nie tak daleko posunięte, jak mi był Ofenheim w swych listach przedstawiał. Zawiązane były jednak rokowania z panem Glynn, reprezentantem znanego domu Glynn Mills et Comp., z panem Rate, prezesem Banku otomańskiego — panem [Tomaszem] Brassey, przedsiębiorcą budowy kolei żelaznych, znanym z olbrzymich przedsiębiorstw tego rodzaju i z panem Mackleen, inżynierem parlamentu angielskiego i prezesem tamtejszego towarzystwa inżynierów. Były to bardzo poważne firmy.

Ci panowie rozpatrywali interes, ale bardzo się wahali do niego przystąpić. Częste miewaliśmy z sobą konferencye. Bardzo mnie interesowały i było nauczającem widzieć, jak w Anglii traktują się wielkiej wagi interesa. Na tych konferencyach bywał zawsze adwokat pan Drake. W Anglii nikt nie chodzi samopas. Do każdego zajęcia zawiązuje się spółka. Nawet adwokatów niema pojedynczych. Wiążą się zaraz w spółkę, a w niej każdy zajęty jest jedną specyalnością.

W swojej spółce pan Drake dwie miał specyalności: zawiązywanie spółek i towarzystw akcyjnych, pisanie dla pierwszych kontraktów spółki, dla drugich podania o koncesye i statuta. Drugą jego specyalnością było przeprowadzenie wyborów do parlamentu, co mu dawało wielką znajomość kraju i jego mieszkańców. Pragnący być wybranymi udawali się do niego. On rozpoznawał czy rzecz możliwa, godził się za pewną sumę, którą mu wypłacano, gdy się rzecz powiodła; za to on opędzał wszystkie koszta wyboru, które w Anglii są dość znaczne. Rozumie się, że będąc sam Whigiem, mógł tylko Whigów wybory przeprowadzać. Na naszych konferencyach notował on ołówkiem na świstkach papieru zapadłe decyzye i przyjęte przez członków obowiązki. Jeśli przy dalszych konferencyach który z członków chciał się zrzucić z przyjętych obowiązków, Drake odczytał swoją notatkę i każdy z Anglików uważał ją za tak obowiązującą, jak formalny kontrakt.

Anglików byłaby mało obeszła kolej od Lwowa do Czerniowiec i Jass, gdyby nie byli w niej widzieli początku linii idącej aż do Indyi. Ministrem handlu był wtenczas pan Milner Gibson, a jego zastępcą Sir Emersen Tenent. Tego ostatniego poznałem u Mackleena i mówiłem mu o możności przedłużenia kiedyś naszej linii przez Azyę mniejszą aż do Bombaju. Począł się śmiać, jednak prosił, abym był u niego dla wyjaśnienia mej myśli. U niego w biurze był ogromny globus. Na nim wyciągnęliśmy nitkę, trzymając jeden koniec w Londynie, drugi w Bombaju. Nitka oznaczała najkrótszą drogę między tymi dwoma punktami. Ta, uwzględniając trudności gruntowe, przechodziła przez Drezno, Kraków, Lwów, Czerniowce, Ruszczuk, Warnę, jeden z portów Azyi mniejszej i idąc doliną Eufratu spuszczała się istniejącą już koleją nad Eufratem do Bombaju. Gdyby ta kolej wykonaną była, możnaby nią z Londynu w 6 do 8 dni stanąć w Bombaju. Sir Emersen Tenent był moją ar-

gumentacyą przekonany. Musiał on o tem mówić z ministrem handlu, panem Milner Gibson.

W kilka dni potem mówił mi pan Brassey, że spotkawszy się z nim w parlamencie, którego był członkiem, minister w interesie Anglii gorąco go namawiał, aby się podjął budowy kolei lwowsko-czerniowieckiej.

Później, gdy się budowa tej kolei rozpoczęła, nasz inżynier naczelny pan Mackleen, objechawszy roboty, dotarł do Konstantynopola na Ruszczuk i Warnę. Zmienił naszą myśl pierwiastkową o tyle, że chciał z Warny prowadzić kolej do Stambułu, tam postawić most przez Bosfor i dalej koleją iść do Eufratu. Studyował on położenie nad Bosforem i utrzymywał, że dałby się most postawić tak wysoko, że nie przeszkadzałby nawigacyi. Wyrobił on nawet pierwszy projekt konstrukcyi tego mostu. Mówił to w obecności xięcia Ghiki, znającego dobrze miejscowość i ten potwierdzał wszystkie dane, które Mackleen podawał. Wyznaję, że myśl otworzenia przez nasz kraj głównej linii komunikacyjnej między zachodnią Europą a Azyą niezmiernie mi się uśmiechała i byłbym był szczęśliwy, gdybym się był choć trochę do wielkiego dzieła przyczynił.

Tymczasem położenie w Europie, mianowicie we Włoszech, poczęło się mącić. Przy grożącej wojnie o podjęciu tak znacznego interesu już myśleć nie można było. Położywszy więc zasady, na których miał się interes zawiązać, odłożyliśmy rzecz całą do spokojniejszych czasów i opuściliśmy Londyn.

W kilka tygodni po moim powrocie do kraju odebrałem z Wiednia list od Ofenheima. Donosił, że listy, jakie z Londynu odebrał, dają mu nadzieję możności doprowadzenia rzeczy do skutku. Jedzie więc do Londynu i namawia mnie, abym także pojechał. Znając gorączkowe usposobienie Ofenheima, niebardzo jego nadziejom wierzyłem. Miałem i inne zajęcia, które mnie zatrzymały. Aby jednak Ofenheima sa-

mego nie zostawić i dać mu często potrzebny hamulec, namówiłem Borkowskiego, aby pojechał, na co on przystał.

Po tygodniowym pobycie w Londynie pisze mi Borkowski, że Ofenheima nadzieje są tylko urojone, że widział wszystkie osoby interesowane; te oświadczyły, że na teraz interesu rozpocząć nie myślą, a zatem on nie ma w Londynie co robić i wyjeżdża. W kilka dni potem odbieram list od Ofenheima, donoszący, że się wkońcu Anglicy zgodzili na rozpoczęcie dzieła i podpisali wszystkie umowy podług dawniej ugodzonych punktów. Muszę przyznać Ofenheimowi w tej sprawie ogromną wytrwałość i niepospolitą zręczność. Że tak gorliwie pracował i nie szczędził wydatków na podróże nie w celu obdarowania Galicyi koleją, ale aby przy tem coś zarobić, rzecz to naturalna, ale i zarobek jego przy zawiązaniu towarzystwa nie był ogromnym, jak to wystawiano. Dziś nie przypominam sobie, jaką sumę mu przyznano.

Korzystali ludzie niechętnie z formy, w jakiej interes ten był przeprowadzony, — formy używanej w Anglii, ale niezwykłej w Wiedniu. W Wiedniu założyciele i pierwsi subskrybenci na akcye i obligacye biorą je w kursie, jaki wskazują ówczesne stosunki giełdowe; kurs ten bywa czasem dużo niższy *al pari*. Minister Banhans, który był promotorem procesu przeciw Ofenheimowi, wziął akcye kolei, której był założycielem, po 55%. Anglicy na ten sposób postępowania się nie zgodzili. Utrzymywali, że brać akcye niżej *pari* było uznaniem towarzystwa bankrutem przed jego zawiązaniem. Żądali, aby akcye policzone były pierwszym biorącym *al pari*, ale żeby na koszta założenia policzyć dość znaczną sumę, któraby pierwszym biorącym akcye pokryła przewidziane na kursie akcyi straty. Dla towarzystwa wychodziło to na jedno.

Suma na koszta założenia wynosiła około 8% od wydanego kapitału, czyli inaczej powiedziawszy, wzięliśmy akcye i obligacye po 92%. Po rozebraniu akcyi przez pierwszych subskrybentów zostało się niewziętych przeszło 10.500, które ja wziąć musiałem, aby przedsięwzięcie do skutku dojść mogło. Przedstawiały one kapitał fl. 2,100.000 w srebrze. Przyjmowałem tem odpowiedzialność przechodzącą moje siły finansowe.

Dbałem o doprowadzenie do skutku tej linii kolejowej. Gdybym nie był się odważył, nie byłaby ona wykonaną. Mogę się mieć za szczęśliwego, że na tych akcyach straciłem tylko fl. 130.000. Rozgłoszono, mianowicie w kraju, że ja na tej kolei ogromny majątek zrobiłem. Tym to gadaninom winienem nieprzyjemności i podejrzenia, jakie na mnie rzucano w czasie procesu Ofenheima, które trudno było zbić, bo nikt nie byłby miał cierpliwości z ksiąg moich o prawdzie się przekonać.

Tymczasem nastała konstytucya lutowa, wprost przeciwna zasadom wyrzeczonym w dyplomie październikowym. Mam to mocne przekonanie, że w niej tkwi zaród upadku monarchii austryackiej. Gdy się z nią Węgrzy zgodzić nie chcieli, musiano im ustąpić. Stąd wyszedł dualizm, forma rządu niemożebna.

Zostałem mianowany marszałkiem krajowym [1861]. Prezydowanie w tak licznem jak Sejm zgromadzeniu było dla mnie nowem i niełatwem zadaniem, tem bardziej, że składał się z różnorodnych elementów, które szczególnie w początkach ostro przeciw sobie stanęły. Prócz elementu polskiego, element ruski zaraz nieprzyjaźnie stanął do Polaków. Czuł się tem silniejszym, że wszyscy włościanie, tak Rusini jak Mazurzy, z nim głosowali.

Z początku ilość włościan była znaczna. Wybór obywatela przez włościan był wypadkiem rzadkim. Uważali oni Sejm jako pole do wytaczania swych skarg i pożądliwości na lasy i pastwiska, a w tem

xięża ruscy podbijali im bębenka. Dziś znaczna już zaszła różnica. Coraz więcej widzimy obywateli i inteligencyi wybranych posłami przez włościan. Zaczynają czuć, że prosty chłop w Sejmie nie może być użytecznym; przez to i znaczenie xięży ruskich znacznie upadło. Włościanin nie ma dziś z większym właścicielem innych stosunków jak tylko sąsiada z sąsiadem. Przeciwnie z xiędzem miewa częste stosunki pieniężne i nieraz przez xięży ruskich bywa bez litości obdzieranym.

Kwestye narodowościowe u włościan nie mają żadnego znaczenia. Nie pojmują wyrazów „Polak“ i „Rusin“, jak tylko oznaczające różnicę obrządku, że Polak chodzi do kościoła a Rusin do cerkwi. Nie pojmują też niechęci jednego obrządku ku drugiemu. Na większe święta równie chętnie chodzi Polak do cerkwi, jak Rusin do kościoła.

Xięża ruscy chcieli korzystać z tego, że w Sejmie mówiono zarówno po polsku i po rusku, co było zupełnie słusznem i z prawem zgodnem — aby powoli język ruski zastąpić wielkorosyjskim. Szczególnie pilnowałem, aby w sprawozdaniach stenograficznych przerobić ich mowy z rosyjskiego na język ruski. Dało to powód do wielu skarg i reklamacyi. Miałem za sobą włościan Rusinów, którzy nieraz mówili mi, że „jak panowie mówią po polsku, to my rozumiemy, ale jak nasi xięża mówią, to my nic nie rozumiemy“.

Wpadłem jednak w inny błąd. Nie umiejąc sam po rusku i nie ufając naszym Rusinom, wziąłem do redakcyi ruskiej emigranta z Kijowa, który dużo pisywał poezyi ruskich. Ten wszystko redagował w czystym małoruskim języku. Okazało się, że nasi włościanie tak dobrze nie rozumieli prawdziwego małoruskiego języka jak i moskiewskiego. Ruski język ma tyle dyalektów, ile jest prowincyi. W samej nawet Galicyi inaczej mówi Przemyślanin, inaczej Podolanin, a jeszcze inaczej mieszkaniec Karpat. Trzebaby

JADWIGA Z HR. ZAMOYSKICH XIĘŻNA SAPIEŻYNA

xięża ruscy podbijali im bębenka. Dziś znaczna już zaszła różnica. Coraz więcej widzimy obywateli i inteligencyi wybranych posłami przez włościan. Zaczynają czuć, że prosty chłop w Sejmie nie może być użytecznym; przez to i znaczenie xięży ruskich znacznie upadło. Włościanin nie ma dziś z większym właścicielem innych stosunków jak tylko sąsiada z sąsiadem. Przeciwnie z xiędzem mieszą częste stosunki pieniężne i nieraz przez xięży ruskich bywa bez litości obdzieranym.

Kwestye narodowościowe a wreszcie [illegible] żadnego znaczenia. Nie pojmują wyrazów „Polak" i „Rusin", jak tylko oznaczające różnicę obrządku, że Polak chodzi do kościoła a Rusin do cerkwi. Nie pojmują też niechęci jednego obrządku ku drugiemu. Na większe święta równie chętnie chodzi Polak do cerkwi, jak Rusin do kościoła.

[illegible] mówiono zarówno po polsku i po rusku, co było zupełnie słusznem i z prawem zgodnem — aby powoli język ruski zastąpić wielkorosyjskim. Szczególnie pilnowałem, aby w sprawozdaniach stenograficznych przerobić ich mowy z rosyjskiego na język ruski. Dało to powód do wielu skarg i reklamacyi. Miałem za sobą włościan Rusinów, którzy nieraz mówili mi, że „jak panowie mówią po polsku, to my rozumiemy, ale jak nasi xięża mówią, to my nic nie rozumiemy".

Wpadłem jednak w inny błąd. Nie [illegible] po rusku i nie [illegible] Rusinom, wziąłem do redakcyi ruskiej emigranta z Kijowa, który dużo pisywał poezyi ruskich. Ten wszystko redagował w czystym małoruskim języku. Okazało się, że nasi włościanie tak dobrze nie rozumieli prawdziwego małoruskiego języka jak i moskiewskiego. Ruski język ma tyle dyalektów, ile jest prowincyi. W samej nowej Galicyi inaczej mówi Przemyślanin, inaczej Podolanin, a jeszcze inaczej mieszkaniec Karpat. Trzebaby

pracować nad tymi wszystkimi dyalektami, aby z nich wyrobić język rusko-galicyjski.

W największym kłopocie byłem przy mowach ruskich. Dosyć rozumiałem, aby ogólną treść pojąć, ale o doniosłości wrażeń sądzić nie mogłem, a przez to nie mogłem do porządku przywołać, gdy się nieprzyzwoicie wyrażali. Z tych walk Rusinów z Polakami dwa fakty mi w pamięci utkwiły, a to następujące. Był posłem włościanin z Bilcza, wielki zapaleniec, zawzięty na panów, że nie oddają swych lasów i pastwisk. Wstał raz i donośnym głosem wykrzyknął, pięścią grożąc: „Wy pany nasze wrahy!“

Drugi raz, gdy się toczyła rozprawa o tej nieszczęsnej kwestyi ruskiej, zabrał głos poseł Sawczyński Rusin rodem, ale Polak sercem. Dowodził jedności plemion i że różnica stąd tylko pochodzi, iż Polacy przejęli oświatę z zachodu i z Rzymu, gdy Rusinom przyszła ze wschodu i Konstantynopola i dalej mówił: „a gdy Konstantynopol upadł...“. Wtem porwał się z miejsca xiądz Łoziński, paroch jaworowski i wykrzyknął z groźbą: „I Rzym upadnie“.

Xięża ruscy z włościanami byli w Izbie w mniejszości. Jednak mniejszość ta była dość znaczna, aby wyjściem z Izby zdekompletować ją i tym sposobem nie dopuścić do głosowania nad przedmiotem im niemiłym. Często tego sposobu używali. Raz jednak Izba prędko zażądała głosowania, tak, że nie mieli czasu wyjść, zanim głosowanie nastąpiło. Wyszli, ale już po głosowaniu. Wściekali się. Xiądz kanonik Malinowski w gniewie mówił do włościan: „Trzeba raz koniec zrobić z panami! Trzeba ich wyrznąć!“ Usłyszał to Adam Potocki, który szedł za nim. Uniesiony gniewem zawołał: „I to xiądz namawia lud do rzezi!“ a razem porwał xiędza Malinowskiego za kark i tak silnie nim wstrząsnął, że xiądz o mało że nie upadł. Scena ta odbywała się w drugim pokoju, więc dopiero po posiedzeniu się o niej dowiedziałem.

W pierwszych Sejmach włościanie, tak Mazury jak Rusini, szli ślepo za xiężami ruskimi, bo ci im obiecywali, że im wyrobią u rządu oddanie im na własność lasów i pastwisk dworskich. Z czasem się przekonali, że to były tylko czcze obietnice i coraz mniej mieli do xięży zaufania. Jednak zawsze wpływ ich był wielki, nie z przekonania, ale ze strachu. Jeden włościanin z gór kołomyjskich w poufnej rozmowie przyznał mi się, że do nich nie ma zaufania, ale musi z nimi głosować. Gdyby inaczej zrobił, zarazby tutejsi xięża donieśli o tem jego parochowi. Tenby odmówił chrztu, ślubu, nawet pogrzebu jego rodzinie w jego chałupie mieszkającej, jegoby nie przypuścił do spowiedzi i komunii św. Pod podobnemi groźbami kazali im głosować na posłów, dając im nazwisko xiędza, którego nie znali. „Co mi w tem pomoże — mówił on — Sejm i panowie?“

Przyszedł raz do mnie nowowybrany poseł. Okazawszy mi swoje papiery, rzekł: „Skazały, szczoby ja tu pryszeł, ałe ja ne znaju po szczo, ani kto tu bude mij pan“. Z takimi prawodawcami niełatwa była sprawa.

Bardzo chłopom imponowała moja laska marszałkowska. Mawiali: „Jak nasz marszałek pałyceju stukne, to i gubernator mołczyt“.

Przyznać trzeba, że dziwnie prędko pojęli formy parlamentarne, a nawet kilku z nich rozumiało wpływ, jaki prawo dyskutowane wywrzeć może. Naturalnie sądzili o niem tylko ze skutku, jaki przewidywali na swoją gminę, nie zaś ze stanowiska ogólnego krajowego. Ale i tego nie dokazałby chłop w niejednym kraju.

Będąc w Wiedniu przedstawiłem się u Najjaśniejszego Pana, aby podziękować za dany mi dowód zaufania, mianowicie za nominacyę na marszałka. Rozmowa zaczęła się o sprawach krajowych, a później o ogólnych państwowych. Cesarz był bardzo rozmowny. Trzymał mnie blizko godzinę, co bardzo

niecierpliwiło wszystkich, którzy po mnie mieli mieć audyencyę.

W tej rozmowie przedstawiałem Najjaśniejszemu Panu, że od niego zależy przenieść punkt ciężkości na Radę państwa lub na Sejmy krajowe. Mojem zdaniem, bezpieczniejby było dać przewagę Sejmom krajowym. Jeśliby jeden lub drugi dokazywał, to nie będzie miał wpływu na całe państwo, a będzie w cesarza mocy taki Sejm rozwiązać bez ogólnego wstrząśnienia. Przeciwnie, gdy się Rada państwa rozbryka, niełatwo będzie dać radę. Rozwiązanie nawet może być bardzo trudne i może nawet wywołać ogólne nieporządki. Rada państwa zbierając się w Wiedniu, największem w państwie mieście, musi zostawać pod wpływem jego mieszkańców, a wiemy z doświadczenia, jak łatwo wielkie miasta ulegają wpływom rewolucyjnym. Słuchał on z uwagą. Widać wszakże, że duch centralistyczny przemagał. Opierał się na tem, że przy tak wielkiej ilości Sejmów prowincyonalnych bez centralizacyi obejść się nie można, a połączenie kilku prowincyi w jedną natrafiłoby na wielkie trudności. Długośmy jeszcze o tym przedmiocie rozmawiali, ale jak zwykle, każdy się w swem zdaniu wzmocnił.

Chcieć Austryę, z tylu różnorodnych pierwiastków złożoną, w jedną masę jednolitą zbić, zdaje mi się zupełnem niepodobieństwem, a pracując w tym celu, oburza się namiętność w przeciwnym kierunku. To rozburzenie jest tem niebezpieczniejsze, że wiele narodowości, składających Austryę, dążyć będzie na zewnątrz ku tej samej narodowości poza państwem będącej. Cóż na przykład dziwnego, że Niemcy austryaccy grawitują ku wielkiemu państwu niemieckiemu, że Kroaci chcieliby się złączyć z swymi braćmi pod panowaniem tureckiem będącymi, że Serby z Banatu a Rumuni z Siedmiogrodu i Bukowiny pragnęliby połączenia ze swymi braćmi. My jedni nie mamy do kogo dążyć. Póki istniało Królestwo Polskie

*

odrębnie rządzone, mogło ono przyciągać inne polskie prowincye. Dziś prędzej Galicya mogłaby wywierać siłę przyciągającą. Gdyby rząd austryacki był umiał korzystać z tej różnorodności, mogłaby ona stać się źródłem siły dla państwa. Dogadzając uczuciu narodowemu, każda z narodowości wchodzących w skład państwa nie tylko sama nie miałaby dążności odśrodkowych, ale owszem byłaby przyciągła ku monarchii też narodowości poza granicami państwa istniejące. Dualizm, dający przewagą dwom narodowościom kosztem innych, musi doprowadzić państwo do upadku.

Gdy raz byłem na obiedzie u dworu, zbliżył się cesarz do mnie. Było to za ministeryum Belcredi'ego. W rozmowie mówiłem, że u nas to ministeryum wzbudziło wiele zaufania. Na to mi cesarz odpowiedział: „*Si Vous saviéz ce que c'est pour moi, d'avoir le sentiment, que j'ai des honêtes gens autour de moi*". Widać było, że niezawsze miał to uczucie. A przecież niedługo tych ministrów utrzymał.

Mógł mieć to samo uczucie, gdy wybrał na ministra Hohenwarta [Karola, od 4. lutego do 25. października 1871], który mojem zdaniem jest jedynym mężem stanu, którego w Austryi widziałem. A przecież cesarz niedługo go przy władzy utrzymał. Do oddalenia go nie był przez Radę państwa zmuszony, gdyż w ówczesnej Radzie państwa Hohenwart miał znaczną większość. Ministeryum centralistyczne [Adolfa Auersperga], które po nim nastąpiło, musiało Izbę rozwiązać, a przy nowych wyborach musiało rozmaitych sztuczek używać, aby sobie większość zapewnić. Zdaje mi się, że w myślach i dążnościach centralistycznych utrzymuje cesarza arcyxiążę Albrecht, który narody uważa jakby wojsko, chciałby je widzieć w jednakowy mundur ubrane i ślepo jednej komendy słuchające. Nie bez przyczyny wielu go uważa za złego ducha Austryi. Jego zwycięstwa we Włoszech zrobiły mu w rodzinie cesarskiej sławę

wielkiego jenerała i wielkiego człowieka. Mówił mi jeden Niemiec, że zwycięstwo pod Custozzą było większą plagą dla Austryi, jak przegrana pod Sadową, przez powiększenie wpływu arcyxięcia Albrechta.

Minister Belcredi chciał dać Galicyi namiestnika Polaka. Jedynym Polakiem, mającym zaufanie cesarza, był hrabia Gołuchowski, na niego więc i minister zwrócił oczy. Bawił on wtenczas dla zdrowia w Badenie pod Wiedniem. Bardzo mnie zadziwiło, gdy dowiedziałem się, że do traktowania z nim używał minister Kaczkowskiego [Zygmunta], literata, nienajlepszej zażywającego reputacyi. Był on czynnym w r. 1863 w komitetach narodowych. Oskarżają go, nie wiem czy słusznie, że potem denuncyował biorących udział w tych komitetach. Ale że sprytny i ruchliwy, umiał sobie zjednać zaufanie ministra. Z pewnego źródła dowiedziałem się, źródła, któremu to xiążę Auersperg przyznał, że Kaczkowski z ministerstwa spraw zagranicznych pobiera pensyę fl. 10.000 rocznie, jako agent policyi tajnej politycznej, a dla lepszego ukrycia swych czynności redaguje w Wiedniu dziennik niby opozycyjny.

Gołuchowski zanim opuścił Wiedeń dla objęcia urzędu we Lwowie, pracował nad tem, aby otrzymać pozwolenie zaprowadzenia języka polskiego w miejsce niemieckiego w administracyi, sądownictwie i w szkołach. Niełatwą to było rzeczą, bo przeciwne stronnictwo wszystkich sił używało, aby do tego nie dopuścić. Jedynie osobistemu zaufaniu cesarza do Gołuchowskiego przypisać można, że otrzymał obietnicę cesarza, że na to pozwoli.

Tymczasem zaszła zmiana ministrów. Po Belcredim przyszli Herbst, Giskra i inni centraliści [ministeryum Auersperga 1867]. Przy mianowaniu cesarz położył im warunek, że rozporządzenie o języku polskim dla Galicyi kontrasygnować będą. Dla dojścia do tek ministeryalnych, po długich targach musieli ten warunek przyjąć. Był to więc jeden z pierwszych

czynów ich, gdy przyszli do władzy. Nieraz żartując, mówiłem Giskrze, że mu wdzięczni jesteśmy za to, że za jego ministerstwa uzyskaliśmy wprowadzenie naszego języka. Nie śmiał zaprzeczać, ale w duchu się na to wściekał.

Gołuchowski miał ujemną stronę, a mianowicie, że był apodyktyczny i niezwykle prędki. Niezawsze stosunki z nim były łatwe.

Sam mi opowiadał scenę, jaką miał na Radzie ministrów z hrabią Rechbergiem, ministrem spraw zagranicznych. Gdy mu się ten sprzeciwiał, nie pomnę w jakiej kwestyi, Gołuchowski huknąwszy, tak mocno pięścią w stół uderzył, że aż sobie palce pokaleczył. Sprawa się wytoczyła aż przed cesarzem, który zawoławszy Gołuchowskiego do siebie, prosił go, aby się mitygował, bo Rechberg aż ze strachu zachorował i bolów żołądka dostał.

Przy swych stronach ujemnych miał on wielkie zalety. Jako namiestnik wziął on kastę urzędników u nas w kluby. Nadewszystko jemuśmy winni zaprowadzenie języka polskiego w urzędach, w sądownictwie i we wszystkich szkołach. Stąd poszło oddalenie z urzędów Niemców, a zastąpienie ich Polakami. Mianowicie starał się obsadzić profesury ludźmi znakomitymi i tych ile mógł ściągał ze wszystkich części Polski i z emigracyi. Stąd to mamy na uniwersytecie tylu Poznańczyków. Później, gdy w Szkole Głównej w Warszawie zaprowadzono język rosyjski, ile mógł umieszczał profesorów z tej Szkoły po naszych zakładach naukowych.

Inni namiestnicy dla skarbienia sobie łaski w Wiedniu oszczędzali ile możności fundusze przeznaczone budżetem na amelioracye w Galicyi. Nie wykonawszy projektowanych amelioracyi, fundusze zwracali skarbowi jako oszczędność. Gołuchowski przeciwnie, skoro otrzymał upoważnienie na wydatek korzystny krajowi, starał się go jak najprędzej wykonać, aby go cofnąć nie można było. Tak się stało

z budową politechniki we Lwowie. Skoro otrzymał upoważnienie, jak najprędzej zawarł umowy o tę budowę. Ledwie były kontrakty podpisane, otrzymał z Wiednia polecenie wstrzymania tej budowy. Odpisał, że już za późno, że kontrakty zawarte, a zerwanie ich ogromnieby kosztowało. Jemu więc winniśmy, że mamy tę budowę.

Gazeta Lwowska jako urzędowa ma wielką ilość prenumeratorów. Zyski z niej bywały odsyłane do Wiednia. Gołuchowski wstrzymał to, a przewyżki przeznaczył na wydawnictwo „Przewodnika Naukowego“ i na wynagrodzenia dla naszych literatów, do niego piszących. Te stanowią dziś utrzymanie dla wielu zdolnych młodych ludzi.

Jako marszałek byłem z Gołuchowskim w ciągłej styczności. O ile dawniej był dla mnie przykrym, o tyle później był ze mną w najlepszych stosunkach. Podział władzy między Namiestnictwo i Wydział krajowy jest tak trudny do określenia, że ciągle przychodzą sprawy, które równie uważać można jako należące do jednego, jak drugiego.

Przed Gołuchowskim pełnił obowiązki namiestnika [Ludwik] Possinger. Z nim były ciągłe sprzeczki o kompetencyę między dwiema władzami. Te same sprzeczki istniały w powiatach między starostami a Wydziałami powiatowymi. Za Gołuchowskiego te sprzeczki zupełnie ustały. Gdy przychodziły przedmioty wątpliwej natury, albo je nam odsyłał, albo je rozstrzygał, porozumiawszy się wprzód ze mną. Ile razy Wydział krajowy do niego się udawał z prośbą o wykonanie swych rozporządzeń drogą egzekucyi administracyjnej, nie odmawiał swej pomocy. Ta sama zgoda nastąpiła prawie wszędzie po powiatach. Sam mi rozpowiadał, że gdy do niego przychodził jaki starosta, zawsze rozpoczynał rozmowę od tego, że żyje w największej zgodzie z Wydziałem powiatowym.

Odsunął on powoli prawie wszystkich urzędników pochodzenia obcego. Zastąpił ich Polakami, często synami obywatelskimi, ludźmi, których dobro kraju obchodziło. — Dawni urzędnicy, mając jedynie na oku własną karyerę, przedstawiali wyższym władzom, że w kraju wre i gotuje się powstanie. Było więc ich zasługą, że potrafili spokój utrzymać i nie dopuścić do jawnych rozruchów. Miano więc wtenczas każdego urzędnika za swego i kraju nieprzyjaciela. Po uskutecznionej zmianie często słyszeć się dały pochwały starosty z ust mieszkańców. Gdy raz Gołuchowski postanowił przenieść starostę do powiatu, który wymagał zdolniejszego administratora, bo wielki w nim panował nieład, obywatele z powiatu, który miał starosta opuścić, wysłali do Gołuchowskiego deputacyę z usilną prośbą, aby im starosty nie odbierano. Trudno dla urzędnika o pochlebniejsze świadectwo.

Po nadaniu konstytucyi zaprowadzono w Galicyi Sejmy, które znowu mianowały członków Wydziału krajowego. Cesarz sam mianował mnie marszałkiem krajowym. Niełatwe było zadanie organizować całą administracyę, mając do pomocy Wydział, złożony z ludzi tak mało w administracyi doświadczonych, jak i ja. Z wydziałowych najwięcej mieli praktyki administracyjnej Oktaw Pietruski i Maurycy Kraiński. Z nich miałem najwięcej pomocy w nowym moim zawodzie. We wszystkich członkach Wydziału znalazłem najlepsze chęci i zawsze byliśmy z sobą w najlepszej zgodzie. Bóg nam dopomógł i zdaje mi się, że powierzone nam sprawy poszły torem korzystnym dla kraju.

Odebraliśmy szpitale w najsmutniejszym stanie. Trudno sobie wystawić coś podobnie brudnego i zasmrodzonego, jak był główny szpital lwowski. Równie źle, a może i gorzej, było we wszystkich szpitalach prowincyonalnych. W żadnym prawie nie było lekarza, doktora medycyny. Byli tylko chirurgowie

żydzi, niemający o medycynie wyobrażenia. W Złoczowie wypuszczono szpital żydówce w dzierżawę. Ta za pewną opłatą dzienną od chorego miała obowiązek utrzymania lekarza, a był nim żydek z Węgier, i dostarczania leków, żywności, bielizny i wszystkich potrzeb dla chorych, niemniej lokalu na szpital. Umieszczony był szpital w wilgotnej nawpół walącej się chałupie. Nie było bielizny i pościeli dla chorych. Przy rewizyi znaleziono starannie ukrytego chorego, który miał na nodze ranę już zgangrenowaną; musiano natychmiast wezwać lekarza wojskowego, który mu nogę amputował. Śledztwo wykazało, że ten biedak w gorączce tyfusowej zrywał się z łóżka i chciał po pokoju biegać. Aby temu zapobiedz, chirurg szpitalny kazał go łańcuchem silnie do łóżka przywiązać; po kilku godzinach łańcuch tak mocno ciało przetarł, że w te rany wdała się gangrena. Byłby umarł, gdyby szczęśliwym trafem nie była o tej porze przybyła komisya dla rewizyi szpitala. Prawie wszystkie szpitale prowincyonalne mieściły się w najętych domach i to zwykle w najniezdrowszych.

W ciągu kilkunastu lat administracyi autonomicznej powiększono i uporządkowano szpitale w Krakowie i we Lwowie, wystawiono wielki zakład dla obłąkanych w Kulparkowie. W wielu miastach prowincyonalnych postawiono dla szpitali nowe budynki, obszerne i zastosowane do wszystkich nowych odkryć w sztuce lekarskiej. Wszędzie przy szpitalach lekarzami są doktorowie medycyny, a nie chirurgowie, tak, że dziś nasze szpitale w niczem nie ustępują zagranicznym. Dwóch lekarzy Rosyan, mając od swego rządu zlecenie zwiedzenia zakładów leczniczych w wielu miastach Europy, zwiedzali i nasze we Lwowie i w Krakowie. Utrzymywali oni, że u nas chorzy mają więcej wygody i staranniej są pielęgnowani, jak w szpitalach wiedeńskich.

Byłem mocno przekonany, że jedynie zaprowadzenie Sióstr Miłosierdzia w szpitalu lwowskim po-

trafi doprowadzić go do porządku. Nie tylko przykład głównych szpitali zagranicznych, które po większej części nawet w krajach protestanckich powierzone są Siostrom, ale i bliższy przykład, bo w Krakowie, umocnił mnie w tem przekonaniu. Szpital krakowski był pierwotnie zakładem religijnym w ręku Sióstr Miłosierdzia. Później odebrano im ten zakład i oddano go w ręce świeckie. Dopiero Gołuchowski napowrót Siostry wprowadził. Był to jedyny porządnie utrzymany szpital w całym kraju.

Myśl moja zaprowadzenia Sióstr Miłosierdzia w szpitalu lwowskim dość chętne spotkała przyjęcie w Wydziale krajowym. U lekarzy szpitalnych powstała silna opozycya. Poparta ona była przez wielu posłów sejmowych, a bardziej jeszcze przez dziennikarstwo. Pisano w dziennikach, że ja i Wydział chcemy fundusze krajowe obrócić na poparcie zakonnic ze szkodą tych funduszów i chorych, których utrzymanie o tyle będzie gorsze, o ile kosztować będą Siostry, że te ujmując chorym, zbierają fundusze na swoje cele. Mimo tych wszystkich zaczepek i gadanin rzecz się przeprowadziła. Szpital zupełnie inną postać przybrał. Ucieszyłem się, gdy po kilku miesiącach sami lekarze podali do Wydziału, prosząc o powiększenie liczby Sióstr i uznając ich zasługi.

Sejm zgodził się na postawienie oddzielnego zakładu dla obłąkanych w Kulparkowie. Przez to i obłąkani dostali właściwsze i zdrowsze umieszczenie, niż mieli dotąd w głównym szpitalu, i tam przybyło dla chorych miejsca. I tu podnieść muszę zasługę Gołuchowskiego, który zamierzał zakład dla obłąkanych do skutku doprowadzić. Zbierał na ten cel fundusze i już był kupił grunt w Kulparkowie. Zebrane jednak fundusze o wiele nie wystarczały i bez hojnej ręki Sejmu byłby zakład nie mógł przyjść do skutku.

Powiększenie też głównego szpitala stało się niezbędnem. Dawniej najbiedniejsi nawet z trudnością dawali się namówić, aby w chorobie udać się do

szpitala. Dziś liczba chorych ciągle wzrasta. Nawet ludzie zamożniejsi i mogący za siebie płacić, jeśli nie mają rodziny, wolą w chorobie udać się do szpitala, niż się w domu kurować, bo są pewni pielęgnowania, jakiegoby u siebie mieć nie mogli.

Niemniejszy był postęp w drogach krajowych. Gdyśmy odebrali zarząd dróg tak zwanych krajowych, drogi te w znacznej części nie istniały. Przeważnie po półmilowym kawałku drogi robionej następowało parę mil drogi zwykłej, której często nawet kierunek nie był oznaczony. I te kawałki, które były żwirowane, zupełnie zapuszczono. Władze powiatowe wiedząc, że zarząd tych dróg przejdzie w inne ręce, zupełnie o nie nie dbały. Musieliśmy od tego zacząć, aby dokończyć drogi rozpoczęte i doprowadzić je do dobrego stanu. W wielu miejscach musieliśmy dawniej wybrany kierunek całkiem zmienić dla uniknienia zbyt ostrych spadków. Inżynierowie rządowi, którzy wytykali kierunek dróg krajowych, zwykle brali prostą linię od punktu do punktu, bez względu na trudności na tej linii napotykane i na niewłaściwe spadki.

Udało nam się zebrać bardzo zdolny korpus inżynierów. Nie będąc związani jak rząd obowiązkiem przyjmowania tylko takich inżynierów, którzy mieli świadectwa ukończonych szkół krajowych, mogliśmy brać każdego, o którego zdolnościach mieliśmy przekonanie. Nie żądaliśmy także znajomości języka niemieckiego. Zgłosiła się więc do nas masa młodzieży z emigracyi, ludzi, którzy pokończywszy nauki na obczyźnie, nabyli doświadczenia przy budowach kolei żelaznych, szczególnie we Francyi. Chęć mieszkania w kraju, między swoimi, skłaniała ich do opuszczania dużo korzystniejszych posad za granicą i poprzestania na szczupłych płacach, byle w kraju mieszkać.

Najtrudniejszem zadaniem Wydziału krajowego jest zaprowadzenie porządku w zarządzie gmin, mianowicie w małych miasteczkach. Tam samowładnie

panują żydzi. Rzadki jest mieszczanin, któryby nie był u żydów zadłużony, lub któryby za trochę wódki nie głosował przy wyborach jak mu każą. Żydzi mają ten rozum, że sami nie starają się być wybranymi do Rad gminnych, ale popierają takich kandydatów, o których są pewni, że to zrobią, co oni każą. Tym sposobem nie mają odpowiedzialności, a przeprowadzić mogą, co tylko zechcą. Tak bogacą się kosztem gminy i majątków gminnych.

Skąd nas dochodziły wieści o zbyt rażących nadużyciach, tam posyłaliśmy komisye śledcze. Mając w ręku dowody nadużyć i skargi wielu mieszczan, staraliśmy się w Namiestnictwie o rozwiązanie Rady gminnej. Przy nowych wyborach zwykle wracali ci sami, którzy należeli do rozwiązanej Rady. Przez to były wszelkie nasze starania udaremnione. Pragnęliśmy dla postrachu choć kilku burmistrzom lub radnym wytoczyć procesa kryminalne, ale niełatwo było o dowody dostateczne, aby módz otrzymać ich skazanie.

Nielepiej było i po wsiach z wójtami, ale że gminy wiejskie nie posiadają tak znacznych majątków, jak miejskie, więc wyrządzone im krzywdy przez zły zarząd nie pociągały za sobą tak niebezpiecznych skutków. Mimo złego dziś zarządu gmin nie byłbym za odebraniem im dzisiejszych wolności. Dziecko nie nauczy się chodzić, jeśli będzie zawsze na uwięzi trzymane. Potrzebnymby był wszakże bliższy nadzór nad urzędami gminnymi i surowe karanie za niedopełnianie obowiązków.

Posłowie krakowscy na Sejmach nalegali na skasowanie dzisiejszych gmin i na zastąpienie ich gminami zbiorowemi, do którychby należało kilka lub kilkanaście wsi i obszary dworskie. Posłowie włościanie jak najmocniej przeciw temu protestowali. Widzieli w tem powrót do dawnych mandataryi. Lękali się w nich przewagi większych właścicieli, których wpływu na własne sprawy się obawiają. Za-

prowadzenie bezwzględne gmin zbiorowych nie zdaje mi się na teraz możliwem, chociaż uznaję ich korzyści.

Sądzę, że nie zmieniając dzisiejszego stanu rzeczy, możnaby ustanowić władze, którymby się powierzyło pewne tylko czynności w obrębie kilkunastu gmin i obszarów dworskich. Rozumie się, że byłyby wybieralne przez też gminy i obszary. Powoli możnaby rozszerzyć ich zakres działania, uwalniając przez to gminy od obowiązku trzymania pisarzów gminnych. W tym duchu wyrobiony był przez Wydział krajowy projekt do prawa drogowego. Miały być nadzory drogowe, mające administracyę dróg na przestrzeni kilkunastu gmin i obszarów dworskich. Te mając, możnaby im przekazać powoli i inne czynności, którym gminy podołać nie mogą.

Wydziały powiatowe także nie wszędzie odpowiadały oczekiwaniom. Gdzie tylko prezesem był człowiek czynny i gorliwy, tam bardzo wiele się zrobiło. Na nieszczęście u nas przy wyborach mało uważają na to, czy kandydat odpowie czynnościom, których się podejmuje. Uważają danie głosu jako grzeczność, której sąsiadowi odmówić nie można. Wielu także kandydatów uważa wybór jako rzecz dogadzającą jego miłości własnej, a nie jako przyjęty obowiązek i to często ciężki obowiązek. Stąd tak wielka rozmaitość działalności Wydziałów powiatowych w każdym powiecie. W ogólności jednak powiedzieć można, że instytucya Rad powiatowych pomyślny wpływ w kraju wywarła. Z początku włościanie bardzo niechętnem okiem patrzyli na te Rady. Uważali je jako bunt przeciw cesarzowi. Zawsze w nich zaszczepiano nienawiść przeciw większym właścicielom i w ogólności przeciw klasie więcej wykształconej, która w Radach powiatowych była w większości, bo miasta wybierały zwykle ludzi należących do inteligencyi. Uważali więc Rady powiatowe jako im nieprzyjazne. Przesąd ten ich albo zupełnie już ustał,

albo o wiele się zmniejszył i w wielu bardzo powiatach przychodzą z zaufaniem do Wydziałów powiatowych w swoich sprawach. Wydziały te są także wyborną szkołą dla ich członków. Uczą się w nich poznawać kraj i jego potrzeby. Mogą później użytecznie w Sejmie pracować jako posłowie. Zaprzeczyć nie można, że w tych kilkunastu latach rządów autonomicznych kraj więcej postąpił pod wszelkimi względami, jak przez poprzednich lat sto rządów biurokratycznych.

Ledwie zaczynaliśmy trochę się urządzać w Galicyi, gdy w Królestwie Polskiem wybuchło nieszczęsne powstanie z 1863 r. Musiało ono i na Galicyę oddziaływać. Młodzi ludzie opuszczali swe zajęcia, aby się łączyć z powstańcami. Rozbite oddziały szukały w Galicyi przytułku. Trzeba była chroniących się ukrywać przed władzami. Zbierano po kraju składki, za które kupowano broń i ubrania, które do Królestwa posyłano. Stąd odnowiło się niedowierzanie i nienawiść między krajem a rządem, co musi bardzo smutne skutki za sobą pociągnąć dla obu, a szczególnie dla kraju i to podbitego. Zaraz biurokracya, ledwie trochę przytłumiona, podniosła na nowo głowę, przedstawiając się jako niezbędna dla utrzymania porządku i wstrzymania ruchu w kraju. Zaczęto od ścisłego pilnowania granicy między Galicyą a Królestwem Polskiem. Później nastąpiły aresztowania. Pomagających jakimbądź sposobem powstaniu w Królestwie oddano pod sąd, jakoby byli przeciw Austryi zawinili i wytoczono im procesy o zdradę stanu. Nie było prawie rodziny, któraby nie miała jednego z pomiędzy siebie aresztowanego i pod sąd oddanego. I mnie los ten nie ominął, syn mój został pojmany i uwięziony.

DODATKI

Nie przypominam sobie dokładnie, w którym czasie, ale mniej więcej wtenczas, kiedy Paskiewicz przeprawiał się przez Wisłę [1], jenerał Skrzynecki dał mi list do cesarza Franciszka, z którym miałem jechać do Wiednia. Miałem rozkaz nie dostania się potajemnie, ale żądać, aby mnie przypuszczono jako adjutanta naczelnego wodza. Pojechałem z listem do Krakowa. Udałem się po paszport do Lorenza, konsula austryackiego, a razem napisałem do xięcia Konstantego Czartoryskiego, mieszkającego w Wiedniu. Nie wierzyłem w możność otrzymania pozwolenia jechania urzędownie, jak tego żądałem, stosując się do danej mi instrukcyi.

Czekałem przeszło tydzień w Krakowie. Nadchodziły wiadomości o posuwaniu się wojsk rosyjskich. Bałem się, aby nie być od Warszawy odciętym. Przekonany, że nie otrzymam pozwolenia pojechania do Wiednia, posłałem xięciu Konstantemu list, który odwieźć miałem, a sam wróciłem do Warszawy z niemałym strachem, aby nie wpaść w ręce rosyjskie.

Gdy po wzięciu Warszawy byłem w Krakowie, konsul austryacki mówił mi, że w parę dni po moim odjeździe odebrał z Wiednia rozkaz wydania mi paszportu jako adjutantowi naczelnego wodza [2]. Byłbym może temu nie wierzył, gdybym się nie był później dowiedział, że we dwa dni po wzięciu Warsza-

wy przyjechał tam Andrzej Zamoyski w towarzystwie jednego z wyższych urzędników austryackiego ministerstwa spraw zagranicznych[3]. Przybyli za późno, a raczej my sami rozbiliśmy naszą sprawę za prędko.

Przyjął ich Paskiewicz w łóżku, bo w czasie szturmu Warszawy był lekko ranny. Bardzo ich z góry traktował, mianowicie Andrzeja, z którym się nie żenował. Szczęście, że on, choć dosyć gorączka, był panem siebie i nic nie odpowiadał. Zresztą te negocyacye na nicby się nie były przydały. Austrya mogła co najwięcej otrzymać pewne dla nas warunki przy poddaniu się Rosyi, a na poddanie się nie byłby się zgodził Sejm, będący wtenczas pod wpływem zapaleńców, którzy ciągle mówili, że nie trzeba zostawić kamienia na kamieniu i że lepiej wszystkim zginąć, niż poddać się, chociaż sami dużo mówiąc o śmierci, sami się na nią nie wystawiali.

Xiążę Adam Czartoryski wyszedł był z Warszawy z korpusem Ramoriny. Gdy ten miał wchodzić do Galicyi, xiążę udał się do korpusu [Samuela] Różyckiego i z tym wszedł do Krakowa. Lorenz, konsul austryacki, odebrał z Wiednia surowe rozkazy i polecenia, aby strzegł xięcia i nie dopuścił, aby się dostał w ręce rosyjskie. Gdy ci mieli wejść do Krakowa, konsul wpadł do xięcia. Ubrano go w perukę i okulary. Konsul odwiózł go na Podgórze i ulokował u tamtejszego urzędnika. Moja siostra zaraz za mężem tam przybyła.

Jenerał rosyjski, który wszedł do Krakowa, kazał wszędzie szukać xięcia. Nie mogąc go znaleźć, domyślił się, że musi być na Podgórzu; sam poszedł go tam szukać. Wszedł do domu urzędnika, u którego xiążę się ukrywał. Nie zastawszy go, szedł po pokojach coraz dalej. Xiążę cofał się przed nim. Gdy już był doszedł do ostatniego pokoju, skąd już nie było gdzie uciekać, moja siostra stanęła przed drzwiami

i zapytała jenerała, czego chce. Ten nie odpowiadając chciał ją usunąć. Ale ona dobywszy ostatnich sił, jakkolwiek mała i szczupła, porwała jenerała za piersi, odepchnęła i drzwi za sobą na klucz zamknęła, ale w tej chwili zemdlona padła na ziemię bez przytomności. Jenerał nie śmiał gwałtu robić w domu urzędnika innego mocarstwa i wyniósł się.

WYJĄTKI Z KORESPONDENCYI

Nauka w liceum warszawskiem

1.

(Do Matki) Warszawa, 1. września 1819.

...Muszę się też troszkę przed Mamą pochwalić, bo wiem, że jej to przyjemnem będzie: profesor matematyki [Władysław Jasiński lub x. Skolimowski] powiedział panu Lewockiemu[1], żebym się dobrze na egzamin przygotował i że mnie wpisze pomiędzy najlepszych co do matematyki; profesor także polskiego języka [zdaje się Tomasz Dziekoński] znajduje, że dobrze piszę po polsku. Muszę się jeszcze pochwalić, że bardzo wiele pracuję i że nigdy jeszcze tyle nie pisałem, ile teraz. Taż sama praca wiele dodaje ochoty i nigdy tyle w pracy nie czułem przyjemności, jak teraz. Mimo tego, że robię, mam jednak agitacyę: codzień wychodzę lub wyjeżdżam konno.

Już pan Zamoyski wyjechał z Warszawy, za 15 dni wróci z żoną i całym domem, aby apartamenta swoje na przyjazd cesarza przygotować. Wpadłszy na cesarza, muszę Mamie powiedzieć, co się u nas dzieje. Wszystkie umysły są tu w najwyższym stopniu zapalenia, wszystko wrze, niema jednej osoby z poważnych nawet, którąby arbitralne rządu postępowanie nie oburzało. Nieustanne robią wierszyki; bajki, ucinki na Zajączka i inne osoby rządowe wychodzą. Nie wiem na czem się to skończy, bo już wszystko strasznie się rusza...[2].

*

2.

(Do Matki) Z Warszawy, 12. września 1819.

...U nas zbliża się pora egzaminów, bo już przyjechał Linde i zdaje się, że się 24. tego miesiąca zacznie. I ja także wraz z innymi zdawać będę egzamin, lecz to jest tylko ceremonią dla publiczności i dlatego znajduję, że nie warto, by Mama na to przyjechała.

Spodziewam się, że pan Zamoyski wkrótce przyjedzie, bo już oczekują cesarza wraz z xięciem Wellingtonem. Była wczoraj wielka parada za miastem na urodziny Alexandra. Byłem na niej i bardzo wiele widziałem znajomych. Wielki xiążę bardzo był kontent, mimo strachu, który go dręczy. Muszę Mamie opowiedzieć przyczynę jego strachu. Uczniowie naszej Akademii zrobili sobie strój nieco podobny do polskiego i niektórzy przez ciekawość poszli piechotą do Wiednia. Wielki xiążę wystawił sobie, że to jest spisek, przeciwko niemu zrobiony i że ci, którzy poszli do Wiednia, są posłami, mającymi o pomoc Austryi prosić; kazał sobie dać listę uczniów i mając przy sobie kilkanaście tysięcy wojska, lęka się dwustu uczniów. Dobry się także przypadek stał pani Czackiej. Jadąc do Karlsbadu, wzięła z sobą gałki do kagańców. Jej ludzie sądząc, że to już nie będzie potrzebnem, wyrzucili je w jednem miasteczku. Niemcy widząc, że to jest materya palna, rozgłosili, że są w kraju podpalacze i rozesłali sztafety do łapania podpalaczów. Pani Czacka, widząc cały Karlsbad w strachu, poszła do policyi i opowiedziała rzecz, jak się stała. Wtem pozywają ją kryminalnie — i ledwie się z tego wywikłała...

3.

(Do Matki) Warszawa, 26. września 1819.

...Już się skończył nasz egzamin. Nie odebrałem pierwszej nagrody, ale publicznie pochwalony zostałem. Mam teraz czas wolny aż do 7. przyszłego miesiąca.

Jest teraz w Warszawie pan Zamoyski z żoną i córkami. Gotuje swój dom na przyjęcie cesarza, po wyjeździe którego wróci do Podzamcza. Przyjechała także xiężna Pawłowa Sapieżyna, która dowiedziawszy się, iż jestem w Warszawie, posłała do mnie, bym był u niej. Myślę więc dziś jej wizytę oddać. Cesarz przyjeżdża dla bardzo ważnego interesu, to jest dla odprawienia rewii. Przywiezie także xięcia Wellingtona i będzie się przed nim wojskiem polskiem popisywać...

Pobyt za granicą

4.

(Do Matki) [Baden] 3-go Septembra [1820][8].

...Przyjechaliśmy onegdaj to jest 1-go Septembra do Baden. Bylibyśmy jeszcze dniem wprzódy zajechali, gdyby nam się nie była dość nieprzyjemna awantura stała. O dwie poczty od Wiednia zgubiliśmy paszport i to wiele nas bieganiny kosztowało; jużeśmy byli zapomocą pani Aleksandrowiczowej poprawili, aż oto wracając do domu, oddają nam pocztą przysłany paszport. Bardzo nas to ucieszyło, bo uwolniło mnie od potrzeby prezentowania się posłowi rosyjskiemu, czegobym inaczej nie był mógł uniknąć. Przyjechawszy do Badenu, najęliśmy sobie dwa pokoiki zaraz koło tego domu, w którymeśmy dawniej mieszkali. Wszystko mi przypomina te tak miłe chwile, które myśmy tu przepędzili. Teraźniejszy mój pobyt jest wcale różny od pierwszego. Otoczony samymi cudzoziemcami, różniącymi się odemnie mową, obyczajami i uczuciami, nikogo nieznający, sam od nikogo nieznany, w największym tłoku chodzę jak po gęstym lesie. Ale dajmy temu pokój, bo kiedy niema prawdziwego nieszczęścia, nie trzeba się skarżyć. Byłem u doktora Schenka, znalazł, żem wcale z twarzy nie odmieniony, rozkazał mi się kąpać w najzimniejszem ze wszystkich źródeł, aby mi krew do głowy od zbytecznego gorąca nie biła.

Wziąłem jedną dopiero kąpiel i dlatego nie mogę o skutkach wód sądzić.

Pozwoliłem sobie rzecz, na którą nie wiem co Mama powie. Dogodziłem dawnej mojej chętce, to jest kupiłem sobie gitarę i nuty i sam się na niej grać uczę. Ten instrument bardzo lubię, naprzód, że jest dobry do akompaniowania się śpiewając, powtóre, że go wszędzie z sobą mieć można. Dotąd sam się uczę, ale ponieważ nie sądzę, żeby się Mama o to gniewała, więc myślę wziąć jakiegoś metrzynę, któryby mnie przynajmniej nuty brać nauczył; nie myślę się uczyć trudnej rzeczy grać, chcę tylko być w stanie akompaniowania się śpiewając...

5.

(Do Matki) [Baden] 18. Septembra 1820.

...Chciałem tutaj żyć zupełnie sam, ale mi się nie udało, muszę bywać u pani Aleksandrowiczowej i Tyszkiewiczowej [hr. Maryi Teresy z x. Poniatowskich]; wreszcie nie żałuję tego, bo te damy są bardzo dla mnie grzeczne i doświadczyłem przez to, co to jest wizyty oddawać. Pierwszych dni tak byłem ambarasowany, że nie wiedziałem ani jak siedzieć, ani co mówić; teraz jużem się trochę oswoił.

(Dopisek Okraszewskiego)

Léon se porte très bien, il devient plus grand et plus fort tous les jours. Nous promenons beaucoup à Baden et aux environs et de retour à la maison nous nous adonnons presqu' entierement à la littérature Allemande qu'il avait un peu negligée au Lycée. Il vient de s'acheter la célebre Histoire Romaine de Niebuhr, ouvrage Allemand qui fait époque dans les productions litteraires d'aujourd'hui, et qu'il lit avec beaucoup de difficulté et de plaisir.

Tęskni niewymownie do Polski, a wszystkie ciekawości zagraniczne nie mogą go pocieszyć! Ile razy coś

pięknego, pożytecznego lub mądrze urządzonego oglądamy, gniewa go to owszem, zamiast zajmować... Czemu, mówi, dobre te rzeczy znajdują się w Niemczech a nie w Polsce?! — Jest to skutkiem jego charakteru, że nic w świecie nie nagrodzi mu osób, do których jest przywiązanym i przeciwnie najsmutniejszy kąt a polski będzie mu się wydawał rajem wpośród tychże osób. Nie mogę się temu dosyć wydziwić, gdyż w młodości mojej podróżować, jeździć i jeszcze jeździć było to najdoskonalszą szczęśliwością, jaką sobie wyobrazić mogłem. Sentymenta tak grosfaterskie przychodzą dopiero z wiekiem...

6.

(Do Matki) [Baden] 20. Septembra 1820.

...W niedzielę, t. j. 24. będziemy u pani Tyszkiewiczowej na obiedzie, a w poniedziałek opuszczamy Baden. Zdaje się, że będziemy mieli bardzo brzydki czas na drogę, nieustanne deszcze i trwałe zimna nam to zwiastują.

Chcieliśmy tu objeżdżać okolice, ale za późnośmy się do tego wzięli. Byliśmy tylko w Laxenburgu — tam, gdzie ów zamek staroświecki. Widzieliśmy tam wiele rzeczy, godnych Puławy ozdabiać, między innemi zbroję Karola V-go, strzemię Franciszka I-go. Między innemi ciekawemi tutejszemi okolicami jest wielka fabryka zwierciadlana, której bardzo żałuję, żem nie widział. Mówią, że ta fabryka jest bardzo ciekawa.

Pisze mi Anusia [siostra, zamężna x. Adamowa Czartoryska] o rzeczy, która mnie i panu Okraszewskiemu bardzo dobrą się zdała; to jest panna Cardeur[4] chce, nająwszy w dogodnej nam części miasta mieszkanie, mieć nas u siebie na pensyi. To nam się z wielu przyczyn, a szczególniej dla zdrowia bardzo dogodnem wydaje. Będąc u panny Cardeur, będziemy mogli sobie dogodnie godziny ułożyć i od nikogo zależeć nie będziemy. W przypadku zaś słabości wszelki będę miał dozór...

7.

(Do Matki) [Paryż] 27. Oktobra 1820.

...Po długiem oczekiwaniu odebrałem wczoraj dwa listy od Mamy, pierwszy pisany był przez pocztę, drugi przez pana de Revel; sądzę jednak, że listy bardzo na poczcie ginąć muszą, bo i ja bardzo rzadko listy od Mamy odbieram i Mama się na moje milczenie uskarża, chociaż ja bardzo regularnie co tydzień pisuję.

Bardzo mnie cieszy to, co mi Mama o naszym Sejmie napisała, bo tu rozgłosili byli, że do tego stopnia nieporządku rzeczy doszły, że się już za czuby brali[5]. Bardzo jestem ciekawy mów, które Mama memu szwagrowi [x. Adamowi Czartoryskiemu] przysłała i jak tylko on tu przyjedzie, poproszę go, by mi ich pożyczył. Spodziewam się go pierwszych dni Novembra, podług listów, które on do xięcia Konstantego [Czartoryskiego] pisał, któremu ja wczoraj rano wizytę oddałem.

Jest tu dosyć Polaków, a między innymi Franciszek Potocki z żoną i Eustachy Sapieha. Chociaż nie chciałem, musiałem jednak być u nich, bo jak tylko się o moim przyjeździe dowiedzieli, zaraz mnie odwiedzili, a nawet pierwszy z nich mnie na obiad zaprosił.

Z niecierpliwością oczekuję 25. Novembra, dnia, w którym się mają kursa zacząć, bo chociaż i teraz pracuję, tęskno mi jednak bez jakich lekcyi, tak jestem do nich przyzwyczajonym... Czytaliśmy rozkłady nauk we wszystkich instytucyach i znaleźliśmy wszystkie katedry najsławniejszymi ludźmi zajęte. Publicznych lekcyi ekonomii politycznej nigdzie niema, dlatego też myślimy się wszyscy tu będący Polacy złączyć, wziąć metra i mieć gatunek kursu...

8.

(Do Matki) [Paryż] 24. Novembra 1820.

...W tym momencie, kiedy piszę do Mamy, wracam z kursu prawa i czekam na metra. Chociaż nie zupełnie

jednak po większej części jestem usadowiony. Ponieważ się jeszcze inne kursa nie zaczęły, chodzę tylko na prawne przedmioty: jestem uczniem zapisanym, ale ponieważ porządek każe, żeby przy zapisie metrykę złożyć, proszę Mamy, aby mnie moją jak najprędzej przysłała, będę jej bowiem potrzebował przed drugim zapisem, to jest przed styczniem. Mam jednego dnia półtorę, drugiego trzy godzin kursu, prócz lekcyi prywatnych. Wziąłem za korepetytora jednego z lepszych tutejszych profesorów, który się przez grzeczność dla mojego szwagra podjął mnie lekcye dawać: jest to ten sam, który przeszłego roku mego szwagra uczył. Kursa na pierwszy rok przeznaczone, których słucham, są: prawo natury, kodex cywilny i historya prawa rzymskiego. Te kursa są tak dobrze dawane, że nawet niechętnegoby do pracy nakłoniły.

Byłem u pana Maliszewskiego [6] zaraz po jego przyjeździe, bardzo był na mnie łaskaw i nawet ofiarował się lekcye ekonomii politycznej mi dawać. Sądząc po tem, cośmy z sobą mówili, zdaje mi się, iż to jest człowiek, którego głowa pełna wielkich ale rozsądkiem nieuporządkowanych wiadomości. Zachował całą żywość młodości i tak się daje nią unosić, że w rozmowie nawet pewnego ciągu myśli zachować nie może, ale buja po myślach, tak, że nawet za nim zdążyć trudno.

Co do naszego sposobu życia, ten mi się bardzo dobrym wydaje. Mieszkamy bardzo blizko wszystkich kursów, a jednak nie najdalej od miasta. Pokoje nasze są szczupłe, ale czyste i jasne; mamy kuchnię nie wykwintną, ale czystą i smaczną. Panna Cardeur bardzo się zatrudnia, żeby wszystko było nam dogodne. Chociaż Anusia bardzo od nas daleko mieszka, widuję ją jednak prawie codzień, raz ona do nas przyjeżdża, raz znowu idę do niej i to mi za spacer służy.

Wczoraj był u mnie mój szwagier z Anusią właśnie wtenczas, gdym kończył lekcyę z moim korepetytorem panem Pouslem, który memu szwagrowi powiedział, że dosyć jest ze mnie kontent i że spodziewa się, iż ja dosyć z tych kursów skorzystam. Jeśli mnie te jego słowa

ucieszyły, niemniej byłem kontent, widząc szczerą radość, którą memu szwagrowi sprawiły. Tak jest dobry, że się mną jak własnym synem zajmuje: bywa u nas na obiedzie, żeby widzieć, czy wszystko jest, jak być powinno...

9.

(Do Matki) [Paryż] 24. grudnia 1820.

...Najwięcej teraz pracuję nad prawem i ekonomią polityczną. Jak są rozdzielone kursa prawa, jużem Mamie opisał. Co do ekonomii politycznej, tej nauczyć mnie podjął się sam Maliszewski. Każe mi robić wyciągi ze Smitha, które potem poprawia; oprócz tego daje mi dwa razy na tydzień lekcye. Biorę oprócz tego lekcye fortepianu, śpiewania i tańców. Chociaż niewiele mam godzin na dzień zajętych lekcyami, bo nigdy więcej nad sześć, mam jednak bardzo wiele do roboty.

Zdrowie moje, równie jak i Anusi, jest w dobrym stanie. Miałem niedawno ból w ręku, podobny do podagry, lecz dwa tylko, czy trzy dni trwał. Anusi zdrowie rzadko tak dobre było, jak teraz: bywa ona bardzo często u nas na obiedzie, ile razy jej mąż gdzie zaproszony, co się bardzo często zdarza.

Mój szwagier bardzo się zrobił latający, jeździ codzień po wieczorach, których ma aż dwa czasem na jeden dzień...

10.

(Do Matki) [Paryż] 18. stycznia 1821.

...Korzystałem z kilku chwil wolnego czasu, by do Mamy choć parę słów napisać. Jestem bardzo zajęty lekcyami i czytaniem, wieczory tylko i to nie wszystkie, mam trochę wolniejsze. Spodziewam się, że pobyt mój w Paryżu będzie mi bardzo użytecznym, równie pod względem nauk jak i talentów, bo przy prawie, chemii, historyi i gospodarstwie narodowem idzie i taniec, śpiewanie i fortepian. Z tych najlepiej mi się taniec udaje,

chociaż go tylko na lekcyi używam i głos także zaczyna mi się trochę rozwijać.

Mamy tu Alberta Potockiego, który po długich i nieszczęśliwych podróżach wraca nareszcie do Polski. Był on już niedaleko zamierzonego celu [Ameryki], gdy Anglicy, wolności amerykańskiej nieuznający, okręt jego pojmali i nazad do Londynu przyprowadzili. Tam zastał Eustachego Sapiehę i Edwarda Lubomirskiego, którzy go tu przysłali: stąd ma do ojca wrócić...

11.

(Do Matki) [Paryż] 7. lutego 1821.

...Anusi zdrowie jest zawsze w tym samym, co zwyczajnie, stanie: chociaż miewa czasami słabości, ogólnie jednak jest zdrową. Bywam u niej dosyć często i to jest moją największą i najmilszą dystrakcyą; bywamy także razem na teatrach, a szczególnie na małych. Jest tu nowy teatr, na którym same tylko małe sztuki dają, na którym dosyć często bywamy; jest on najlepszy, bo teatra, jak i wszystko we Francyi pod teraźniejszem panowaniem, chylą się ku upadkowi. Mój szwagier (ktoby sądził) jest daleko bardziej od Anusi rozlany na świecie. Co wieczór prawie ma jakieś bale albo wieczory i lubi świat bardziej, niżbym był sądził; cały ranek prawie on, jak ja, siedzimy nad prawem, a szczególnie nad procedurą, a to dla projektu kodexu procedury, który może poda rządowi. Co do mnie, czas mój dzielę między prawo i ekonomię polityczną, nauki, które mi się coraz bardziej podobają, im bardziej się w nie zagłębiam. Smith i rozmowy z panem Maliszewskim są moimi w ekonomii politycznej przewodnikami. Niedalekom jeszcze w tej nauce zaszedł, ale tem się przynajmniej cieszę, iż mi się zdaje, że to, com dotychczas przeszedł, dobrze zrozumiałem. Pan Maliszewski często w swoich rozmowach rzuca mi zdania, które mi potem wiele do myślenia dają: zaczynam od niego nabierać nałogu bardzo użytecznego, t. j. nałogu myślenia. Co do prawa szczególniej mnie interesują moje

lekcye prywatne, bo na nich mogę robić moje zarzuty i pytać się każdej rzeczy przyczyny. Nie lubię sposobu dawania tutejszych profesorów względem kodexu cywilnego, przestają oni na wyłożeniu przepisu prawa, a nigdy w przyczyny nie wchodzą. Najwięcej mnie interesuje kurs prawa natury i historyi prawa rzymskiego...

12.

(Do Matki) [Paryż] 11. kwietnia 1821.

...Już się zbliża chwila wyjazdu Anusi i to mnie bardzo zasmuca, bo ona tu jest moją jedyną przyjemnością i zabawą: gdy jej tu nie będzie, znajdować się będę w Paryżu jak w puszczy. Nie będąc do świata przyzwyczajony, nie lubię go i owszem wrodzona mi nieśmiałość czyni, że mam do niego wstręt, ale mieć osobę, jak Anusia, było dla mnie najmilszym po pracy odpoczynkiem. To mnie teraz tylko pociesza, że i sama na przyszły rok wróci i Mamę nam tu przywiezie...

13.

(Do Matki) [Paryż] 29. maja 1821.

...Odebrała wczoraj Anusia list od Mamy, w którym się Mama skarży na nasze milczenie: bardzo mnie to dziwi, bo zawsze regularnie pisujemy; prawda, że w mojej korespondencyi przerwę zrobił katar, połączony z gorączką, który właśnie wtenczas w łóżku leżeć mnie przymusił, gdym miał list do Mamy napisać, ale mnie pan Okraszewski zastąpił. Dla niepogody, zimna i deszczów bardzo tu panowały katary. Anusia także jego się ustrzedz nie mogła i to właśnie jej podróż na kilka dni spóźniło, miała bowiem pierwszego czerwca wyjechać, a teraz piętnasty na dzień odjazdu jest przeznaczony. Jeśli mnie z jednej strony jej słabość (która jednak prawie niczem nie była) zasmuciła, z drugiej strony spóźniony jej odjazd bardzo mnie ucieszył. Nawet kiedy ona tu była, pobyt mój w Paryżu zdawał mi się bardzo przykrym;

cóż to dopiero będzie, kiedy się tu sam jeden zostanę. Im dłużej tu siedzę, tem bardziej pojąć nie mogę, jak można zrzekłszy się wszystkich związków, które nas do Ojczyzny wiążą, na zawsze kraj swój, krewnych i przyjaciół porzucić. Co do mnie znajduję, że to wszystko, co mnie dawniej najbardziej bawiło, nie ma tu dla mnie takiego powabu, jak w Polsce; to tylko jest mi tu miłem i przyjemnem, co mi Polskę przypomnieć może: teatr nawet, który tak lubiłem w Warszawie, chociaż bez porównania lepszy, nie czyni na mnie tegoż, co dawniej, wrażenia. Jakby człowiek z życia schodzący, cały w przypomnieniach żyję, one są jedyną po pracy rozrywką, innej mieć nie mogę, a nawet i nie życzę sobie.

Wraz z Anusią odjeżdża i pan Okraszewski, a na swoje miejsce zostawia młodego człowieka, którego bardzo mało znam, ale o którym wiele mówią dobrego. To mnie przynajmniej pociesza, że zawsze Polaka przy sobie mieć będę.

Bardzo nas zdziwiło, co nam Mama o pogodzie warszawskiej pisze, bo do nas tu jeszcze nie zajrzała. Nieustanne zimna, deszcze, a w nocy przymrozki pod pięknem tutejszem niebem są naszym udziałem. Od tego czasu, jak jestem w Paryżu, jeszcze i razu wyjść bez parasola nie mogłem. To także miłość moją ku tutejszemu krajowi nieskończenie powiększa.

Za przysłanie mi książek, o które prosiłem, bardzo Mamie dziękuję i prosiłbym jeszcze o niektóre przez pana Okraszewskiego, te są: 1. Trzeci tom dziejów Zygmunta III. 2. Śpiewy historyczne Niemcewicza. 3. Rozprawa łacińska pod tytułem: Vindiciae Juris Romani Justinianei, przez Bandtkiego w Wrocławiu drukowana. O tę prosił mnie mój nauczyciel prawa, którego ja i mój szwagier zrobiliśmy wielkim przyjacielem Polaków. Jeśliby Mama mogła mi więcej jeszcze książek polskich ale oryginalnych przysłać, bardzobym był za nie wdzięcznym, nigdy bowiem tak wielkiej chęci do ich czytania, jak od czasu mego wyjazdu, nie miałem...

14.

(Do Matki) 2. sierpnia 1821 z Dunkierki[7].

...Przed wyjazdem moim z Dunkierki porywam za pióro, by tych kilka słów do Mamy napisać. Widok morza w wielkie mnie podziwienie wprawił: największą dla mnie zabawą było spoglądać na ogromną tę przestrzeń, zdającą się granicą ludziom od Boga nadaną, a którą oni za pomocą rozumu i śmiałości nauczyli się z łatwością przebywać. Przyrodzenie jednym zwierzętom ziemię, drugim powietrze, trzecim wodę za mieszkanie przeznaczyło; jeden tylko człowiek wolno po tych trzech bujać może i to, co dla niego zgubą być się zdawało, umiał w niewyczerpane źródło bogactwa zamienić. Ile razy się po tutejszym porcie przechadzam, tyle razy z żalem przypominam sobie błąd, który nasi przodkowie uczynili, dając się od brzegów morskich odpędzić; w tymto błędzie znaleźć można jedną z przyczyn upadku naszego narodu, teraz jeszcze inszeby było nasze położenie, gdyby Gdańsk do nas należał, albo gdyby przynajmniej ułatwione były środki przesłania naszych towarów do tego miasta. Będąc w Dunkierce, wypytywałem się, jakieby tu towary były najpokupniejsze: dowiedziałem się, że najlepiej tu wychodzą kupcy, handlujący zbożem, żelazem, smołą, skórami i drzewami do masztów. To we mnie chęć wzbudziło wyrachowania ceny tych przedmiotów tutaj i kosztów przewozowych. Prosiłbym oraz Mamę, aby mi w tym celu zaraz napisała, które z tych rzeczy przez Prusy przewieźć można, ich cenę na miejscu, koszta przewozu i cła na granicach. Jeśli mi to nie posłuży do zaprowadzenia handlu między Polską a Francyą, to przynajmniej poznam trochę handel.

Już zapewne Anusia w Warszawie być musi. Jakże Mama musi być szczęśliwą. Widzieć się po tak długiem rozdzieleniu jak wielkiem jest szczęściem. Co do mnie, daleki od tego wszystkiego, co mnie obchodzi, rozmaitemi a może próżnemi cieszę się nadziejami. Zawsze się spodziewam, że Anusia z Mamą na przyszłą wiosnę przyje-

dzie, a nie myślę, że jej mąż zapewne się od niej oddalić nie zechce i że Mama przy Anusi zostanie. Na to jedyne widzę lekarstwo, by mój szwagier także tu przyjechał, ale znów nie sądzę, by mu jego interesa pozwolily...

15.

(Do Matki) [Paryż] 10. Septembra 1821.

...Stosownie do pozwolenia Mamy zacząłem od niejakiego czasu brać lekcye na gitarze od młodego Polaka, który jest bardzo mocnym na gitarze i na fortepianie. Kupiłem sobie nową gitarę, która mnie kosztuje 170 franków, ale zato jest ona jedna z najlepszych, które tu można dostać. Instrument ten bardzo mnie bawi i spodziewam się, że chociaż jest dosyć trudnym, będę mógł wkrótce nieźle na nim grać. Na fortepianie także od niejakiego czasu nieco postąpiłem i już odzyskałem nadzieję, że będę mógł kiedyś grać.

Najtrudniej mi idzie śpiewanie, chociaż do niego mam najwięcej ochoty. Głos mój, chociaż nie fałszywy, jest chropawy i ciężki i nie chce się do żadnych ozdób podać. Czynią mi nadzieję, że się z wiekiem poprawi, ale ja się boję, żeby to nie była próżna nadzieja.

Nowej także rzeczy uczyć się zacząłem, to jest języka angielskiego. Uczy mnie tymczasowo pan Wiszniewski, aby mi ułatwić, gdy zacznę z metrem pracować. Język ten będzie mi bardzo użytecznym i spodziewam się, że mi niebardzo trudno pójdzie.

Brałem także przez niejakiś czas lekcye pływania i już nawet tylko wydoskonalenia się potrzebowałem, gdy katary, bóle gardła, fluksye i pełno innych chorób, których mnie kąpiel w zimnej wodzie nabawiła, przymusiły mi je porzucić. Widzę, że smród, zaduch i wilgoć powietrza paryskiego niebardzo mi służą: nigdy tyle drobnych słabości nie miałem, jak w tym roku, który w Paryżu przepędziłem i nie tylko ja, ale wielu jeszcze innych Polaków tu bawiących na toż samo się skarży.— Rzecz, która mi zdrowie przywraca, jest, kiedy mogę prze-

jechać się konno i świeżem powietrzem za miastem oddychać. Po takim spacerze zaraz czuję się zdrowszym i rzeźwiejszym. Szkoda tylko, że często takie dają mi konie, iż wyjechawszy za miasto, widzę się w smutnej potrzebie zaprzężenia się do mego konia i wywarcia wszystkich sił, by go ciągnąć za sobą. Ale nawet i takie spacery lubię, bo mogę przynajmniej świeżem powietrzem oddychać.

Był tu niedawno Adaś Czartoryski, lecz jego ojciec [x. Konstanty] tak się bał Paryża dla niego, że mu i sześciu dni tu bawić nie pozwolił. Wszyscy to miasto za miejsce rozkoszy uważają, dla mnie tylko jednego żadnych ono nie ma powabów i owszem niczego takbym sobie nie życzył, jak wrócić do mojej Ojczyzny. Wśród zabaw i wrzasku najmilej mi o polskich zaciszach dumać i zawsze do wsi wzdycham...

16.

(Do Matki) [Paryż] 3. stycznia 1822.

...Ja tu na nowo rozpocząłem ciąg nauk moich i powoli gotuję się na egzamin prawny, którego jednak przed miesiącem nie odbędę. Kursa, na które chodzę, są naprzód prawne. Lecz na te dlatego tylko chodzę, by nie być naznaczonym jako nieprzytomny; profesorowie bowiem, których nam na ten rok przeznaczyli, są, jak sam mój korepetytor wyznaje, ludzie tak mierni, że czas na ich lekcyi spędzony jest prawie czasem straconym. Ogólnie mówiąc, nauka prawa bardzo tu jest zaniedbana, a to z woli samego rządu, który się głów myślących lęka. Lecz kursa bardziej mnie obchodzące są: 1. historya konstytucyi angielskiej, wykładana przez pana Guizot, który tu jest najlepszym ze wszystkich nauczycieli, co do przedmiotów moralnych; 2. historya starożytna pana D'Arnaud'a, który także jest nauką znakomitym, a nakoniec kurs ekonomii politycznej pana Saya. Kursa te wraz z lekcyami talentów, lekcyą prawa i ekonomii politycznej u Maliszewskiego tak mi czas zabierają, że żadnej we dnie godziny nie mam, którąbym mógł rozrządzać.

Niemałą mi radość sprawiła wiadomość, że [Alexander] Wielopolski tu może przyjedzie. Zaraz poszedłem się dowiedzieć od innych tu bawiących Polaków, co może, oszczędnie rachując, kosztować utrzymanie jednej osoby w Paryżu. Powiedzieli mi, że stancya, stół, pranie, światło i opał mieć można za 350 dukatów na rok. Inne zaś expensa oznaczone być nie mogą, bo zależą od położenia i charakteru osoby. Pobyt w Paryżu jak mnie przyjemnym, tak Wielopolskiemu sądzę, żeby był użytecznym. Dosyć zaś jest silnego charakteru, by nie był dla niego niebezpiecznym.

Największą moją zabawą w Paryżu jest koń mój, na którym prawie codzień jeżdżę, raz na kursa pana Saya, które są bardzo od nas odległe, raz znowu w godzinach, będących między kursami, a podczas których nie wiem, gdzie się podziać.

Tego roku trochę więcej osób widuję, niż przeszłego. Anusia mi niektóre wizyty w puściźnie zostawiła, jakoto u xiężny de Beauveau i u pana Sargau. Byłem także na balu u pani Komarowej, gdzie, mimo mocnego przedsięwzięcia nietańcowania, dałem się mazurkowi skusić.

17.

(Do Matki) [Paryż w marcu 1822.]

Odbyłem nareszcie egzamin, który Mamę tak bardzo obchodził i bardzo szczęśliwie, bo od wszystkich profesorów dostałem białe gałki, co się bardzo mało tylko uczniom zdarza. Bardzo mnie pomyślność ta ucieszyła, nie dla mnie, bo wszystkie egzamina uważam, jak grę w karty, w której trochę na umiejętności a najwięcej na szczęściu zależy, ale dlatego, że wiedziałem, iż to będzie Mamie przyjemnem. Pierwsza więc moja myśl, gdym się o skutku mego egzaminu dowiedział, obróciła się ku Mamie. Na dokończenie dnia tego poszedłem z panem Okraszewskim na rzecz zupełnie mi dotychczas nieznaną, t. j. na bal do Opery. To i dwa wieczory, z których jeden u pani Nonclaire, znajomej panny Cardeur, drugi

u pani Komarowej, składają całą moją zapustową zabawę. Wieczór u pani Komarowej był bardzo zabawny, prawie sami tylko Polacy na nim byli i tańcowaliśmy kilka mazurków i walców. Mogę powiedzieć, że od tego czasu, jak jestem w Paryżu, nigdym się jeszcze tak nie bawił. Lecz to niewiele za tym balem dowodzi, bo jeśli tu niewiele mam czasu, żeby się nudzić, to przynajmniej nigdym się nie bawił. Życie tu moje jest niezmiernie jednostajne i co zrobiłem wczoraj, to robię dziś, to zrobię jutro. Jedyną moją rozrywką jest koń, a przeto więcej niż kiedy czuję przyjemność w jeżdżeniu konno.

Dobrze się stało, żem wczoraj listu mego nie skończył, bo właśnie wczoraj wieczór, gdym się tego najmniej spodziewał, przyjechał Wielopolski. Łatwo pojmie Mama radość moją, gdym go wchodzącego zobaczył. Jeszcze nie miałem czasu z nim wiele mówić, ale w przyszłym moim liście napiszę do Mamy, co mi się o nim zdaje.

Ja się teraz więcej niż kiedy zatrudniam muzyką i ona stanowi jedną z głównych moich rozrywek. Najmilsze moje wieczory są te, które mogę sam u siebie śpiewając, albo z gitarą przepędzić. Mam bardzo dobrego, a szczególniej bardzo gorliwego metra do śpiewania. Oprócz lekcyi schodzimy się wszyscy jego uczniowie co niedzielę do niego i tam chóry śpiewamy przez dwie, a często i trzy godziny. To jest bardzo dobrem ćwiczeniem. Niekiedy idę na włoski teatr i tam mam dobre wzory do naśladowania. Ze wszystkich teatrów ten nadewszystkie przekładam i częściejbym na nim bywał, gdyby kto w domu gust ten ze mną dzielił. Przyznam się na hańbę moją, że tutejszy sposób grania tragedyi tak mi się zdaje nienaturalnym, tak mi jest przeciwnym, że mnie wcale pierwszy teatr francuski nie bawi...

18.

(Do Matki) [Paryż, marzec 1822.]

Korzystam z odchodzącej jutro okazyi, by do Mamy tych kilka słów napisać. Młody człowiek, który Mamie

list ten wręczy, jest Komarowski, Galicyanin, który z Adamem Zamoyskim do Paryża był przyjechał, a teraz dla familijnych interesów musi wracać do Polski. Widywałem go tu dosyć często i on będzie mógł Mamie o mnie mówić. Ile razy widzę kogo, do Polski jadącego, zawsze mnie zazdrość bierze i chciałbym jego miejsce zabrać. Nigdy mi się Paryż i Francuzi nie podobali, a teraz coraz mniej jeszcze mi się podobają. Z początku sądziłem, że takie wrażenie na mnie tylko robili, lecz potem przekonałem się, że wszyscy prawie tu bawiący Polacy tegoż samego doznali. Dlatego też jak zbawienia czekam chwili, w której będę mógł tę dziurę opuścić.

Wielopolski, który tu był przyjechał, wyjechał od tygodnia do Getyngi i tam zamierza sobie z rok zabawić. Wyjazd jego stąd i mnie i jemu był bardzo przykry. Spodziewaliśmy się z rok z sobą zabawić. Lecz poznawszy bliżej Paryż, wolał do Getyngi pojechać.

Ja się zaczynam gotować na mój drugi egzamin, który — nie wiem jeszcze — kiedy zdam. Nie spodziewam się tak pomyślnego z niego jak z przeszłego skutku, bo procedura, z której mnie będą egzaminowali, wymaga wielkiej pamięci, ja zaś jej nie mam, szczególniej do zapamiętania wszystkich formalności bardzo użytecznych dla tych, którzy z prawa rzemiosło robią, lecz które ja w kilka dni po egzaminie zupełnie zapomnę. Ogólnie znajduję, że tu prawo bardziej za rzemiosło, niż za naukę uważają i dlatego też wszyscy tutejsi uczniowie prawa, mnie jednego wyjąwszy, uczą się prawa, jak szewc robienia trzewików, to jest na to, aby mieć z tego kawałek chleba...

19.

(Do Matki) [Paryż, maj 1822.]

...Teraźniejsze położenie Mamy między córką słabą a przyjaciółką [hr. Wincentową Krasińską] konającą, do jakiego stopnia musi być smutne, łatwo sobie wyobrazić możemy. Wszyscy, którzy tylko kiedykolwiek znali panią

Krasińskę, muszą jej mocno żałować, niełatwo bowiem tak zacną kobietę znaleźć można; lecz dla jej syna [Zygmunta] szczególniej strata będzie nieodżałowaną, ona bowiem jedna mogła go była od złego wstrzymać i ku dobremu zwrócić.

Ja tu jak dawniej ciągnę moje nauki i już wkrótce zacznę się na drugi egzamin gotować, którybym chciał zdawać przed wakacyami, tym bowiem sposobem miałbym trzy miesiące wolnego czasu, podczas których mógłbym jakąś małą podróż odbyć. Trudnię się także dosyć muzyką. Metr mój śpiewania ma co poniedziałki repetycye, na których się wszyscy jego uczniowie schodzimy i razem śpiewamy, a gdy się dobrze kilku kawałków nauczymy, wtenczas daje wielki koncert, na którym się popisujemy. Właśnie temu dwa dni był u niego taki koncert, na który więcej 100 osób zaprosił i to pierwszą kompanię paryską, śpiewałem ja na nim nie tylko w chórze, ale nawet jedno solo, które mówią, że mi się nieźle udało, chociem się tak bał, żem nic ni widział, ni słyszał; dziś także śpiewam na koncercie u pana Maliszewskiego.

Niech mi Mama napisze, co ze mną myśli robić? Jak jeszcze długo mam w Paryżu bawić, a z Paryża dokąd pojadę? Zupełnie tu prawo skończyć byłoby, jak mi się zdaje, wielką stratą czasu, boby jeszcze trzech lat potrzeba, a z tego wielkiej korzyści nie widzę, cały bowiem ten czas poświęcony jest nie poznaniu ducha prawa, ale uczeniu się prawie na pamięć pięciu francuskich kodexów, które są jeszcze bardzo dalekie od doskonałości...

20.

(Do Matki) [Paryż, lipiec 1822.]

...Ponieważ się Mama pyta o moje zdanie względem mego dalszego wychowania, szczerze więc Mamie napiszę, coby mi się zdało najlepsze, jakbym sobie postąpił, gdybym od siebie zależał.

Żeby tu skończyć szkołę prawa, trzebaby mi jeszcze przynajmniej dwóch lat, a może i półtrzecia roku. Czas ten podług mnie byłby, jeśli nie całkiem, to przynajmniej wpół straconym. Sądziłbym więc, że najlepiej byłoby już się więcej na prawo tu nie zapisywać, tem bardziej, że teraz dostawszy świadectwo, innego już nie mogę aż za dwa lata dostać.

Już dla mnie minął ten wiek, w którym jedyną nauką są kursa i prace robione pod okiem profesora; już mi się insze, trudniejsze do uprawiania, ale też daleko ważniejsze pole do nauki otwiera. Tem są ludzie, uważanie ich zwyczajów, potrzeb, cnót i wad. Dlatego też teraz dopiero podróże zaczynają mi być użytecznemi. Sądziłbym więc, że podróż po całej Francyi mogłaby być z wielką dla mnie korzyścią. Mógłbym więc september północnej, oktober południowej Francyi poświęcić. Czas ten może się Mamie długi zdawać będzie, ale ja znajduję, że przyjechać do miasta, żeby obejść wszystkie ulice, place i kościoły, nie jest podróżowaniem. Chciałbym w każdem znaczniejszem mieście dosyć zabawić, by widzieć wszystkie główne zakłady i poznać znaczniejsze osoby.

Ponieważ mam nadzieję, że już nigdy nie będę przymuszony wrócić do Paryża, sądziłbym więc, żeby nie od rzeczy było po tej podróży z parę miesięcy poświęcić poznaniu Paryża pod względem światowym. Czas ten wcaleby dla mnie nie był czasem straconym, zawszebym dalej ciągnął moje prawo, a przytem wydoskonaliłbym się w muzyce. Nie chodząc na kursa, miałbym więcej czasu do pracy, bo szczerze mówiąc kursa są tylko wielką stratą czasu, a żadną nauką, szczególniej tutaj, gdzie każdy profesor wydał dzieło, które co rok odczytuje i nic do niego nie dodaje ni ujmuje.

W styczniu mógłbym wyjechać do Anglii, skąd po 6 lub 8 miesiącach sądziłbym, iżby najkorzystniej dla mnie było wrócić do Polski, w której pobyt przynajmniej półroczny byłby dla mnie bardzo korzystnym ze wszystkich względów. Sądziłbym nawet, że pobyt ten uskute-

cznić przed podróżą do Anglii nie byłoby od rzeczy. Jakby mi było potrzebne lepiej poznać Polskę, codzień to czuję w moich pracach, ile razy bowiem chcę się zastanowić nad sposobem, jakimby można jaką prawdę zastosować, wstrzymuje mnie nieznajomość kraju. Cóż zaś po prawdzie bez jej zastosowania? Co do Niemiec, tebym po Polsce odwiedził.

Taki jest mój projekt. Nie wiem, jak go Mama i najwyższa rada przyjmie. Nie byłbym go podał, gdyby Mama nie była tego żądała...

21.

(Do Matki) [Paryż, wrzesień 1822.]

...Musiała już Mama odebrać list, w którym jej o szczęśliwym skutku mego egzaminu donoszę, dlatego więcej o nim nie piszę[8]. Bardzo teraz kontent jestem, bo wolny od kursów i nudnej pracy gotowania się na egzamin mogłem do zwyczajnych moich zatrudnień wrócić. Dwóch tylko rzeczyby mi potrzeba, żebym mógł zupełnie przyjemnie pracować: 1. żebym był daleko od hałasów i smrodów miejskich; 2. gdybym po pracy wśród mojej familii spoczywał. We wszystkich moich marzeniach szczęścia zawsze są te trzy warunki, żebym był na wsi, w Polsce i w familii.

Po egzaminie moim byłem trochę przez dwa dni słaby, to, jak się zdaje, po części z pracy pochodziło. Jestem raczej do obozowego lub wiejskiego niż gabinetowego życia stworzony i tak mnie praca pokojowa morduje, że po kilku dniach długiego nad książkami siedzenia ledwie mam siłę przejść przez ulicę...

22.

(Do Matki) [Paryż] 4. Oktober 1822[9].

...Ważniejsze rzeczy nie pozwoliły mi dotychczas nic Mamie o mojej do Akwisgranu podróży napisać, dziś więc ją Mamie opiszę.

Wielkie miałem w otrzymaniu paszportu trudności i korowody, a to z mojej winy, żem się jeszcze tutejszemu ambasadorowi naszemu nie prezentował. Po kilku dniach lataniny otrzymałem go nareszcie i zaraz po kilku godzinach wyjechałem kuryerem. Jest to bardzo wygodna i prędko jadąca kareta, z której dwa razy tylko co 24 godzin wysiadać wolno. W miastach, do wysiadania przeznaczonych, właśnie tyle dają czasu, ile potrzeba, żeby obiad zgotować, gdy zaś nadchodzi chwila jedzenia go, przychodzi kuryer i każe czem prędzej siadać. Jeśliby się nie pośpieszyć, możnaby bezpiecznie, miejsce zapłaciwszy, resztę drogi odbyć piechotą. Tym sposobem po dwóch dniach i trzech nocach poszczenia i tłuczenia się po niegodziwym bruku zajechaliśmy nawpół tylko żywi do Akwisgranu. Ja byłem tylko zmęczony i jak wilk zgłodzony, lecz pan Okraszewski, którego zdrowie jest dość delikatne, przyjechał dosyć słaby i po kilku dniach dopiero zupełnie wrócił do siebie. Bardzo mi miło było widzieć Ciocię [hr. ordynatowę Zamoyskę] i Celinę [z Zamoyskich hr. Działyńskę], a przytem oddalić się od smrodów i hałasów Paryża. Niewypowiedzianą mi także rozkosz sprawiała myśl ta, że o stokilkadziesiąt mil zbliżyłem się do Polski i że za 6 lub 7 dni drogi mógłbym Ojczyznę oglądać, mówić i słyszeć po polsku mówiących. Lecz jeżeli było miło zbliżać się, jakże znowu przykro było się wracać.

10 dni bardzo przyjemnie w Akwisgranie przepędziwszy, najęliśmy sobie miejsca na powrót. Dyliżans był na 4 osoby zbudowany, lecz dla większego zysku 7 nas tam wpakowali. Szczęściem tak powoli jechali, że mogłem przez cały dzień iść piechotą. Nad wieczorem przesiedliśmy się na całą noc do karety, w której nas 9 siedziało. Ja miałem po jednej stronie rzemieślnika, który przewędrowawszy cały dzień, w nocy siadł do karety i teofilpolskimi z nóg zapachami nam kadził. Z drugiej strony była mamka, której dziecko słabe było na żołądek, a naprzeciwko miałem starego Holendra, który przed wyjazdem opiwszy się piwa, zapalił sobie fajkę i mieszany

dym z zapachem piwa na mnie dmuchał. Dodać do tego potrzeba, że podróżni, bojąc się wiatru nocnego, prócz jednego wszystkie pozamykali okna. Mimo tych wszystkich przyjemności i wielkich mdłości, które mi dokuczały, już nad rankiem miałem zasnąć, gdy raptem czuję, że mnie coś łapie za nogi i zaczyna mi je aż pod brodę podnosić. Był to mój sąsiad rzemieślnik, który, aby sobie zrobić wygódkę, położył się był na spodzie karety, a ponieważ mu moje nogi przeszkadzały, zaczął je do góry podnosić. Wytłumaczywszy mu jednak, że one tak na powietrzu utrzymać się nie mogły, wyrobiłem sobie małe na nie miejsce. Tym sposobem zajechawszy na granicę francuską, znowuśmy się kuryerem wybrali, który tą razą był dla nas litościwszy i dał nam dwa obiady zjeść. Mimo tego wszystkiego bardzo byłem z mojej podróży kontent, zwiedziłem bardzo piękny kraj i z różnych względów ciekawy...

23.

(Do Matki) [Paryż, październik 1822.]

...Nie wiem, co Mamie myśl tę podać mogło, że ja sobie prawo sprzykrzyłem i że chciałbym go porzucić. Prawda, że nauka ta nie jest mi zabawna ni wesoła, lecz też i ja nie jestem takie dziecko, żebym chciał tylko to robić, co mnie bawić może i żebym w naukach nie uważał ich użyteczności. Wreszcie najlepszy dowód, iż ja prawa zarzucić nie myślę, jest, iż korzystałem z wakacyi, aby się wziąć do prawa angielskiego. Zamiast czytać nudne romanse, aby się wydoskonalić w angielszczyźnie, kupiłem prawną książkę, którą prawie bez pomocy słownika rozumiem. Lecz wkrótce będę musiał nieco na bok odłożyć moją angielszczyznę, by się na nowy egzamin gotować, który spodziewam się w lutym odbyć.

Za pierwszą pewną okazyą odeszlę Mamie moje świadectwo bakałarza, na pergaminie drukowane z podpisami tutejszych naczelników edukacyi. Jest to rzeczą

dziwną, że czy najlepiej czy najgorzej odbyć egzamin, zawsze świadectwa dają jednakowe. Żeby tu skończyć, potrzeba jeszcze rok chodzić i zdać trzy egzaminy, poczem dostanę drugie świadectwo. Na ten ostatni rok na dwa tylko kursa obowiązany jestem chodzić, to jest zawsze kodeks cywilny i kodeks handlowy. Kursa te skończą się w czerwcu na przyszły rok, lecz z egzaminami nie skończę aż około kwietnia 1824.

Nie wiem, kto Mamie powiedział lub napisał, że ja tak jestem zasmucony i zniechęcony mojem bawieniem tutaj. Prawda, że sądziłem, iż mógłbym gdzieindziej korzystniej czas przepędzić jak tutaj, że mocno życzyłem sobie Polskę odwiedzić, ale ponieważ Mama inaczej postanowiła, stosuję się do Jej woli bez żadnego zmartwienia ni zniechęcenia. Nie lubję Paryża i nigdybym tu na zabawę nie przyjechał, ale nie jest w moim charakterze smucić się z tego, co się nie tylko nieszczęściem, ale nawet nieprzyjemnością nazwać nie może. Wreszcie jestem zdrów, zawsze wesoły i tyję niezmiernie. To wszystko nie dowodzi melancholii...

24.

(Do Matki) [Paryż] 10. Novembra 1822.

Odebrałem list, który mi Mama napisała z ultymatem; bardzo mnie on ucieszył, lecz ponieważ się Mama na mnie składa, powiem, co myślę zrobić.

Już tegoroczne kursa w Edynburgu są zaczęte, dlatego nie mam potrzeby się spieszyć, a że chciałbym jeszcze trochę nad prawem rzymskiem popracować, zostanę więc w Paryżu do końca stycznia; przez ten czas będę się w języku angielskim i w muzyce doskonalił. Pierwszych dni lutego wyjadę do Polski, trzeba mi będzie całego miesiąca jazdy, bo Okraszewski dla słabego zdrowia nie może dniem i nocą jechać. Cały marzec i kwiecień zabawię w Polsce, a w maju pojadę do Londynu. Ponieważ się kursa nie zaczynają aż w oktobrze, będę

więc miał cztery miesiące, przez które poznam Anglię i Londyn, a szczególniej poznam wymowę Anglików, której tu nauczyć się nie mogę, a bez znajomości której nie mógłbym profesorów rozumieć. Od oktobra 1823 do czerwca 1824 siedziałbym w Edynburgu, poczem wrócę do Polski *deffinitive*, mając lat 22 skończonych i zdolny do interesów, jeśli mnie Mama do nich zechce użyć.

Taki jest mój projekt. Niech go Mama co do ogólnych zasad nie odmienia, bo z odmian wahanie, a z wahania strata czasu i nic dobrego nie wyniknie. Ostatnich więc dni lutego staję w Radzyniu, gdzie się o moim pobycie w Anglii dowoli rozmówimy...

25.

(Do Matki) Paryż, 10. grudnia 1822.

...Wrócił już z Werony x. Konstanty [Czartoryski], widziałem się wczoraj z nim i umówiliśmy się względem mego przyszłego losu: na tośmy się zgodzili.

Pierwszych dni stycznia wyjadę do Edynburga i tam będę u pana Pillansa mieszkał. Mógłbym tam wprawdzie równie dobrze i za tańsze pieniądze się umieścić, lecz u Pillansa i przy Adasiu [Czartoryskim] mnie wiedząc, spokojniejszą Mama będzie. Z 8 lub 10 miesięcy w Edynburgu przepędziwszy, kilka miesięcy użyję na podróżowanie po Anglii, Szkocyi i Irlandyi. Tym sposobem podróż moja pociągnie się z półtora roku, po którymto czasie wrócę *deffinitive* do Polski. Z pozwolenia Mamy bywania w świecie już nie tu, lecz w Anglii korzystać będę...

26.

(Do Matki) [Paryż] 9. stycznia 1823.

...Z listu Mamy widzę, że z pozwolenia może nic nie będzie. Jeśli z jednej strony szkoda, może też z drugiej

i lepiej, że prędzej wrócę i będę mógł Mamie pomagać w interesach. Wreszcie czy w jednym czy w drugim razie sądzę, że lepiej jechać do Anglii; jeśli tam nie będę mógł półtora roku zabawić, 6 miesięcy pobytu nie będzie bez wielkiej dla mnie nauki. Jeśli nie można za 100, to dobrze choć za 25 korzystać. Gdybym nie otrzymał pozwolenia, wtenczasbym w Edynburgu siedział tylko dwa lub trzy miesiące, którebym poświęcił poznaniu rachunkowości, handlowi i doskonaleniu się w języku angielskim; resztę czasubym przepędził w znaczniejszych handlowych lub rękodzielniczych miastach. Podług mnie sto lekcyi najbieglejszego profesora ekonomii politycznej tyle nie nauczą, ile kilka rozmów z światłym i rozsądnym kupcem lub fabrykantem. Siedzenie w Edynburgu uważam tylko za przygotowanie do podróży, któreby było czczem, gdybym potem kraju nie objechał.

Podług mnie nauka administracyi jest zupełnie jak chemia, która wtenczas tylko jest nauką, nie zaś czczą gadaniną, kiedy się odbywa w laboratoryach przy ogniu. Laboratoryami w ekonomii politycznej są kraje, te poznawać jest podług mnie najwyższą nauką...

27.

(Do Matki) [Londyn] 23. lutego 1823.

...Wreszcie z Londynu piszę do Mamy. Jestem tu od kilku dni i jeszcze z zadumienia wyjść nie mogę. Jak tu wszystko inaczej i jak lepiej, jak na stałym lądzie! Jeśli wielka jest różnica między Polską a Francyą, to jeszcze sto razy większa między Francyą a Anglią. Sam nawet Paryż w porównaniu z Londynem nie zdaje mi się, jak tylko małą mieściną. Jedno tu tylko złe, że wszystko niezmiernie drogie, a raczej, że pieniądze są niesłychanie tanie. Jak u nas złotówki, tak tutaj są gwinee, czyli sztuki złota, wartające 40 złotych. Sama przeprawa przez morze i nocleg w Dowrze więcej mnie kosztowały, niż cała podróż z Paryża do Calais.

Anglikom jeszczem się dosyć nie przypatrzył, żebym coś o nich Mamie mógł napisać. Z jednej dopiero ich strony poznałem, to jest z niezmiernej gościnności. Ci wszyscy, których w Paryżu poznałem, tak się tu mną opiekują, jakby własnym synem, pokazują mi wszystkie ciekawości, między któremi są rzeczy, do których nic się na lądzie równać nie może.

Jeśli tu niema tak wspaniałych rządowych budynków, jak w Paryżu, to wogóle miasto jest daleko piękniejsze i wspanialsze, a szczególniej daleko czystsze. W apartamentach nawet najnędzniejszych wszystkie potrzeby są przewidziane i rzeczy tak ułożone, że niczego więcej żądać nie można. My tu jesteśmy jeszcze jak barbarzyńcy, bo wszystkich tutejszych wygódek i narzędzi używać nie umiemy...

28.

(Do Matki) [Edynburg] 5. marca 1823.

...Piszę do Mamy tych kilka słów, by jej donieść o mojem szczęśliwem przybyciu do Edynburga. Od wczorajszego dnia jestem u pana Pillansa. Jest nas tu tylko trzech: ja, Adaś [Czartoryski] i Lord Russel, syn du Duc de Bedford. Wcale się teraz nie dziwuję, że się Adaś tak prędko do Edynburga przyzwyczaił; mamy tu każdy bardzo wygodne i eleganckie apartamenta, stół, wina bardzo dobre, usługę jak najlepszą, przytem Adaś ma dwa bardzo dobre konie, bywa po wszystkich kompaniach i bardzo jest tu lubianym; jednem słowem takie tu prowadzi życie, co się tyczy wygód i przyjemności, jakiegom ja jeszcze nigdy i nigdzie nie prowadził.

Jeśli niema w Europie kraju wolniejszego nad Anglię, niema też żadnego, w którymby arystokracya i feudalność bardziej istniała. Każdy Anglik umie „*le blason*“ na pamięć i codzień herbarze z pras drukarskich wychodzą. Każdy wielki pan jest tu jak jakie bóstwo czczony przez cały naród. Lecz też przyznać trzeba, że tutejsza szlachta

bardziej jak wszędzie indziej zasługuje na to uszanowanie, wprawdzie nie przez nauki, lecz przez szlachetne polityczne postępowanie.

Nieznośną jest tu dla mnie rzeczą, że chociaż wszystkie książki angielskie rozumiem, nie mogę ni mówić, ni rozumieć mówiących. Wziąłem sobie metra do tego, który mi daje 2 godziny na dzień lekcyi; tym sposobem spodziewam się, że za 15 dni będę w stanie się rozmówić i mówiących rozumieć...

29.

(Do Matki) [Edynburg] 2. kwietnia 1822.

...Odebrałem w tych dniach list, w którym mi Mama każe wracać do Polski. Wyjeżdżam więc z Edynburga 10. tego miesiąca. Lecz ponieważ mnie Mama zapewnia, że żadnej innej niema przyczyny, dla której mam wracać, tylko brak pieniędzy, a że ich mam jeszcze dosyć, niebardzo się więc spieszę z powrotem. Nie wiedząc, czy i kiedy będę mógł wrócić do Anglii, myślę korzystać z okoliczności, aby ciekawsze rzeczy obejrzeć. Przez ten czas także będę się mógł bardziej w języku angielskim wydoskonalić.

Spodziewam się być w Polsce między 1-szym a 10-tym czerwca. Chociaż mało będę miał czasu do poznania interesów, spodziewam się jednak, że już na ten święty Jan będę mógł Mamie być nieco użytecznym. Przewiduję, że pierwszy rok albo dwa mego pobytu w Polsce nie będzie jak tylko ciągłem przenoszeniem się z miejsca na miejsce, póki gruntownie dóbr i interesów nie poznam. Chociaż ta przyszłość nie jest przyjemną, myśl jednak, że już zacznę być trochę w tem życiu użytecznym, bardzo mnie pociesza.

Mając wkrótce Mamę widzieć, nic jej o Anglii nie napiszę. Powiem tylko, że byłem kilka razy na polowaniu na lisy, że szaleję za końmi tutejszymi i że pierwsze

1000 dukatów, które będę mógł na swoje fantazye użyć, będą obrócone na zakupienie ogiera i 5 lub 6 klaczy kursowych do stada. Lecz że tych pieniędzy nie mam, nim moje klacze przyjdą i ich źrebce dorosną, niech Mama będzie łaskawa napisać Jabłonowskiemu, żeby mi ze stada dobrał kilka dobrych wierzchowych koni, gdyż bez dobrych koni wierzchowych i interesa źle pójdą i ja zachoruję...

30.

(Do Matki) Londyn, 7. maja 1823.

...Już nie w Edynburgu, lecz w Londynie odebrałem list Mamy z Radzynia pod datą 13. marca. Już do Edynburga wracać nie warto i pan Pillans jest tak niesłychanie drogi, żeby w bardzo krótkim czasie skarb mój wysuszył. Za jeden miesiąc kazał sobie zapłacić 50 liwrów, co czyni więcej jak 100 dukatów, to za stół i jedną stancyę. W Londynie mam bardzo porządny apartament, w którym mogę wszystkich duków, lordów i ambasadorów przyjmować, mam suty obiad złożony z bochenka chleba, kawałka sera i kwarty piwa i to wszystko mi i 25 liwrów na miesiąc nie wyniesie. Wszystkie wydatki razem wziąwszy, moja ekspens nie wyniesie miesięcznie 50 liwrów. Myślę tu siedzieć do końca maja, stąd pojadę do Paryża na kilka dni i spodziewam się przy końcu czerwca być w Warszawie. Dyliżansem z Paryża do Polski nie mogę jechać, bo dyliżanse w Niemczech są tak złe, że albobym musiał bardzo powoli jechać, albobym mógł zachorować. Mam więc dwa projekty: albo jechać z x. Konstantym, który mówi, że ma jechać do Polski, albo wziąć z sobą Ksawerego mojej siostry, który jest z poczciwości znany. Co do pieniędzy, tych nie potrzebuję, bo ich mam dosyć. Jeśliby mi ich zabrakło, byłaby to bardzo mała sumka, którąbym gdziebądź mógł wziąć, ale nie sądzę, żeby mi się to zdarzyło...

Gospodarstwo

31.

(Do Matki) [Teofilpol] Ruskiego 28. 7-bra 1823.

...Opiszę moje życie, któreby innemu po Paryżu i Londynie mogło się trochę smutne zdawać, lecz mnie się dosyć podoba. Ze wschodem słońca co rano wychodzę lub konno wyjeżdżam oglądnąć fabryki, które są następujące: 1. szkoła, którą spodziewam się zupełnie skończyć przed zaczęciem się przyszłego roku szkolnego; 2. dworek niegdyś Henryka, który teraz od Jaszczewskiego, geometry, nabyłem za inny dworek w Lachowieczyźnie pustkami stojący i który oporządzam dla Hartmanna, sławnego w okolicy doktora, mieszkającego dotychczas w Jampolu, a do którego się co rok niesłychane mnóstwo chorych zjeżdża; dowiedziawszy się o tem, że on tu ma osiąść, już kilka osób najęło sobie tu dworki; 3. dworek bardzo piękny, stawiany przez skarb, lecz kosztem obywatela jednego dla domowego nauczyciela dzieci jego. To wszystko obejrzawszy, wracam do domu, gdzie z Lipińskim i Zaorskim[10] siedzę do 12-tej. O drugiej siadam napowrót na konia, żeby folwarki objeżdżać. W tych są niektóre nasze budowle bardzo porządne, lecz daleko więcej jest starych, walących i prędkiego przestawienia wymagających, na to zaś etat fabryczny jest nadto szczupły, sądzę więc, że na przyszły rok trzeba będzie kilka koni i wołów kupić. Jest prócz tego układ z possesorami, który nie tylko mojem ale wszystkich dobrych gospodarzy zdaniem nie jest dobry; to jest część pańszczyzny na skarb wydzielona, tej possesor nie płaci, a jednak po części zabiera. Sądziłbym, że lepiejby było wymówić sobie prawo brania jej na skarb za zapłatą. Tak dzień spędziwszy, wieczór książkom i lulce poświęcam. Byłem także przymuszony kilka podróży odbyć, niektóre dla wesela Wiktora Czackiego z córką xięcia Mikołaja Sapiehy, inne zaś dla interesów, a szczególniej

dla sprawy z Żeromskim, zastawnikiem Korabiówki, którego spodziewam się wyrugować i odebrać szkody przez niego porobione. Byłem także w Sławucie, gdzie się gospodarstwu przypatrzyłem. Byłem także w Medwedówce u xiążąt Czetwertyńskich. Dziś jadę do Winnickiego, a stamtąd do Wołosowiec, gdzie jest mój szwagier od kilku dni...

32.

(Do Matki) Z Szydłowca 18. czerwca 1824.

...Przy interesach nie zapominam i o zabawach: te na wsi nie mogą być tego, co w mieście, rodzaju: modne panie chłopkami, elegantów parobkami zastąpiłem i sam po krakowsku ubrany przez trzy dni na weselach jak waryat tańczyłem. Chłopi dobiesławscy tak się prędko ze mną poznali, że gdy mnie raz kobieta do tańca prosiła, a ja odmawiałem, chłop blizko stojący powiedział: „co tam jego prosić, bierz gwałtem“. Ta poufałość tak mi się podobała, że potem robili ze mnie, co tylko chcieli, sami mnie rozbierali i w swoje kierezye, pasy i czapki ubierali; chłopy mi kierezye i pasy przypinali, dziewki kwiaty u czapki i fawory u koszuli. Tych ostatnich prostota i niewinność połączona z największą i najzręczniejszą kokieteryą bardzo mnie zabawiła i dowiodła, że kobiety wszystkich stanów i wieków są sobie podobne. Jak w Paryżu, Londynie i Warszawie widziałem w Dobiesławicach ładne kokietki, stare plotki, młodych zalotników i mężów zazdrosnych...

Podróż do Odessy

33.

(Do Matki) Z Odessy 27. lipca v. s. 1824.

Zdziwi się zapewne Mama, odbierając odemnie list datowany z Odessy. Wcale o tej podróży nie myślałem i bawiłem od kilku dni w Ostrogu, gdy raptem odbieram

z Teofilpola kozaka z listem od Jasia Zamoyskiego, który mnie prosi, abym czemprędzej do Teofilpola jechał, gdyż koniecznie chce się ze mną widzieć, nie ma zaś czasu czekać. Siadam więc natychmiast na konia i wytrząsłszy się całą noc przyjeżdżam do Teofilpola, gdzie Jasia już na wyjeździe zastaję. Pytam go się, dokąd tak spieszy, powiada mi, że do Odessy i namawia, abym mu towarzyszył. Po niedługich ceremoniach przystałem i teraz siedzę, spoglądając na morze Czarne.

Cały kraj, przez który się jedzie, jest bardzo ciekawy: od Tulczyna, a bardziej jeszcze od Bałty zaczynają się stepy Ukrainy i Besarabii. Tam cały dzień czasem jechać można, nie spotykając innych mieszkań, tylko małe budki, w których są konie pocztowe. Na przestrzeni przeszło 300 werstw nie spotkaliśmy tylko dwa miasteczka: Dubosary i Tyraspol. Te miasteczka są bardzo ludne, wielkie, porządnie zabudowane i bardzo wszystkie nasze polskie miasteczka przechodzą. Ziemia niesłychanie ma być żyzna, lecz tego teraz nie widać, bo wszystko szarańcza wyjadła. Lud w Besarabii ogromnego wzrostu i siły.

Odessa jest bardzo ładne miasto, zupełnie z ciosowego kamienia stawiane; brak innych materyałów do budowy sprawuje, że sameż chałupy chłopskie są z kamienia murowane. Większa część dachów zielono malowanych daje temu miastu zupełnie dziwną z daleka postać. Mieszkańcy tego miasta są mieszaniną, złożoną z Greków, Rosyan, Polaków, Włochów, Anglików i Francuzów. Żydów także jest bardzo wielu, lecz najwięcej tureckich; przytem są także ludzie różnych hord tatarskich, Ormianie, Mołdawianie etc. etc. Wszyscy tu w narodowym chodzą stroju, co sprawuje dziwny widok. Odessy handel jest bardzo znaczny, codziennie przychodzą i odchodzą statki różnych narodów. Wysyła bardzo wiele zboża i za to bierze wszelkie tureckie, francuskie i angielskie towary: najwięcej zdaje się zakupuje wina i tytoniu. Wszelkie towary zagraniczne są tu po niczemu, to nam daje tentacye, lecz szczupła kieszeń je ukróca. Poznawszy miasto, chcemy objechać ciekawsze okolice, a szczególniej Krym...

34.

(Do Matki) Teofilpol, 15. października n. s. [1824].

Odbyłem teraz podróż niezmiernie ciekawą i która zupełnie myśli moje w wielu rzeczach odmieniła. Byłem w Odessie, z Odessy, jak już Mamie pisałem, odbyłem podróż do Krymu. Wróciwszy do Odessy graf Witt zaproponował, abym z nim do posieleń jechał, jak już Mama także wiedzieć musi przez list, którym do mego szwagra pisał. Te wszystkie podróże dowiodły mi, jak my Polacy mylimy się, sądząc, że możemy coś dobrego naszemu krajowi zrobić, gmerając w Warszawie. Jeślibym więc kiedy mógł wyjść z mego komisarskiego życia, zarazbym do Petersburga jechał i tam starał się zrobić sobie karyerę. Lecz na nieszczęście przewiduję, że nigdy jak tylko bronowłóką nie będę...

Służba publiczna

35.

(Do Matki) Warszawa, 23. marca 1825.

Już z Warszawy piszę do Mamy, gdzie zapewne długo zabawię. Byłem wczoraj u xięcia Lubeckiego, mego przyszłego naczelnika, który mi kazał jutro stawić się do jego biura. Nie wiem jeszcze, do czego myśli mnie użyć, sądzę, że przy boku trzymać mnie będzie. W przyszłym moim liście będę mógł Mamie coś pewnego o tem napisać. Jędrzej [Zamoyski], który od 3 miesięcy wszedł do rządu, już obsypany jest godnościami. Mianowali go referendarzem stanu, przywiązanym do komisyi spraw wewnętrznych i radcą w wydziale komisyi oświecenia, trudniącym się założeniem szkoły politechnicznej. Wątpię, żeby na mnie tyle zlano honorów, lecz to mnie wcale nie smuci, uważam to bowiem za szkołę, w której będę mógł poznać sprawy publiczne, nie zaś za karyerę, w którejbym mógł się wynieść albo stać się użytecznym...

Pierwsza podróż do Petersburga

36.

(Do Matki) Petersburg, 14. listopada 1827.

Korzystam z momentu wolnego, aby do Mamy te kilka słów napisać z Petersburga, dokądeśmy bardzo szczęśliwie zajechali. Wszystko tu jest nadspodziewanie piękne i wspaniałe, jedna mi się tylko rzecz niezmiernie nie podoba, to jest ogromna drogość, jaka tu panuje. Życie tu jest, jeśli nie droższe, to przynajmniej na równi z Anglią, a przytem taki tu zbytek panuje, że człowieka z błotemby zmieszali, gdyby pewnych wydatków nie czynił. Dotąd chodzę piechotą, ale widzę, że jeśli zechcę cokolwiek Petersburg poznać i bywać na świecie, nie obejdę się bez karety i to 4 konnej, bo parą końmi tylko kupcom tu wolno jeździć. Taka kareta kosztuje na miesiąc 500 rubli, to jest 900 złp. Najnędzniejszy obiad kosztuje tu 5 do 6 rubli, około 10 zł. i wszystko jest w proporcyi drogie. Aczkolwiek przewiduję, że wskutek tej podróży będę cały rok w palce chuchał, gdy jednak nie często zdarzy się mi tu być, a potrzebuję tu mieć znajomości, odważam się więc na wydatki, bez których się obejść nie można...

37.

(Do Matki) Białogoń, 18. maja 1828.

...Co do mnie, jestem zdrowszy, niż kiedykolwiek, choć bardzo zmęczony; ujeżdżam przeszło 30 mil na tydzień, wszędzie mnie pełno, wszędzie krzyczę, hałasuję. Zawsze mając do czynienia z Niemcami i Anglikami, tak mi się te języki pomieszały, że i po polsku zapomniałem. Jestem opalony, osmolony, okopcony, jak prawdziwy kowal; tak się już kuć nauczyłem, że za kilka czasów mógłbym sobie tym sposobem na chleb zarobić. Zresztą dosyć mi tu dobrze, tylko mnie martwi i gniewa, że mimo

*

wszystkich starań i pracy, robota tak powoli postępuje i że zapewne xiążę [Lubecki] sądząc po rezultatach, będzie sądził, że próżnuję...

Druga podróż do Petersburga[11]

38.

(Do Matki) Petersburg, 16. grudnia 1829.

Po siedmiodniowej podróży zajechaliśmy do Petersburga wcale nie zmęczeni, bośmy dwa razy w drodze nocowali. Zimno tak mocne, kiedyśmy z Warszawy wyjeżdżali, coraz się zmniejszało w miarę, jakeśmy się bardziej ku północy zbliżali, tak, że w dzień wjazdu naszego do Petersburga zupełna była odwilż, która od momentu naszego przyjazdu nie ustała. Dziwna jest rzecz, że gdy w Warszawie tak mocne były mrozy, w Petersburgu raz tylko i to na krótko, mróz doszedł do 10 stopni.

Nie wiadomo jeszcze, jak długo trwać będzie nasz pobyt tutaj. Zdrowie cesarza, jakkolwiek zupełnie niebezpieczeństwem nie grożące, potrzebuje jednak wielkiego starania, tak, że nie wiadomo, kiedy się robota z xięciem będzie mogła rozpocząć. Nie byliśmy dotąd u dworu, a przez to samo i nigdzie na świecie, nawet nie na teatrze. Jenerał Grabowski [Stefan, minister sekretarz Stanu] i jego kancelarya są to jedyne osoby, któreśmy dotąd widzieli...

39.

(Do żony) Pétersbourg, 13/25. Decembre 1829.

Dotąd prawie nigdzie tu nie bywam, wieczory najczęściej w domu z Łęskim [Adamem, Radcą Stanu i towarzyszem podróży] przepędzam przy fajce i gawędzie. W przyszłym tygodniu dopiero się puszczę, jeśli potrafię lenistwo przemódz. U dworu dotąd nie byliśmy. Xiążę minister dziś pierwszy raz prezentował się cesarzowi,

którego zdrowie jest zupełnie dobre, a teraz pojechał do niego na obiad.

J'ai été hier chez madame Szymanowska, la pianiste, qui est fixée ici et s'y trouve assez bien. Voilà à peu près mon buletin...

40.

(Do żony) Pétersbourg, 29/17. Decembre 1829.

Nous voilà déjà tout à fait lancés dans le monde. Nous avons déjà été présentés à la Cour et demain nous sommes d'un bal que donne l'Impératrice dans le palais qu'elle habitait comme Grande Duchesse, c'est un petit bal, ou nous ne serons pas même en uniforme. Hier, lors de la présentation, l'Empéreur et l'Impératrice m'ont beaucoup demandés de tes nouvelles, ainsi que celles de mon oncle [ordynat Zamoyski] et de ma tante. L'Empéreur a encore bésoin de ménagements, mais du reste sa santé est tout à fait rétablie. Nous avons outre cela des invitations pour des bals, soirées et diners pour le reste de la semaine; plusieures de ces invitations sont chez des personnes inconnues ou auxquelles nous n'avons pas encore rendu de visite...

41.

(Do Matki) [Pétersbourg] Ce 1. Janvier 1830.

Petersburg nie przestaje być równie świetnym, jak dawniej. Codzień bale i fety. Dziś mamy bal u dworu, który zapewne potrwa do 5. lub 6. z rana, jutro i pojutrze znowu bale. Ja z Łęskim mamy tu tak ustaloną reputacyę tancerzy, że nas zapraszają nawet osoby nieznajome lub też takie, u którycheśmy jeszcze nie byli...

42.

(Do Matki) Petersburg, 12. stycznia 1830.

Tutaj zabawy idą żwawiej, niż kiedykolwiek i ogromne są przygotowania na resztę zapust. Mieliśmy dwa bale

u dworu, oba niezmiernie wesołe, szczególniej zaś ostatni, który był raczej wieczorem tańczącym niż balem; nie było na nim jak 30 do 40 osób, tańcowano tylko przy fortepianie bez żadnej etykiety dworskiej, ale za to wesoło. W jednym tylko Petersburgu widzieć można, aby u cesarza w siedmiu xiążąt z familii panujących można było bawić się tak wesoło i swobodnie, jak u partykularnego.

Jutro na Nowy Rok mamy ową sławną maskaradę, na której bywa około 20 tysięcy ludzi. W tych dniach będzie dla cesarzowej maskarada, wystawująca cały Olimp. Stanisław Potocki ma w niej główną rolę, będzie w stroju Dyany, Marsa wystawiać będzie jedna pani, ubrana jak stary pruski kirasyer *avec une peruque à trois marteaux.* Wszystko będzie w tym rodzaju. Na te wszystkie zabawy przybył tu xiążę Albert Pruski, najmłodszy syn króla. Spodziewają się także w tych dniach posła tureckiego z całą jego świtą, co także przyczyni się do pomnożenia zabaw...

43.

(Do Matki) Petersburg, 3. lutego 1830.

Zabawy nasze w Petersburgu idą coraz wzrastającym krokiem. Mieliśmy onegdaj wielki bal u xięcia Wołkońskiego i bardzo świetny. Dziś odbieram wezwanie na mały wieczór do cesarza. Są to najprzyjemniejsze, bo najmniej liczne i najweselsze. Cesarz przyjął bale od trzech ambasadorów, tu rezydujących, to jest xięcia Mortemart, lorda Heytesbury i hrabiego Ficquelmont, niemniej od ministra niderlandzkiego. Ponieważ to jest rzecz dotąd niezwykła, aby cesarz bywał u posłów zagranicznych, przeto się ci bardziej jeszcze sadzą jeden nad drugiego. Do powiększenia zabaw przyjedzie za kilka dni poseł turecki z liczną bardzo świtą.

Żona ambasadora austryackiego, pani Ficquelmont, jest dawną Anusi znajomością, jeszcze z roku 19. i 20. Często mi bardzo o Anusi mówi i zawsze każe, abym się jej kłaniał w moich listach.

Już zaczyna być słychać o naszym powrocie do Warszawy. Zdaje się, że wyjazd nasz nastąpi za 4 tygodnie. Krótko tylko zabawię w Warszawie i zaraz do Paryża chciałbym jechać; jak zaś tam długo będę mógł pozostać, to zależeć będzie od rzeczy, o których się tu dokładnie przed wyjazdem wywiedzieć muszę...

44.

(Do Matki) Petersburg, 3. marca [1830].

...Ledwie znajduję moment czasu, aby do Mamy tych kilka słów napisać, gdyż dziś miałem dużo dla xięcia [Lubeckiego] roboty. Jużeśmy tu zapusty pogrzebali i to bardzo wesoło i huczno; a ostatnią niedzielę zapustną (gdyż tu zapusty w niedzielę się kończą) było śniadanie taneczne u grafa Koczubeja, bardzo znaczącej tu osoby. Dwór był na tem śniadaniu, zebrano się o drugiej po południu, miano skończyć o północy, lecz zatrzymano zegary i tańcowano do wpół do trzeciej. Między innemi zabawami jedną z największych były bale maskowe. Na balach publicznych nie tylko cała kompania bywała, ale na dwóch nawet dwór był. W przeszły piątek był bal maskowany u xięcia Wołkońskiego, na którym po zdjęciu dominów wszyscy przyszli w kostyumach. Ja byłem w kadrylu dworskim po peruwiańsku. Chociaż okropnie wyglądałem, jednak mnie strój bardzo dużo kosztował.

O naszym wyjeździe nic dotąd nie słychać i zapewne przed trzema tygodniami słychać nie będzie...

45.

(Do żony) Petersburg, 13. marca [1830].

...Zabawy tu wcale nie ustają. Wczoraj był koncert amatorski, po którym duży wieczór; dziś jest dzień bardzo zatrudniony — o dwunastej repetycya karuzelu

u dworu, do którego cesarzowa należeć będzie, później zaproszeni jesteśmy na obiad, a wieczorem będzie spacer sankami. Jutro cesarzowa zrobi spacer sankami, po którym będzie obiad i będą się z gór lodowych spuszczać, ale do tego jeszcze nie jestem zaproszony i nie wiem, czy będę. Z wolnego czasu korzystam, aby widzieć fabryki koło Petersburga i inne zakłady, co tu wszystko jest na olbrzymiej stopie. Żałuję bardzo, że zima nie dozwala widzieć robót wodnych, które także są niesłychane przez ogrom i zbytek, z jakim są stawiane...

46.

(Do żony) Petersburg, 29. marca [1830].

...Wyjazd nasz stąd zależy od cesarza, który odbył podróż do Moskwy i dopiero od dwóch dni wrócił. Skoro będzie miał xiążę audyencyą, będę mógł z pewnością coś o wyjeździe wiedzieć i natychmiast Ci napiszę. Drogi są teraz okropne dla ciągłych odelg; w samemże mieście było kilka dni, podczas których trudno było przejechać z ulicy na ulicę, dlatego przewiduję, że podróż moja dość będzie długo trwała, a przynajmniej podróż do Berlina, bo dalej zastanę zupełną wiosnę...

Z zabawami bardzo się uspokojono; u dworu mamy tylko karuzel, którego repetycye raz lub dwa na tydzień się powtarzają; mówią, że w tym tygodniu będzie sam karuzel. Jest w nim 16 par, robimy rozmaite figury i zwykle kończy się to przez kotylion na koniu. Ciągnięto losy, komu jaka dama przypadnie. Mnie dostała się xiężniczka Urusow. Prócz karuzelu bywają wieczory nieliczne, ale dosyć przyjemne, najwięcej zaś miewamy teraz obiadów, szczególnie zaś u posłów zagranicznych.

Ma wkrótce wyjechać ambasador francuski [x. Kazimierz L. W. Mortemart] z kilkoma młodymi ludźmi ze swojej świty. Jeśli przed nim nie wyjadę, napiszę Ci przez niego — mam jednak nadzieję przed nim stanąć w Paryżu...[12].

47.

(Do żony) Varsovie, 18. Mai 1830.

...J'ai demandé au prince Lubecki un congé illimité, qu'il n'a pu me refuser, je compte donc partir pour Paris dans 15 jours, c'est à dire dans les premiers jours de juin. Il faut avant de partir que j'achève quelques affaires à Varsovie et que je fasse un voyage de quelques jours aux mines, c'est ce que j'ai promis au Prince.

Une fois parti de Pologne ce qui était le plus difficile, mon projet est de rester dans l'etranger jusqu'au printemps prochain...

48.

(Do żony) Varsovie ce 3. Juni [1830][13].

Myślałem, że dziś już będę mógł z Warszawy do Paryża wyjechać, kochana Jadwisiu, lecz mnie kilka interesów jeszcze przez kilka dni wstrzyma. Interesa te są: dział majątku, który już się do końca zbliża. Jeśli przed skończeniem jego wyjadę, znowu będą rzeczy nie wiem na jak długi czas odłożone, wolę więc o parę dni wyjazd swój spóźnić. Sejm podług zwykłego porządku naznaczył komisyę do egzaminowania czynności rządu. Zadano i nam różne zapytania, na które odpowiedzieć muszę. Nadto nie mogę robót, które się na miejscu pod moim kierunkiem odbywały, oduciec bez zaprowadzenia w nich pewnego porządku. Dlatego wyjeżdżam jutro na 4 lub 5 dni do Kielc; to wszystko zabierze mi około 8 dni czasu, — w każdym razie wyjadę przed 15. b. m., a przed końcem miesiąca będę w Paryżu. Te wszystkie spóźnienia tak mnie już nudzą i męczą, że nieraz bierze mnie ochota nikomu nic nie mówiąc posłać po pocztę i wyjechać...

Warszawa bardzo świetna. Cesarz i cesarzowa wczoraj wyjechali na 15 dni i znowu się tu zjadą, ale przed nimi wyjadę.

Mamy tu en fait de grands talents Mr. de Humbolt et Mlle Zontag, l'un parle et l'autre chante admirable-

ment: tous deux ont assistés hier à une soirée chez Anna. Ils y ont attirés un monde énorme qui a manqué les étouffer...

Pobyt za granicą

49.

(Do Matki) Paryż, 6. sierpnia 1830.

...Przeszliśmy przez bardzo dziwne okoliczności[14]. Dotąd panuje porządek, ale czy tak jeszcze długo będzie, jest wielka kwestya. My tymczasem wybieramy się do Dieppe, a stamtąd do Anglii, gdzie czekać będziemy rezultatów tutejszych wypadków, aby wiedzieć, czy można będzie w Paryżu przezimować...

50.

(Do Matki) Londyn, 29. sierpnia 1830[15].

Piszę do Mamy tych kilka słów z Londynu, gdzie od kilku dni bawię. Wróciła mi cała moja admiracya dla tego kraju. Kto nie widział tej doskonałości nie może jej sobie wystawić. Byłem wczoraj u dawnego mego przyjaciela, syna xięcia Bedford. Mieszka on na wsi koło Londynu, ożenił się z kuzyną swoją, śliczną i dobrą osobą i jest proboszczem, któremu to powołaniu poświęcił się z wielkim zapałem. Nie jest to jednak zapał fanatyczny, jak naszych xięży, ale stara się o rozszerzenie religii i moralności; ma szkółkę niedzielną w swojej parafii, w której sam uczy dzieci. Żona jego, sławna w Paryżu i Londynie z piękności, teraz pomaga mu w jego zatrudnieniach, przepisuje mu kazania i tak jest kontenta, że się smuci, ile razy jej wypada opuścić ten zakątek. Podobna prostota nie daje się widzieć, tylko w Anglii. Byłem przyjęty bez żadnych oświadczeń, ale widać było, że mi szczerze radzi byli i że chcieli być użytecznymi w czasie pobytu mego w Anglii. Nie mogę Mamie wyrazić wrażenia, jakie

na mnie zrobiło ich całe pożycie skromne, porządne i wygodne. Tam będąc, uczułem wokacyę do stanu duchownego, ale w Anglii...

51.

(Do Matki) Paryż, 13. Novem. [1830].

...Przyjechałem w tyeh dniach do Paryża widząc niepodobieństwo, by się Jadwisia sama stąd wybrała. Zastałem ją w dosyć dobrym stanie zdrowia tak, że sądzę, iż bez wystawienia się na niebezpieczeństwo możemy się w drogę puścić[16]. Skoro więc pokończę przygotowania do podróży, co mi jeszcze z 10 dni zabierze, wyjedziemy stąd. Gdybym się przekonał o niepodobieństwie jechania, wtenczas albobym w Paryżu, albo w Frankfurcie lub innem mieście niemieckiem pozostał. Nie mogąc otrzymać paszportu z Londynu do Paryża, chciałem o niego do Warszawy lub Petersburga pisać, ale czas był za krótki i byłby styczeń nadszedł, zanimbym był odpowiedź otrzymał, musiałem więc bez paszportu wyjechać. Lękam się teraz, aby to, co było skutkiem konieczności, nie wzięto za nieposłuszeństwo lub złego ducha. Możeby wypadło, aby to ktoś przedstawił wielkiemu xięciu. Niech się więc Mama z xięciem Adamem lub z innymi członkami familii rozmówi, aby się kto podjął, gdyby tego zaszła potrzeba, przedstawić moje położenie i powody, które mnie zmusiły do zgwałcenia rozkazu cesarskiego[17].

Przyjechałem tutaj tylko, aby żonę i dzieci zabrać i z niemi do domu wracać, a zatem tylko w chęci spełnienia tego rozkazu.

Co do mego urlopu, mając wkrótce do Polski wracać, nie uważałem potrzeby żądania przedłużenia i spodziewam się, że krótkie przedłużenie nie będzie mi miane za złe. Tem bardziej nie chciałem o urlop pisać, że za powrotem chciałbym prosić o dymisyę, aby na wsi osiąść, i wziąć się szczerze do interesów.

Życzeniem mojem jest w przyszłym roku zacząć sobie dom stawiać w Dobiesławicach, tam bowiem myślę sobie główną kwaterę obrać...

Misya dyplomatyczna

52.

(Do Matki) Londyn, 30. grudnia [1830][18].

...Ja jestem w Londynie od kilku czasów. Zatrudniam się tu interesem naszej przyjaciółki Oj[czyzny] i póty stąd nie wyjadę, póki będę uważał, że jej mogę być użytecznym. Braknie nam dostatecznej informacyi. Spodziewam się za kilkanaście dni módz Londyn opuścić. Pojadę do Paryża, a jeśli tam nie dostanę wiadomości, odmieniających moje projekta, odwiozę Jadwisię do Drezna na zimę, a sam pojadę do siebie.

Nie pojmuję, że dotąd nie mamy wiadomości z domu, tu ich bardzo oczekują. Xiążę Adam powinienby napisać lub przysłać. Niech mi Mama powie, czy odebrała mój list, pisany już dosyć dawno przez wyjeżdżającego podróżnego. Chciałbym mieć na niego odpowiedź, lub też widzieć jej skutki.

Co do polityki, ta nas bardzo trwoży i z ciekawą niespokojnością oczekujemy pierwszych wiadomości. Poczty zapewne staną się codzień nieregularniejsze i komunikacye trudniejsze...

53.

(Do Matki) Londyn, 12. stycznia [1831].

Przyjazd mój do Londynu nie był wcale, jak Mama zdaje się myśleć, by się odsunąć. Owszem, widząc wpływ gabinetu londyńskiego na paryski, chciałem się przekonać, czego się stamtąd spodziewać mamy i czy się nie dadzą za nami namówić. Teraz, że Wielopolski przyjechał, starałem się mu ułatwić, ile mogłem, przez poro-

bione już znajomości z ministrami; wystawiłem mu stan opinii publicznej i zdanie rządu względem nas; opowiedziałem mu, do czego dążyłem i drogi, któremi starałem się dojść. Tak jemu czynność ułatwiwszy, wyjeżdżam jutro do Paryża, gdzie przypatrzywszy się interesom i pomógłszy Wolickiemu[19], ile będzie w mojej mocy, myślę jechać do domu. Gorąco pragnę widzieć się z xięciem Adamem, gdyż widzę, iż tam zupełnie mają fałszywe wyobrażenia o tutejszych krajach i nie robię nadziei, by to mogło mieć dobry wpływ; robimy romanse cnotliwe, przez to nas tu mają za słabych i wahających się, a przeto sądzą, iż nie warto za nami nawet przemówić. Znając lepiej, niż ktokolwiek, sposób uważania naszej rewolucyi za granicą, sądzę, iż mój powrót będzie użytecznym, gdyż niepodobna się w liście zwierzyć. Wróciwszy, myślę wejść do wojska za cobądź, chyba, że mnie gdzieindziej użyć zechcą, to jednakby mi się zdało najlepszem, gdyż tego najwięcej potrzeba. Jadwisiębym chciał osadzić w Dreźnie lub w Krakowie, gdyby się tam dobrać mogła...

54.

(Do Matki) Paryż, 21. stycznia 1831.

...Odebraliśmy wczoraj list Mamy z d. 10. do Jadwisi pisany. Namawia mnie Mama w nim, abym tu pozostał. Pobyt mój za granicą już był użytecznym i jeszcze nim być może, szczególniej z powodu, iż Wol[icki] zupełnie tu rzeczy wziął na opak, jak już temu dwa dni pisałem xięciu A[damowi]. To było powodem, że dotąd do Pol[ski] nie wróciłem i że jeszcze tu niejaki czas zabawię. Nie wolno mi jednak zapomnieć o tem, co własnej reputacyi winien jestem. Zostając tu z własnej ochoty, myśleć będą w kraju, iż chcę się od niebezpieczeństwa odsunąć i że myślę spokojnie czekać rezultatu rozpoczętej walki. Aby się od podobnego zarzutu zasłonić, muszę albo mieć wyraźny rozkaz tu zostawania, albo też wrócić do kraju. Nadto jeśli tu mam z korzyścią zostawać, muszę mieć pewny sposób korespondowania i odbierać częste

i szczegółowe wiadomości. Z 15 dni tu jeszcze oczekiwać będę listów, poczem zdecydowany jestem Jadwisię osadzić w Dreźnie, jako miejscu taniem i oszczędnem, a sam jechać dalej. Dłużej ociągać się nie mogę.

Z chlubą przeczytałem Mamy imię w gazetach w liście osób składających się. Nie mając sam nic do dania, chciałbym przynajmniej własną osobę przynieść, wolałbym to, niż tu zostać, ale jednak gotówem na wszystko, co mi każą, byle tylko rozkaz zasłaniał mnie od zarzutu nieczynności. Niech mi przynajmniej Mama napisze, iż mój pobyt tutaj jest zgodny z wolą wyższych.

Manifest[20] nasz wielkie tu wrażenie uczynił, oddawnaśmy go pragnęli, teraz trzeba nam tylko wiadomości, iż się wojska naprzód posunęły. Wtenczas dopiero będą o nas seryo myśleć...

Na polu walki

55.

(Do Matki) Warszawa, 27. kwietnia 1831.

Nie miałem dotąd czasu pisać do Mamy kochanej, gdyż ważne interesa ekwipowania i umundurowania się nie dały mi momentu wolnego. Zapewne Mamie już wiadomo przez xięcia Adama lub innego z domu korespondenta, iż jestem w drugim pułku ułanów; miałem wejść do frontu i wybrałem ten pułk jako najtęższy. Lecz teraz inaczej zdecydowano i zostałem adjutantem naczelnego wodza [Skrzyneckiego], który tak ma dobrą o mnie nie wiem skąd opinię, że aż mi strach, abym jej nie odpowiedział. Niech Mamy moje wojskowe godności nie straszą, były one potrzebne dla wpływu cywilnego, jakiego mi potrzeba tam, gdzie mnie użyć myślą, gdyż przeznaczenie moje jest raczej dla spraw cywilnych, niż wojskowych. Może xiążę Adam już pisał, iż mam jechać do generała Dw[ernickiego] *(silence)*. Jako adjutant naczelnego wodza będę miał pewną powagę, której mam

używać, aby mu pomagać w sprawach cywilnych. Wyjazd mój jest o kilka dni spóźniony. Może przez ten czas otworzą się komunikacye *directe*; jak nie, to będę musiał się przez Galicyę przekradać. Niebezpieczeństwa w tem niema żadnego, potrzeba tylko sekretu, aby nie być zatrzymanym i o ten proszę. W głównym sztabie byłem bardzo dobrze przyjętym przez kolegów, a szczególniej przez przełożonych Prądzyńskiego i Chrzanowskiego. Wódz naczelny także zdaje się mieć dobrą o mnie opinię. Nie lubię tych przedwczesnych reputacyi, jest to ciężar do dźwigania i trzeba niemało się napracować, nie już, aby co zarobić, lecz aby na tym samym stopniu się utrzymać.

Zaraz po moim przyjeździe do Warszawy dostałem gorączki katarowej, lecz mi ją Malcz prędko i zupełnie zgoił. Jest to panująca w tym momencie słabość, która i xięcia Adama napadła. Wziął wczoraj na womity, jak ja, nie pomogło mu to jednak tak prędko, jak mnie; jest on jeszcze zmęczony i trochę cierpiący...[21].

56.

(Do Adama x. Czartoryskiego) Zamość, 14. maja 1831.

Już ci zapewne wiadomo, kochany Bracie, iż byłem odkomenderowany do generała Chrzanowskiego i że należę do jego wyprawy [w Lubelskie], z czego bardzo jestem kontent. W głównym sztabie znikałem między innymi adjutantami i do żadnych sekretów przypuszczony nie byłem, gdy tu przeciwnie wiem o wszystkich planach i projektach. Przytem niepodobna mieć lepszego przełożonego jak generał Chrzanowski; niezmiernie jest dla mnie dobry i zdaje się mieć dosyć we mnie ufności. Nie opiszę Ci działań naszych wojskowych, gdyż najlepiej o nich wiedzieć będziesz z raportu naszego generała. Wymknęliśmy się bardzo zręcznie daleko liczniejszemu od nas nieprzyjacielowi: mamy jednak w sobie zaród złego, którego rezultatu bardzo się dla nas lękam. Między ge-

nerałem Chrzanowskim a Romarino panuje najlepsza jedność; lecz generał Skarżyński zupełnie się od tych dwóch odstrychnął. Niemiło mu jest być pod dowództwem Chrzanowskiego, którego uważa za młodszego od siebie wojskowego i z tem się bynajmniej nie kryje. Pozwala sobie głośno przed wszystkimi oficerami ganić wszystko, co tylko się robi, zupełnie zaniedbuje swoje obowiązki, a nawet na polu bitwy zdaje się zupełnie o rezultat nie dbać. Już kilka razy dało nam się to we znaki. Pod Kamionką, gdybyśmy byli żywiej postępowali, bylibyśmy nieprzyjaciela pobili, a może trzy armaty wzięli; na nieszczęście Romarino gdzieś się był w lesie zabłąkał, piechota posyła po rozkazy do Skar[żyńskiego], który jej każe się cofać i sam toż samo czyni bez żadnej przyczyny. W Lubartowie wiedzieliśmy, iż nieprzyjaciel jest blizko, mimo tego konie mieliśmy rozkulbaczone i tak, że gdyby był na nas natarł, byłby całą kawaleryę zniszczył. Pod Starym Zamościem szasery szarżowali; już byli o kilkanaście kroków od nieprzyjaciela, gdy zakomenderowano na odwrót. Nieprzyjaciel wpadł na ich bok i przymusił ich do ucieczki. Wszyscy oficerowie jednomyślnie się zgadzają, iż ta nieszczęsna komenda do odwrotu pochodziła od Skar[żyńskiego]. We wszystkiem widać niechęć i ukontentowanie, kiedy się co nie udaje. To stawia nas w położeniu, iż nie możemy się spuścić na działania kawaleryi, nie może zaś generał Chrzanowski sam przez siebie odebrać mu komendy, a nawet choćby chciał, nie ma komu jej dać. Powinniby koniecznie przysłać mu innego dowódcę kawaleryi, inaczej i wyprawa nasza się na nic nie zda i my tu marnie poginiemy. Czuje to nasz generał, ale nie śmie tego żądać, aby w tem osobistości nie widziano. Przeczytasz, kochany Bracie, w raporcie [generał Chrzanowskiego z 13. maja 1831], iż jestem lekko ranny, jest to nic nie znacząca kontuzya od kuli armatniej w krzyże. Już prawie wcale nie cierpię i mogę służbę pełnić. Zechciej o tem do Mamy napisać, aby ją uspokoić...

57.

(Do Matki) Zamość, 14. maja [1831].

Nie wiem, czy Mamy doszedł ostatni mój list, pisany z Kocka, w którym Jej donosiłem, iż byłem odkomenderowany przez naczelnego wodza do pełnienia służby adjutanta przy gen. Chrzanowskim, komenderującym oddzielną wyprawą. Od Kocka szliśmy ku Zamościowi, lecz marsz nasz już nie był tak spokojnym. Pierwszego dnia spotkaliśmy między Firlejem a Kamionką brygadę piechoty rosyjskiej, którejśmy wzięli 500 kilkadziesiąt niewolnika. Ja tam nie byłem czynnie zajęty. Nazajutrz wpadli na nas Rosyanie w Lubartowie z ogromną artyleryą. Byliby nam wiele szkody zrobili, lecz szczęściem dla nas pomylili się, sądząc, że my z Lubartowa wrócimy do Kocka; na tej więc drodze zrobili na nas zasadzkę, kiedy my przeciwnie poszliśmy ku Zamościowi. Kanonada była przez godzinę bardzo mocną. Była to moja pierwsza próba. Z podziwieniem widziałem, że nie są to tak straszne rzeczy, jak sobie wystawiałem. Wystawszy się kwadrans pod dobrą kanonadą, dostałem lekkiej bardzo kontuzyi w krzyże od kuli armatniej. Kontuzya była tak małą, że z konia nie spadłem i byłbym na miejscu pozostał, gdyby sam generał Chrzanowski nie był odemnie żądał, abym się oddalił. Wróciłem do miasta Lubartowa, szczęściem jednak mojem nie dałem lenistwu przemódz i wróciłem na pole, inaczej gdybym był pięciu minutami później wyjechał, byłbym się niezawodnie do niewoli dostał. W tem wszystkiem generał Chrzanowski okazał mi tyle przyjaźni i troskliwości, pamiętając o mnie nawet w najmocniejszym ogniu i wtenczas, gdy był najmocniej zajęty, że mu za to będę zawsze wdzięcznym. Kontuzya moja była tak lekką, że mi nie przeszkodziła służbę moją nazajutrz pełnić, a jeszcze tego samego dnia część marszu na koniu odbyłem. Wieczorem tego dnia mieliśmy rozprawę z Rosyanami pod Łęczną, na tej nie byłem. Byliśmy jeszcze raz pod Starym Zamościem, tam rozprawka była ładna, lecz bez wielu dział i prawie tylko z kawa-

leryą, wycofaliśmy się porządnie aż pod Zamość, gdzie nam nieprzyjaciel dał pokój. Nie pamiętam przyjemniejszego uczucia, jak kiedyśmy weszli do fortecy, z myślą spoczynku zjedli ciepły obiad i spali w łóżku i pod dachem. Mieliśmy bowiem kilka dość przykrych biwaków dla mroźnych nocy, przytem, aby nie być od fortecy odciętymi, maszerowaliśmy we dnie i część w nocy...

58.

(Do Matki) Zawichost, 4. czerwca [1831].

Z Zawichostu piszę do Mamy tych kilka słów. Odebraliśmy rozkaz: [Roman] Sanguszko, Zdziś [Zamoyski] i ja, wyjechać z Zamościa i powrócić do głównej kwatery, która teraz podobno jest na Pradze. Podróż nasza dość wolno się odbywa, gdyż jedziemy konno, nie możemy więc więcej na dzień jechać, jak 5 lub 6 mil. Zdrowie nas wszystkich trzech jest w jak najlepszym stanie. Zastaliśmy tu Karola Kosowskiego, który jest komendantem placu. Staliśmy u niego w dobrej stancyi, rozebraliśmy się i umyli. Są to ogromne przyjemności, które się czuć tylko dają po kilku dniach biwaku w nocach zimowych.

Słychać tu, że cholera panuje w Opatowie i Radomiu. Na prawym brzegu Wisły już ustała prawie zupełnie. Zdaje się więc, że się ta choroba posuwa ze wschodu na zachód; lękam się, aby tym sposobem nie doszła do Krakowa. Co do mnie, tyle już wpośród niej byłem, że zupełnie się z nią oswoiłem, alebym nie chciał widzieć Mamy w miejscu zarażonem.

Nie mogę żadnych nowin Mamie donieść, gdyż sam dopiero zaczynam się wywiadywać. Porzuciliśmy w Zamościu jenerała Chrzanowskiego z wielkim żalem. Żegnając się podczas wojny, przychodzi zawsze ta smutna myśl, że to po raz ostatni. Jechaliśmy ponad samą austryacką granicą lasami, aby się z kozakami nie spotkać i mieć w Austryi schronienie w razie potrzeby. Odbyliśmy tym sposobem podróż zupełnie spokojną. Mieliśmy w drodze wizytę oficera austryackiego. Bardzo był z nami grzeczny

i przyjacielski, dotąd jednak niema śladu pomocy z tej strony. Zadziwiającą jest rzeczą, że Austryacy cały korpus Dwernickiego pojedynczo wypuścili i ci tylko z tego korpusu nie wrócili, którzy nie chcieli. Obywatele przytem galicyjscy, których dość pochwalić nie można, ułatwili im przyjazd...

59.

(Do Matki) Warszawa, 8. czerwca [1831].

Musiała Mama odebrać list mój, w którym Jej donosiłem z Zawichostu, iż wracam do Warszawy. Pobyt jednak mój tu nie będzie długim, dziś odebrałem rozkaz od naczelnego wodza jechania nazad do Zamościa, razem z Romanem Sanguszką. Zdziś [Zamoyski] zostaje przy głównej kwaterze. Cieszę się z tego przeznaczenia, gdyż mi to daje nadzieję, iż wejdziemy na Wołyń, co podług mnie jest jedyną nadzieją zbawienia, jeśli jest jakie dla nas. Widziałem tu kilku sąsiadów moich wołyńskich, mówili mi, iż połowa majątków w tych prowincyach jest w administracyi rządowej. W tych liczbie są i nasze, to jednak jest dobre, że administracyę dawną zostawili, kontrolę jej tylko dodano. Tym sposobem chłopi przynajmniej nie będą nadto męczeni. Intraty obrócone są na dochód inwalidów. Zostaliśmy dobroczynnymi mimowolnie. Musiała Mama z gazet wyczytać, iż dostałem order wojskowy. Jest to przyjemna pamiątka smutnych okoliczności. Nie myślałem nigdy, aby pierwsza dekoracya, którą otrzymam, była wojskową.

Nie mam czasu dłużej do Mamy pisać, gdyż życzyłbym sobie pójść na Sejm. Ciekawe są dzisiaj obrady o odmianie formy rządu z pięciu na jednego. Byłoby to wielką amelioracyą, ale nie wiem, czy przejdzie, partya zagorzałych nadto wiele sobie pracy zadaje, a rozsądni za mało. Tamtych popycha interes własny, tych miłość dobra ogólnego. Pierwsze z tych uczuć jest zawsze mocniejsze od drugiego...

*

60.

(Do Matki) Warszawa, 24. czerwca [1831].

Ja i Władysław [Zamoyski] wróciliśmy szczęśliwie ze smutnej wyprawy jenerała Jankowskiego. Lecz biedny Roman Sanguszko został wzięty w niewolę. Celem naszej wyprawy było pobicie Rüdigera, oczyszczenie sandomierskiego i otworzenie drogi na Wołyń.

Rzecz była jak najlepiej skombinowana i szliśmy z daleko większemi siłami od rosyjskich. Szliśmy dwoma oddziałami o milę odległości, jeden pod Jankowskim, drugi pod Turną (ja byłem z Władysiem przy Turnie). Nasz oddział spotkał nieprzyjaciela, natarliśmy na niego w nadziei, iż za pierwszym wystrzałem drugi oddział wpadnie na niego z tyłu. Biliśmy się od 2-giej z rana do 9-tej bez żadnej pomocy przeciw w trójnasób liczniejszemu nieprzyjacielowi. Na końcu Jankowski, zamiast pomocy, przysyła nam rozkaz cofania się. Tym sposobem zamiast zwycięstwa pewnego ustąpiliśmy pola bitwy, a co dziwniejsza, że my bijący się nie straciliśmy nic, prócz paręset ludzi, gdy przeciwnie oddział nieczynny utracił 16 wozów amunicyjnych, 3 kasy pułkowe i 4 adjutantów wziętych w niewolę. W tych liczbie był Sanguszko i Małachowski z Lubartowa. Ponieważ Sanguszko ukrywa swoje imię, rozgłosiliśmy, że zginął, aby Moskale nie doszli, że go trzymają, a tymczasem staramy się go zamienić.

Niech więc Mama toż samo mówi w Krakowie, lub lepiej nic nie mówić.

Z niezmierną radością widziałem list Turny prywatny, w którym mówi o mnie.

Widziałem, że był ze mnie kontent, gdy mi potem okazywał wiele przyjaźni. Jest on niezawodnie jeden z najlepszych naszych jenerałów. Tymczasem jest to nieodżałowana strata, gdyż się już nie trafi tak piękna okazya zniszczenia 15-tysięcznego korpusu, był on bowiem zupełnie pośród nas i jedyny sposób cofnienia się miał wpław przez Wieprz pod naszym ogniem. Jestem teraz w Warszawie, nie wiem na jak długo...

61.

(Do Matki) Warszawa, 28. czerwca [1831].

Zawsze z Warszawy piszę do Mamy i podobno jeszcze kilka razy stąd pisać będę, gdyż nie słychać, abyśmy w pole wyjść mieli. Rosyanie nie zdają się skłonni do atakowania nas i zdaleka stoją. Ze wszystkich raportów, jakie o ich sile odbieramy, zdaje się, iż są od nas słabszymi co do liczby, co do gatunku wojska są daleko niżsi. Jest to nieodżałowana szkoda, iż wyprawa Jankowskiego na Rüdigera, która była pewna, przez głupstwo tak się nie udała; nigdy się już nie wróci podobna okazya zniszczenia zupełnie 12-tysięcznego korpusu i zabrania 30 dział. Sam Rüdiger tak wlazł był w nasze ręce, iż niepodobna było, aby cokolwiek było uszło. Jest teraz komisya naznaczona na Jankowskiego. Cała Warszawa krzyczy o zdradę. Było to jednak tylko stracenie głowy. Szkoda, że przez niewczesny awans z dobrego jenerała brygady zrobiono nędznego komendanta korpusu i tym sposobem zgubiono człowieka. Zdaje się, iż Bóg chce dowieść, że nie my siebie, ale on nas wybawił, gdyż mimo wszystkich naszych klęsk i głupstw, Rosyanie coraz są więcej osłabieni i w samychże zwycięstwach, które odnoszą, zawsze więcej kilkakrotnie ludzi tracą od nas.

Oby nas Bóg tak mimo nas ratował w pokoju jak w wojnie, jest to jeszcze potrzebniejsze...

62.

(Do Matki) Modlin, 14. lipca [1831].

...Siedzimy dotąd w Modlinie *dans une inactivité désolante*, mamy jednak nadzieję ruszenia dziś albo jutro. Nie znam planów, ale mi się dziwno wydaje, że gdy podług wszelkiego podobieństwa Rosyanie się przez Wisłę przeprawiają, my nie staramy się ani im przeszkodzić, ani przynajmniej korzystać z momentu, gdy część ich wojska się przeprawi, aby na drugą wpaść i pobić ją. Wreszcie mieszam się nie do moich rzeczy, a wreszcie

dosyć tu mamy gadaniny i intryg bezemnie, niech więc Mama listu mego nie pokazuje...

63.

(Do Matki) Kraków, 23. lipca 1831.

Przyjechałem, kochana Mamo, do Krakowa, ale czy się dalej dostanę, o tem bardzo wątpię. Od pana Lorenza odebrałem zupełnie odmowną odpowiedź, nie pozwolił mi nawet zamknąć się do kwarantanny. Nie mam więc innej nadziei, jak tylko w odpowiedzi z Wiednia, dokąd już sztafetę posłałem, a tymczasem używam swobody i spokojności, lecz to zapewne nie na długo, gdyż za kilka dni nadejdzie odpowiedź z Wiednia, a że zapewne nie będzie pomyślna, więc powrócę do Warszawy po daremnej podróży, a może na to, aby burę dostać [22]. Od tego czasu, jak Austrya okazuje się coraz dla nas przychylniejsza, tak granice swoje zamknęła, że niepodobna nawet ukradkiem przejechać. Nieborak Jędrzej [Zamoyski] dotąd się bezskutecznie nad granicą włóczy i mała jest nadzieja, by potrafił przejechać [do Wiednia]...

64.

(Do Matki) [Bolimów], 7. sierpnia 1831.

Piszę do Mamy te kilka słów we wsi Bolimowie, gdzie zapewne dziś cały dzień zabawimy. Dotąd nie mieliśmy żadnego spotkania prócz małych nieznaczących rozpraw, na których nie byłem. Już teraz niech Mama nie myśli o wyjechaniu z Warszawy. Kto wie, czy Rosyanie nie wysłali oddziałów do przecięcia komunikacyi. Nie wiemy, czy będzie jaka bitwa, ale jeśli będzie, mamy nadzieję, że będzie szczęśliwa. Umysły są tu w dziwnej dyspozycyi, każdy chce czego innego, masa jednak czuje potrzebę układów. Każdy to mówi i przyznaje, kiedy zacząć w tym sensie, ale nikt nie śmie sam zacząć o tem mówić. Jestem przekonany, że gdyby się kto śmiało ode-

zwał, wszyscyby się z nim zgodzili, ale niema tego pierwszego. Jest to hańba wieczna dla nas.

Ciekawy niezmiernie jestem wiedzieć, co się w Warszawie dziś dzieje i co robi xiążę Adam. Dziś powinicn pokazać tęgość, połączyć się z naczelnym wodzem i albo swego dokazać, albo służbę porzucić. Niech przynajmniej narodu swojem nazwiskiem nie zwodzi.

Daruje Mama nieporządek mego listu, ale piszę na kolanie w stajni i wśród ogromnego hałasu...

65.

(Do Matki) Bolimów, 8. sierpnia [1831].

...Pułkownik Bem, komendant całej artyleryi, chce mnie do tej broni przeprowadzić, a może przy arsenale użyć. Niech Mama o tem nie mówi, gdyż to może nie nastąpi, jest to daleki projekt między nami...

...Miewamy tu prawie codzień rady wojenne, rezultatem jest, że się nie bijemy; mają na uwadze, że zwycięstwo nawet zniszczy nam z 10.000 wojska, którego nie mamy czem zastąpić. Przegrana wszystko zniszczy, a w jednym jak w drugim razie nie pozostanie nam jak tylko poddanie się bezwarunkowe, gdy przeciwnie z wojskiem *nous sommes encore respectables.* Rzeczy tak się codziennie dezorganizują, że nie wiem, na czem się to skończy...

Na tułaczce

66.

(Do Matki) Frankfurt, 18. października [1831].

Jestem od kilku dni w Frankfurcie nad Odrą. Wczoraj przyjechała do mnie Jadwisia z Berlina. Po rozmówieniu się z nią i z wiadomości, jakie nas tu dochodzą, zdecydowałem się pojechać do Wrocławia, a stamtąd, jeśli będzie można, zbliżyć się do reszty familii. Czekamy tylko w Frankfurcie na przyjazd dzieci z Berlina...

67.

(Do Matki) Wrocław, 16. 9bra [1831].

...Co do mnie nie mam żadnych nadal projektów. Będę siedział w Wrocławiu, póki mi pozwolą. Chciałem osiąść w Galicyi, ale z wiadomości, jakie nas stamtąd dochodzą, widzę, że niepodobna, wypadnie więc, jak mnie stąd wypędzą, jechać do Drezna, a może i dalej, lecz z czego się w tamtych krajach utrzymać, tego nie rozumiem. Teraz już żyję pożyczanemi pieniądzmi, a mimo tego całego majątku nie mam 2-stu talarów. Już do kraju zapewne nie będę mógł wrócić, a przez to majątek wołyński stracony. Żeby się tylko to samo nie stało z Mamy majątkiem, jeśli Mama teraz za Anusią pojedzie. Spodziewamy się co moment pani Zamoyskiej, która dowiedziawszy się, iż Zdziś [Zamoyski] słaby, zdecydowała się tu z Galicyi przyjechać. Spodziewam się od niej powziąć wiadomości, które mnie zdecydują, co mam na przyszłość robić. Niech nam Mama daje ile możności o sobie wiedzieć, adresując listy do bankiera Eichhorn et Ruffer w Wrocławiu...

68.

(Do Matki) Wrocław, 24. listopada [1831].

Dowiedzieliśmy się tu o amnestyi cesarza, która zupełnie nam odbiera nadzieję wrócenia do kraju, trzeba więc myśleć o obraniu sobie kącika, w którymby można spokojnie siedzieć. Pisałem już Mamie, iż pisałem do Wiednia o pozwolenie siedzenia w Galicyi. Jeśli tego nie otrzymam, chciałbym pozostać w Śląsku lub Wielkopolsce. Gdziekolwiek osiądę, chciałbym wziąć w dzierżawę folwarczek, aby módz na wsi siedzieć i mieć zatrudnienie. Gdyby mnie do Galicyi wpuszczono, mógłbym być bratu [x. Adamowi] użyteczny, biorąc dzierżawę w Sieniawszczyźnie i tam zatrudniając się jego interesami. Niedość dobrym jestem gospodarzem, abym mógł dzierżawę uwa-

żać jako spekulacyę, będzie to tylko sposób do życia najoszczędniej, a przytem przyjemnie...

69.

(Do Matki) Wrocław, 29. listopada [1831].

Pisałem już do Mamy, że starałem się o pozwolenie przedłużenia pobytu mego we Wrocławiu do zupełnego wyzdrowienia dzieci. Otrzymałem w tych dniach odpowiedź króla, dozwalającą mi tego. Pisałem wczoraj do Wiednia do xięcia Konstantego [Czartoryskiego], prosząc go, aby mi otrzymał pozwolenie siedzenia w Galicyi, mało jednak mam nadziei otrzymania go, tymczasem pozostanę w Wrocławiu, póki tego zdrowie dzieci wymagać będzie, a to zapewne dość długo mnie tu zatrzymać może...

70.

(Do Matki) Wrocław, 4. grudnia [1831].

Odebrałem wczoraj list z Berlina, w którym mi donoszą, iż poseł austryacki otrzymał z Wiednia upoważnienie wysłania mi paszportu do Galicyi, co mnie nieskończenie ucieszyło. Skoro dzieci będą zdrowe, co niezabawnie nastąpić powinno, wyjadę stąd do Oleszyc, dóbr pani Zamoyskiej. Zdziś [Zamoyski] zabawi tu jeszcze niejaki czas dla ukończenia kuracyi. Pani Zamoyska jeszcze w Wrocławiu, ale zapewne razem z nami wyjedzie. Mieliśmy dziś wiadomości z Petersburga. Pan Zamoyski pisze, abym do Galicyi jechał i nie mogąc mi dalej pensyi płacić, chce mi oddać Piskurowice, folwark należący do ordynacyi, ale w Galicyi położony. Tam więc zapewne osiądę...

71.

(Do Matki) Kraków, 15. stycznia [1832].

Nie mam już żadnej nadziei wracania do kraju w teraźniejszym stanie rzeczy. Wyraźnie to pan Zamoy-

ski we wszystkich swoich listach pisze. Choćby mi tego dozwolono, nie uważałbym to za rzecz bezpieczną po tylu okropnych przykładach. Życzyłem sobie być zupełnie w Petersburgu zapomniany, ale pan Za[moyski] w najlepszej chęci przeciwnie zrobił i mnie i synów w przykrem postawił położeniu. Prosił o nasze ułaskawienie. Dano nadzieję wszystkim, wyjąwszy Władysia i mnie, kazano jednak, abyśmy listy submisyjne napisali, do których pan Za[moyski] przysłał nam wzory. Są one godne żaków, lękających się rózgi. Nie chcę takiego listu podpisać, tem bardziej, iż mi przeczuwać dają, iż się to na nic nie zda. Chciałem rzecz w niepamięć podać i winę złożyć na nieregularność poczty, ale mnie te listy doszły drogą tak urzędową, iż muszę odpisać, a jakkolwiek rzeczy w bawełnę obwijać będę, odpowiedź odmowna nie może, jak tylko bardzo obrazić.

Jestem dotąd z żoną w Krakowie, za tydzień wyjeżdżam do Galicyi, dokąd żona później przyjedzie. Gdzie osiądę, czy w Piskurowicach, czy w Oleszycach, tego dotąd nie wiem i dopiero rozpatrzywszy się na miejscu, zdecyduję się...

72.

(Do x. Adama Czartoryskiego) Kraków, 27. stycznia 1832.

Odebrałem kochany Bracie list Twój z wielkiem ukontentowaniem. Ponieważ pozwalasz mi donieść o sobie, powiem ci więc, com ci już w jednym liście donosił, że biorę od ojca żony dzierżawę w sąsiedztwie Twojej Matki. Niebardzo mi się to jednak uśmiecha, nie mając zasobów, trudno wyjść na dzierżawie, położenie także tej wsi nad samą granicą nieco mnie trwoży. Gdyby nie żona i dzieci, byłbym się puścił w świat na wędrówkę, aby się wydoskonalić w rzemiośle, w którym przez rok praktykowałem. Gdybyś mi gdzie znalazł dobrego majstra, kto wie czybym się jeszcze nie dał nakłonić do tego[23].

Chrzan[owski], w którego warsztacie przez kilka miesięcy pracowałem, wykręcił się z rąk kredytorów [24], którzy go się trzymali i chcieli albo go zamknąć, albo żeby na ich rachunek pracował. Potrzebując chleba, chciałby praktykować albo w Hannowerze, albo aż w Indyach Wschodnich [25]. Prosił mnie, abym powziął wiadomości, czyby się to zrobić dało. Znając Twoje związki z fabrykantami i kupcami, sądziłem, że najlepiej do Ciebie się udać po wiadomości w tym względzie. Mógłbyś go zarekomendować, jako dobrego majstra. Słyszałem tu o Twojej przyjaźni ze starym kupcem, kulawym [Talleyrandem], którego nazwiska nie pamiętam; bardzo się z niej cieszę, gdyż może być użyteczna Twemu handlowi i Tobie osobiście; przypomniej mnie jemu i jego siostrzenicy [x. Dino]. Bardzo pragnę rad Twoich co do mnie, wolałbym do was przyjechać, niż gnić na kącie, ale dotąd nie widzę, abym tam miał co do roboty. Napisz mi Twe myśli w tej mierze i co do Chrzano[wskiego], jakich się korzyści tam spodziewać może, a to we wszystkich szczegółach. Pisuj do mnie na ręce Twojej siostry [x. Wirtemberskiej] albo Twego brata [x. Konstantego], który o mnie będzie wiedział. Ściskam Cię serdecznie, kłaniaj się żonie i dzieciom. Okropnie się u nas dzieje i codzień straszniej [26].

73.

(Do x. Adama Czartoryskiego) 13. lutego [1832].

Pisałem do Ciebie temu kilka dni, kochany Bracie, w interesie dawnego przełożonego, lękając się, aby tamten list mój nie zginął, powtarzam moją prośbę. Pan Chrzanow[ski] wiedząc moje związki z krajem, w którym się teraz znajdujesz, prosił mnie, abym powziął wiadomość, czyby jego przyjęto w służbie indyjskiej lub innej angielskiej i w jakim stopniu? Zechciej Bracie rozpytać się o tem i dać mi ile możesz szczegółów w tym wzglę-

dzie. Bardzobym rad przysłużyć się panu Chrzan[owskiemu], z którym zawsze dobrze trzymałem, który tym krokiem zamknie gębę wszystkim oszczercom. Byłem wczoraj u twojej Matki [x. Izabeli Czartoryskiej], dziś jestem u Matki mojej żony [hr. ordynatowej Zamoyskiej], nic ci o nich nie donoszę, gdyż od nich samych wiadomości odbierasz. Co do mnie coraz mocniejsze nabieram przekonanie, że bez narażenia się na długą i zimną podróż nie mogę do domu wracać [27]. Moją Matkę ostrzegali o tem dobrze świadomi. Siedzieć teraz będę w okolicach, w których się znajduję, czy mnie jednak tu długo spokojnie zostawią, jest wielka kwestya. Sąsiad [Rosya] nadto na mnie zawzięty, by mi tu nie dopiekł. Będę dosiadywał, póki się da, gdyby jednak wypędzono, pojechałbym albo w Twoje [do Anglii] albo w siostry [do Francyi] okolice. Chciałbym w tej mierze Twojej rady i żebyś rozpatrzył dla mnie kątek i zatrudnienie intratne, aby dołożywszy dochód z niego do tego co mam, było nie złe dla żony i dzieci utrzymanie. Mógłbym się przyczepić do Bema, ale do Francuzów nie mam sympatyi, a przytem krok podobny byłby zupełnem zerwaniem ze wschodem [Rosyą], czego chciałbym uniknąć. Najbardziejbym pragnął pozostać, gdzie jestem, bo i żyć tanio mogę i pieniądze dla dzieci zbierać. Chciałbym tylko, jeśli mię wypędzą, czego się lękam, mieć już upatrzony kątek i sposób do życia. Jeśli tu pozostanę, będę zapewne u Ciebie mieszkał, proszę więc o pozwolenie kątka, a zarazem ofiaruję się, jeśli mogę być w interesach pomocnym.

Bardzo ci rekomenduję interes pierwszy, osoba w mowie będąca była gen[erałem] dywizyi, coby mu ofiarowano.

74.

(Do x. Adama Czartoryskiego) 30. czerwca 1832.

Już dawno bardzo, kochany Bracie, miałem od Ciebie i od siostry wiadomości. Dziwujesz się w Twoich listach, że do Was nie przyjeżdżam. Mam żonę i troje

dzieci, a wkrótce i czworo, a do utrzymania tej familii mało majątku i ten jeszcze niepewny. Pierwszym więc obowiązkiem moim jest chleb im zapewnić. Pan Ordynat dał mojej żonie w miejsce pensyi wioskę, która jakkolwiek mała, może jednak na nasze utrzymanie wystarczyć, lecz muszę szczerze nad nią popracować. Przytem tu siedząc, nie pogarszam położenia mojej Matki, którąby może wzięli pod kuratelę, gdybym się oddalił. Dlatego jedynem życzeniem mojem jest tu pozostać i otrzymać obywatelstwo. Jeśli położenie Twoje na wyspie [w Anglii] daje ci sposobność widywania Est[erhazego], tutejszego amb[asadora], przypomniej mnie jemu, możeby słówko za mną przemówił, a toby mi mogło być bardzo użyteczne w dopięciu mego celu. Możeby siostrzenica [x. Dino] kulawego [Talleyranda] mogła to uczynić dla dawnej znajomości.

Koło nas o granicę wszystko czarno i straszno, wiek nawet Tosia lub Władzia nie ochrania od długiej podróży. Dzieciątko Jezus obojej płci już wyjechało i wiele innych. Ci, co w nadziei łaski popowracali, tłumami uciekają od długiej podróży.

Musiałeś już zapewne widzieć mego małego Chrzan[owskiego], czy śledziom, czy pomarańczom wojnę wypowiedział. 4-go pisał z Monachium, nigdzie się utrzymać nie może i zapewne do Was zawita, lecz niech będzie ostrożny, by Ojcu [Ojczyźnie] i braciom nie zaszkodzić.

O ważności i o działaniach Sejmów galicyjskich

75.

(Do x. Adama Czartoryskiego) Z roku 1845.

Sejmy galicyjskie od kilku lat coraz więcej wagi nabierają. Była to dawniej czcza formalność. Prócz sesyi publicznych otwarcia i zamknięcia, ledwie dwa lub trzy razy zbierano się na parę godzin. Słuchano raportu Wy-

działu stanowego z jego czynności, utyskiwano na ciężkie czasy, proszono o zmniejszenie podatków i tak w ciągu jednego tygodnia, który nie wiedziano, jak zapełnić, po kilku długich obradach kończono obrady sejmowe. W tych kilku ostatnich latach Towarzystwo kredytowe, Kasa oszczędności, kolej żelazna, Szkoła techniczna, język narodowy i kilka innych ważnych przedmiotów zajmowały Sejmy i ich staraniem albo już istnieją, albo są w robocie. Jeden z najważniejszych przedmiotów, które tegoroczny Sejm zajmowały, była kwestya w stosunkach włościańskich. Aby przedmiot ten dokładnie zrozumieć, trzebaby poznać prawodawstwo austryackie co do stosunków między właścicielami dóbr a włościanami. Nie mieści się ono w żadnym kodeksie, składa się z mnóstwa oddzielnych patentów cesarskich, dekretów Kancelaryi Nadwornej i innych przepisów, przewidujących tysiączne specyalne przypadki, lecz nie stanowią żadnej ogólnej prawnej zasady, tak że każda strona znaleźć może pełno przepisów za sobą i że decyzya zależy od dobrej woli urzędników. Aby dać wyobrażenie o tych prawach, dość powiedzieć, że dotąd prawnicy dojść nie mogą, komu służy prawo własności gruntów w posiadaniu włościan będących. Te zaś grunta składają większą połowę powierzchni Galicyi.

Władzą sądzącą sprawy między panem a chłopem jest w pierwszej instancyi sam pan przez swego oficyalistę, w wyższych władze administracyjne, ktore są razem prawnymi opiekunami włościan. Stąd wypływa naturalnie, że w pierwszej instancyi zawsze pan wygrywa, w wyższych zawsze włościanin, stąd w małych sprawach ciągły ucisk chłopa, w ważniejszych zawsze przegrana dla pana.

W r. 1842 hrabia Kazimierz Krasicki i Wny Józef Lewicki podali do Stanów zażalenie na ten stan rzeczy, przedstawiając potrzebę zmienienia pańszczyzny na wieczyste czynsze, pewniejsze dla właścicieli, jak źle odrabiana pańszczyzna i mniej uciążliwe dla włościan. Te podania na Sejm wniesione nie były, pod pozorem braku

czasu; obudziły jednak umysły, które odtąd kwestyę tę częściej rozbierać poczęły.

W r. 1843 rzecz powtórnie do Sejmu przyszła i obudziła wielki duch opozycyi. Przewidywano w tem upadek pańszczyzny, a za nim i zniszczenie rolnictwa. Większość chciała wybrać komisyę z grona Stanów, któraby te stosunki rozpoznała i zaprojektowała potrzebne w prawodawstwie odmiany. Mniejszość jednak tyle dokazała, że nie przystąpiono bezpośrednio do wyboru komisyi, lecz proszono cesarza o pozwolenie jej wybrania.

Na Sejm 1844 r. przyszła odpowiedź cesarza, która pochwala chęć Stanów poprawienia bytu włościan, lecz na wybór komisyi nie pozwala dlatego, że przedmioty, którymi się ma zająć, nie są dość ściśle oznaczone. Aby więc zadość uczynić decyzyi cesarskiej i nie nastraszyć rządu i przeciwników tej kwestyi zbyt obszernemi żądaniami, oznaczono jako punkta do prac komisyi: 1. nadanie włościanom tytułu własności użytkowej (*dominium utile*) gruntów dziś przez nich używanych z zachowaniem praw obywateli do pańszczyzny i innych powinności; 2. zaprowadzenie ksiąg gruntowych, czyli hypoteki gruntów włościańskich. Były[28] to nieznaczne odmiany w dzisiejszym stanie rzeczy, ale przecie dałyby włościanom więcej niezależności i ułatwiłyby dobrowolne układy z właścicielami czy to o zamienienie pańszczyzny na czynsze, czy o zupełne wykupno, a przytem wiele Stanom na tem zależało, aby kwestya prawodawcza była im po raz pierwszy pod rozbiór poddana. Żądano przytem, aby zaraz wybrać komisyę, któraby wtenczas dopiero czynności swe rozpoczęła, gdy ją N. J. Pan zatwierdzi. Prezes Stanów baron Krieg, widząc jednomyślność Sejmu, zezwolił na to, aby mimo rozkazu cesarza przystąpiono do wyboru komisyi. Było to wielkie zwycięstwo dla Sejmu. Lecz przeciwnicy wszelkich odmian, którzy nie śmieli jawnie z opozycyą występować, dokazali tego, że się głosy podzieliły co do formy, którą tej komisyi nadać wypadało, oświadczyli, że Sejm niedość liczny jest, aby do tak ważnych wyborów przystąpić. Stanął na ich czele

Władysław Sanguszko. Korzystał z zamieszania baron Krieg, a że to była ostatnia sesya, że już czas za krótki, rzecz całą odłożył do przyszłego Sejmu. Straciliśmy przez to dużo na powadze, odrzucając bez skutku pozwolenie, któregośmy dniem wprzódy jednomyślnie żądali.

Na Sejm tegoroczny otrzymaliśmy decyzyę cesarską, pozwalającą na wybór komisyi ograniczonej na dwóch wyżej wspomnianych punktach. Zostawiono nam oznaczenie liczby członków. Wybraliśmy więc po jednym z każdego obwodu, to jest 18 i tyleż dla nich zastępców. Prezesem wybrał rząd arcyxięcia Ferdynanda, ten zaś mianował swoim zastępcą xięcia Karola Jabłonowskiego. Ma jeszcze w tej komisyi zasiadać trzech urzędników, jeden sądowy, drugi administracyjny, trzeci z administracyi dóbr rządowych.

W tym roku uważać można było znaczny postęp w umysłach. Przeciwnicy wszelkich odmian byli daleko mniej liczni. Dlatego to prawie jednomyślnie wotowano, aby przedstawić N. J. Panu, że Sejm uważa granice przepisane komisyi za nadto ścieśnione i prosi, aby się zająć mogła usunięciem przeszkód: 1. do zamienienia pańszczyzny na wieczyste czynsze, lub na zupełne wykupno, 2. do uregulowania gruntów, 3. do uwolnienia właścicieli od ciążących dziś na nich służebności, a mianowicie obowiązków dawania włościanom drzewa, zapomagania ich w inwentarze i żywienia ich w czasie nieurodzaju, zostawiając to jednak ile możności dobrowolnym ugodom i nie naruszając praw nabytych i cudzej własności.

W tej ważnej kwestyi dzielą się zdania nie tylko między obywatelami, ale i w samym rządzie. Arcyxiążę Ferdynand jest za utrzymaniem dzisiejszego stanu rzeczy; widzi w nim związek między panem a chłopem, nie uważa, że od 80 blizko lat rząd sam pracuje nad zerwaniem tego związku, który się dziś zamienił w nieznośne kajdany, że chłop ma pana za swego największego ciemięzcę, zrzuca z siebie wszelkie względem niego powinności, lub je zbywa, aby tylko kijów uniknąć. Pan także,

doznając ciągle przykrości od rządu z powodu chłopów, stracił dla nich uczucie ojca i opiekuna. Baron Krieg, prezes gubernium, czuje ten stan rzeczy i potrzebę zmienienia go i dlatego pobudza nas ile możności do działania. Ten sam podział zdań jest i w Wiedniu w wyższych władzach, dlatego to jedni nas chwalą, drudzy nazywają rewolucyonistami.

Drugim ważnym przedmiotem poddanym pod rozwagę Sejmu było prawo o drogach obwodowych czyli wicynalnych. Projekt do tego prawa odesłany został z Wiednia przez Kancelaryę Nadworną, aby był Sejmowi do opinii przedstawionym. Jest to pierwszy tego rodzaju przykład. Zasadą tego projektu jest, aby drogi po obwodach budowane były kosztem obwodu, dodaniem pewnego procentu do zwykłych podatków. Nadzór nad budową ma być obywatelom w części oddany. Ogólny jego zarys dość jest zbliżony do prawa niedawno Izbom francuskim przedstawionego. Uwagi nasze nad tem prawem zmierzały do rozszerzenia wpływu obywateli nad decyzyą, czy ma być droga budowana i nad samem wykonywaniem robót. Uznał ich słuszność baron Krieg i zrobił nam nadzieję, że będą w Wiedniu przyjęte. Mówił on nie publicznie wprawdzie, lecz przed wieloma, że to prawo będzie początkiem instytucyi komunalnych, do których powinniśmy dążyć.

Trzeci przedmiot przedstawiony Sejmowi był stan nędzy kraju wskutek kilkuletnich wylewów i tegorocznego nieurodzaju. Po odczytaniu i roztrząśnieniu wielu podanych projektów stanęło na tem, że Stany prosiły N. J. Pana o pożyczkę fl. k. m. 400.000 (franków 1,000.000), od których same obowiązują się przez 10 lat procent po 4% opłacać. Gdyby zaś to nie wystarczyło, proszą o podniesienie tej pożyczki do fl. k. m. 2,000.000 (franków 5,000.000), od reszty zaś, aby procent był na wszystkie podatki rozłożony. Fundusz stąd pochodzący ma być bez procentu na 10 lat rozpożyczony tym, którzy od wody najwięcej ucierpieli.

Za podstawę do dyskusyi w tym przedmiocie służył projekt przez L. Sapiehę do Sejmu podany, który tem się różnił od przyjętej decyzyi, że fundusz 2 milionów nie miał być otrzymany od rządu, lecz przez puszczenie w obieg odpowiedniej ilości obligacyi 4-ro procentowych, mających się losowaniem wykupić w miarę zwrotu pożyczonego kapitału. Myślą Sapiehy, podając ten projekt, było przyzwyczaić kraj do ratowania się własnemi siłami, nie oglądając się na pomoc rządu, ustalić kredyt Galicyi i formując administracyę krajową, ukształcać Polaków do czynności administracyjnych. Projekt ten miał za sobą większość sejmujących, lecz bojaźń, aby się w Wiedniu nie utrzymał, a przez to kraj w naglącej potrzebie został bez pomocy do przyszłego Sejmu, zdecydowała samego Sapiehę, aby od niego odstąpić i przychylić się do przyjętego projektu.

4. Rozbierał Sejm projekt Towarzystwa kredytowego o rozszerzenie pożyczek na dobrach udzielonych. Przedmiot ten wielkiej wagi dla obywateli nie ma jednak żadnego znaczenia politycznego. Był on jednogłośnie przyjęty.

Ostatnim przedmiotem dyskusyi była mowa polska i nadużycia, których sobie władze sądowe pozwalają wprowadzaniem języka niemieckiego do sądownictwa.

Wkońcu wotowano adres. Jest to zwyczajem przyjętym, że co roku posyła Sejm adres do cesarza, w którym mieszczą się treściwie wszystkie decyzye i prośby w czasie Sejmu wotowane i które się obszerniej znajdują w protokołach. Adres ten bywa pisany przez członka Wydziału stanowego, przedstawiony prezesowi Kriegowi, który go podług swego zdania zmienia i tak przerobiony bywa przez Sejm przyjęty. W tym roku adres żadnej odmianie nie uległ. Jakkolwiek się on zdawać może obojętnym, a nawet płaskim, kto jednak zna dawne Sejmy galicyjskie, przyzna, że i tyle dawniej powiedzieć nie można było.

W tym roku pierwszy był przykład Sejmu trwającego dwa tygodnie. Z wstydem jednak przyznać muszę, że mimo tego, iż dawniej upominano się o przedłużenie

Sejmów, mimo ważności przedmiotów, z liczby 140 zasiadających na pierwszych sesyach ledwie 80 dotrwało do końca.

Rozprawy tegoroczne odbywały się z większym niż dotychczas porządkiem. Mowcy niektórzy odznaczali się dobrem rozumowaniem i jasnym wykładem swych myśli. Nie dał się słyszeć żaden wyraz obrażający ani przeciw rządowi, ani przeciw prywatnym osobom. Znacznie do tego przyczyniło się, że namówiono wiele obywateli, aby się zjechali tydzień przed Sejmem i że tak przed, jak i w czasie Sejmu co wieczór bywały schadzki, na które się prawie wszyscy sejmujący schodzili. Na tych rozbierano przedmioty, mające być Sejmowi przedłożone, zdania się ucierały i do zgody wzajemnemi koncesyami zbliżały. W ogólności z takiem umiarkowaniem użyto nieco większej wolności danej w tym roku, że spodziewać się można, że nam i nadal odmówioną nie będzie. Jaka zaś jej była w rządzie przyczyna, czy pochodzi ze zmiany w ogólnej zasadzie, czy z jakiej momentalnej potrzeby, to nam trudno odgadnąć. To pewna, że są niektóre rzeczy, po którychby mniemać można, iż budzi sie myśl lepszego obchodzenia się z nami, przynajmniej pod względem materyalnym. Budowa kolei żelaznej od granicy śląskiej do Lwowa, a może i do granicy mołdawskiej, ma być z początkiem przyszłej wiosny rozpoczęta. Inżynierowie już pracują nad planami i oznaczeniem kierunku.

Świeżo zaprowadzona Szkoła techniczna ma mieć dość dobrych nauczycieli i liczy już przeszło 500 uczniów. Mamy trochę nadziei, że w niej niektóre nauki będą wykładane po polsku, o to przynajmniej się staramy. Co także uważamy za zwycięstwo, to jest wybór Polaka Wacława Zaleskiego na naczelnika biura galicyjskiego w Kancelaryi Nadwornej w Wiedniu. Jest to człowiek godny, zdatny i krajowi przychylny. Był on przed kilku latami wybrany przez Sejm deputatem stanowym i jemu winniśmy wypracowanie wszystkich przepisów Towarzystwa kredytowego.

(Dopisek x. Leona)

Przesyłając ten raport na prędce skreślony, najmocniej błagam, aby nie był nikomu pokazany, ani o nas nie była nigdy publicznie wzmianka zrobiona. Pracując w zaciszu, może nam się uda coś zrobić. Każda wzmianka o nas w emigracyi, a szczególniej pochwała, cofnęłaby nas o wiele lat, może nawet odebrałaby na zawsze możność działania.

PRZYPISKI

1803—1830

1. Metternich był wówczas ministrem spraw zagranicznych, towarzyszył tylko Maryi Luizie w jej podróży do Francyi. Posłem austryackim w Paryżu był Karol ks. Schwarzenberg.

2. Niegolewski w swej relacyi p. t.: „Les Polonais à Sommo-Sierra“ (Paris 1854), str. 70, przedstawia to zdarzenie w nieco inny sposób, podając jako główną przyczynę złych obrotów nienależyte jeszcze wymusztrowanie oddziału; w tym dniu miał komenderować generał Durosnel.

3. T. j. księżna Anna Sapieżyna i ordynatowie Zamoyscy.

4. Wdowie po Józefie Sapieże, krajczym w. lit.

5. Była to księżna Tarakanowa, por. E. Łuniński: „Księżna Tarakanowa“. Lwów 1907, gdzie również wiele szczegółów podał autor z życia Domańskiego.

6. Societas litteraria Jablon., a po niemiecku: Fürstlich Jablonowskische Gesellschaft der Wissenschaften, założone w r. 1768.

7. Według prof. Askenazego: „Łukasiński“, Warszawa 1908, t. II., str. 198, Heltman „ranny w sam wielki czwartek 1831 i wzięty do niewoli polskiej, wstąpił do armii rewolucyjnej, walczył w jej szeregach aż do upadku powstania, poczem opuścił kraj, udając się na emigracyę do Paryża“.

8. Siemionowski.

9. Ks. Adam podał o dymisyę w Wołosowcach. Bliższe szczegóły ze spotkania w tej miejscowości ks. Adama z Aleksandrem u Askenazego: „Łukasiński“, Warszawa 1908, t. I., str. 175 sq.

10. Porównaj Smolka St.: „Polityka Lubeckiego przed powstaniem listopadowem“, Kraków 1907, t. I—II. passim.

11. Dokładne sprawozdanie samego ks. Adama z tej rozmowy podaje Askenazy: „Nowe wczasy“, Warszawa 1910, str. 238 sq.

12. Trzecim delegatem Senatu rosyjskiego był Stawiski, ponadto zjechał z nimi do Warszawy prokurator Kajsarow.

13. Za skazaniem głosował też senator Czarnecki.

14. Ustęp ten odnosi się do drugiej podróży petersburskiej, z tej pierwszej wrócił ks. Leon z początkiem marca 1828.

1830—1831

1. Por.: Lisicki H.: „Aleksander Wielopolski", Kraków 1878, t. II., str. 6 sq. (Sprawozdanie margrabiego z misyi londyńskiej) i t. IV., str. 341 sq., gdzie się mieszczą raporty margrabiego i jego korespondencya z księciem Leonem Sapiehą.

2. Porównać: Askenazy: „Zabiegi dyplomatyczne polskie 1830—1831". Biblioteka Warszawska 1902, t. III., str. 440 sq.

3. To spotkanie było właściwie między Kamionką i Firlejowem 9. maja.

4. Dowódcą był nie Kajsarow, lecz jenerał Tołstoj.

5. Zupełnie inaczej zachowanie się Skrzyneckiego tłómaczy Prądzyński: „Pamiętniki", t. III., str. 135 passim.

6. Takich prowincyi, a raczej autonomicznych namiestnictw miało być 10.

7. W skład tej delegacyi, przez Rząd i Sejm wysłanej, wchodzili prócz tych trzech jeszcze Franciszek Wężyk, Dembowski Ignacy, Wincenty Tyszkiewicz, Józef Świrski, Teofil Morawski i Tadeusz Ślaski.

8. Andrzej Zamoyski przybył do Warszawy z urzędnikiem ambasady rosyjskiej w Wiedniu, Gervais, a przywiózł tylko nic nie znaczący list Metternicha do austryackiego reprezentanta w obozie Paskiewicza, pułkownika Cabogi, ponadto kanclerz austryacki wydał jeszcze osobne pismo na imię samego Andrzeja Zamoyskiego. Misya ta nie miała i nie mogła mieć żadnego decydującego wpływu na dalsze wypadki.

9. Porucznikiem mianowany został 11. sierpnia, a kapitanem I-szej klasy w dyrekcyi artyleryi dopiero 17. września 1831.

10. Jenerał Sokolnicki zginął pod kopytami spłoszonego konia w czasie rewii na Saskim placu dnia 23. września 1816 r. Porównaj: Kraushar: „A. Sokolnicki i Krukowiecki", Warszawa 1908, str. 74; M. Sokolnicki: „Generał Michał Sokolnicki", Warszawa 1912, str. 275.

11. Nastąpiła ona w Modlinie dnia 10. września 1831 r.

12. Nakwaskiego.

13. Uwolnienie od służby wojskowej datowane jest 3. października 1831.

1832—1846

1. Księżna Wirtemberska i książę Adam.

2. Józef Alojzy, później emigrant — przyjaciel Słowackiego, żył i umarł w Paryżu.

3. Szumlański Józef, wzięty podczas wyprawy egipskiej 1799 r., istotnie wykupiony następnie staraniem Czartoryskich.

4. Zainicyowana na sejmie 1842 r., a otwarta 1. stycznia 1844 r.

5. Na zgromadzeniu odbytem dnia 3. lipca 1845 r.

6. Nosiło ono tytuł: „Rozprawy c. k. galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego“, a zaczęło wychodzić we Lwowie 1846 r., drukiem P. Pillera.

7. Nosił on tytuł: „Sprawozdanie komisyi, wyznaczonej przez Sejm do wypracowania projektu kolei żelaznej w Galicyi, złożone Prześwietnym Sejmującym Stanom w miesiącu wrześniu roku 1842“.

1846—1848

1. Właściwie autorami tego projektu są: Hefern, Smolka i Ziemiałkowski.

2. Było to tegoż samego dnia, t. j. 19. marca.

3. Piotr, ojciec Tadeusza, posła.

4. Wybrano wtedy nie Fredrę, lecz Tytusa hr. Dzieduszyckiego. Por. Łoziński: „Epilog Stanów galicyjskich“, Bibl. Warsz. 1901, t. III., str. 422 sq.

5. W stopniu podporucznika jako adjunkt sztabu, był używany do korespondencyi.

DODATKI

1. W połowie lipca 1831.

2. Jak z raportu Lorenza do Metternicha okazuje się ks Leon przybył do Krakowa 23. lipca 1831. Takiego rozkazu jednak Lorenz nie otrzymał.

3. Sekretarza rosyjskiej ambasady, a nie austryackiego urzędnika.

WYJĄTKI Z KORESPONDENCYI

1. Nauczyciel domowy księcia.

2. Ten stan umysłów spowodowały głównie niedawne, bo z 22. maja 1819 i 16. lipca t. r. postanowienia namiestnika Zajączka, zaprowadzające cenzurę.

3. Książę Leon po zdaniu egzaminu dojrzałości w r. 1820 w warszawskiem liceum, wyjechał na dalsze studya do Paryża, w towarzystwie swego guwernera Okraszewskiego. Po drodze wstąpił do Badenu pod Wiedniem.

4. Była nauczycielka ks. Anny.

5. Na skutek silnej opozycyi w Izbie sejmowej odrzucono dwa główne projekty rządowe, mianowicie kodeks procedury karnej i statut organiczny dla Senatu.

6. Józef Piotr, żyjący we Francyi od r. 1786 i tu odgrywający znaczniejszą rolę w dobie legionów. Bliższe o nim szczegóły u Skałkowskiego: „O kokardę legionów", Lwów 1912, str. 203 sq.

7. Z wycieczki w czasie feryi letnich.

8. Dyplom bakalaureatu nosi datę 27. sierpnia 1822.

9. Sprawozdanie z małej podróży do Akwisgranu.

10. Oficyaliści.

11. Druga podróż do Petersburga odbyta podobnie jak i pierwsza w towarzystwie ks. Lubeckiego na wezwanie tegoż z 1. grudnia 1829 roku.

12. Książę Leon zamierzał z Petersburga pojechać wprost do Paryża, gdzie już bawiła żona ks. Jadwiga.

13. Tego dnia otrzymał ks. Leon od ks. Lubeckiego trzymiesięczny urlop na wyjazd do Francyi.

14. Z powodu rewolucyi lipcowej.

15. Ks. Leon pozostawiwszy żonę w kąpielach morskich w Dieppe, sam udał się na krótkie zwiedzenie Anglii, w szczególności fabryk tamtejszych. Ponieważ zaś miał zamiar zimę tę spędzić w Paryżu, więc rozpoczął starania o przedłużenie urlopu; był nawet zdecydowany żądać dymisyi, by potem módz oddać się gospodarstwu w swych dobrach na Wołyniu.

16. Ponieważ pierwotny plan zimowania w Paryżu został już poniechany, postanowiono wrócić do Polski.

17. Zakazywał pobytu poddanym rosyjskim i polskim we Francyi.

18. Wyjechał tam głównie z namowy Sebastianiego, dla wywołania interwencyi Anglii w sprawie polskiej. Por. str. 112.

19. Wolicki, agent Rządu Narodowego.

20. Manifest obu Izb sejmowych Królestwa Polskiego, wydany wskutek uchwały z 20. grudnia 1830.

21. Porów. Gadon: „Ks. Adam Czartoryski podczas powstania listopadowego"; biuletyn Błotnickiego z 28. kwietnia 1831, str. 76.

22. Wysłany przez naczelnego wodza z listami do cesarza Franciszka i Metternicha, musiał się ks. Leon zatrzymać z powodu braku paszportu w Krakowie. — Do Wiednia go nie do-

puszczono, ale na listy przez niego sztafetą do obu adresatów wysłane, została wyekspedyowana przez Metternicha z datą 4. sierpnia odpowiedź, która już jednakże ks. Leona w Krakowie nie zastała.

23. Mowa tu o służbie wojskowej ks. Leona.

24. Rosyjskich.

25. Generał Chrzanowski miał zamiar wstąpić tam do służby wojskowej.

26. Ten list pisany niedomówieniami, wysłany był pod adresem Mr. George Hoffman.

27. T. j. podróż do Petersburga z prośbą o pozwolenie na pobyt w Królestwie.

28. Innym atramentem dopisano: „by". Byłyby to....

DK
435
.5
S36A3

Sapieha, Leon, książę
Wspomnienia

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY